



AMANDA FILIPACCHI

OBŁOK



Amanda Filipacchi

OBŁOK

Tytuł oryginalny: Vapor

*Książkę tę poświęcam moim rodzicom,
Sondrze i Danielowi, a także pamięci mojego nauczyciela i przyjaciela,
Eda Levy'ego*

PIERWSZY

Od wielu miesięcy starałam się być mniej sobą.

Był to niełatwy projekt, którym objęłam wszelkie aspekty życia, w tym również osobiste upodobania oraz poglądy. Pragnęłam stać się giętka jak stopiony wosk. Zaczęłam podziwiać ludzi bezpłciowych, także tych słabych, pozbawionych kręgosłupa i łatwo ulegających wpływowi innych, a już zwłaszcza takich, którzy w ogóle nie mają własnego zdania, na żaden temat.

Mój nauczyciel sztuki aktorskiej, Aaron Smith, powtarzał wielokrotnie, że w moim przypadku kłopoty z uprawianiem zawodu aktora wynikają z tego, że mam zbyt silną osobowość i w związku z tym nie potrafię przyswoić sobie cudzej osobowości ani nawet posłużyć się jakimś wachlarzem emocji.

Potraktowałam te słowa poważnie. I stosowałam się do jego rady skrupulatnie, bo jestem uparta, tak w każdym razie mi się wydaje. Sprowokował mnie, w pewnym sensie, rzucił wyzwanie, które postanowiłam podjąć, mimo że przez to niemal całkowicie utraciłam z oczu swój pierwotny i ostateczny cel - przecież w życiu zależało mi wyłącznie na zostaniu wielką aktorką, jakoś tak kiedyś wyszło. Od razu pozwolę tu sobie zaznaczyć: wcale niekoniecznie chodziło mi o rozgłos i splendor, lecz raczej o te bardziej szlachetne, wartościowe powody, które nieodłącznie kojarzone są ze sztuką oraz fascynacją ludzkimi zachowaniami, względnie uwielbieniem dla nich.

Tego dnia, jak co miesiąc, przyszłam na konsultacje z rzeczonym nauczycielem, do jego gabinetu w studium. Tym razem jednak przerobił mnie na miazgę.

Słuchałam go zdruzgotana.

- Anno - tłumaczył - radzę ci, żebyś wybrała jakąś inną drogę kariery, i powiem ci prosto z mostu, dlaczego. Masz dwadzieścia siedem lat i przyjemną buzię, ale niestety nie jest to buzia olśniewająca, a ciało tego nie kompensuje, powiedzmy to sobie otwarcie. Nie jesteś kandydatką do głównych ról.

Chciało mi się palić, ale przed sięgnięciem do torebki powstrzymał

mnie wielki napis „Zakaz palenia”, który wisiał nad jego biurkiem.

Potem Aaron przystąpił do zwyczajowych uwag krytycznych pod moim adresem: jestem za bardzo sobą.

Albo: za bardzo jestem sobą. Niby to samo, ale Aaron zawsze ujmował rzecz odrobinę inaczej, jakby to miało mi pomóc w lepszym zrozumieniu jego spostrzeżeń, dzięki czemu mogłabym jakoś je wykorzystać.

Gadał i gadał, z chwili na chwilę stając się coraz bardziej dosadny i brutalny. Wręcz przeszedł samego siebie.

Żadnego owijania w bawełnę. To był koszmar. A potem wygłosił pewną dziwną prośbę, tak nieoczekiwaną i głupią, a jednocześnie, mimo jej głupoty, tak upokarzającą, że już po wyjściu robiłam wszystko, byle wyrzucić ją z pamięci.

Za drzwiami sterczała Chiara Mastroianni, też umówiona na konsultacje. Rzuciłam „cześć” w jej stronę i pognałam dalej. Ta akurat studentka była bardzo dobrą aktorką, co być może wynikało po części z faktu, że przypadkiem była także córką Catherine Deneuve i Marcella Mastroianniego, a zatem aktorstwo miała w genach. I prawdopodobnie pomogło jej również to, że wychowywała się w aktorskiej atmosferze.

Ja pod tym względem nie miałam szczęścia. Moi rodzice byli szermierzami. Matka była mistrzynią szermierki i udzielała mi lekcji. Ojciec też parał się szermierką, ale nie zdobył żadnych medali; był administratorem bloku mieszkalnego. Oboje nas z bratem przymuszano do szermierki od urodzenia, więc nie mieliśmy innego wyjścia, jak tylko ostatecznie nabyć jako takiej wprawy w tej dziedzinie. Zwłaszcza że, ku mojej irytacji, komunikacja w naszej rodzinie przebiegała zasadniczo za pośrednictwem tego właśnie medium. Fechtowaliśmy się, żeby wyrazić gniew, żeby robić sobie kawały, żeby się droczyć, dokuczać sobie i perswadować, a nawet, w najS bardziej pokrętny sposób, wyrażać niewyraźną miłość. (Na dodatek było całkiem oczywiste, że moi rodzice wykorzystywali szermierkę na swój prywatny użytek, do którego

pozostali członkowie rodziny nie mieli dostępu, w ramach zalotów i gry wstępnej.) Nie sądzę jednak, jakkolwiek bym naginała wyobraźnię, żeby szermierka mogła mi się okazać przydatna jako aktorce. No chyba że dostałabym rolę Zorro.

Szłam ulicą, zszokowana i bezsilna. Kupiłam okulary przeciwsłoneczne od ulicznego sprzedawcy, żeby ukryć łzy.

W danej chwili Chiara zapewne doskonale się bawiła podczas swej przeuroczej nasiadówki z Aaronem Smithem. Co do mnie zaś, to nigdy wcześniej nie wyobrażałam sobie, by jakaś nasiadówka mogła pójść równie źle jak ta, w której chodziło o mnie.

Najwyraźniej wysiłki w celu skasowania własnej osobowości okazały się nieskuteczne. Nie starałam się dostatecznie. Ale jak to możliwe? Przypomniały mi się najrozmaitsze próby autokasacji, w tym liczne w ramach pracy w punkcie ksero, a także w sklepie jubilerskim mojego wujka, gdzie przekłuwałam uszy na pół etatu.

Mam taką wrodzoną skłonność, że lekko sprowokowana natychmiast wybucham, a tymczasem podczas sześciu lat przekłuwania uszu musiałam przetrzymać wiele dramatów, scen, kłótni. Przekłuwanie uszu stanowi bogate źródło potencjalnych konfliktów, bo z tą czynnością wiąże się nieskończona liczba możliwych problemów: doświadczyłam wielu z nich, poczynając od wahań klientów, ich niezliczonych pytań, omdleń, walk z tymi, którzy chcieli robić to samodzielnie, a kończąc na niszczeniu aparatu, przekłuwaniu ucha w złym miejscu, nierównych dziurach, zakażeniach, aktach przemocy skierowanych przeciwko mnie.

A jednak podczas ostatnich kilku miesięcy w istotny sposób udawało mi się zapanować nad temperamentem, że wspomnę dzień, kiedy do sklepu weszła chamowata i pretensjonalna młoda babka, która uderzyła mnie, jeszcze zanim zrobiłam jej dziury - tylko dlatego, że poczuła przy uchu chłód aparatu. Nie oddałam jej.

Udałam, że aparat się omsknął, i przekłułam jej ucho bardzo, bardzo wysoko, w sporej odległości od wyznaczonego miejsca.

A przecież był to tylko jeden z wielu drobnych wysiłków, które podejmowałam w codziennym życiu, by stać się możliwie jak najbardziej bezbarwna. Poczyliłam też takie starania w związku ze swoją rodziną. Minęły całe wieki na przykład, odkąd po raz ostatni opieprzyłam rodziców za uprawianie szermierki w holu budynku, w którym mieszkali i którego ojciec rzekomo był administratorem, albo wściekłam się na niego (jest hemofilitykiem) za to, że nie nosił stroju ochronnego, względnie nawrzeszczałam na któregoś za to, że wykrzykiwali *En garde!* i dobywali szpady za każdym razem, kiedy próbowałam pogadać z nimi jakoś sensowniej.

Ja się bardzo starałam, to nie ulegało kwestii. A jednocześnie się obwiniałam, podejrzewając, że gdzieś we mnie jest zbyt dużo dumy albo uporu, bym mogła się przerobić na rozgrzany wosk. Naszedł mnie nagły impuls, by wymierzyć karę tej mojej sferze, dać jej nauczkę, powalić ją na kolana, upokorzyć i odebrać tym samym całą dumę i upór. Musiałaby wtedy nagiąć się do mojej woli, wyblaknąć, przycichnąć.

I naraz wiedziałam już, jak to osiągnąć; wiedziałam, jak siebie zdyscyplinować i ujeździć niczym dzikiego konia. Poszłam do wypożyczalni kostiumów i wybrałam najobszerniejszy, najbardziej niewygodny i żenujący kostium, jaki tam mieli. Był to kostium dobrej wróżki.

Składał się z długiej sukni z krynoliną (jak w *Przeminęło z wiatrem*) uszytej z lawendowej satyny. To był krok we właściwym kierunku, jeden wielki krok w stronę niebycia sobą. Kiedy włożyłam suknię, okazało się, że wlecze się nieco po ziemi; zapewne została uszyta na wysoką kobietę, którą ja nie jestem. Ja jestem przeciętna.

Pracownik wypożyczalni wcisnął mi koronę, różdżkę i perukę - komplet do sukni. Zmusiłam się i przyjąłam to wszystko. Włożyłam perukę. Długie, proste syntetyczne włosy koloru blond mocno się różniły od moich, które

sięgały mi do ramion, miały odcień truskawkowego blondu i lekko się kręciły. Stałam przed lustrem, z różdżką w rękę, a facet z wypożyczalni wbijał mi w głowę szpilki, by umocować perukę. Poczułam się jak święta męczennica. Na koniec wsadził mi koronę na głowę.

Wyszłam z wypożyczalni sztywnym krokiem, gapiąc się na ludzi, którzy gapili się na mnie, z nadzieją, że pod wpływem bolesnego zażenowania nabawię się urazu, co z kolei spowoduje jakąś przemianę, przemianę na lepsze, cudowną metamorfozę, taką na przykład, że stanę się istotą utalentowaną.

Chodziłam po ulicach cały wieczór, myśląc i nie myśląc. Starłam się nie odtwarzać w głowie słów Aarona zbyt często, ale bez powodzenia. Starłam się wymyślić jakąś nową filozofię na życie albo przynajmniej nowy stan umysłu, nowy sposób patrzenia na sprawy, rozwiązanie, cokolwiek, co przydałoby mi więcej optymizmu na przyszłość w aktorstwie. Bez powodzenia. Żadnych rozwiązań, żadnych objawień. Weszłam do kościoła, by doznać natchnienia pod wpływem architektury, atmosfery. Bez powodzenia.

O trzeciej trzydzięci nad ranem, po wielu godzinach tego spacerowania, zeszłam na stację metra i usiadłam na ławce na wyludnionym peronie. Nie czekałam na metro. W głowie miałam pustkę, co nigdy wcześniej mi się nie przydarzało. W rzeczy samej nie myślałam o niczym, co byłoby choć odrobinę przerażające. Bujałam w przestworzach, kompletnie zagubiona, kompletnie pozbawiona wiary w cokolwiek, nadziei na cokolwiek.

Niewykluczone, że wreszcie osiągnęłam stan rozgrzanego wosku. Choć z jakiegoś powodu wątpiłam w to. Zapaliłam papierosa.

Na peronie pojawiło się trzech młodych biznesmenów. Przeszli obok mojej ławki, informując mnie przy okazji, że palenie w metrze jest zabronione. Puściłam to mimo uszu. Zapytali, czy jestem głucha. Puściłam to mimo uszu. Wtedy przeszli do wyrażen typu „suka” i „obciągać”. Poczułam spokój. Gapiłam się w przestrzeń, zastanawiając się, czy mieli na myśli „obciążanie” w dosłownym sensie (jak w „obciążnij mi”) czy w sensie slangowym (jak w

„obciągnąć połówkę”). Kiedy się oddalali, pochwyciłam strzępki ich refleksji: „Przebranie... domu wariatów... Halloween... przedstawienie... aktorka...”

To ostatnie słowo spotęgowało moją rozpacz. „Pomocy”, zawołałam w myślach. Omiotłam wzrokiem wsporniki, sklepienie, papierosa.

Nagle, niczym echo mojej myśli, na drugim krańcu peronu męski głos wrzasnął „Pomocy!” Spojrzałam w tamtą stronę. „Pomocy!” - wrzasnął raz jeszcze i wtedy zobaczyłam tego mężczyznę; został napadnięty przez dwóch osobników, którzy ściągnęli go na tory. Wyrywał się, bo wlekli go w głąb tunelu.

Trzej biznesmeni wychylili się ponad skrajem peronu i też patrzyli w tamtą stronę.

- Wzywamy gliny? - spytał jeden.
- Na to wygląda. Kopnij się do telefonu - odparł drugi.
- Dobra, za chwilę. Chcę zobaczyć, o co tu biega.

W torebce miałam spray z gazem pieprzowym, który dała mi matka na wypadek, gdybym kiedyś została napadnięta. Wyjęłam go, podeszłam do skraju peronu i zeskoczyłam na tory.

Jakbym reagowała na własne wołanie o pomoc. Albo, kto wie, może była to wygodna wymówka i określona droga wiodąca do samobójstwa.

Biznesmeni zademonstrowali osobliwe wzburzenie moim zachowaniem, jakby do żywego i straszliwie ich obrażono. Pytali, co ja wyprawiam, co ja, kurwa, wyprawiam, i co mi się, kurczę, wydaje, że kto ja jestem, jakiś superKopciuszek, czy co?

Nie mogę ich obwiniać za tę surowość ocen; w końcu jak ja musiałam wyglądać, kiedy tak brnęłam przez tory, z papierosem w lewej dłoni, ze sprayem w prawej, z różdżką pod pachą, w sukni wlokącej się po śmieciach, w okularach przeciwsłonecznych, wciąż w peruce i koronie.

Szłam z trudem, bo stale się potykałam o fałdy sukni, której moje zbyt zajęte ręce nie mogły podkasać. Dlatego więc rytmicznie je rozkopywałam, przy

każdym kroku, dzięki czemu nogi odzyskiwały luz.

Mój stan emocjonalny jakby mnie znieczulił. Podchodziłam do niebezpieczeństwa z dziwną obojętnością i dystansem, wręcz jakby ze znużeniem. Strach też dał znać o sobie, był jednak nieostry, przypominał rachityczne tętno umierającego. Wiedziałam, że to dalekie od prawdy, a jednak niemalże wyobrażałam sobie, że gdyby mnie zastrzelono albo zadźgano, to specjalnie nie spotęgowałoby to mojego bólu.

W tunelu było tak ciemno, że ledwie udało mi się wypatrzeć trzy niewyraźne ludzkie sylwetki, nie przyszło mi do głowy, żeby zdjąć okulary, które wciąż miałam na nosie, wcale o tym nie pamiętając. Ale kiedy wreszcie to sobie uświadomiłam, nie zdjęłam ich, bo wolałam nie widzieć twarzy moich przeciwników; obawiałam się, że jeśli zobaczę, co jest przede mną, to obojętność się ulotni i wpadnę w przerażenie.

Napastnicy znieruchomieli i gapili się, gdy szłam w ich stronę. Zaczęli mi grozić. Odpowiedziałam im czymś w stylu: „Proszę go puścić albo użyję gazu”. Wtedy zaczęli się nabijać z mojego spreju. Byli pod błędnym wrażeniem, że to zwykły gaz obezwładniający, więc ich poinformowałam, że to coś gorszego, że to gaz pieprzowy.

Rozmowa zamierała, a ja machinalnie zaciągnęłam się papierosem, nie pamiętając, że wciąż go trzymam, podobnie jak nie pamiętałam o okularach.

Nie wiedząc, co jeszcze zrobić, i czując, że jest zbyt wcześnie, by potraktować ich sprejem, nie wypróbowałam też żadnej pokojowej alternatywy, wyciągnęłam z torebki literaturę na temat gazu pieprzowego i odczytałam im najstraszniejsze fragmenty dotyczące skutków bycia potraktowanym takim sprejem.

Przedtem oczywiście zdjęłam okulary i cisnęłam je na ziemię, żeby widzieć druk na instrukcji, a kiedy odczytałam swoje i podniosłam wzrok na napastników, to nie tyle przestraszyłam się ich twarzy, ile raczej zirytowałam się seksapilem ofiary. Stał obezwładniony przez jednego z mężczyzn. Z nosa i

wargi leciała mu krew.

Wtedy między mną a tym drugim mężczyzną wywiązała się walka, w której wyniku moja peruka została mu w rękę. Wciąż jeszcze nie użyłam spreju, sama nie wiem dlaczego; po prostu wystarczało mi, że tak go sobie trzymam. Nie mogłabym w całości przypisać swojego braku koncentracji charyzmicznej ofiary, ale prawdopodobnie odegrała tu jakąś rolę. Na szczęście miałam dość przytomności umysłu, by wykorzystać papierosa, którego zgasiłam na obnażonym ramieniu napastnika.

Zanim sprawy przybrały dla nich gorszy obrót, przez chwilę byli górą. Niemniej różdżka w mojej dłoni musiała wyzwolić dawne nawyki szermiercze, bo kiedy napastnik wyciągnął nóż sprężynowy, moje ramię wykonało znajomy, często powtarzany wymach, wystarczyło szybkie trzepnięcie różdżki i nóż wręcz teatralnie wyleciał mu z ręki, po czym wylądował kilka stóp dalej.

Sytuacja uległa raptownemu wynaturzeniu, z takim skutkiem, że jakimś sposobem zostałam przewieszona przez ramię napastnika i biłam go po plecach różdżką, która z kolei rozsiewała iskry, świadcząc o wypełniającej mnie energii. Niemniej biłam bezskutecznie.

W końcu jednak udało mi się użyć spreju. Jaskrawopomarańczowa ciecz okazała się bardziej efektywna, niż się spodziewałam, i prędko zamknęła sprawę, mniej więcej tak, jak wyobrażam sobie, mógłby karabin maszynowy.

Mężczyźni padli na klęczki, krzycząc przeraźliwie i wymiotując, z nisko pochylonymi głowami. Ofiara napaści też przy okazji trochę oberwała, co było przykre, ale nieuniknione, bo jeden z napastników trzymał go blisko siebie.

Podniosłam z ziemi perukę, chwyciłam napadniętego za rękę i pomogłam mu wspiąć się na peron. Potem poprowadziłam go w górę długiej klatki schodowej, tuląc perukę do piersi, być może dla dodania sobie otuchy.

Nogi niosły mnie nerwowymi susami, przez co wlokłam za sobą mężczyznę z większą energią, niż to moim zdaniem nakazywała uprzejmość. Kto wiedział, jak szybko tamci otrząsną się ze skutków działania gazu?

Aczkolwiek sądząc po katuszach, jakie przechodził mój towarzysz, prawdopodobnie nie mieli otrząsnąć się zbyt wcześnie.

Poinformowałam kasjera metra, że zostaliśmy napadnięci, i spytałam, czy jest tam gdzieś jakaś toaleta, w której mogłabym zmyć sprej z twarzy mojego znajomego.

Powiedział, że nie.

Pospiesznie opuściliśmy metro.

Na ulicy rozejrzałam się dookoła. Wszystkie sklepy były zamknięte, ale w oddali lśniły światła całodobowego supermarketu. Mężczyzna szedł z zamkniętymi oczyma i pochyloną głową; prowadziłam go, mówiąc, kiedy wejść na krawężnik albo z niego zejść. Spytałam go, czy znał napastników. Potrząsnął głową.

Przed supermarketem stała ławka, na której pomogłam mu usiąść. Wpadłam jak bomba do środka i ruszyłam na poszukiwania stoiska z butelkowaną wodą.

Pędziłam między półkami jak jakiś wyścigowy buldożer, przy okazji zamiatając podłogę fałdami sukni. Moja misja uległa lekkiemu opóźnieniu, bo biorąc zakręt, poślizgnęłam się na sałacie. Przewróciłam się na bok, ale na całe szczęście nic sobie nie zrobiłam, bo suknia zamortyzowała upadek.

Kiedy wreszcie znalazłam wodę, nie wiedziałam, jaki gatunek wziąć: czy któryś z amerykańskich czy raczej jakiś europejski. Dzięki temu drugiemu mogłam wyrzeć korzystne wrażenie osoby wyrafinowanej. Niestety, gatunki produkowane w Europie sprzedawano tylko w małych butelkach, a kupowanie małych butelek, żeby obmyć człowieka zwijającego się z bólu, jest trochę jakby pozbawione sensu. Ale z kolei kiedy starania o własną atrakcyjność bywają sensowne? Nabrałam tyle małych butelek z wodą Evian, ile dałam radę objąć ramionami, i zapłaciłam za nie.

Kiedy wróciłam, mężczyzna wciąż siedział na ławce, z głową w dłoniach.

- Jestem już - powiedziałam i pomogłam mu położyć się na ławce. Miał

zamknięte oczy. Uklękłam obok i otworzyłam butelkę. - Poleję ci teraz twarz wodą, więc wstrzymaj oddech.

Jęknął, kiedy poczuł wodę na twarzy; prawdopodobnie wilgoć na nowo wzbudziła pieczenie wywołane gazem. Wił się z cierpienia, ja wciąż lałam wodę, aż tu nagle kątem oka dostrzegłam coś frapującego: jedyne w swoim rodzaju, giętkie, swobodne i prędkie pulsowanie, do którego, na ile się orientowałam, zdolna jest tylko jedna rzecz. Nabrałam przekonania, że w ułamku chwili przez tkaninę spodni zobaczyłam jego penisa.

Osobliwy ubiór, który dotychczas rejestrowałam jak przez mgłę, wręcz podświadomie, teraz znienacka wybił się na przód mojej świadomości: te luźne spodnie i koszulę uszyto z tkaniny, która była cienka, biała i nadzwyczaj przezroczysta. Jeszcze raz zerknęłam na jego krocze, ale tym razem nie miałam szczęścia, bo zmieniło ułożenie; mężczyzna nie przestawał się wić.

Korciło mnie, żeby go spytać, czemu nosi przezroczyste ubrania i czemu w tak chłodny dzień.

On z kolei usiadł nagle i znowu jęknął, tym razem nie tyle z bólu, ile raczej z rozdrażnienia, obawiałam się, wywołanego tym, że mnie przyłapał, jak się na niego gapię.

- Dosyć - powiedział.

Opadłam na pięty. Miał nogi rozstawione na wprost mnie, ale nie odważyłam się spojrzeć. Nie odrywałam wzroku od jego piersi, neutralnego punktu. Pełne przygany milczenie stało się nieznośne, więc powoli podniosłam wzrok ku jego twarzy. I odkryłam, że moje obawy są bezpodstawne; wciąż miał zamknięte oczy.

- Co się stało? - spytałam.

- To pH jest bardzo nieprzyjemne.

- PH?

- Tak - odparł i dodał: - To przecież Evian, prawda?

- Prawda.

- Byłbym wdzięczny, gdybyś zdobyła wodę o niższym pH, na przykład Volvie.

Staralam się przyjąć jego słowa do wiadomości, ale i tak nie wierzyłam własnym uszom.

- Jesteś tu jeszcze? - spytał, jak mógłby spytać niewidomy człowiek.

- Jestem - potwierdziłam. - Twierdzisz, że poziom pH jest nieprzyjemny? A nie uważasz, że po prostu wilgoć wzmogła pieczenie wywołane gazem?

- Tak, ale do tego przyczyniła się także zasadowość tej wody. Nie jestem w stanie wytrzymać tej różnicy.

- Jakiej różnicy?

- Od siedmiu, czyli neutralnego pH. Proszę, przynieś mi Volvica.

- Okay - zgodziłam się i poszłam zdobyć Volvica.

Kiedy wróciłam, znowu leżał na ławce. Uklęklam obok, otworzyłam butelkę i zaczęłam polewać mu twarz.

- O tak, tak lepiej - stwierdził z westchnieniem. - Dziękuję.

Otwarłam drugą butelkę i znowu oblałam mu twarz wodą. Przy okazji zmoczyłam kołnierzyk jego koszuli.

- Otwórz oczy, przepłucz je - zaleciłam.

- Nie mogę - odparł, więc kolejno otworzyłam mu każde oko palcami i wlałam do nich trzecią butelkę.

Moje palce na jego powiekach odrobinę się zdenerwowały, bo znów zauważyłam, jaki jest przystojny. Pociągła twarz i wyraziste rysy, ale bez ostrych konturów. Włosy blond, do ramion i lekko falujące. Na oko miał około trzydziestki.

Przy czwartej butelce mój wzrok znowu zaczął się błąkać po ciele mężczyzny i sprawa pH całkiem wyleciała mi z głowy, bo, szczerze mówiąc, sprawa jego człowieczeństwa interesowała mnie bardziej niż jego nadczłowieczeństwo. Dlatego właśnie znowu próbowałam przyuważyć jego penisa. Bo a nuż mi się wtedy tylko coś przywidziało.

Nachyliłam się nieznacznie nad jego kroczem, chcąc przyjrzeć się z bliska. Nie przywidziało mi się. Penis naprawdę tam był.

Mężczyzna zniecka schwycił mnie za nadgarstek.

Z miejsca wyobraziłam sobie najgorsze: przyłapał mnie, jak się tak gapię. Ale nie, po prostu nakierowywał moją rękę, przemieszczając ją nad swoją twarzą, bo zaczęłam lać wodę na chodnik.

- Jakaś taka rozkojarzona jesteś - zauważył, nie puszczając mojego nadgarstka. - Na co się tak patrzyłaś?

Powiadają, że kłamiąc, najlepiej trzymać się jak najbliżej prawdy:

- Przez sekundę wydawało mi się, że widzę policjanta, ale nie byłam pewna, czy to nie jakieś halucynacje.

- Żadne halucynacje. Nie zwracaj na niego uwagi, on się tu do niczego nie przyda.

Doskonale wiedział - zrozumiałam to nagle ze wstydem - że patrzyłam się na jego penisa i że to penis właśnie jest tematem naszej rozmowy. Skoro tak, zastanowiłam się, to co chciał przez to powiedzieć, że jego penis do niczego się tu nie przyda.

- Więc co on tu robi? - zaryzykowałam.

- Z czasem się okaże.

Nie zrozumiałam, czy to się odnosi do przedmiotu pytania czy raczej do jego podmiotu. Stwierdziłam, że pewnie do tego pierwszego, choć być może także drugiego.

Zabrałam się do obmywania jego dłoni, pytając przy tym:

- Masz jakiś pomysł, dlaczego cię napadli?

Potrząsnął głową.

- Myślisz, że powinniśmy zgłosić to na policję?

Znowu potrząsnął głową.

- Chcesz iść na pogotowie?

- Raczej nie - odparł. - Wołałbym jechać do domu.

Byłbym nieskończenie wdzięczny, gdybyś po prostu wezwała mi taksówkę. I może jeszcze będziesz taka miła i podasz mi swój numer telefonu, chciałbym ci należycie podziękować.

Wyjęłam kartkę, na której napisałam „Anna Graham” oraz numer telefonu. Zerknął na kartkę spod zmrużonych powiek, nadal nie mógł otworzyć oczu do końca.

- Bardzo dziękuję - powiedział, wpychając ją do kieszeni. - Nazywam się Damon Wedy. Nie podam ci ręki, bo być może wciąż jestem skażony twoim sprejem. Jak daleko stąd mieszkasz?

Wyjaśniłam, gdzie mieszkam, a ponieważ okazało się, że to w innym niż jego kierunku, stwierdziliśmy, że weźmiemy oddzielne taksówki. Damon, zanim wsiadł do swojej, wręczył mojemu kierowcy banknot dwudziestodolarowy. Powiedziałam, że to nie było konieczne.

- Tyle przynajmniej mogę zrobić - oświadczył. - Poznanie ciebie okazało się dla mnie ratunkiem, a także przyjemnością, co wiele znaczy, biorąc pod uwagę okoliczności. Jeszcze raz pragnę ci podziękować.

Dopiero kiedy siedziałam już w taksówce wiozącej mnie do domu, przyszło mi do głowy, że mogliśmy poprosić w supermarkecie o możliwość skorzystania z toalety. Zaraz jednak przypomniał mi się problem z pH: woda z kranu mogła mieć pH, które mu nie odpowiada. Co za absurd, pomyślałam. Nie wiedziałam, jak to rozumieć.

Po powrocie do domu przez godzinę siedziałam na kanapie, zastanawiając się, co mnie też napadło, że narażałam własne życie, aby ratować tego człowieka. Czyżbym była odważna i o tym nie wiedziała? A może szlachetna, w głębi ducha? Nie bardzo umiałam znaleźć odpowiedź, ale te hipotezy wprawiły mnie w dobry nastrój.

A może podjęłam ryzyko w poszukiwaniu lekarstwa na frustrację, że tyle zrobiłam, by odnieść w czymś sukces, i nic mi z tego nie wyszło. I że tak bardzo się starałam lepiej grać... Przecież nie tylko podejmowałam wysiłki, których

celem była autokasacja, przerabiałam także wszelkie możliwe ćwiczenia aktorskie. Do których, rzecz jasna, zaliczało się to standardowe ćwiczenie polegające na odgrywaniu różnych scenek przed grupą.

A do tego jeszcze uboczna, osobliwa działalność, podejmowana wyłącznie w ramach mojej drugiej pracy, czyli w punkcie ksero o nazwie „Tu zawsze skopiujesz”. Miałam kopiować dokumenty, a tymczasem kopiowałam także ludzi. Klienci przychodzili, a ja natychmiast kopiowałam ich manieryzmy, zachowanie, ton głosu. Nie znali mojego prawdziwego ja, więc nie mieli pojęcia, że ich naśladuję. Choć któregoś dnia jeden chyba rzeczywiście coś zauważył, bo przy płaceniu należności powiedział: „Macie tu całkiem przystępne ceny. I nawet mi nie policzyłaś za ksero ze mnie”.

Myślę, że to dźwięk kopiarek wyzwał we mnie potrzebę i zdolność do stawania się kopiarką. Wręcz przypominało to podśpiewywanie razem z piosenką płynącą z radia: dopóki było słyhać głos prawdziwego śpiewaka, który podtrzymywał, prowadził i lekko zagłuszał mój głos, czułam się nawet kompetentna, ale gdy usiłowałam zaśpiewać daną piosenkę samodzielnie, wynik okazywał się znacznie mniej zadowalający.

Wiedziałam, że bardzo się staram ulepszyć swoje aktorstwo. A jednak może trzeba było starać się bardziej.

Tylko na czym polega staranie się bardziej? Co jeszcze mogłam zrobić? Innymi słowy, czy powinnam po prostu porzucić aktorstwo?

Nie. Tego bym nigdy nie zrobiła. Już lepiej spędzić resztę życia na jałowych próbach, niż odnieść sukces w czymkolwiek innym.

DRUGI

Następny dzień spędziłam na ćwiczeniach aktorskich. Wciąż czułam się przybita po spotkaniu z Aaronem, jednak w samym środku tego zasmucenia rozbłyskiwały też drobniutkie iskierki radości, za każdym razem, gdy mi się przypadkiem pomyślało o incydencie w metrze i przede wszystkim o Damonie. Niestety, te myśli przeszkadzały mi w aktorstwie i dekoncentrowały. Dlatego

więc starałam się przeganiać je z głowy, ale bez skutku, były zbyt przyjemne.

Zżerała mnie ciekawość, czy Damon zadzwoni, żeby mi podziękować, a jeśli tak, to jak mi podziękuje. Żebym chociaż wiedziała o nim coś więcej. Z tej ciekawości zajrzałam nawet do książki telefonicznej, żeby sprawdzić, czy jest w niej ujęty. Był. Chciałam go znowu zobaczyć. Praktycznie nie byłam w stanie myśleć o niczym innym. Nieledwie żałowałam, że uratowałam tego człowieka, bo tak mi teraz brakowało woli mocy.

W końcu postanowiłam skończyć z tymi myślami poprzez obiecanie sobie, że jeśli zadzwoni i będzie chciał się spotkać, to mu odmówię. Ta decyzja wprawiła mnie w ponury nastrój, ale przynajmniej poczułam, że mam wysokie morale i że jestem prawdziwie oddana swojemu rzemiosłu.

Z moją koncentracją zrobiło się lepiej i mogłam pracować wydajniej nad swoim aktorstwem. Chociaż przez kilka dni. Cały sęk jednak tkwił w tym, że moje morale było niezasłużone, a oddanie rzemiosłu bardzo prędko zaczęło pachnieć oszustwem. Myśli na powrót rozpierzchły się po manowcach, bo w końcu Damon jeszcze nie zadzwonił, a ja go jeszcze nie odrzuciłam, co oznaczało, że potencjał szczęścia wciąż tu był, krążył w powietrzu.

Zacząłam powątpiewać, czy starczy mi sił, by trzymać się swojej decyzji, jeśli on zadzwoni. A tak właściwie to czemu jeszcze nie zadzwonił?

Pewnego ranka sytuacja nieodwołalnie osiągnęła martwy punkt: znajdowałam się na dachu mojego domu, z podręcznikiem, i dotarło do mnie, że przeczytałam jedną linijkę pięć razy, nie łapiąc jej znaczenia. Stałam tam, całkiem bezsilna, bez pomysłu, co robić. Nagle niebo bardzo pociemniało i zaczął lać deszcz.

I w tym momencie wpadło mi do głowy rozwiązanie.

Doszłam do smętnego wniosku, że aby mieć jakąkolwiek szansę na odzyskanie zdolności koncentracji, muszę całkowicie ugasić te iskierki radości. Muszę przyspieszyć proces odrzucania. Ponieważ Damon jeszcze do mnie nie zadzwonił, więc to ja muszę zadzwonić do niego. Postanowiłam, że zrobię to

pod pretekstem grzecznościowego telefonu, że niby chcę sprawdzić, jak on się czuje, co zresztą naturalnie bardzo mnie interesowało. Jeśli po chwili konwencjonalnej rozmowy on oświadczy, że chciałby znowu się ze mną spotkać, odmówię, twierdząc, że to niemożliwe, że nie mam czasu, że jestem zavalona pracą, i wtedy cała sprawa zostanie załatwiona, raz a dobrze.

Ponury ów scenariusz dziwnie mnie ożywił. Znow nad wszystkim panowałam. Nagle błyskawica przecięła niebo, które stało się niemal tak czarne, jakby już była noc. Strugi deszczu zalewały mój podręcznik, więc prędko schroniłam się do domu i zbiegłam na dół.

W moim mieszkaniu było ciemno, kiedy tam weszłam, rozświeślały je tylko sporadycznie błyskawice. Nie zapaliłam świateł. Rozebrałam się do koszulki i majtek, rozrzucając mokre ubranie gdzie popadnie. A potem usiadłam na podłodze z telefonem między nogami. Czulałam, że zaraz popełnię bardzo znaczący, bardzo symboliczny czyn, przypominający wręcz akt czarnej magii, który zmieni moje życie o sto osiemdziesiąt stopni. Ostatecznie zaraz miałam złożyć coś w ofierze. A ten instrument, aparat telefoniczny spoczywający między moimi nogami, był kluczem. Broń, za pomocą której miałam złożyć w ofierze nie życie, lecz miłość.

Burza szalejąca na dworze bez wątplenia dodawała ważności i tajemniczości całej sytuacji. Podobała mi się ta aura, więc zapragnęłam jeszcze jakoś ją pogłębić, sprawić, by rytuał stał się jeszcze bardziej formalny i uroczysty, dlatego wstałam i zapaliłam kilka świec.

Usiadłam z powrotem, błyskawica rozświeciła telefon i moje nogi. Oto godzina chwały, powiedziałam sobie.

Nie bądź smutna. Raduj się!

Wykręciłam numer, który znalazłam w książce telefonicznej, z nadzieją, że to numer Damona.

- Halo? - usłyszałam po drugim sygnale.

- Cześć - powiedziałam. - To ty, Damon?

- Tak.

- Mówi Anna. - Urwałam na chwilę i dodałam: - Poznaliśmy się nocą w metrze.

Wydało mi się, że słyszę ciche zaczerpnięcie oddechu.

A potem nic.

- Halo?

- Tak - odparł bardzo cicho, bardzo poważnie, z jeszcze większym zrezygnowaniem niż wtedy i dodatkowo z nutą smutku.

- Przepraszam, pewnie nie pamiętasz...

- Anna Graham, moja wybawicielka. Jak możesz tak myśleć? Oczywiście, że cię pamiętam.

- Ach tak? No więc, hm, dzwonię, żeby się dowiedzieć, czy już doszedłeś do siebie po napaści i zagazowaniu.

- Owszem, doszedłem. Dziękuję ci. Miałem zamiar do ciebie zadzwonić, bo chciałem spytać, czy zechciałabyś któregoś dnia zjeść ze mną kolację.

- Ależ to naprawdę nie jest konieczne.

- A może, przynajmniej na chwilę, zignorujemy fakt, iż powyższe oświadczenie nie tylko nie ma związku ze sprawą, to jeszcze jest nietrafne. Kolacja w twoim towarzystwie znaczyłaby dla mnie bardzo wiele. Byłbym... urzeczony. Jeśli ty nie jesteś zbyt zajęta, ma się rozumieć.

- Szczerze mówiąc, jestem bardzo zajęta.

Pomilczał chwilę.

- W ogóle nie masz czasu?

- Naprawdę prawie w ogóle nie mam wolnego czasu.

Milczał jeszcze dłużej.

- Więc cię nie namówię?

- Przykro mi, po prostu mam nawet zajęć.

- Och. Co za szkoda. Próbowałbym cię namówić do zmiany zdania, ale nie chciałbym wyjść na natręta. Więc może mi się uda następnym razem.

- Jakim następnym razem?

- Kiedy tylko zechcesz. Na przykład za miesiąc albo po prostu wtedy, kiedy będziesz mniej zajęta.

- Hm... No nie wiem, nie wiem, bo niestety za miesiąc będę jeszcze bardziej zajęta.

- Och. No to za sześć miesięcy czy kiedyś tam. Żaden problem.

- Okay. Tyle że za sześć miesięcy będę jeszcze bardziej zajęta.

- Ach tak. Rozumiem. Cóż, nieważne kiedy, nie przejmuj się tym. Jeśli więc nabierzesz ochoty, zadzwoń do mnie, kiedy ci będzie wygodnie.

- Okay. Tylko że jeśli licząc już od teraz, będę z czasem coraz bardziej zajęta, to logicznie rzecz biorąc, najlepszy byłby dzisiejszy wieczór. Nie wiem jednak, czy to ci odpowiada.

Zapanowało długie milczenie.

- Tak, odpowiada - powiedział wreszcie.

Uzgodniliśmy porę i miejsce.

Rozłączyliśmy się i jakiś czas siedziałam w bezruchu, gapiąc się na telefon. Potem wstałam, wyszłam z mieszkania i znowu wspięłam się na dach, nie zwracając sobie głowy, że ktoś mógłby przyuważyć mnie w samej koszulce i majtkach.

Wyszłam na deszcz i usiadłam na dachu po turecku, w bezruchu. Moje włosy i koszulka prędko nasiąkły wodą. Było mi zimno, ale nie powstrzymywałam się od dygotania. Przymusiłam mięśnie, żeby się rozluźniły i pozwoliły, by chłód wnikał we mnie, w nadziei, że nie tylko moje ciało odrętwieje, ale także gniew.

Może tak się powiesić z balkonu na włosach. Albo wysypać na siebie zawartość kubła ze śmieciami. Albo stanąć naprzeciw rozpędzonych pojazdów. Nie. Tu nie chodziło o umieranie. Tu chodziło o karę.

Słono zapłacę za ten numer, który sobie wycięłam.

Srodze się myliłam, jeśli uwierzyłam, że ujdzie mi na sucho. Jeszcze nie

wiedziałam, jak surowa będzie ta kara, ale nie miałam wątpliwości, że coś wymyślę. I że to nie będzie tylko wysiadywanie na deszczu.

O dziwo, gniew wlał we mnie siłę i poczułam się niedotykalna, niewidzialna, nawet w obliczu żywiołów.

Gromy i błyskawice upodobniły się do lekkiego wietrzyku. Czułam, że nad wszystkim panuję. Wystarczy, że wymyślę należytą karę, i wszystko będzie dobrze. Natychmiast zagnałam mózg do pracy.

Mogłam pościć przez trzy dni. Mogłam pozbawiać się snu przez cztery dni. Mogłam na tydzień przestać gadać.

Mogłam się biczować, bić po twarzy. Mogłam nie mrugać.

Nic rewelacyjnego, dopiero się rozgrzewałam.

Mogłam biegać nago po swojej dzielnicy. Mogłam zostać prostytutką na jedną noc. Mogłam przez kilka nocy sypiać na ulicy albo spędzić popołudnie na zebraniu w metrze. Mogłam kraść w sklepach i dać się aresztować.

Żaden z tych pomysłów mnie nie zadowolił. Nie do końca spełniały cel i w porównaniu z tamtą zbrodnią wydawały się jakby trochę trywialne.

Tortury. Mogłam robić coś z robalami. Mogłam złapać karalucha i go zjeść. Mogłam zacząć hodować karaluchy w swoim mieszkaniu, a potem puścić je wolno.

Jeść glisty. Robić coś potwornego ze swoimi ekskrementami. Zakraść się do klatki z lwami.

Te pomysły też nie były lepsze. Trudności z wymyśleniem adekwatnego wymiaru kary sprawiły, że zbrodnia wydawała się tym bardziej poważna. Zalewały mnie strugi deszczu, przygniatając do powierzchni dachu. W samym środku błyskawicy poczułam się krucha jak szkło.

Mogłam się pociąć.

Słuc się na kwaśne jabłko, złamać sobie pałec. Przebić pięścią szybę.

Lewatywa.

Mogłam gapić się na słońce.

Krople deszczu ciekły mi do oczu, z których dla odmiany wyciekały łzy. Miałam blok. Nie potrafiłam już wymyślić żadnych innych kar.

Za to nie wyczerpały mi się zapasy samokrytyki i wyrzutów, więc obrzucałam się nimi do woli: Jak mogłam być taka żałośnie słaba? I zakłamana? Jak mogłam zdradzić samą siebie w taki sposób? Gdzieś w środku kołatało mi się podejrzenie, że zadzwoniłam do niego właśnie po to, żeby wymusić zaproszenie na randkę, i cały czas o tym wiedziałam. No jakże, cały czas wiedziałam, że to zaproszenie przyjmę. I że gdyby on mnie nie zaprosił, to sama bym go zaprosiła. Zresztą co tu dużo gadać - w zasadzie tak właśnie się stało. I to wszystko wyłącznie dla czyjejś ładnej buzi, której właściciela nawet nie znałam. Jestem aż taka płytką? Taka powierzchowna? Skoro tak, to czemu nie podejść na ulicy do pierwszego lepszego faceta i nie oświadczyć, że chcę się z nim przespać, właśnie tu i teraz? Nie byłoby to wcale gorsze od tego, co zrobiłam. Oszczędziłoby mi czasu, byłoby łatwiejsze, wypadłoby prawdziwiej na tle mojego wrodzonego lenistwa i braku zdyscyplinowania. Przymusiłam umysł do stworzenia wizji, jak zaczepiam kogoś w ten sposób.

Spięłam się i wytrzymałam koszmar takiej wizji, reakcji takiego mężczyzny, szoku, wstydu.

Nadal z obrzydzeniem kontemplowałam ohydę tej scenki i nagle z przerażeniem pojęłam, że to jest właśnie to: moja Kara. Majaczyła groźnie w moim mózgu, monstrualna i oczywista. Wreszcie ją znalazłam.

Natychmiast usiłowałam ją odrzucić. W życiu nie zdobyłabym się na taki akt. To było coś nie do pomyślenia, zbyt trudne, zbyt okropne, zbyt złowieszcze.

I naturalnie właśnie dlatego musiałam to zrobić. Dlatego postanowiłam to zrobić. Wiedziałam już, że to nieuniknione, że to jedyne rozwiązanie. A kiedy pierwotna trwoga minęła, wstrząsnęła mną doskonałość tego rozwiązania i poczułam ulgę na myśl o jego okropieństwie.

Zrobię to zaraz.

Wstałam. Niebo pojaśniało i deszcz słabł, jakby przekazywał wodze

dyscypliny w moje ręce.

Zeszłam do swojego mieszkania, ubrałam się i wyszłam na ulicę.

Przed wykonaniem wyroku należało zdefiniować kilka czynników, ustanowić garść zasad. Były konieczne, żebym nie próbowała wykręcić się sianem. Tak więc wędrowałam po ulicy, układając w głowie reguły, na których miała się wspierać moja kara.

Na przykład taka: Jak konkretnie będę zaczepiała wybranego mężczyznę?

A więc przede wszystkim podejść do takiego i powiem mniej więcej coś takiego: „Przepraszam. Pożądam cię straszliwie. Tu i teraz albo tak szybko, jak to tylko możliwe. Nie mogę czekać”. A potem wykonam jakąś nie znoszącą sprzeciwu zaczepkę fizyczną, na przykład położę rękę na jego pośladku i ścisnę. Będę przedłużała ten akt, nie zapominając uzupełniać go o wariacje, jak na przykład przytulanie się i wzdychanie.

Następny bardzo istotny punkt dotyczył tego, jak długo to wszystko będzie musiało trwać, zanim pozwolę sobie to przerwać. Zastanawiałam się przez jakiś czas i w końcu wyszło mi, że dopóty, dopóki on nie rzuci się do ucieczki. Tak. Nie będzie mi wolno przestać go nagabywać i dobierać się do niego, zarówno werbalnie, jak fizycznie, dopóki nie ucieknie. Mało tego, zacznę go nawet rozbierać, jeśli to będzie konieczne, by zmusić go do ucieczki.

Zobaczymy, jaka ze mnie aktorka, jaką idiotkę jestem gotowa z siebie zrobić. Wielcy aktorzy muszą być gotowi iść na całość.

Tylko co jeśli - koszmar koszmarów - jeśli taki odwzajemni się albo wręcz przyjmie moją propozycję?

Wtedy to ja będę musiała uciekać. A zresztą zasłużyłam sobie na wszelkie kłopoty, w jakie się przez to wpakuję.

Teraz pozostało już tylko wybrać kandydata. Na ulicach było mokro i niezbyt tłoczno. Gapiłam się na każdego mężczyznę, który pojawił się na mojej drodze.

Chciałam najpierw odhaczyć kilku, zanim dokonam wyboru. Nie było

sensu niczego przyspieszać. Uszłam trzy z czterech przecznic, co jakiś czas wstępując do sklepów, by sprawdzić, czy wśród kręcących się w środku znajdę kogoś odpowiedniego.

W końcu weszłam do sklepu z instrumentami muzycznymi, gdzie wypatrzyłam mężczyznę całkiem pociągającego z wyglądu, wręcz za bardzo, bo przecież zasłużyłam sobie na tę karę. Ale z kolei nie określiłam w zasadach, że taki powinien mnie odstręczać. A poza tym atrakcyjna ofiara bynajmniej nie ułatwiała zadania.

Przeciwnie, w jakiś sposób stwarzała własne wyzwania i bariery.

Zawczasu podjęłam decyzję, że w trakcie odbywania kary nie będę zaprzętała sobie głowy niebyciem sobą.

Rola, którą właśnie zamierzałam odegrać, tak dalece różniła się od wszystkiego, co normalnie robiłam, że nawet się nie starając, musiałam automatycznie zagrać kogoś niepodobnego do mnie.

Ukryłam się za harfą i gapiłam na swoją ofiarę między strunami. Mężczyzna oglądał pianino. Przyglądałam mu się, od niechcienia wygrywając jakieś akordy, żeby wyglądać na zajętą czymś.

- Czy mogę jakoś pomóc? - spytał sprzedawca, który zaszedł mnie od tyłu.

- Nie, dziękuję. Tylko oglądam - odparłam, zostawiając harfę w spokoju, i poszłam do syntezatorów, po drodze zahaczając o wiolonczelę (mój ulubiony instrument).

Nacisnęłam jeden z klawiszy i usłyszałam odgłos grzmotu. Nadusiłam kilka guzików, generując świsnięcie batem.

Moja ofiara wciąż sterczała przy pianinie. Wolałam nie zaczepiać tego człowieka w sklepie, nie chciałam robić sceny. Dlatego więc musiałam udawać, że jestem czymś zajęta, dopóki on nie wyjdzie ze sklepu.

Nadal bawiąc się guzikami, przypadkiem nacisnęłam klawisz, którym uruchomiłam serię donośnych pocałunków. Nie chciały ucichnąć, więc

zaczęłam na chybił trafił naciskać inne guziki, żeby je wyłączyć. Odsunęłam się nawet od instrumentu, ale to też nic nie dało. Moja ofiara zerknęła na mnie z wyrazem rozbawienia, więc prędko podeszłam do innego syntezatora i starałam się wyglądać na zafascynowaną nim właśnie.

Tymczasem pocałunki wciąż nie cichły, żenująco głośne i uporczywe. Nacisnęłam klawisz nowego syntezatora w nadziei, że zagłuszę je jakimś bardziej neutralnym, mniej sugestywnym odgłosem.

Niestety, klawisz, który teraz wybrałam, uaktywnił odgłos dyszenia. Dyszenia realistycznego, szybkiego, szczerego i ludzkiego. I ku mojemu przerażeniu ono też nie chciało ucichnąć. Wnętrze sklepu wypełniło się teraz kombinacją dyszenia z całowaniem i żaden ze sprzedawców nie przyszedł, by uciszyć ten zgiełk, bo wszyscy byli zajęci.

Spojrzałam na moją ofiarę. Mężczyzna uśmiechnął się, a potem zawołał:

- Masz do nich podejście!

Przytaknęłam, zachichotałam uprzejmie i wycofałam się chyłkiem ze sklepu. Nie mogłam go zaczepić. Już zdążył mnie poznać.

Pokonałam kilka przecznic, oddychając głęboko, a potem weszłam do sklepu z artykułami sportowymi.

Wkrótce wypatrzyłam kolejną potencjalną ofiarę. Dyskretnie zaczęłam za nim chodzić. Zatrzymał się w dziale sportów wodnych i zabrał się do oglądania dmuchanego materaca. Stałam nieco dalej, udając, że interesują mnie maski do nurkowania. Dźgnął materac palcem, a potem go nadusił, badając sprężystość. Założyłam maskę na twarz, udając, że sprawdzam siłę, z jaką przysysa się do twarzy, jednocześnie przyglądając się, jak tamten próbnie przysiada na materacu. W chwili, gdy przysiadł całym ciężarem, materac zwiotczał, wydając piszczący odgłos, bo wyskoczył z niego korek. Mężczyzna wstał i rozejrzał się dookoła, sprawdzając, czy ktoś patrzy.

W pobliżu byłam tylko ja, jego wzrok utknął więc na mnie - dlatego zaczęłam robić gwałtowne ruchy głową, udając absolutnie zaabsorbowaną siłą

przysysania mojej maski. Mężczyzna uspokoił się i oddalił, przekonany, że jego godność pozostała nietknięta. Poszłam za nim.

Doszedł do jednego z krańców sklepu, gdzie zniknął za regałem. Nie mogłam wejść za nim, bo przestrzeń była ograniczona i zauważyłby mnie. Postał tam chwilę, podczas gdy ja zastanawiałam się, co on robi. Dzięki jakiemuś niespodziewanemu szczęściu po drugiej stronie regału stała minitrampolina, na którą wdrapałam się po chwili wahania. Podskoczyłam, najpierw tytułem próby, starając się wyglądać jak najniewinniej. Nie udało mi się dojrzeć, co jest za regałem, więc podskoczyłam wyżej i przelotnie zobaczyłam, że mężczyzna ogląda skakankę. Rozwinął ją i zaczął na niej skakać w tym zakamarku, dureń. Nasze spojrzenia spotkały się, w powietrzu, nad regałem. A potem po jego stronie rozległ się donośny huk. Pewnie postrzącał jakieś rzeczy z półki.

Stwierdziłam, że ten się nie nadaje. Był fajtłapowaty i pozbawiony wdzięku, w stopniu, który czynił zeń osobę dokuczliwie nieprzewidywalną.

Wypatrzyłam kolejną potencjalną ofiarę w sklepie z lustrami. Oboje przechadzaliśmy się pośród lusterek, dopóki mężczyzna nie zatrzymał się przy takim pełnowymiarowym z trzema skrzydłami. Wymarzona okazja, żeby uzyskać bardziej kompletny obraz ofiary. Zniszczył mi go jednak pewien subtelny ruch, lekkie trzepnięcie dłonią po spodniach, wykonane w sposób, który mi się nie spodobał. Nie było w tym geście niczego straszliwie wulgarne, a jednak wystarczyło, by stwierdzić, że on się nie nadaje.

Wcale nie uważam, że wybrzydzałam albo usiłowałam jakoś się wyłgać ze swojego zobowiązania. Ostatnie dwa okazy po prostu się nie kwalifikowały wedle żadnych standardów. Chcę powiedzieć, że gdybym zaczęła tego od skakanki, prawdopodobnie powiedziałaby coś typu: „Jestem w *Ukrytej kameronie?*” A facet od lustra na moje oświadczenie „Pożadam cię”, odparowałby zapewne: „Dlaczego? Pociąga cię mój wygląd czy osobowość?”

Musiałam znaleźć kogoś lepszego. Weszłam do kwaciarni, gdzie

wypatrzyłam mężczyznę, który zrobił na mnie dobre wrażenie. Skryłam się za postumentem, na którym stał dzbanek ze stokrotkami, i przyglądałam mu się zza łądyg i płatków. Ten facet był zupełnie inny niż tamci dwaj. Wydawał się normalny i zrównoważony, bezpretensjonalny i bezpośredni, wrażliwy, przytomny, pewien siebie, może nawet inteligentny. Nie ukrył się w kącie sklepu i nie przewracał wazonów. Poruszał się w sposób skuteczny, skoordynowany, ekonomiczny.

Żadnych głupich ruchów. Nie dotykał z uznaniem własnego ciała. Choć miał całkiem przyjemne ciało. Był wysoki, dobrze zbudowany, przyzwoita twarz. Należało domniemywać, że zaczepiony raczej nie skomplikuje sytuacji w jakiś chamski czy mazgajowaty sposób. PodR sumowując, zdawał się zaliczać do tych prawdziwych facetów, którzy nie lubią, jak im wciskać kit. To było krzepiące. Przyglądałam mu się przez chwilę, a on nie zrobił nic, co by mnie rozczarowało.

Wyszedł z kwiaciarni, nie kupiwszy niczego, i dobrze, bo nie miałabym ochoty podrywać mężczyzny z bukietem. Poszłam za nim ulicą, nagle nerwowa, bo zrozumiałam, że nadszedł czas. Raczej nie mogłam znaleźć lepszego kandydata do odbycia swojej kary, bardziej stosownego obiektu ataku niż ten mężczyzna.

Zaczęłam go ścigać lekkim truchtem. Piekł mnie język i biło mi serce. Dzielił nas dystans czterech stóp, wyciągałam rękę w jego stronę. Musiałam zrobić to teraz.

Chrząknęłam i już miałam dotknąć jego ramienia, kiedy skręcił w bok i wszedł do delikatesów. Weszłam tam za nim, popędziłam na tył sklepu i stanęłam za słoikami z musztardą. Postanowiłam, że go zaczepię, gdy tylko stamtąd wyjdzie. Usta i język piekły mnie bardziej niż kiedykolwiek, zawsze tak mi się robi, kiedy się zdenerwuję, zwłaszcza gdy jestem na scenie.

Mężczyzna zapłacił za sprawunki i wyszedł. Pobiegłam za nim. Tym razem się nie wymigiwałam. Stanowczym ruchem położyłam dłoń na jego

ramieniu i powiedziałam: - Przepraszam.

Odwrócił się i spojrzał na mnie uprzejmie, z uwagą, i odparł:

- Tak?

Nagle zapragnęłam stchórzyc, spytać go tylko, która godzina. Nie, nie wolno.

Potem zastanowiłam się, czy mogę iść na układ z samą sobą, moderując karę poprzez zadanie mu pytania, czy zechce się napić ze mną kawy któregoś dnia. Mogłabym wtedy połączyć tę autokarę z jakąś inną, jak na przykład obsypanie się śmieciami.

Nie. Musiałam to zrobić: z szacunku dla swojego aktorstwa. I to nie mogła być jakaś tam byle próba wykonana bez serca; to musiało być przekonujące. Dlatego więc zanurkowałam na głęboką wodę. Zanurkowałam do jego oczu i powiedziałam:

- Pożądam cię. Natychmiast albo w najbliższym czasie. Nie potrafię czekać.

Popatrzył na mnie, niemalże z litością, chyba, choć mogła to być tylko moja wyobraźnia.

Położyłam dłoń na jego siedzeniu, ścisnęłam je i powtarzałam: „Pożądam cię”, do chwili, gdy on uderzył mnie w twarz wierzchem dłoni.

Poczułam się pacnięta. Jak komar. Albo, mówiąc uczciwie, może jak coś jeszcze gorszego: osa albo latający karaluch. Ale definitywnie pacnięta. Nie było to szczególnie silne uderzenie. Nie sądzę, by miało pozbawić mnie przytomności, niemniej na palcu nosił sygnet o dość ostrych krawędziach, który rozciął mi górną wargę. Odkryłam krew, kiedy dotknęłam ust. Podniosłam na niego wzrok, oszołomiona, ale on już się oddalał.

Warga mnie bolała, a krew spływała mi prosto do ust i po podbródku. Przycisnęłam palce do rany, żeby ją zatamować, ale po prostu zaczęła mi ciec również po nadgarstku. Nie mogłam dopuścić, żeby mieć bliznę na twarzy. Moja nie istniejąca kariera aktorska byłaby zrujnowana. To była duperela, ale

musiałam być skrupulatna, musiałam zminimalizować zniszczenia.

Może należało iść od razu do domu i sprawdzić, jak bardzo jestem uszkodzona. Zawahałam się. Dom był dość daleko, a szpital znajdował się w przeciwnym kierunku. Przyglądałam się twarzom mijających mnie ludzi, starając się wyczytać z ich wyrazów, jak poważna jest moja rana. Czy była naprawdę tak poważna, jak sądziłam na podstawie krwi na moich dłoniach?

Zwalniali krok, ale trzymali się ode mnie z daleka. Ich miny odzwierciedlały szok, zaciekawienie oraz, ku mojemu zdziwieniu, strach. Dlaczego strach? Czyżby im się wydawało, że jestem niebezpieczna, że ich zaatakuję, że kogoś zamordowałam? Tak czy owak nie ulegało kwestii, że się mnie obawiali, co stanowiło zagadkę, dopóki wreszcie się nie połapałam i nie poczułam jak idiotka: to był strach przed współczesną krwią.

W końcu po prostu podeszłam do jednego z zaparkowanych samochodów i wygiąwszy szyję, obejrzałam twarz w bocznym lusterku. Przeraziłam się.

Próbowałam złapać taksówkę, ale żadna nie chciała się zatrzymać, dopóki nie obwiązałam twarzy szalikiem, by ukryć krew. W taksówce byłam zdolna myśleć tylko o tym, że będę miała ogromną, szpecącą bliznę, która zniszczy moje szanse w aktorstwie. Blizna nigdy nie ma tego samego kalibru, powabu i stylu co pieprzyk, nawet jeśli jest usytuowana mniej więcej w tym samym miejscu. Jak się nad tym zastanowić, nawet tatuaż na twarzy nie wydaje się równie tragiczny jak blizna.

Zgłosiłam się na izbę przyjęć, gdzie zostałam zbadana przez lekarza, który stwierdził, że nie potrzebuję szwów, że w rzeczy samej zasadniczo nie zakłada się szwów na tej części twarzy. Zapewnił, że raczej nie będę miała blizny, ale żeby dodatkowo się zabezpieczyć, powinnam przez kilka dni starać się nie uśmiechać ani nie śmiać.

Mogę jednak rozmawiać i jeść, dodał.

Potem zabrał się do wyjaśniania szczegółów.

- Rany cięte na wargach to delikatne przypadki. Nie należy do końca

wykluczać możliwości powstania blizn, ponieważ usta do obszar, który normalnie często się porusza i napręża, co może powodować opóźnienia w gojeniu. A jak wiadomo, opóźnienia w gojeniu mogą się wiązać z powstawaniem niewidocznej tkanki bliznowej, zwłaszcza gdy rana wychodzi poza górną granicę wargi, tak jak to jest w twoim przypadku, w nieznacznym stopniu. Dlatego więc zalecam ci unikania wszelkich kontaktów towarzyskich przez najbliższe dwa dni.

W razie gdyby to nie było możliwe, powinnaś ograniczyć swoje kontakty do ludzi, którzy raczej nie sprowokują cię do uśmiechu ani do śmiechu. Zdaję sobie sprawę, że może to być niewykonalne. Jeśli więc tego nie da się osiągnąć, masz jeszcze jedno wyjście, które jest nadzwyczaj ważne: musisz wykonywać MZR.

- Co to jest MZR? - spytałam.

- To skrót od manualne zapobieganie rozbawieniu.

Polega na przykładaniu czubków dłoni po obu stronach ust, o tak, aby przeciwdziałać tworzeniu się uśmiechu.

Zademonstrował to na sobie, co bardzo niekorzystnie wpłynęło na jego wygląd.

- Procedura MZR - ciągnął - powinna być powtarzana za każdym razem, gdy ktoś w twojej bliskości powie albo zrobi coś śmiesznego, i za każdym razem, kiedy wyczujesz, że zaraz się uśmiechniesz albo - Boże uchowaj - zaśmiejesz. Oczywiście czujność jest tutaj nadzwyczaj istotna, ponieważ uśmiech potrafi być piekielnie prędko. I pamiętaj: palce należy przyciskać z całej siły, ponieważ uśmiech jest wsparty ogromną siłą mięśniową, większą, niż ktokolwiek to sobie wyobraża, dopóki nie zaczniesz się z nim zmagać.

Opuściłam szpital wytrącona z równowagi. Za diabła nie mogłam nie pójść na tę kolację. Po wszystkim, przez co przeszłam, żeby zapłacić za swój występ, miałam prawo do takiej nagrody. Ten lekarz nie miał pojęcia, jak drogo zapłaciłam za tę kolację. Nie tylko pójdę, ale będę się delectowała każdą

jej chwilą, będę ją chłoneła wszystkimi zmysłami, będę się bawiła aż do utraty zmysłów.

W domu stanęłam przed lustrem i przećwiczyłam procedurę MZR. Wyglądało to okropnie. Jak jakaś okrutnie wyrysowana karykatura czegoś, co miało w sobie mgliste podobieństwo do szympansa. Nie będę tego robiła. Po prostu postaram się zachować dość samokontroli, żeby się nie śmiać ani uśmiechać. Ale co będzie, jeśli zabraknie mi samokontroli i w końcu wybuchnę niczym nie chronionym śmiechem? Z miejsca wyobraziłam sobie tę ranę, jak się rozciąga i otwiera, maleńkie komórki tkanki bliznowej, które zabierają się do roboty i pomnażają. Staralam się o tym nie myśleć. Po prostu będę musiała zdobyć się na niezbędną samokontrolę i kropka.

TRZECI

Do restauracji przyszedłam pięć minut za wcześnie. Lokal był raczej niewielki, intymny i cichy, jeśli nie liczyć szemrania fontanny, obok której usadził mnie kelner. Na stoliku paliły się dwie świece. Usiadłam twarzą do frontowych drzwi, żeby zobaczyć Damona, kiedy wejdzie.

Postanowiłam nie ograniczać sobie przyjemności płynącej z tej kolacji poprzez potraktowanie jej jako ćwiczenia w niebyciu sobą. A właśnie, że będę sobą. Tak często, jak mi się będzie podobało.

Punktualnie o ósmej do restauracji wkroczył Damon, zupełnie jak byt powstały z wody. Poruszał się uderzająco płynnie i był ubrany podobnie jak wtedy, kiedy go poznałam: w białe ubranie uszyte z tej samej cienkiej tkaniny, która zdawała się falować wokół niego, naśladować jego ruchy powolnymi oscylacjami. Żuł gumę.

Kiedy usiadł, bezzwłocznie go poprosiłam, żeby mnie nie rozśmieszał tego wieczoru, bo inaczej będę musiała zrobić coś bardzo nieatrakcyjnego.

- O. Naprawdę?

- Naprawdę. Dopiero co uległam wypadkowi, to jest to rozcięcie na wardze, i jeśli przymusisz mnie choćby tylko do uśmiechu, będę musiała

wykonać procedurę MZR, która mnie oszpeca.

- Miałaś wypadek? - spytał.

- Tak, ot zwykły wypadek przy szermierce - skłamałam.

- Ach, więc parasz się szermierką. Faktycznie, zauważyłem, jak zwinnie radziłaś sobie z tą różdżką.

Kiedy spytał, czym się zajmuję na co dzień, przyznałam się, że pracuję w punkcie ksero i że przekłuwam uszy.

- A jakie są twoje aspiracje?

- A to trzeba mieć jakieś aspiracje? - odparowałam.

Wzruszył ramionami, uśmiechnął się, powiedział, że nie.

- Jestem aspirującą aktorką - wyjaśniłam wtedy.

Tym go poraziłam, wręcz dostał takiej miny, jakby zrobiło mu się niedobrze. Spytałam, co się stało. Potrząsnął głową. Spytałam, czy coś mu się nie podoba w zawodzie aktora, ale zapewnił, że wręcz przeciwnie, ten zawód bardzo mu się podoba. Stwierdził, że to cudowna forma sztuki, a potem usiłował zmienić temat, pytając, czy przekłuwam uszy niezależnie, czy też w jakimś gabinecie i gdzie dokładnie mieści się ten gabinet, na wypadek gdyby przechodził tamtędy kiedyś. Udzieliłam odpowiedzi na wszystkie te pytania.

Kiedy spytałam, co on robi, odparł: - Od ostatnich kilku dni? Niewiele.

- Nie, w ogóle - sprostowałam. - W życiu.

- To i tamto.

- To znaczy?

Powiedział wtedy, że powinien mnie uprzedzić, iż o sobie opowiada niechętnie, ale na to jedno pytanie udzieli mi odpowiedzi: jest naukowcem.

Ostatnia rzecz, jakiej się po nim spodziewałam.

- A mogę wiedzieć, jaka to dziedzina nauki?

- Może później.

Tym razem była moja kolej na zmianę tematu, więc zmieniłam go, wracając do tematu, który on zmienił poprzednio.

- Dlaczego tak się zdenerwowałaś, kiedy powiedziałam, że jestem aspirującą aktorką?

- Uparta jesteś.

- W tej sprawie wcale niekoniecznie. Dotąd spytałam o to tylko raz.

- Niech będzie. Powiem ci. Mówiąc, że jesteś aktorką, przywołałaś niedobre wspomnienia o kimś, kogo boleśnie mi przypominasz, a kto przypadkiem też wykonuje ten zawód.

- To ktoś, kogo nienawidzisz?

- Nie. - Urwał. - Wręcz przeciwnie.

- To twoja dziewczyna?

- Nie. To mężczyzna.

- Kochanek?

Uśmiechnął się.

- Nie... nie jestem...

- No to kto?

- Przepraszam, ale nie mogę powiedzieć nic więcej.

Przejrzeliśmy karty i złożyliśmy zamówienia,- przy czym on zrobił to w wyjątkowo frapujący sposób. Kiedy kelner zarzucał go standardowymi pytaniami typu: Jak ma być usmażone mięso, jaki chce sos do sałaty i co woli, ziemniaki czy ryż do swojego dania, odpowiadał dwojako, albo że to nieistotne, albo że jest mu to obojętne (co wyrażał także w formie: „Nie mam szczególnych upodobań”).

Kiedy jednak zeszło na wodę, tak, wodę, nie zadowolił się zwykłym wyborem między butelkowaną a z kranu, gazowaną czy niegazowaną: chciał znać wszystkie gatunki butelkowanej wody, jakie podawali w tej restauracji. Zażądał, by mu pokazano dostępne marki (były ich dwie), i spędził co najmniej minutę na porównywaniu nalepek, jakby to było wino, zanim wreszcie się zdecydował.

Potem gawędziliśmy, przez jakiś czas podejmując wyłącznie lekkie

tematy. Jedzenie było dobre, widziałam jego sutki przez koszulę, a w połowie posiłku, kiedy dolewał mi wina (które wybrał ze znacznie mniejszą starannością niż wodę), zapytał znienacka: - Zdarzyło ci się kiedyś przeżywać nieustającą udrękę?

Zbita z tropu odpowiedziałam z wahaniem: - Może... w pewnym sensie tak. Zależnie od tego, jak zdefiniujesz słowa „nieustający” i „udręka”.

- Dlaczego to zrobiłaś?
- To znaczy co?
- Czy zdarzyło ci się straszliwie kogoś zawieść?
- Raczej nie. W każdym razie nikogo oprócz siebie.
- Oszczędź.
- Słucham?
- Oszczędź, Anno. Dlaczego mnie uratowałaś?
- Nie wiem.
- Musisz to wiedzieć. Ja muszę to wiedzieć.

Mogłam odpowiedzieć: „Bo wyglądałeś na kogoś, komu przydałaby się pomoc”, ale postanowiłam być bardziej uczciwa.

- Miałam taką ochotę - odparłam.

Moja odpowiedź chyba mu się nie spodobała. Wyraźnie go zaniepokoiła.

- Nie rozumiem, co chcesz przez to powiedzieć.
- No... chyba.. byłam w nastroju.

Wpatrywał się we mnie chwilę, przetwarzając to w myślach, i wreszcie spytał: - Dlaczego?

Raczej nie bardzo chciało mi się opowiadać o moim spotkaniu z nauczycielem gry aktorskiej, które wprowadziło mnie w czarny nastrój, powiedziałam więc: - Och, to był jeden z takich dni, no wiesz.

- Nie, nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz.

Jeden z tych dni? W życiu nie słyszałem, by jakiś dzień mógł nastroić kogoś do popełnienia podobnego czynu.

- Chyba wolałabym o tym nie mówić. To był nieprzyjemny dzień.

Wychodziło na to, że moje obawy przed rozśmieszeniem ze strony Damona są całkowicie bezpodstawne.

Nasza rozmowa, jak dotąd, niczym nie zagrażała mojej ranie.

- To rozumiem - odparł. - Ja mam same nieprzyjemne dni. Zwłaszcza odkąd mnie uratowałaś. Twój czyn wtrącił mnie w stan takiej nieprzyjemności, że trudno to opisać. Ledwie jestem w stanie funkcjonować. Prawie nic nie robię, tylko wałęsam się po ulicach i siedzę w domu po ciemku, ledwie oddychając, ledwie mrugając, zapominając, że trzeba jeść. Przestały na mnie działać techniki, które przez lata opracowałem do perfekcji, by złagodzić swój ból, techniki takie, jak: bycie okrutnym, niszczenie rzeczy, wywoływanie strachu, branie kąpiele w cieczach typu mleko, sok cytrynowy i wino, zagrzebywanie się w trawie, liściach albo kamyczkach, traktowanie się ogłuszającą muzyką i hałasem, jeżdżenie kolejką górską w wesołym miasteczku, oglądanie filmów dokumentalnych o zwierzętach, które pożerają się wzajem, i o obozach koncentracyjnych. - Tu dramatycznie zawiesił głos, a potem dodał: - Jak widzisz, też przeżywam nieprzyjemne dni. Też miewam dni, podczas których nie mogę sobie znaleźć miejsca. Wszystko dlatego, że to takie niezwykle, takie niepokojące poznać kogoś - a co dopiero gdy jest to młoda kobieta - tak niespotykane pozbawionego egoizmu, że jest gotów zaryzykować własne życie, by uratować kogoś absolutnie obcego.

Byłam tak zdumiona jego wzmianką o kolejce górskiej i filmach dokumentalnych, że odpowiedziałam dopiero po chwili.

- Przesadzasz z tymi pochwałami. Nie byłam sobą tamtego dnia. I mówiąc uczciwie, nie jestem pewna, co bym zrobiła, gdybym była sobą.

- Jak to nie byłaś sobą? I dlaczego?

W tym momencie wyszło na to, że po prostu muszę mu opowiedzieć o przygnębiającym spotkaniu z moim nauczycielem. Przekazałam mu więc skróconą wersję (nie pomijając dziwacznej prośby Aarona). Ale z kolei robiąc

to, musiałam raz jeszcze ożywić w pamięci bolesną, nie okrojoną wersję końcowego fragmentu spotkania, który miał następujący przebieg: Kiedy już usłyszałam, że powinnam wybrać inną drogę kariery i że ani moje ciało, ani twarz nie robią aż takiego wrażenia, i po tym, jak zachciało mi się zapalić, ale powstrzymał mnie napis „Palenie wzbronione” wiszący nad biurkiem, Aaron Smith powiedział: „Gdybyś na scenie była nadzwyczajna, mogłabyś zostać aktorką charakterystyczną, ale tak nie jest. Mówię ci o tym dlatego, że czuję, że mogłabyś odnieść wielki sukces w czymś innym. Jesteś zmotywowana, uparta i masz spory potencjał, ale nie sądzę, byś miała się wybić jako aktorka. Jestem przekonany, że będziesz dostawała drobne role, tu i tam, ale to będą byle jakie role. Twoja kariera będzie byle jaka, nie przyniesie ci satysfakcji i ostatecznie rozczaruje. Będziesz w najlepszym razie umiarkowanie szczęśliwa. Widywałem ludzi takich jak ty i wszyscy kończyli podobnie”.

Sięgnęłam do torebki po papierosa, ale znowu w połowie drogi wstrzymał mnie napis „Palenie wzbronione”.

„Chyba powinnaś zrezygnować z moich kursów - ciągnął. - Jeśli chcesz skończyć ten semestr, nie ma sprawy, niemniej usilnie namawiam, żebyś nie zaczynała następnego, bo nie mogę patrzeć, jak marnujesz czas w dziedzinie, która niczym cię nie nagrodi. Jesteś silną kobietą, Anno. Obserwowałem cię przez te wszystkie miesiące i zauważyłem władzę, jaką masz nad ludźmi.

Pod pewnymi względami to zaskakujące, że na scenie albo przed kamerą takiej władzy nie masz, a jednak tak właśnie to wygląda. Bo to właśnie ta twoja siła przeszkadza ci w aktorstwie. Powtarzam ci to od miesięcy, że masz zbyt silną osobowość, abyś potrafiła przekonująco wcielać się w inne postaci. Jesteś za bardzo sobą. Powiedziałbym, że wręcz tkwisz w klatce samej siebie. Nie potrafisz należycie się czymś przejąć, nie mówiąc już o stawianiu się kimś innym. Jesteś autentyczna i prawdziwa aż do bólu”.

Aaron bezsprzecznie uwielbiał wsłuchiwać się w swoje słowa. Jeśli chodzi o mnie, byłam już w stanie negacji wobec zadawanego mi bólu.

„Nie chciałbym uchodzić za pozbawionego uczuć - kontynuował Aaron - ale jest pewna pilna sprawa, którą chciałbym z tobą omówić. - (I tu właśnie padła rzeczona prośba.) - Otóż jedna ze studentek z twojej grupy nosi nieładne imię: Esmeralda. Chciałem spytać, czy miałabyś coś przeciwko, gdybym jej poradził, żeby przybrała twoje imię i nazwisko, ze względów profesjonalnych.

Uważam, że ona kryje w sobie wielką obietnicę. Moim zdaniem to następna Meryl Streep. Albo wręcz kombinacja Meryl Streep, Glen Close, Jodie Foster i/lub Michelle Pfeiffer”.

Wyjęłam z torebki papierosa i zapaliłam go.

„Masz nazwisko, które w przypadku aktorki wyglądałoby znakomicie na ekranie - stwierdził Aaron - więc gdybyś tak zdecydowała się skorzystać z mojej rady i zmieniła zawód, czy to by ci przeszkodziło, gdyby jakaś obiecująca aktorka nosiła twoje nazwisko?”

Zaciągnąwszy się kilka razy, wyjęłam papierosa z ust: między moją górną wargą a ustnikiem zawisło długie włókno flegmy. Przyjrzałam mu się ze zdumieniem i dotknęłam swojej twarzy. Miałam mokre policzki.

„Jak sama dobrze wiesz - ciągnął Aaron - imiona i nazwiska nie są objęte przepisami prawa autorskiego i w związku z tym Esmeralda mogłaby wziąć sobie twoje, gdyby zechciała, ale pomyślałem, że byłby to akt uprzejmości, spytać cię najpierw, zanim jej to zasugeruję”.

Starannie wytarłam twarz rękawem.

„No już, już, nie trzeba płakać - powiedział. - Szczerze mówiąc, Esmeralda odniesie sukces niezależnie od tego, jak się będzie nazywała, bo przypomnij sobie słowa Szekspira: «Róża pod inną nazwą równie by pachniała». Ale z kolei Gertrudę Stein też miała rację, mówiąc: «Róża jest różą, jest różą, jest różą». To słowo z pewnością piękne i osobliwe, gdy je powtarzać. Podobnie jest z Anną Graham. Anagram to aktor słów”.

I taki był koniec mojego spotkania z Aaronem.

Z początku Damon zareagował następująco: - Ten człowiek uważa, że

powinnaś zrezygnować z aktorstwa, bo „jesteś za bardzo sobą”? To jakieś kompletne brednie! Koń by się uśmieł. Mam nadzieję, że nie uwierzyłaś w ani jedno słowo.

- On jest wielkim autorytetem.

Damon w zamyśleniu oderwał grudę stopionego wosku od świecy i ugniótł ją w palcach.

- Wpływ. Pozwoliłaś mu wpłynąć na siebie. Wszystkie dobre istoty wykazują zdolność do ulegania wpływom. Inaczej niż istoty złe albo martwe. Zresztą tak czy owak to kwestia dziwna i skomplikowana. Powinno się wiedzieć, na jakie wpływy można się godzić. - Cały czas bawił się woskiem.

Przynieśli nam rachunek, zapłacił. Spytał, czy mam ochotę na krótki spacer po parku nad rzeką. Zgodziłam się.

Kiedy wstaliśmy od stolika, znowu zwróciłam uwagę na te jego płynne ruchy. Po wyjściu z restauracji nie potrafiłam się powstrzymać i spytałam, czy uprawia jakieś sporty.

- Nie - odparł. - Wykonuję ćwiczenia rozciągające, ale nie jestem pewien, czy to się liczy.

Na dworze było chłodno. Znakomita okazja, żeby wyświedzić tajemnicę jego przezroczystych ubrań.

Zadygotałam i powiedziałam:

- Strasznie zimno. Dlaczego nosisz takie cienkie ubrania?

Nie odpowiedział od razu, więc spojrzałam na niego - i w końcu odpowiedział cicho, nie patrząc na mnie: - To kara.

Poszliśmy nad rzekę i stanęliśmy przy barierce, w milczeniu patrząc na wodę.

Damon odezwał się pierwszy.

- Najwspanialszy aktor jest tutaj, przed nami.

- Nie rozumiem?

- Woda. Powinnaś ją zgłębić, wiele byś się nauczyła w związku ze swoim

rzemiosłem.

- Woda jest najwspanialszym aktorem? Co to znaczy?

- Obserwuj ją i poszukuj za jej pośrednictwem, to się dowiesz.

- Okay, zrobię to, ale czy na razie nie mógłbyś mi zwyczajnie tego wyjaśnić?

Zamrugnął ze znużeniem i wyjaśnił: - Woda, poprzez swój wpływ, ma zdolność do stwarzania zdecydowanych, odwracalnych zmian, na moment nie przestając być sobą.

Z jakiegoś powodu to mi się skojarzyło z tym, co wcześniej wzbudziło moją ciekawość.

- Możesz mi teraz powiedzieć, od czego jesteś naukowcem?

- Jestem meteorologiem.

- Czyli takim kimś od pogody?

- Tak.

- A czym dokładnie się zajmujesz?

- Przepraszam, ale to zbyt osobista sprawa.

Jak osobiste mogło być coś, co związane jest z pogodą? Wkurzyłam się. Dlatego wtedy spytałam go, dlaczego fakt, że udzieliłam mu pomocy, tak wzburzył jego spokój.

- Ten epizod wskrzesił wspomnienia z przeszłości - odparł. - Ponadto zniszczył wygodne kłamstwo, którym przez ostatnich kilka lat otaczałem się niczym murem.

- Kłamstwo jakiego rodzaju?

Zawahał się.

- Takie, dzięki któremu mogłem nienawidzić siebie mniej niż powinienem.

- A co to było za kłamstwo?

- Zasadniczo był to prosty proces, polegający wyłącznie na przewartościowaniu moich poglądów na całą ludzką rasę, na obniżaniu mojej

opinii na jej temat dopóty, dopóki nie osiągnęła mojego żenującego poziomu, podnosząc tym samym moje poczucie przynależności, redukując poczucie winy i umożliwiając mi objęcie pogardą nas wszystkich, a nie tylko siebie tak, jak na to zasługiwałem.

Odwrócił się i ruszył powoli brzegiem rzeki. Szłam u jego boku.

- W tym tygodniu, jeszcze zanim zadzwoniłaś - dodał po jakimś czasie - nieskończenie wiele razy zbierałem się, żeby do ciebie zadzwonić. A jednak bałem się kontaktu z tobą, bałem się ciebie poznać, bałem się tego, kim mogłaś albo nie mogłaś być. Poza tym bałem się ryzyka i nadal się go boję, w twoim i swoim imieniu. Jakąś swoją częścią nie chcę mieć z tobą nic wspólnego.

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Mogłam rzucić „Rozumiem” czy coś w tym rodzaju, ale nie powiedziałam tego, bo nie rozumiałam. I nawet mimo że nie rozumiałam, nadal byłam zadowolona, pławiłam się w obłoku chaosu, wcale nie takiego nieprzyjemnego. Potem jednak Damon powiedział coś głośno i wyraźnie, coś, co mnie przebudziło niczym zimny prysznic.

- Dobrze się bawiłaś tego wieczoru?

- Tak - odparłam.

- To się cieszę. Nasza kolacja stanowiła jedynie skromną próbkę mojej wdzięczności. Dla mnie liczy się teraz tylko to, żeby ci się odwzajemnić w jakiś godny sposób za to, że mnie uratowałaś. Tylko to mnie interesuje, tylko tego chcę. Niczego innego. Powinniśmy się umówić na następne spotkanie. Kiedy już poznam cię trochę lepiej, będę wiedział, jak ci podziękować w najbardziej znaczący i użyteczny sposób. Na początek oczywiście mógłbym ci dać pieniądze. Ale oprócz tego chciałbym ci wyświadczyć przysługę, jakąkolwiek przysługę wartą tej, którą ty mi wyświadczyłaś. Aczkolwiek to może się okazać niewykonalne, bo twój czyn jest wyjątkowo trudny do naśladowania.

W tym momencie podjęłam decyzję, że już nigdy więcej się z nim nie spotkam. Podziękowania mnie nie interesowały - poczułam się urażona. Miałam nadzieję, że jego zainteresowanie mną wykracza choć trochę poza wdzięczność,

ale najwyraźniej tak nie było.

- Nie ma sprawy - odparłam sztywno. - Już mi podziękowałeś, i to z nawiązką. - Próbowałam wymyślić jeszcze jakiś inny banał. - Cieszę się, że mogłam ci się przysłużyć, ale wierz mi, znalazłam się w odpowiednim miejscu w odpowiednim czasie i na tym koniec.

Dla własnego dobra wzruszyłam się trochę własnymi słowami. Wręcz się zlekłam, że zaraz zaleję się łzami.

Spojrzałam na zegarek, oświadczyłam, że jestem jeszcze z kimś umówiona, i uciekłam z parku, zanim zdążył zareagować. Nie próbował mnie zatrzymać.

Dwie godziny później zadzwonił do mnie i spytał, czy coś się stało. Powiedziałam, że nie. Spytał, czy moglibyśmy jeszcze raz umówić się na kolację. Powiedziałam, że nie. Spytał dlaczego. Potraktowałam go chłodno: odparłam, że wolałabym nie tłumaczyć, że nie mam ochoty.

To, że miałam ochotę go uratować, jeszcze wcale nie oznaczało, że miałam ochotę jeść z nim kolację. Miałam ochotę tak powiedzieć, ale nie powiedziałam. Milczał.

Powiedziałam „Do widzenia” oraz „I przy okazji jeszcze raz dziękuję”, a potem się rozłączyłam.

Nie oddzwonił. I dobrze.

Popłakałam się.

Nazajutrz do sklepu jubilerskiego, gdzie akurat tego dnia pracowałam, wszedł Damon. Stał przede mną.

- Cześć, Anno - powiedział.

- Co ty tu robisz?

- Okazuję wdzięczność.

- Rozumiem. Ale czy to trochę nie za dużo jak na wdzięczność?

- Masz rację. Łagodnie to ująłem.

- Nie. Chciałam powiedzieć... Zresztą nieważne.

A czego chcesz? Znowu umawiać się na kolację?

- Nie. Chcę mieć dziurę.

- Słucham?

- Chcę, żebyś przekłuła mi ucho. To oczywiste, że coś wytrąciło cię z równowagi. Uciekłaś wczoraj i nie chcesz spotkać się ze mną po raz drugi. Prawdopodobnie zrobiłem coś bardzo złego, i muszę zostać ukarany.

O dziwo, zamiast mocno się zdumieć, że on mi tu mówi o karaniu, podczas gdy sama dopiero co realizowałam potrzebę wymierzenia sobie kary (czyli, jak zakładałam, coś absolutnie wyjątkowego), spytałam bez cienia pogardy: - Dając sobie przekłuć ucho? - Taki wymiar kary wydał mi się arcybanalny w porównaniu z tym, na co skazałam siebie.

- Czy to jest odwracalne? - zapytał.

- Niezupełnie. Jeśli od razu wyjmiesz kolczyk, dziurka się zasklepi i zagoi, ale na zawsze zostanie tam widoczny punkcik, maleńka blizna. - Nie miałam pewności, czy to prawda, ale chciałam go zniechęcić.

- I o to chodzi - powiedział. - Według mnie przedziurkowanie ucha będzie całkiem przyzwoitą karą, bo niewiele jest takich rzeczy, których nie cierpię bardziej niż nieodwracalności.

Miałam nadzieję, że nie mówi tego poważnie. Wcale się nie paliłam do przekłuwania mu ucha.

- Jesteś naprawdę miłym facetem, ale nie mogę umówić się z tobą na kolację, bo nie mam czasu na twoją wdzięczność i wyrazy uznania.

- Nie jestem gejem. Wbrew temu, co sobie pomyślałaś podczas kolacji. I nie chcę uchodzić za geja, bo nim nie jestem. No więc jak jest: czy normalni mężczyźni mają dziury w prawym czy lewym uchu? Bo ja nie pamiętam. I jak należy opatrywać takie dziury i jak długo się goją? Czy mogę sam sobie wybrać kolczyk, czy raczej do przekłuwania stosuje się jakiś specjalny rodzaj?

Czułam, że blefuje, więc też blefowałam, odpowiadając mu na te pytania. Wyraźnie jednak nie zamierzał się wycofać, a nawet wybrał sobie kolczyk,

srebrny koleczyk, więc powiedziałam w końcu:

- Posłuchaj, wcale nie wytrąciłeś mnie z równowagi.

Cudownie się bawiłam wczorajszego wieczoru. Po prostu nie chcę się więcej z tobą spotykać. Więc może tak pójdiesz już sobie? Proszę, zostaw mnie w spokoju.

- Nie wyjdę, dopóki nie zostanę przekłuty. Muszę zapłacić za swój występ, jakikolwiek by był - odparował i usiadł na krześle przeznaczonym dla klientów, którym przekłuwałam uszy. - Będę miał dziurę, choćby nie wiadomo co. Nie wybijesz mi tego z głowy. To oczywiste, że na to zasługuję.

Wkurzona tym udawanym brakiem powagi (jeśli to właśnie było to), chwyciłam za przyrząd do przekłuwania i ustawiłam się. Miał dużą głowę i bardzo wysokie, wydatne kości policzkowe. Nie mogłam nic na to poradzić, że w tak bliskim kontakcie z jego urodą straciłam głowę. I na tym polegał problem. W sztuce przekłuwania uszu nie zaleca się żadnego innego stanu oprócz zachowania doskonale zimnej krwi. Tak czy owak już miałam przystąpić do dzieła, ale w ostatniej chwili zatrzymałam się i powiedziałam: - Cała się trzęsę. Jesteś pewien, że tego chcesz? Mogę nie trafić w sam środek.

- Zrób to - rozkazał.

Zrobiłam.

Zaraz potem popatrzyliśmy na siebie, chyba oboje jednakowo oszołomieni. Damon odwrócił wzrok i zagapił się w przestrzeń. Ku mojemu zdziwieniu czerwienił się. W końcu przerwał milczenie łamiącym się głosem: - Czy teraz zjesz ze mną kolację?

- Nie, powiedziałam ci, że nie. Podziękowałeś mi aż nadto. Nie musisz mi dziękować jeszcze raz. Nie chcę ci być ciężarem. Nie chcę, żeby ktoś spotykał się ze mną z obowiązku.

- No to o co tu chodzi? - nieledwie krzyknął. - Jeśli tak, to zostałem ukarany niesprawiedliwie! Fałszywie oskarżasz mnie o szczodrość, czyli o zbrodnię, której ani nie popełniłem, ani nie zamierzam popełniać, przynajmniej

nie w formie zaproszenia na kolację. - Obrócił się w stronę lustra i dodał ze złości: - Żałośnie wyszło z tym uchem. Brzydzę się tym, zwłaszcza że tak naprawdę kierowały mną pobudki czysto egoistyczne.

Nie odpowiedziałam.

- Powodowany wielkim egoizmem chciałbym jeszcze raz umówić się z tobą na kolację. No chyba że, oczywiście, ty po prostu... mnie nie lubisz, co byłbym w stanie zrozumieć. Doskonale bym zrozumiał, gdyby na przykład nie podobał ci się sposób, w jaki się ubieram, gdybyś uznała, że za dużo wybrzydzam z tym poziomem pH, albo gdybyś nie mogła znieść któregoś z innych moich drobnych odchyleń od normy. Ale nawet gdyby tak było, nic by mnie to nie obeszło, bo widzisz, twoje upodobania niespecjalnie się dla mnie liczą, podobnie zresztą jak twoje pragnienia. Jestem wielkim egoistą, mam nadzieję, że to zauważyłaś. Błagam cię, Anno, przyjmij moje zaproszenie. Zapewniam, że myślę wyłącznie o sobie. Jestem wrednym egoistą.

- No cóż, skoro tak to ujmujesz, to nie mogę odmówić.

Tamtego wieczoru spotkaliśmy się w restauracji, która znajdowała się niedaleko tej z poprzedniego dnia. Damon siedział już przy stoliku, kiedy przyszedłam. Zobaczyłam go i przeżyłam szok. Na uchu miał coś, co przypominało pieluszkę. W rzeczy samej był to ogromny, biały bandaż, który zakrywał mu niemal połowę głowy.

Pomyślałam, że pewnie miał jakiś wypadek, ale wyjaśnił, że wyjął kolczyk, chcąc, by dziura się zakłęsała i wygoiła, i że po prostu był przezorny, starając się zminimalizować groźbę infekcji i zmaksymalizować szanse całkowitego odwrócenia stanu ucha.

- Chcę jednak, żebyś wiedziała - dodał jeszcze - że pozbywam się dziury, ponieważ na nią nie zasługuję.

Gdybym zasługiwał, zostawiłbym ją otwartą na zawsze.

Podczas posiłku zadał mi mnóstwo pytań na temat mojego życia i przeszłości. Czułam, że czegoś szuka, ale dopiero po jakimś czasie wyłapałam,

co to takiego. Szukał jakiegoś wzorca, wzorca składania siebie w ofierze.

Chciał wiedzieć, czy altruizm i heroizm (jego słowa) to w moim przypadku często uaktywniające się cechy. Spytał, ilu takich sytuacji jak tamta w metrze doświadczyłam. Żadnych - byłam zmuszona wyznać, ryzykując, że go rozczaruję. Na własną obronę wskazałam, że tego typu okazje do wykazania się heroizmem nie zdarzają się często w przeciętnym życiu.

A potem rozmawialiśmy o mojej miłości do aktorstwa.

Po kolacji poszliśmy do tego samego parku, w którym byliśmy poprzedniego wieczoru, spacerowaliśmy nad rzeką i rozmawialiśmy. W końcu przestaliśmy rozmawiać i tylko staliśmy obok siebie, zapatrzeni na rzekę.

- Czy po tamtym spotkaniu z nauczycielem zastanawiałaś się nad rezygnacją z aktorstwa? - spytał.

- Nie. Zrozumiałam, że wolę już spędzić resztę życia na próbach zostania sławną aktorką, nawet gdyby to miało oznaczać porażkę, niż odnosić sukcesy w czymś innym.

Popatrzyliśmy na siebie. Po raz kolejny uderzona absurdalnością jego bandaża omal nie wybuchnęłam śmiechem, ale na szczęście w samą porę się pohamowałam i uniknęłam procedury MZR. Ten bandaż wyglądał, jakby ukrywał ogromne wybrzuszenie, jakąś straszliwą deformację. Ale nie poczułam obrzydzenia, kiedy uśmiechnął się łagodnie i pochylił się w moją stronę, wyraźnie po to, żeby mnie pocałować. W tamtym momencie nie umiałam wyobrazić sobie niczego, co mógłby włożyć na głowę i wywołać tym moje obrzydzenie.

Przymknęłam powieki.

A jednak nie doszło do pocałunku.

Kiedy otworzyłam oczy, miał zmienioną twarz, zastygłą w wyrazie bólu. Jego oczy były puste.

Starczymi ruchami odwrócił się i poszedł usiąść na pobliskiej ławce. Przysiadłam się i spytałam, czy coś się stało.

Odpowiedział mi omdlewającym głosem.

- Dziś wieczorem byłem przy tobie prawie szczęśliwy - wyznał. - Normalnie nigdy nie jestem szczęśliwy.

Czasami staram się być szczęśliwy i często sprawiaam wrażenie szczęśliwego, ale nigdy się taki nie czuję, prawdopodobnie nigdy się taki nie poczuję i bez cienia wątpliwości nie mam prawa kiedykolwiek taki się poczuć.

- A teraz już nie czujesz się prawie szczęśliwy?

Zaśmiał się smutno i odparł:

- Nie, już wcale nie prawie.

- Nie jesteś prawie szczęśliwy ot tak czy też do głębi nie jesteś prawie szczęśliwy?

- Ani jedno, ani drugie. Wyszedłem już daleko poza etap „prawie”. Jestem skończenie nieszczęśliwy.

- A dlaczego teraz tak nagle przestałeś się czuć prawie szczęśliwy?

- Bo właśnie zrozumiałem, jak cię uszczęśliwić. I na myśl o tym przeszywa mnie dreszcz. - Urwał. - Ale zrobię to. Tylko nie od razu, pamiętaj. Nie jestem jeszcze gotów. Już niedługo. I wtedy nasz związek się zmieni.

- Na gorsze? - spytałam, specjalnie pomijając bardziej oczywiste pytania.

- Nie umiem powiedzieć. - Wstał i stanął twarzą do rzeki.

Molestowałam go dalej,- od strony pleców: - Zechciałbyś wyjaśnić bliżej, dlaczego nie jesteś już prawie szczęśliwy? Nie jest to szczególnie jasne.

Spojrzał na mnie, z jakby lekko zbolałą miną, i w końcu powiedział:

- Bo poświęcę swoje szczęście na rzecz twojego.

Znowu się odwrócił, ale zanim zdążyłam wymyślić jakąś stosowną odpowiedź, okręcił się na pięcie i z wymuszoną wesołością zapytał: - Hej, chcesz iść potańczyć?

- Teraz? Gdzie?

- W jakimś nocnym klubie, na przykład.

Zgodziłam się. Zabrał mnie do nocnego klubu, w którym rzekomo bywał,

i to dość często. Tańczył. Ja nie. Chyba nie należało się godzić tam iść, skoro nie byłam w tanecznym nastroju, ale nie miałam pojęcia, że nie jestem w nastroju, dopóki tam nie poszłam.

Znał tam również jakichś ludzi, z niektórymi tańczył. Płynność jego ruchów, którą zauważyłam wcześniej, w tańcu rzucała się w oczy jeszcze mocniej. Długo na niego patrzyłam. Podśluchiwałam, co mówią o nim inni. Nazywali go Ciekłym Aniołem. Nagle kobieta, z którą tańczył, spróbowała go pocałować i wtedy ją spoliczkował. Zdaje się, że zszokował mnie bardziej niż ją. Ledwie wzruszyła ramionami, przewróciła oczyma i oddaliła się tanecznym krokiem, wyraźnie niewzruszona. On tymczasem nie przestawał tańczyć, jak gdyby nigdy nic, ja za to delikatnie dotknęłam swojej rany, bo przypomniał mi się mężczyzna, który mnie spoliczkował na ulicy.

Po jakimś czasie poczułam się zaniedbywana, mimo że Damon wcale nie sprawiał wrażenia kogoś, kto znakomicie się bawi w tańcu. Na twarzy miał wyraz głębokiego skupienia, chwilami przymykał oczy i potrząsał głową w sposób, w jaki ludzie próbują wyrzucić coś z pamięci. W końcu odechciało mi się tam być, ale ponieważ nie potrafiłam się zmusić, żeby mu przerwać, podjęłam decyzję, że po prostu sobie pójdę; zresztą zachował się po chamsku, tak mnie lekceważąc, więc starałam się nie czuć winna, że się z nim nie żegnam. Po raz ostatni rzuciłam na niego okiem i zobaczyłam w nim tego, kim był naprawdę: obcego człowieka, dla którego nic nie znaczę i który nie powinien nic znaczyć dla mnie.

Po wyjściu z klubu wstąpiłam do budki telefonicznej. Nagrałam wiadomość na jego sekretarce, przepaszając, że wyszłam bez pożegnania, ale nagle poczułam się strasznie zmęczona, oszołomiona i nie chciałam mu przeszkadzać.

Poszłam do parku nad rzeką, żeby pomyśleć i jakoś się zrelaksować przed powrotem do domu. Po incydencie w metrze ktoś mógłby się spodziewać, że będę się wystrzegała ciemnych i pustych miejsc. Gdybym nie była taka

pochłonięta swoimi myślami, być może zauważyłabym, jak ciemno i pusto jest w tym parku. Może nawet by mnie to obeszło. I może nie miałabym ochoty wałęsać się w pojedynkę o tak późnej porze.

Swój błąd zrozumiałam dopiero wtedy, gdy drogę zagrodzili mi dwaj młodzi mężczyźni, którzy wyraźnie na mnie dybali. Nigdy wcześniej nikt mnie ani nie napadł, ani nic użył wobec mnie przemocy, dlatego strasznie się zdziwiłam, że dwa razy w ciągu jednego tygodnia ląduję w takich opałach. Tego wieczoru przekonałam się na własnej skórze, że znacznie gorzej być ofiarą niż wybawcą.

Próba użycia gazu pieprzowego potrwała tym razem deprymująco krótko: sięgnęłam do torebki, żeby go wyciągnąć, ale jeden z napastników, jakby czytając w moich myślach, też zanurzył w niej rękę, chwycił spray i cisnął go w bok. W tym dokładnie momencie poczułam, że osuwam się w stan dziwaczego ogłupienia. Podjęłam jeszcze jedną próbę ratowania siebie: na łeb na szyję rzuciłam się między nich, jako kierunek obierając wyjście z parku. Oczywiście nic z tego nie wyszło i wtedy właśnie stan ogłupienia osiągnął pełnię: mój mózg zaczął sporządzać jakieś dziwaczne prognozy na temat tego, co się zaraz ze mną stanie.

Z perspektywy czasu zdaję sobie sprawę, że tamci mężczyźni zamierzali mnie zgwałcić, niemniej w chwili, gdy ściągali mi majtki i rozpinali rozporki, nabrałam niezachwianego przekonania, że będą na mnie sikać. Z jakiegoś powodu ubrdało mi się, że wszelkie takie podstępne napaści rozpoczynają się od sikania. Niemal mi się wydawało, że pamiętam doniesienia z wieczornych dzienników telewizyjnych relacjonujące epizody typu: „Pięciu napastników najpierw obsikało turystę, potem obrabowało i na koniec śmiertelnie zakłuło nożami”. Oczywiście potrafię to teraz opowiadać tak lekko (a nawet wręcz beztrasko), bo to już przeszłość.

Nie bardzo byłam pewna, co się wydarzy po tym wstępnym sikaniu. Może rabowanie i dźganie nożami? Na szczęście nigdy się nie dowiedziałam, bo

zjawił się obcy człowiek, który mnie uratował. Zapewne zabrzmiało to odrażająco, jeśli napomknę, że był szalenie przystojny, równie odrażająco jak to, że w ogóle to zauważyłam. Ale co ja poradzę: był przystojny. Trochę tak jak aktor telewizyjny. Siłował się z moimi napastnikami, a mi w tym czasie przez myśl przeleciał tekst jakby żywcem wyjęty z jakiejś reklamy: Oto najnowszy sposób, dzięki któremu młodzi ludzie będą mogli poznawać się wzajemnie! Uratuj kogoś albo sam daj się zaatakować i uratować!

Walka trwała długo. Nie mogłam się do niczego przydać, bo już na samym początku straciłam całą siłę i przytomność umysłu. Wreszcie napastnicy poddali się i uciekli, a obcy został, ledwie zadrapany. W rzeczy samej miał zadrapanie na dłoni, które teraz oglądał. Dotknął go, jęknął i powiedział „Au”.

- Jakiś uraz? - spytałam.

- O tak, na całe życie.

- Nie, ja pytam o rękę.

Popatrzył na mnie z lekko zaszokowaną miną i odparł:

- Nie. Ale moja skóra jest zadrapana, otarta, prawie krwawi. A ty jak się czujesz? Ufam, że przerwałem rytuał w samą porę?

- Że co? - odparłam, nie wierząc własnym uszom, wciąż pozbawiona pełni władz umysłowych. Ten jego ostatni komentarz mi się nie spodobał, ale nie chciałam, żeby on sam przestał mi się podobać. Całkiem możliwe, że właśnie uratował mi życie.

- Mam nadzieję, że nie zaszli zbyt daleko? - spytał.

Odruchowo popatrzyłam po sobie i nie zauważywszy ani śladu moczu, przyznałam:

- Nie, raczej nie.

- Znakomicie. Pomóc ci z tymi spodniami?

- Nie - powiedziałam. Siedziałam na zimnej ziemi, nie przestając miesić w rękach swoich spodni, wyraźnie zapomniawszy, jak się je wkłada. Prawdę mówiąc, czułam się, jakbym nigdy tego nie wiedziała, jakbym nigdy nie weszła

w posiadanie tej informacji. Mężczyzna stał blisko mnie, a ja chciałam go oszukać, wmówić mu, że wiem doskonale, co robię. Utrzymywałam na twarzy skupiony grymas wtajemniczonej i zdeterminowanej tak długo, jak umiałam, aż w końcu przestałam to umieć i zalałam się łzami. A on przykucnął obok mnie i delikatnie, ale też skutecznie pomógł mi włożyć spodnie, nie wypowiadając przy tym ani jednego chamowatego komentarza. Poczułam, jak przepelnia mnie wdzięczność, i tylko zażenowanie pohamowało mnie przed jej wyrażeniem.

Podrzucił mnie do domu taksówką. Zanim się rozstaliśmy, wręczył mi swoją wizytówkę i poprosił: - Byłbym wdzięczny, gdybyś okazała się taka miła i zadzwoniła do mnie jutro; chciałbym wiedzieć, jak się czujesz. Kamień spadłby mi z serca.

- Okay - obiecałam i spojrzałam na wizytówkę. Było na niej wydrukowane nazwisko Nathaniel Powers, pod spodem słowa: Ekspert savoir vivre'u.

- A tak nawiasem, jak ty się nazywasz? - spytał.

- Anna Graham - odparłam i starałam się wymyślić jakieś odpowiednie słowa na pożegnanie. „Dziękuję ci”, przyszło mi do głowy, ale z jakiegoś powodu fraza ta wydała mi się dziwna, niestosowna. Zabrzmiała jak formuła, którą wypowiada się w związku z jakimś miłym doświadczeniem. Naturalnie ktoś mógłby dowodzić, że jego przyjście mi na ratunek zalicza się do miłych doświadczeń, zwłaszcza z mojej strony. A jednak.

Dlatego więc, kiedy tak stałam pod swoim domem, patrząc, jak on wsiada do taksówki, powiedziałam jedynie „Do widzenia”.

CZWARTY

Następnego dnia chciałam tylko spać, ani na chwilę nie odzyskiwać przytomności. Dwa razy zadzwonił telefon, ale zaczekałam, aż odezwie się sekretarka. Za pierwszym razem był to znajomy, za drugim mój szef z „Tu zawsze skopiujesz”, który był ciekaw, gdzie jestem.

Po raz trzeci telefon obudził mnie kilka godzin później. Kiedy usłyszałam

Damona zostawiającego wiadomość, podniosłam słuchawkę. Nie potrafiłam w pełni wrócić do przytomności, więc spytał, czemu tak dziwnie mówię.

- Spałam - wyjaśniłam.

- W środku dnia?

- Tak.

- Coś się stało? Sądząc po głosie, nie czujesz się dobrze. To na pewno moja wina. Czuję się strasznie w związku z wieczorem. Zachowałem się po chamsku.

Zostawiłem cię samą w tym nocnym klubie.

- Tak, ale to nieważne. To nic w porównaniu z...

- W porównaniu z czym?

- W porównaniu z innymi rzeczami, które potrafią się przydarzyć.

- Jak na przykład co? Co się stało?

- Nic. Nic szczególnego. Po prostu... nic.

- Powiedz mi. Co się stało? Przecież słyszę, że coś się stało.

- No, po prostu... zostałam... lekko napadnięta.

Wczoraj wieczorem.

- Napadnięta!

Zmusił mnie do opowiedzenia całej historii, co zrobiłam tak skrótowo, jak się tylko dało, żeby móc dalej spać.

- Jak ja żałuję, że to nie ja cię uratowałem. Dlaczego mnie tam nie było? Że też mnie tam nie było. A gdyby tak coś ci się stało, wyobrażasz to sobie? Wyobrażasz sobie, jakie miałbym poczucie winy?

Znowu poczułam się nieco urażona tym, co powiedział, ale byłam taka wyczerpana, że to zignorowałam.

- Czy jest coś, co mógłbym dla ciebie zrobić? - spytał.

- Nie, nie trzeba, czuję się świetnie.

- No to dobrze, w takim razie trochę jeszcze wypocznij. Ale naprawdę chcę znowu się z tobą spotkać. Zgodzisz się?

Na wzmiankę o wypoczywaniu zapadłam w drzemkę i nie usłyszałam tego, co padło później.

- Anna! - krzyknął mi Damon do ucha.

Poprosiłam, żeby powtórzył pytanie.

- Czy byłabyś za tym, abyśmy jeszcze raz się spotkali? - spytał.

W tamtym momencie składnia, jaką się posługiwał, okazała się dla mnie zbyt złożona.

- Możesz to powtórzyć, tylko prościej? - poprosiłam.

Milczał chwilę, a potem powiedział: - Chcę cię zobaczyć. Spotkasz się ze mną jeszcze raz?

- Nie pamiętam - wymamrotałam. - Ale jutro sobie przypomnę, czy chciałam. Okay?

- Okay. Śpij dobrze - powiedział i rozłączył się.

Zasnęłam tak szybko, że mało co, a byłabym nie zauważyła, jakie to cudowne być zanadto zmęczonym, żeby się jeszcze przejmować czymś, czym się przejmujesz aż za bardzo.

Kiedy się wreszcie obudziłam, było zbyt późno, żeby dzwonić do Nathaniela, zgodnie z daną mu obietnicą.

Poczułam się winna. Postanowiłam, że zadzwonię do niego następnego dnia i z nawiązką odrobię to spóźnienie. Wzięłam tabletkę nasenną i wróciłam do łóżka.

Następnego ranka byłam nadzwyczaj trzeźwa i czujna, prawdę powiedziawszy, nieprzyjemnie trzeźwa i czujna; boleśnie docierało do mnie wszystko, co się ze mną stało, wszystko co do każdego, potwornego szczegółu.

Poleżałam w łóżku jeszcze czterdzieści pięć minut, żeby uporządkować myśli i sprecyzować moje odczucia wobec różnych spraw. Spotkam się znowu z Damonem, skoro on tego chce, ale wszystko będzie musiało się zmienić. Będzie musiał choć trochę się otworzyć. Spotkam się też z Nathanielem, jeśli będzie tego chciał. Podziękuję mu i kto wie, może oprócz tego, że mnie uratował, to

jeszcze mnie rozerwie, co, biorąc pod uwagę stan, w jakim się znajdowałam, niekoniecznie było najłatwiejszym zadaniem.

Poszłam popracować w „Tu zawsze skopiujesz” i podczas przerwy na lunch zadzwoniłam do Nathaniela.

Tamtego wieczoru zjedliśmy razem kolację. Okazał się towarzyszem zabawnym, znacznie bardziej otwartym i prostolinijnym niż Damon. Opowiedział, na czym polega jego praca jako eksperta savoir vivre’u. Że ludzie dzwonią do niego, kiedy są w sytuacji kryzysowej i natychmiast muszą znać taką czy inną regułę. Że jego gorąca linia od savoir vivre’u to numer zaczynający się na 900, który kosztuje 3,95 dolara za minutę, przy czym przeciętna rozmowa trwa sześć minut. Spytałam, czy to wszystko, czym się zajmuje. Nie, odparł; gra też na wiolonczeli. Przeszył mnie dreszcz: mój ulubiony instrument. Po kolacji przeszliśmy się do jego domu, bo postanowił mi coś zagrać. Zamiast jednak pójść za nim na górę, westchnęłam tylko, stwierdziłam, że to był cudowny wieczór, i spytałam, czy zechciałby znieść wiolonczelę na dół i zagrać dla mnie na dworze.

- Przezorna jesteś i rozsądna - pochwalił mnie. - Zniosę wiolonczelę.

Usiedliśmy na ławce pod drzewami. Grał dla mnie własne kompozycje. Były niezwykle, bardzo piękne i dziwne, a miejscami nawet złowieszcze.

Kiedy skończył grać, powiedziałam: - Ekspert savoir vivre’u, który jest wytrawnym wiolonczelistą. Zabawna kombinacja.

- Tak uważasz?

- Tak właśnie. Robisz w życiu coś jeszcze czy to już wszystko?

Potrząsnął głową i odparł, że nie, nagle poważny, niemal pochmurny. Wyjął z kieszeni płaszcza jakiś bilet i wręczył mi go.

- Jutro wieczorem, jeśli masz czas i jesteś zainteresowana.

- Co to takiego?

- Po co psuć niespodziankę? Aczkolwiek, uczciwie mówiąc, wątpię, by cokolwiek było ją w stanie popsuć.

Następnego wieczoru poszłam pod adres wypisany na bilecie. Ku mojemu zdumieniu okazało się, że dostałam bilet wstępu na występy męskich striptizerów. Prawdopodobnie Nathaniel chciał po prostu obejrzeć ten pokaz w moim towarzystwie. Być może była to trzecia z kolei rzecz, którą lubił robić: oglądać rozbierających się mężczyzn. Trzymałam się tej hipotezy tak długo, jak się dało: na widowni nie było ani jednego mężczyzny.

Oceniając rzecz czysto obiektywnie, okazał się znakomity w tym fachu: miał wszystko, czym powinni dysponować tacy mężczyźni. Był jednym z najlepszych. Robił to profesjonalnie, publiczności wyraźnie bardzo się podobał, a mimo to ja - która znałam go odrobinę lepiej niż pozostałe kobiety - podejrzewałam, a wręcz wyczuwałam, że nie wkłada w to serca. Niemniej udawał wyjątkowo skutecznie. Uśmiechał się promiennie, niemalże bez chwili przerwy, energicznie kręcił biodrami i stąpał po scenie jak paw, udając, że świetnie się bawi.

Po wszystkim poszliśmy na drinka. Powiedziałam mu, że dobrze się bawiłam, że moim zdaniem jego występ był wspaniały. Uwagi krytyczne ograniczyłam do stwierdzenia: „Dobrze tańczysz”. Nie czułam się dostatecznie swobodna, by wyrażać jakiegokolwiek inne opinie typu: „Cudownie kręciłeś biodrami. Jesteś bardzo zmysłowy” czy „Podnieciłeś mnie”, co zapewne byłoby najbardziej pożądanym komplementem w tej sytuacji. A zresztą po głębszym zastanowieniu stwierdziłam, że wcale nie jest to coś, na co czekał bez tchu, a przynajmniej nie w związku z występem striptizerskim. Sądzę, że coś takiego zabrzmiałoby o niebo lepiej w kontekście jego gry na wiolonczeli.

- Ekspert savoir vivre'u, profesjonalny wiolonczelista, striptizer - powiedziałam trochę później. - Ukrywasz jeszcze jakieś inne zawody w rękawie?

Spochmurniał wtedy.

- Tak. Jest coś jeszcze. - Wsunął dłoń do rękawa i wyjął kartkę papieru. Trzymając ją między palcem wskazującym a środkowym, oznajmił: - Zawsze

ukrywam jakiś zawód w rękawie. - Strzepnął kartkę. Po obu stronach była pusta. Wyjął pióro, coś nagryzmolił i wręczył mi ją.

Na kartce zapisał jakiś adres, z zaznaczeniem, że to trzecie piętro, a pod spodem dodał słowa „Mój gość” i pod tym jeszcze się podpisał.

A potem powiedział:

- Jeśli jesteś zainteresowana i masz czas. Jutro wieczorem. O siódmej.

Następnego dnia o siódmej poszłam pod adres zapisany na kartce. Ku mojemu zdziwieniu, na trzecim piętrze pod wskazanym adresem odbywało się spotkanie Strażników Wagi. Nie miałam pojęcia, jak to rozumieć.

Pokazałam kartkę recepcjonistce, a ona pozwoliła mi wejść. Usiadłam na widowni i czekałam. Było tam już kilku ludzi i jeszcze schodzili się następni. Aż w końcu pojawił się Nathaniel. Nie spojrzał na mnie. Poszedł na czoło sali i zaczął przemawiać. Wyszło więc na to, że jest terapeutą Strażników Wagi. Opowiadał o swoich doświadczeniach, o tym, jaki kiedyś był gruby. Rzekomo ważył sto osiemdziesiąt kilo. (Trudno uwierzyć.) W wyniku życiowej tragedii. Tragedii, która doprowadziła go do obżarstwa. Byłam ciekawa, co takiego spowodowało tę tragedię, ale nie wyjaśnił. Mówił inteligentnie i z wrażliwością. Wzruszająco. Przyszło mi na myśl, że byłby dobrym aktorem. Może zresztą nim był.

Po spotkaniu poszłam z nim na kolację. Dziwne to było, siedzieć naprzeciwko niego i patrzeć, jak je, kiedy się wiedziało o jego problemach z jedzeniem. Pewnie wyczuł moje skrępowanie, bo na samym początku posiłku uprzedził, że już się wyleczył z tych zaburzeń. Poprosiłam, żeby mi opowiedział o swojej tragedii.

- To nie było nic takiego, o czym myślisz - odparł. - Żaden romans ani nic związanego z rodziną, tylko sprawy biznesowe.

- Sprawy biznesowe... - zadumałam się. - Nie wyobrażam sobie, z którym z twoich czterech biznesów mogło to być związane. No chyba że uprawiasz jeszcze jakiś inny biznes.

- No cóż, wolałbym się w to nie zagłębiać, poczułbym się skrepowany.

Już do końca kolacji rozmawialiśmy o innych rzeczach.

Następnego dnia Damon i ja spacerowaliśmy po parku nad rzeką, w odległości kilku przecznic od parku, w którym zostałam napadnięta.

Wspólne wypadki z Nathanielem przypomniały mi o tym, jaki powinien być normalny człowiek: otwarty.

(Co wcale nie znaczy, że Nathaniel był jakoś straszliwie normalny, a jednak.) Miałam dosyć tej skrytości i tajemniczości Damona. Te cechy mnie obrażały. I to właśnie mu powiedziałam, kiedy przechadzaliśmy się wśród ławek i drzew. Wyjaśniłam, że mam problem z akceptacją jego „prywatności” i że wprawdzie dobrze się bawię w jego towarzystwie, niemniej nie widzę sensu w dalszym widywaniu się z nim, skoro on nie chce otworzyć się przede mną chociaż trochę.

- Nie chcesz mi nic powiedzieć ani o swojej rodzinie, ani o swojej przeszłości - dowodziłam. - Nieładnie, ale z tym mogę jeszcze się zgodzić. Na tym etapie przynajmniej. Nie mogę natomiast znieść, że nie chcesz mi opowiedzieć o swojej pracy. Z tym już się posuwasz za daleko, nie uważasz? Nie możesz trzymać wszystkiego w tajemnicy! Powiedziałeś mi, że zajmujesz się pogodą. Więc może po prostu opracowujesz prognozy pogody czy coś podobnego. Co w tym niesamowitego? Chcę powiedzieć, że zrozumiałabym twoją skrytość, gdybyś był striptizerem albo terapeutą odchudzających się grubasów, albo choćby.. no sama nie wiem... ekspertem savoir vivre'u. Ale pogoda? Nie ma powodu, naprawdę nie ma takiego powodu, dla którego musiałbyś aż tak bardzo się wzbraniać przed opowiedzeniem o swojej pracy. I dlatego właśnie tracę już cierpliwość. - Odsapnęłam i odwróciłam głowę.

Damon sięgnął do swojej torby i wyjął z niej prezent.

Wręczył mi go: było to pudełko, długości mniej więcej czterech cali, elegancko opakowane w niebieski papier i przewiązane różową wstążeczką.

- Co to jest? - spytałam.

- To dla ciebie. Rozpakuj.

- Nie - odparłam. - Ja chcę cię poznać, a nie dostawać jakieś przedmioty w ramach substytutu.

- To nie jest nic materialnego.

Mimo że ledwie przyjąłem do wiadomości tę odpowiedź, to jednak odruchowo się zastanowiłam, czy tym prezentem przypadkiem nie jest wiersz. Czy wiersze są materialne?

- Ale ja i tak chcę wiedzieć, czym się dokładnie zajmujesz, Damon - powiedziałam.

- No to rozpakuj prezent - powtórzył.

Rozdrażniona rozpakowałam paczuszkę i zajrzałam do środka. Z początku wydało mi się, że tam nic nie ma. Po chwili jednak zobaczyłam, że tam właśnie jest nic: do tego stopnia nic, że nawet nie było widać dna pudełka. A w każdym razie ja go nie widziałam. Było zamazane, mgliste.

Popatrzyłam na Damona.

- Wyjmij to - powiedział.

- Co wyjąć? Tam nic nie ma.

- No już, wyjmij.

- Ja tam nic nie widzę - warknęłam na niego. - Nawet dna pudełka.

- Wyjmij to, co ci przesłania widzenie.

Wytrzeszczyłam oczy.

- Po prostu wygarnij to palcami - dodał.

Z poczuciem, że robi mnie w balona, usłuchałam go: wyjęłam z pudełka mgłę. A właściwie coś, co było gęstsze od mgły i wcale się nie rozeszło. Taka jakby maleńka, biała chmurka. Osiadła na mojej dłoni, a ja nawet jej nie czułam; nie była dostatecznie materialna, dostatecznie konkretna. Opuściłam dłoń i chmurka po prostu zawisła w powietrzu, niczym tygodniowy balon urodzinowy, który stracił energię do unoszenia się w powietrzu, ale jeszcze nie zdechł na tyle, by opaść na ziemię.

Zajrzałam do pudełka, żeby sprawdzić, czy jest w nim coś jeszcze, coś jeszcze bardziej niesamowitego. Nie było nic. Tym razem zobaczyłam dno.

Znowu popatrzyłam na chmurkę, która unosiła się dwa czy trzy cale dalej, na lekkim wietrze wiejącym od rzeki.

Najpierw się zaniepokoiłam, czy przypadkiem nie ma w pobliżu jakichś ludzi, którzy mogliby ją zauważyć, taką kwitującą w powietrzu. Rozejrzałam się dookoła, ale nikogo nie namierzyłam.

- Co to jest? - spytałam w końcu.

- Moja kariera zawodowa.

No tak, o to właśnie go nagabywałam, co teraz, z perspektywy czasu, wydawało się czymś małostkowym i powodowanym uporem. Mimo to nie pożałowałam, że pytałam.

- Chciałaś wiedzieć, na czym polega moja praca - ciągnął. - Więc teraz już wiesz. Jak ci powiedziałem, jestem naukowcem i zajmuję się pogodą... a mówiąc ściślej, wodą. - Kaszlnął. - Odkryłem metodę wytwarzania niewielkich chmur. Mogłabyś nazwać je chmurowymi bonzai. Opracowuję różne odmiany i formacje, obecnie zresztą skupiam się na pewnym szczególnym projekcie.

Ale nie chcę cię tym zanudzać.

- Wcale się nie nudzę. Co to za projekt?

- Próbuję sprawić, by były bardziej materialne.

- Aż nie chce się wierzyć - stwierdziłam.

- Ale w który element? W to sprawianie, by były bardziej materialne, czy też...?

- Nie, chodzi mi o tę chmurę. I właściwie o wszystko inne też.

- Och, dziękuję ci! Cieszę się, że ci się podoba.

Przytaknęłam, czując się nadzwyczaj onieśmielona, sama nie wiedząc dlaczego.

- Mogę jej jeszcze raz dotknąć? - spytałam.

- Naturalnie. Możesz ją głaskać do woli, choć nie poczujesz wiele.

Właściwie to chętnie bym się dowiedział, co czujesz, bo na razie jesteś jedyną osobą, której pokazałem moją chmurę.

Zagapiłam się na niego z niedowierzaniem.

- Często się zastanawiam - kontynuował - czy wrażenia zmysłowe w związku z czymś równie niematerialnym różnią się w zależności od człowieka. Domyślałam się, że nie, ale zobaczmy.

Dotknęłam chmurki, a potem powoli przycisnęłam palce. Weszły w nią na głębokość zaledwie tak na oko połowy cala, ale z kolei popchnęły chmurkę. Potem schwyciłam ją obiema dłońmi i tym razem palce zatopiły się w niej bez wyczuwalnego oporu. W dotyku wcale nie była taka jak powietrze. Różnica wydawała się bardzo subtelna i nie bardzo bym potrafiła ją opisać.

Później jeszcze przecięłam chmurkę dłonią niczym toporkiem, a ona wcale się nie rozpadła, ledwie się dała naruszyć. Potem złączyłam dłonie wnętrzami, wsunęłam je w chmurkę i w samym środku rozłączyłam. Chmurka rozpadła się na połowy, które ponownie z sobą zlepiłam.

- Jest gęsta - zauważyłam. - Gęstsza niż prawdziwe chmury na niebie, jak sobie wyobrażam. Nie rozpada się. Pozostaje całością.

- Cieszę się, że zauważyłaś. Dążę do osiągnięcia jeszcze większej gęstości.

To właśnie wtedy wpadło mi do głowy pewne pytanie, pytanie, którego aż dziw, że nie zadałam wcześniej.

I które w tamtym momencie wydawało się już nieważne, bo odpowiedź była oczywista. Ale i tak postanowiłam je zadać.

- Robisz mnie w konia, prawda? To jakaś sztuczka?

- Nie, nie jestem magikiem - odparł.

Następnego dnia Damon wyjechał do swojego domu na wsi. Powiedział, że ma coś do zrobienia, ale wróci za tydzień. Pozwolił mi zatrzymać chmurkę.

Tęskniłam za nim. Autentycznie się zadurzyłam, więc podjęłam decyzję, że uwiodę go, kiedy się znowu zobaczymy.

Przez cały tydzień hołubiłam swoją chmurkę - była niemalże jak ulubione zwierzątko. Raz nawet nasiusiła mi do kieszeni wiatrówki. Czy raczej „napadała” mi do kieszeni.

Spotkałam się kilka razy z Nathanielem. Był czarujący, interesujący i zainteresowany mną, wierzę, że wręcz romantycznie. Niemniej myśli miałam zbyt pełne Damona, żebym potrafiła odwzajemnić jego zainteresowanie. Co jednak nie przeszkadzało nam w spędzaniu razem czasu. Znowu zagrał dla mnie na wiolonczeli, a kiedy zauważyłam, że w życiu nie poznałam kogoś obdarzonego tyloma talentami, zasępił się i odparł: - Poznałaś co najwyżej połowę.

- A jaka jest druga połowa? - spytałam.

- Być może nigdy się nie dowiesz.

Nie nalegałam, tylko pomyślałam w duchu, marzycielsko i snobistycznie: No cóż, cokolwiek to jest, jestem pewna, że nie da się porównać z tworzeniem chmur.

Nagle zadzwonił jego domofon. Zignorował to.

- Nie odbierzesz?

- Nie.

Jego ton był nieco burkliwy, więc nie sondowałam dalej.

Domofon zabrzączał ponownie, brzączał tak przez minutę i w końcu ucichł. Chwilę później coś uderzyło w jego okno. I zaraz potem znowu. Kamyki. Wyrzłałam na ulicę, dobrze widoczną z okna, bo mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. Zobaczyłam mężczyznę, chasyda w czarnym kapeluszu i z pejsami; patrzył na mnie z dołu i rzucał kamykami w okno. Mężczyzna był wyjątkowo urodziwy i wydawał się dziwnie znajomy.

- Chasyd szturmuje twoje okno.

Westchnął.

- To nie mężczyzna, to kobieta w przebraniu.

- Dlaczego jest w przebraniu?

- Żeby nikt jej nie rozpoznał. Jest sławna.

Raz jeszcze przyjrzałam się tej osobie, dostrzegając w niej teraz kobietę. Bardzo piękną kobietę. Nadal jednak nie potrafiłam jej rozpoznać.

- Mam wrażenie, że ją znam. Kto to jest?

- To Chriskate Turschicraw.

- Ta modelka?

- Tak.

Popatrzyłam raz jeszcze: kobieta faktycznie wyglądała dokładnie jak ona. Tylko jak to możliwe?

Czytałam artykuły o Chriskate Turschicraw. Była najslawniejszą, najlepiej opłacaną modelką na świecie.

Przez ostatnie kilka miesięcy doszło w związku z nią do serii dziwnych zdarzeń - ich podłożem było powstanie rozrastającego się kultu, którego wyznawcy orzekli, że ona jest bogiem. Wielbili ją, sporządzali kolekcje jej wywiadów i zdjęć, zabijali paparazzich, którzy ją nękali, a potem szli do więzienia na dożywocie za te morderstwa (tak się zdarzyło w dwóch przypadkach). Poświęcali się dla niej i mordowali tych członków sekty, którzy nie traktowali jej właściwie albo wywołali jej niezadowolenie. Jeden popełnił samobójstwo, bo kiedy któregoś razu szedł za nią po ulicy i dopytywał się, czy jej nie pomóc w niesieniu torby z zakupami, usłyszał: „Wkurzasz mnie”. Powiedział wtedy „Przepraszam” i zastrzelił się na jej oczach. Pamiętam, że kiedy usłyszałam tę historię w wiadomościach, strasznie się zdziwiłam, że ktoś potrafi być aż taki czuły i drażliwy; pamiętam, jak przyszło mi na myśl, że jednak lepiej mieć grubszą skórę.

- Dlaczego Chriskate Turschicraw próbuje przyciągnąć twoją uwagę? I dlaczego ty ją ignorujesz? - spytałam Nathaniela.

- Znam ją od dawna, jeszcze z czasów, zanim została modelką. Kocha się we mnie od lat, czy raczej jest zaślepiona na moim punkcie, być może nawet uległa obsesji.

Jakkolwiek chcesz to nazwać. Czasami jesteśmy przyjaciółmi, ale bywa też, że jej zacierzowanie utrudnia nam przyjaźń i przechodzimy okresy napięcia, właśnie tak jak teraz, kiedy potrzebuję oddechu, kiedy chcę być sam, a ona mi nie pozwala i zaczyna się pieklić. Powinienem cię ostrzec, że jest bardzo zazdrosna.

- A ciebie ona interesuje tylko w ramach przyjaźni?

- Ja jej nie kocham. Próbowałem ją pokochać, ale to się okazało niemożliwe, ona nie odpowiada moim gustom.

- Nie odpowiada twoim gustom? Co to znaczy?

- Nie jest dostatecznie piękna.

- Że jak?!

- To, co słyszysz. Mówię to szczerze.

- Przecież jest uważana za najpiękniejszą kobietę na świecie. Innymi słowy, jest arcypiękna.

- Ale nie dostatecznie.

- Czy w takim razie istnieją kobiety, które uważasz za piękniejsze?

- Nie.

- Mężczyźni?

- Nie.

- No to ja już nic nie rozumiem. Czy uroda to jedyna rzecz, dzięki której potrafisz zainteresować się kimś uczuciowo?

- Tak mi się wydawało przez całe życie. Ale już nie jestem tego taki pewien. Być może spotkałem wyjątek - powiedział, patrząc na mnie znacząco.

Postanowiłam nie pytać o ten wyjątek.

Rozmawialiśmy o Chriskate jeszcze pół godziny, a potem pożegnałam się z Nathanielem i wyszłam z jego mieszkania przekonana, że modelka już się poddała, ale myliłam się, bo napadła na mnie, gdy tylko pojawiłam się na ulicy. Z bliska była tak piękna, że aż zapierało dech.

- Ty jesteś kobietą, która jest teraz z Nathanielem, prawda? - spytała.

- Tak - odparłam z onieśmieleniem.

- Nathaniel wydaje się bardzo tobą zainteresowany.

Więc pewnie jesteś interesująca. Miałabyś ochotę napić się ze mną kawy?

- Och, nie wiem. Dlaczego chcesz pić ze mną kawę? - spytałam jak najbardziej zdawkowo.

- Bo moim zdaniem on się w tobie kocha. Pewnie jesteś jakąś nadzwyczajną osobą. Bardzo chcę cię poznać.

Proszę, tu blisko jest kawiarnia. Tylko na dziesięć minut. Chciałabym z tobą porozmawiać.

Tak więc poszliśmy tam.

- Kochasz go? - wypaliła, ledwie usiadłyśmy.

- W tej chwili nie.

- Kamień z serca. Bo ja go kocham, a on mnie nie kocha i nie wiem dlaczego. Za to kocha się w tobie.

Prawda?

- Nie wiem - odparłam, choć uważałam, że chyba tak jest.

- A wiesz może, co ty w sobie takiego masz, że on... tak wysoko cię ceni?

- Nie.

- To bardzo niedobrze. Chciałabym to wiedzieć.

Chciałabym przyjaźnić się z tobą przez jakiś czas. Możesz mi pomóc? Chciałabym przypatrzeć ci się z bliska - powiedziała, gdy tymczasem ja przyglądałam się jej twarzy.

Było w niej coś kruchego, niewinnego i czystego.

W czasopiśmie często odnotowywano fakt, że jej uroda zmusza, by ją lubić. Wystarczyło popatrzeć na jej twarz i od razu człowiek czuł wobec niej ciepłe uczucia, życzył jak najlepiej, nawet jeśli nigdy nie poznał jej osobiście.

Miała miękkie jasne włosy, a rysy jej twarzy były nadzwyczaj delikatne i doskonałe. Skończyła dwadzieścia trzy lata. Media nadały jej przydomek „Muszla”, po części za sprawą jej skrytości i niechęci do współpracy z nimi, po

części dlatego, że jej cera przywodziła na myśl subtelne różowobiałe maźnięcia we wnętrzu konchy. Był to powszechnie znany fakt, że ludzie mieli ochotę przyglądać się jej fotografiom dłużej niż fotografiom innych modelek. Uważano wręcz, że ma to terapeutyczny wpływ: działa relaksacyjnie i łagodzi ból.

Powstała nawet nowa forma terapii, w której ramach pacjentów zmuszano do skupiania się na różnych częściach jej twarzy uwiecznionej na fotografii. Musieli wpatrywać się kolejno w jej lewe oko, prawe oko, jedno z nozdrzy i fragmenty ust. Szczególnie kojące okazało się wpatrywanie w jej brwi.

- Mogę cię zabierać na wielkie przyjęcia, jeśli masz ochotę - zaproponowała. - Naprawdę kapitalne przyjęcia. Wierzę, że ubawiłabyś się i poznała mnóstwo ciekawych ludzi. A ja dzięki temu byłabym blisko ciebie: poznałabym cię i być może bym cię zrozumiała.

Zrobiło mi się jej żal.

- Nie jestem pewna, czy coś by z tego wyniknęło.

Ja nie mam w sobie nic niezwykłego, co mogłabyś wychwycić, by sobie pomóc.

- Coś być musi. Jestem tego pewna, nawet jeśli nie umiem się domyślić, co to takiego. Nathanielowi nie zależałoby na tobie tak bardzo, gdybyś nie miała w sobie czegoś, co wywarło na nim silne wrażenie. Nigdy na nikim mu specjalnie nie zależało, z wyjątkiem mnie odrobinę, w którymś momencie, bo uznał, że jestem ładna.

Ale wyraźnie interesuje się tobą bardziej niż mną wtedy.

Spaliście już z sobą?

- Widzisz, nie wiem, czy to jest taki dobry pomysł.

Bardzo mi przykro, że sytuacja nie jest taka, jak byś chciała, ale nie jestem pewna, czy powinniśmy mieszać się wzajem do naszych spraw.

- Ale przecież sama powiedziałaś, że go nie kochasz.

Czy nie chciałabyś się zaprzyjaźnić tak samo ze mną jak z nim? Widzisz, ja też jestem ciekawym człowiekiem.

Może nawet jeszcze ciekawszym niż on.

Rzeczywiście wydawała się dość interesującą osobą, nawet jeśli wyłącznie za sprawą tej swojej naiwnej bezczelności.

Najprawdopodobniej koniecznie chcąc, żebym ją poznała, przegnała mnie po swoim dzieciństwie, rodzinie, życiu. Starła się być czarująca i była. Zadała mi kilka pytań o moje życie: odpowiadałam niechętnie, nie zdradzając wiele, a ona reagowała z zainteresowaniem, dociekliwością, wręcz inteligentnie. Kiedy spytała, czym się trudnię, przyznałam się, że próbuję zostać aktorką.

Powiedziała, że następnego wieczoru organizowane jest przyjęcie z udziałem ludzi filmu, i spytała, czy zechcę na nie pójść razem z nią. Miało to być niewielkie, prywatne przyjęcie z okazji jakiegoś wspaniałego filmu, który lada chwila wchodził na ekrany, i była na nie zaproszona cała obsada. Powiedziała, że to może być dla mnie znakomita okazja.

Musiałam przyznać, że zabrzmiało to nadzwyczaj kusząco: przyjęcie zapowiadało się na bardziej podniecające niż wszystkie, w jakich kiedykolwiek uczestniczyłam.

Uznałam, że byłoby to otwarciem się na świat, z którym nigdy wcześniej nie spodziewałam się mieć kontaktu, zanim dostanę pierwszą rolę w filmie. Niemniej poczułam się winna, że przyjmuję zaproszenie, bo wiedziałam, że nie będę w stanie jej pomóc, że ona nie znajdzie we mnie niczego takiego, czym mogłaby wytłumaczyć zainteresowanie Nathaniela moją osobą.

Podzieliłam się z nią tymi myślami, na co ona stwierdziła, że to nieważne, że i tak będzie wdzięczna, jeśli pójdę z nią na to przyjęcie. Więc się zgodziłam, choć z nieczystym sumieniem.

Na przyjęciu mężczyźni jej nie odstępowali, podczas gdy ona nie odstępowała mnie.

Opowiedziała mi o swoich uczuciach do Nathaniela.

Wyznała, że uważa go za niesamowitego człowieka, że jej zdaniem jest nie tylko niesamowicie przystojny i czarujący, ale także piekielnie inteligentny:

był najbardziej inteligentną osobą, jaką знаła, a przy tym jakże niezależnie myślącą i taką opiekuńczą. A te jego kompozycje na wiolonczelę! Oszalamiające. To są wyznania, pretensje, ekspresja gniewu, powiedziała. Osobiście tak o nich nie myślałam, ale kiedy o nich mówiła, przemknęło mi przez głowę, że jej opis wcale nie jest aż taki nietrafiony.

- A co powiesz na te jego rozbieranki z Chippendalesami i pracę u Strażników Wagi? - spytałam.

- Dzięki tym zajęciom jest jeszcze doskonalszy, bo tworzą taki tajemniczy kontrast na tle jego bogatej osobowości i geniuszu.

Dobrze się bawiłam na tym przyjęciu. Chriskate była czarująca i starała się mnie sobie zjednać, niemalże zalecając się do mnie jak kochanka, tylko dlatego, że chciała przyjrzeć mi się z bliska, zgłębić, ocenić. Nie odstępowała mnie na krok, bo chciała „się uczyć” - jej słowa.

Zarzucała mnie pytaniami. Stwierdziłam, że jest w tym coś groteskowego: to arcypiękne stworzenie, które siedzi przede mną i zastanawia się, czemu jest ułomne. Wokół niej krążył rój mężczyzn, a tymczasem ona obserwowała mnie, idiotka, biedaczka.

Sama przy niej czułam się brzydka i ułomna, choć starałam się być silna i beztroska. Ani jeden mężczyzna nie zwrócił na mnie uwagi, a mimo to było mi żal Chriskate.

Świat jest niesprawiedliwy: oto najpiękniejsza z istot nie może zdobyć tego, którego kocha, bo on kocha takie byle co, takie wcielenie pospolitości jak ja. A potem dotarło do mnie, że to rozumowanie jest niedorzeczne i że byłoby niesprawiedliwe, gdyby tylko pięknych ludzi darzono miłością (jak zresztą często się dzieje).

W końcu stwierdziłam, że bardziej się przydam Chriskate, jeśli postaram się wybić jej z głowy obsesję na punkcie Nathaniela. Próbowałam ją nakłonić, by zobaczyła, że jest tam mnóstwo innych mężczyzn, wręcz lepszych mężczyzn. Powiedziałam, że powinna o nim zapomnieć, więcej się z nim nie kontaktować.

- Żebyś ty mogła go mieć? - spytała, nagle podejrzliwa.

- Nie, zresztą i tak kocham innego. A skoro już mowa o mężczyznach, którzy fascynują bardziej niż Nathaniel, wiedz, że mężczyzna, w którym jestem zakochana, robi sto razy większe wrażenie.

- Jesteś obłąkana. Z całą pewnością nie posiada ani takiego talentu, ani takiego geniuszu jak Nathaniel.

- Czyżby? - Zaprowadziłam Chriskate do łazienki i zamknęłam się tam z nią. Wyjęłam z torebki chmurkę. - A tego nie nazwiesz talentem?

Była odpowiednio zdumiona.

Zamierzałam utrzymywać chmurkę w tajemnicy, mimo że Damon wcale mnie o to nie prosił, ale nie potrafiłam się oprzeć, by nie pokazać jej Chriskate. Schowałam chmurkę z powrotem do torebki i kiedy wychodziłyśmy z łazienki, spytałam: - Czy to zrobiło na tobie dostateczne wrażenie?

Z miejsca zakręciło się przy niej trzech mężczyzn, którzy uśmiechali się, całowali ją po policzkach, oferowali, że przyniosą jej drinka.

- To jest coś niewiarygodnego - odparła, oganiając się od swych wielbicieli.

- Mężczyzna, w którym jestem zakochana - ciągnęłam - wynalazł metodę na tworzenie niewielkich chmur. Powiedziałabym, że ten wynalazek zasługuje na co najmniej równe noty jak kompozycje na wiolonczelę Nathaniela, nie uważasz?

- Gdzie tam, nie dostaje im nawet do pięt - stwierdziła. - Ta chmurka to śliczne cacko: piękny naukowy bajer, ale mnie on nie porusza. Nie przemawia do mnie.

To nie jest sztuka.

- Moim zdaniem to jest sztuka.

- Nauka nie może być sztuką. To sprzeczność sama w sobie.

Obstąpili ją kolejni dwaj mężczyźni, w tym gwiazda filmu, z okazji którego wydano to przyjęcie.

Zapewne stereotypy krążące na temat modelek sprawiły, że dziwnie mi było słuchać modelki, która przemawia w ten sposób.

- Być może - powiedziałam. - Ale z kolei jeśli nauka nie jest sztuką, to znaczy, że jest czymś więcej niż sztuką.

Rozmawialiśmy o innych rzeczach jeszcze przez kilka minut, przy czym Chriskate znowu zaczęła mi się przyglądać. Znienacka zaczęła sprawiać wrażenie zestresowanej i rozdrażnionej.

- Chodź ze mną - rozkazała.

Podeszła prędko do frontowych drzwi z twarzą ukrytą w dłoniach, a ja za nią. Ludzie przyglądali się jej, jak wychodzi z mieszkania.

Na korytarzu oprócz nas nie było nikogo. Płakała.

- W porównaniu z Nathanielem wszyscy wydają mi się durni - oświadczyła, chodząc nerwowo tam i z powrotem. - Często przerzucam czasopisma w poszukiwaniu męskich modeli i wszyscy bez wyjątku wydają mi się durni.

- To czemu przyglądasz się modelom w poszukiwaniu źródła wysokiej inteligencji? Powinnaś chodzić do księgarń i oglądać podobizny pisarzy.

- Robię to. I jest tak samo. Wyglądają durnie. Kiedy idę po ulicy, nie spotykam nikogo, kto wydałby mi się równie mądry jak on. On ma taki inteligentny wyraz twarzy. Od razu się widzi, że musi mieć nadzwyczaj interesujące poglądy na życie, że na pewno myśli nadzwyczaj interesująco i oryginalnie. Zgadzasz się ze mną?

- Nieszczególnie. Twoja percepcja jest spaczona przez twoją miłość do niego. Tak właśnie działa miłość. Albo zaślepienie. Nie jesteś obiektywna. Myślę, że gdybyś zgodziła się przeżyć rok bez kontaktu z nim, byłabyś wyleczona. Zobaczyłabyś go takim, jakim jest: nikim wyjątkowym. Tobie się wydaje, że nie ma nikogo takiego jak on, i masz rację. I chociaż nie znajdziesz zapewne drugiego człowieka, który miałby takie same zalety jak on - bo nie ma dwóch ludzi takich samych - to jednak są jeszcze inni mężczyźni, którzy

posiadają inne zalety, bardziej niezwykle zalety.

Mimo że dobrze się bawiłam z Chriskate, czułam się nieco przytłoczona jej obsesją i musiałam zrobić sobie od niej przerwę. Tak więc odtrąciłam ją, kiedy zaproponowała, abyśmy następnego wieczoru zjadły razem kolację, i zamiast tego zjadłam kolację z moją rodziną, u nich w domu.

Podczas przyjęcia chmurka napadała mi do torebki, po tym, jak pokazałam ją Chriskate. Kiedy nad ranem wróciłam do domu, postanowiłam zrobić eksperyment i zamrozić tę wodę, aby nie dopuścić, by od razu przemieniła się w chmurę, i sprawdzić, co się stanie. RanS kiem woda przemieniła się w kostkę lodu, którą zabrałam z sobą do rodziców, bo nie potrafiłam znieść dłuższego rozstania z prezentem od Damona. Damona nie było już od tygodnia i bardzo za nim tęskniłam.

Wsadziłam kostkę do ich zamrażarki. Nie było tam innych kostek, na szczęście; nie istniało ryzyko, że jej nie rozpoznam, kiedy będzie czas iść do domu.

Rodzice, brat i ja siedzieliśmy w salonie i gawędziliśmy przed kolacją, relacjonując, co nam się ostatnio przydarzyło. Mój brat i ja nie widzieliśmy się od jakiegoś czasu, spytałam, jak mu leci w szkole. Był w kiepskim nastroju, nic go nie interesowało, nie wiedział, co zamierza robić w życiu, źle o sobie myślał. Kiedy go spytałam o stopnie, wyraźnie nie miał ochoty odpowiadać.

Upił łyk swojej coli i wymamrotał coś, gryząc przy tym lód, żeby nie dało się go zrozumieć. Zirytował mnie i nagle moja irytacja przeobraziła się w śmiertelne przeS rażenie; wstałam i wrzasnęłam: - Wypluj to! Przestań gryźć! Nie połykaj tego lodu!

- Dlaczego? - spytał.

- Wypluj to! Natychmiast! To nie tak, to nie jest lód, to nie jest woda, to niebezpieczne!

- Nie mogę, już go połknąłem. Co w nim niebezpiecznego?

- Nic.

Zdenerwowałam się, że moja chmurka - wprowadzona w stan paraliżu, niedołęstwa - została pożarta żywcem.

Brat popatrzył na mnie gniewnie, jakby się spodziewał jakiegoś wyjaśnienia.

- Chodzi o to, że to była moja kostka lodu - wyjaśniłam - kostka, którą przyniosłam sobie z domu i bynajmniej sobie nie życzyłam, abys ty ją jadł. To była moja kostka lodu.

Zwiesiłam głowę i okryłam się żałobą po chmurze topniejącej w jego żołądku. Zastanawiałam się, czy mogła mu zaszkodzić."Wręcz denerwowałam się tym. Bardziej nawet tym niż losem mojej chmury. A może nie mogła mu zaszkodzić. Może miała się stać częścią jego osoby i jakoś mu się przysłużyć.

Następnego wieczoru znowu zjadłam kolację z rodziną, bo nadal potrzebowałam przerwy od Chriskate i nawet od Nathaniela, a czułam się zbyt samotna, by jeść w pojedynkę. Nagle, w samym środku kolacji, brat puścił głośnego bąka: moja chmurka wyfrunęła z niego nietknięta i po chwili zawisła nieruchomo nad jego głową. Brat, który jeszcze jej nie zauważył, zerknął na nas wstydliwie.

- Przepraszam, zamyśliłem się - powiedział.

Widząc kierunek, w jakim pobiegły nasze spojrzenia, podniósł wzrok i zobaczył chmurkę. Ja tymczasem poderwałam się na równe nogi, nie posiadając się z radości, chwyciłam ją i schowałam do torebki.

- Chwila, chwila! - zawołał brat. - Oddaj mi to.

- Nie.

- A właśnie że tak. To mój bąk.

- Nie, należy do mnie.

- Co ty nie powiesz? A skąd to wiesz?

- Ktoś mi go dał w prezencie.

Popatrzył na rodziców.

- Wszyscy przy tym stole wiedzą, że to mój bąk. Słyszeli, jak go

puszczałem, i widzieli, jak ze mnie wylatywał.

- Dostyc tego. Uspokójcie się - skarcił nas ojciec.

- Kiedy ona ukradła mojego bąka! - Brat tupnął nogą i zrobił taką minę, jakby zbierało mu się na płacz. - Po raz pierwszy w życiu stworzyłem coś niezwykłego, więc powinienem mieć prawo to zachować. Albo przynajmniej zbadać, do jasnej cholery!

Szybko wyszłam stamtąd, przepraszając rodziców i obiecując, że zadzwonię później. Odetchnęłam z ulgą, bo brat nie próbował zabrać mi bąka siłą.

Następnego dnia zgodziłam się znowu spotkać z Chriskate. Zjadłyśmy lunch, ale tym razem spotkanie nie okazało się przyjemne. Była zbyt dociekliwa. Przyglądała mi się zbyt nachalnie, patrzyła na mnie zbyt badawczo. Robiła nawet notatki. I znowu do znudzenia zadawała te same pytania. I nie wierzyła w moje odpowiedzi.

- Co ty masz takiego w sobie, co tak bardzo podoba się Nathanielowi?

- Nie wiem.

- Musisz to wiedzieć. Na pewno ci powiedział.

. - Nie.

- Dlaczego nie chcesz się przyznać? Bo ci się wydaje, że to bezcelowe? Dlaczego nie pozwolisz, żebym ja to oceniła?

- Nie, nie miałabym oporów z powtórzeniem ci, gdyby coś takiego powiedział, ale niczego takiego nie kojarzę.

- Nie kojarzysz? To znaczy, że jednak mógł coś powiedzieć. To przecież oznacza, że nie masz pewności.

Może więc zechcesz zastanowić się głębiej?

- Kiedy ja już się zastanowiłam. I przysięgam, nie pamiętam. Jestem raczej pewna, że nigdy mi nie powiedział, co mu się we mnie podoba.

- Sądzisz, że tu chodzi o twój wygląd czy osobowość?

Czy raczej to kwestia inteligencji? Czy on uważa, że jesteś inteligentna?

- Nie wiem.

- Błagam cię, Anno, pomyśl.

Westchnęłam i odburknęłam:

- Myślę. Tylko dlaczego chcesz to wiedzieć?

Otworzyła szeroko oczy.

- Ach, więc nie chcesz mi powiedzieć, nie jest tak? Bo tobie się to nie podoba. Myślisz, że to by się na nic nie zdało. Ale obiecałaś, że mi powiesz. Zapewniłaś, że mi powiesz, jeśli będziesz wiedziała.

- Tak, powiem ci, jeśli będę wiedziała, nawet jeśli uważam, że to się na nic nie zda. Ale ci powiem.

- No to chociaż zgaduj. Jak myślisz, dlaczego on cię lubi?

- Nie wiem. Jestem ohydna w porównaniu z tobą.

Nie odnoszę sukcesów. Jestem początkującą aktorką, która w wolnym czasie nie jest nawet kelnerką: pracuję w punkcie ksero i przekłuwam uszy. Nie jestem wybitnie mądra, subtelna ani nawet zabawna. Być może jestem nieco dziwna, ale on tego we mnie nie zauważył.

Wybieraj.

- Jestem pewna, że masz zalety, które ukrywasz.

- Chciałabym.

- Nie, nie, na pewno je masz. Albo nie mówisz mi celowo, albo nie starasz się dostatecznie głęboko nad nimi zastanawiać. - Po czym z zadumą w głosie dodała: - Albo może uważasz je za coś oczywistego i nie dociera do ciebie, że je masz i że są ogromne.

Nic mogłam się doczekać końca tego lunchu. Nalegała, żebyśmy poszły gdzieś na drinka, by kontynuować poszukiwanie moich ukrytych zalet, ale odmówiłam i pożegnałam się. Nie chciała mnie puścić. Nie chciała się pożegnać. Więc zaczęłam odchodzić, a ona szła za mną, błagając, żebym wyjawiała swój sekret. W tym momencie rozpoznali ją jacyś reporterzy i zaczęli robić jej zdjęcia. Ona tymczasem atakowała mnie donośnym głosem:

- Co sprawia, że jesteś taka wyjątkowa? Czym się tak wyróżniasz? Co ty takiego robisz?

Zażenowana zaczęłam uciekać, a ona mnie goniła, a ją z kolei gonili reporterzy.

- Po prostu przyznaj się, co ty takiego robisz? - powtórzyła.

- Ja nic nie robię! - odkrzyknęłam. - Zostaw mnie w spokoju! Jestem, jaka jestem.

W końcu udało mi się jej pozbyć i zdyszana wróciłam do domu.

Nie byłam wyjątkowa, niczym się nie wyróżniałam.

Każdy, kto myślał inaczej, był obłąkany.

Po powrocie do domu wzięłam gorącą kąpiel, rozkoszując się przy tym ciszą. Rzadko zdarzało mi się tak rozkoszować ciszą.

W głowie miałam tylko jedno: kiedy wróci Damon.

Strasznie chciałam znowu go zobaczyć. Strasznie chciałam, żeby zabrał mnie od tego wariactwa do świata fantazji.

Wyszłam z wanny i wtedy jak raz zadzwonił. Doskonałe zakończenie doskonałej kąpieli.

- Wróciłem - powiedział.

- Bomba!

- Ale muszę znowu wyjechać.

- Kiedy?

- Za godzinę, dwie.

- Dokąd?

- W to samo miejsce.

- Dlaczego?

- Z tego samego powodu. Praca.

- Och. A kiedy wrócisz?

- Nie wrócę przez jakiś czas. Za dwa, trzy tygodnie być może.

- Och. - Byłam załamana i rozczarowana. Nic nie powiedziałam.

- Ale może chciałabyś dziś wieczorem zjeść ze mną kolację na wsi? - zapytał. - Moglibyśmy pojechać razem. Choć zdaję sobie sprawę, że trochę późno cię zawiadamiam.

Przyjęłam zaproszenie bez wahania. Spytał, czy zdążę się przygotować przez dwie godziny, i poradził, żebym zabrała z sobą jakieś rzeczy, na wypadek gdybym chciała przedłużyć pobyt.

W trakcie pakowania się odruchowo wróciłam myślami do planu przejęcia inicjatywy podczas naszego następnego spotkania. Postanowiłam, że tym razem go zrealizuję. Po kolacji postaram się go pocałować, a jeśli on zareaguje (a) spoliczkowaniem mnie, jak zrobił to z kobietą w nocnym klubie, lub choćby tylko (b) delikatnym daniem mi kosza, to wyjadę. Wrócę do domu pociągiem. Albo taksówką, jeśli będę musiała. Ale - chmury nie chmury - wtedy wszystko skończone.

Zadzwoiłam na dworzec, żeby się dowiedzieć, o której odjeżdża ostatni pociąg do miasta ze stacji w pobliżu jego domu: o zero czterdzieści, powiedzieli. To znaczyło, że do północy któreś z nas będzie musiało wykonać pierwszy ruch. Jeśli nie Damon, to ja.

PIĄTY

Podróż była miła i bez zdarzeń. Damon pytał o moje życie towarzyskie, o znajomych. Nie opowiedziałam mu o Chriskate Turschicraw ani o lunchu z nią. Wyznałam tylko, że miałam paskudny dzień i że wolę o nim zapomnieć. Po godzinie z okładem wjechaliśmy na jego drogę dojazdową, długą, ubitą wijącą się przez las. Dom był duży, stał na niewielkim wzniesieniu. Do frontowych drzwi prowadziło kilka stopni.

Chwycił nasze bagaże, po czym poprosił, żebym wyjęła z bagażnika małą torbę. Wyczułam, że za jego prośbą kryje się zamiar przytrzymania mnie, by dzięki temu on mógł wejść do domu jako pierwszy, bo gdy tylko zajęłam się wyciąganiem torby, wbiegł na schody i zniknął w środku, zostawiwszy frontowe drzwi otwarte. Może chciał sprawdzić, czy wewnątrz prezentuje się należycie,

zapalić światła, czy cokolwiek.

Kilka chwil później powoli weszłam za nim i znalazłam się sama w niewielkim przedsionku. Nadzwyczaj małym, jak na taki duży dom. Był to w istocie pokój zabudowany z wszystkich stron, z drzwiami prowadzącymi dalej. Pod jedną ze ścian stało krzesło i nie mogłam się zdecydować, czy powinnam na nim usiąść, czy raczej zapukać do tych drzwi albo zwyczajnie je otworzyć.

Czułam się jak jakaś sfrustrowana Alicja z Krainy Czarów, bo brakowało napisów; wydawało mi się, że jeśli na krześle nie będzie napisu „Usiądź na mnie”, to w takim razie na drzwiach powinien widnieć napis „Zapukaj do mnie”. Albo na odwrót. Już miałam zapukać, kiedy Damon sam otworzył drzwi i stanął na progu. Za jego plecami roztaczał się zdumiewający widok.

Damon przyglądał mi się z wielkim napięciem, obserwując moją reakcję i jednocześnie uśmiechając się nieśmiało, wręcz wstydliwie. Wydawał się szczęśliwy i ożywiony, wręcz tryskał witalnością. Ja ze swojej strony pobladałam, przynajmniej wewnątrz, i jestem pewna, że zewnątrz również.

Za plecami Damona znajdował się ogromny pokój, skąpo umeblowany; te nieliczne sprzęty, jakie udało mi się dojrzeć, wyglądały na skonstruowane z marmuru i szkła. Tym jednak, co przede wszystkim rzucało się w oczy - bardzo mocno, pozwolę sobie zaznaczyć - jako coś nadzwyczaj frapującego wizualnie, były unoszące się w pokoju chmury. Wielkie chmurzyska. Na oko się dem. Jedna unosiła się z lewej strony Damona, na wysokości jego ramienia. Inna, nieco dalej, była większa ode mnie.

Damon odsunął się na bok, żeby dać mi przejść, ale nie ruszyłam się z miejsca.

- To trochę niepokojące - wyjaśniłam. - Nie ostrzegłeś mnie.

- Och, przepraszam. Czujesz się nieswojo? Nie przewidziałem takiej reakcji - powiedział, odtrącając najbliższą chmurę machnięciami ręki niczym palacz, do którego dotarło, że jego dym przeszkadza drugiej osobie. - Nie uprzedziłem cię, bo chciałem ci zrobić niespodziankę. Miłą niespodziankę. Ale

wejdz. Nie bój się. Marmurowa posadzka odbijała echem moje kroki.

- Właśnie nad tym pracujesz w tym tygodniu? - spytałam.

- To znaczy?

- Robisz te wielkie chmury?

- Te chmury mam już od dawna. Rozmiar był pierwszym problemem, z jakim się uporałem: stanowił jądro mojego wynalazku. W tym tygodniu zajmowałem się innymi kwestiami.

Rozejrzałam się dookoła, wciąż spięta. Po prawej stronie stała kanapa obita niebieskim skajem, której nie zauważyłam od wejścia, pod ścianą zaś szklany zegar.

Wnętrze wyglądało jak wyjęte żywcem z obrazu Magritte'a. W jednym krańcu znajdowała się klatka schodowa - tam też zauważyłam chmurę, w połowie drogi na górę albo na dół; nie umiałabym powiedzieć, dokąd się wybierała, jeśli w ogóle dokądkolwiek. Jeszcze jedna lewitowała tuż przed oknem, sprawiając wrażenie, jakby nostalgicznie przez nie wyglądała. Czubek jeszcze jednej wystawał zza kanapy. Dwie fruwały tuż pod sufitem.

Jedne były bardzo białe i gęste jak bawełna, inne luźniej utkane i przezroczyste. W tamtym momencie wszystkie tkwiły we względnym bezruchu. Nie znam nazw poszczególnych odmian chmur, ale jedna, jakby sprężysta i włóknista, wydawała się cokolwiek niezdrowa (chmury tego typu na niebie wyglądają na majestatycznie pierzaste, ale na to wychodzi, że w domu już nie bardzo).

Prawie wszystkie pozostałe były tłusciutkie jak porządnie nakarmione rekiny.

W pewnym momencie usłyszałam jakiś dziwny dźwięk, a właściwie muzykę; dobiegała z wielkiego przedmiotu czy raczej rzeźby stojącej w kącie. Przy bliższym zbadaniu okazało się, że to chyba fontanna tryskająca kroplami wody na różne powierzchnie, co z kolei powodowało powstawanie różnych nut o eterycznym, niezemskim brzmieniu. Nuty te nie rodziły się na chybił trafił;

bez cienia wątpliwości współtworzyły melodię. Instrument został prawdopodobnie zaprogramowany, niczym jakieś mechaniczne pianino.

Nie zdążyłam jednak spytać o tę muzyczną fontannę, bo Damon powiedział, że chciałby mnie przewieźć łódką po stawie, dopóki jest widno. Poszliśmy więc nad staw.

Damon był piękny, kiedy tak wiosłował w późnym, popołudniowym świetle. I spokojny. I ani trochę nerwowy jak na kogoś, kto - bardzo na to liczyłam - miał zaraz wykonać swój pierwszy ruch. Jego koszulka była przezroczysta, jak koszulka kogoś bardzo spoconego, tyle że on wcale się nie pocił. Pierś unosiła mu się od wysiłku wiosłowania, a mimo to oddychał całkiem bezgłośnie. Jego pełne wargi rozchyłały się lekko. W pewnym momencie spojrzał na mnie, taką wpatrzoną w niego; odwróciłam wzrok. A w każdym razie wydało mi się, że spojrzał na mnie tymi jasnobłękitnymi oczyma, ale nie byłam pewna, bo zasłaniały je włosy.

Wystawił twarz na wiatr i przymknął powieki. Wiatr zmiótł mu włosy na bok. A potem otwarcie wbił we mnie wzrok. A ja wbiłam wzrok w wiosło.

Pożałowałam, że sama nie mogę ukryć twarzy za zasłoną z włosów. I kiedy tak w skupieniu przyglądałam się wiosłu pokonującemu mętną przezroczystość, nagle połapałam się, że jest coś dziwnego, nie całkiem... realistycznego w wiosłowaniu Damona: nie towarzyszył mu żaden dźwięk. Nawet cichy plusk, kiedy pióra wchodziły w wodę. A przecież nie miałam kłopotów ze słuchem; z łódki słyszałam ćwierkanie ptaków w lesie. Gdyby Damon wiosłował powoli, ta cisza byłaby może jakoś bardziej wytłumaczalna, ale posuwaliśmy się prędko, a on wkładał dużo siły w swoje ruchy. Wiem, że być może zabrzmiałoby to jak jakiś banalny klekot, ale to było tak, jakby on i woda stanowili jedność, jakby znał ją tak dobrze jak siebie, jakby wiedział, jak ją dotykać, żeby jej nie zakłócić, żeby z nią nie walczyć.

Wciąż patrzył na mnie, a wtedy postanowiłam, że zamiast grzęznąć w zakłopotaniu, będę odważna. Spojrzałam na niego i już nie odwróciłam wzroku.

Po jakiejś chwili uśmiechnął się lekko. Odwzajemniłam się tym samym, ledwie dostrzegalnie, czując, że się rozluźniam.

Wcale nie było tak trudno.

Strasznie mi się nie podobała wizja niszczenia tej budzącej dreszcz, brzemiennej ciszy, ale nie potrafiłam się powstrzymać, by nie dać upustu tej mojej świeżo zrodzonej śmiałości.

- Wyglądasz jak duch - stwierdziłam.

- Dlaczego?

- Wiosłujesz tak cicho, bezdźwięcznie.

- Poznaj kiedyś coś naprawdę dobrze, a przekonasz się, że też nie będzie wydawało żadnego dźwięku.

Parsknęłam śmiechem, lekko rozczarowana bzdurnością tego oświadczenia.

- Nie śmiej się - powiedział. - To prawda. To, co znasz dobrze, milknie.

- To dotyczy wszystkiego?

- Tak.

- Nawet ludzi?

- To oczywiste, że najbardziej ludzi.

- Jakie to smutne.

- Wcale nie. A w twoim przypadku najbardziej interesujące jest to, że w odniesieniu do sztuki to też się sprawdza.

- Nawet w odniesieniu do muzyki? - spytałam, chcąc go złapać w pułapkę.

- Tak. Wielcy kompozytorzy robią bardzo mało hałasu swoją muzyką.

- Chcesz powiedzieć, że dobra muzyka jest minimalistyczna?

- Nie. Chcę powiedzieć, że dobra muzyka milczy.

- Żadnych nut?

- Ależ nie, jest oparta na nutach.

- Chcesz powiedzieć, że milczy w sensie metaforycznym.

- A także w dosłownym.
- W jaki sposób?
- Zlituj się, Anno, przecież wiesz, co chcę powiedzieć.

Utwór, niezależnie od tego, jak jest głośny czy ile nut zawiera, milczy, jeśli jest wspaniały: jest czysty, ważny, tworzy odrębną całość i nie wytwarza żadnego dźwięku.

- Wnoszę z tego, że nie lubisz muzyki - odparłam, ryzykując, że go wkurzę.

Przestał wiosłować i zbliżył się do mnie, pochylając się nisko niczym lew podchodzący zwierzynę, co być może stanowiło efekt niezamierzony; prawdopodobnie nie chciał, by łódka zaczęła się chybotać. Usiadł okrakiem na ławce, obok mnie.

- Bardzo lubię muzykę - powiedział cicho, tak blisko mojej twarzy, że czułam jego oddech na policzku. Przez jakąś chwilę patrzyliśmy na siebie. - Spójrz w górę - poprosił.

Podniosłam wzrok, gdy tymczasem on nie odrywał oczu ode mnie.

- Widzisz tam jakieś chmury? - spytał.

- Kilka.

- Podobają ci się?

- Tak - odparłam, patrząc znów na niego, zastanawiając się, czy przypadkiem nie chce przez to powiedzieć, że je także sam zrobił.

- Bardziej niż moje?

Znów spojrzałam na niebo i powiedziałam, że nie.

- Dlaczego nie?

- Twoje są w domu.

Na jego twarzy pojawił się chłód, jakby z rozczarowania. Już na mnie nie patrzył.

- I twoje chmury są bardziej materialne, gęstsze, przynajmniej niektóre, i bardziej też... puchate - dodałam prędko, gestykulując przy tym, by pokazać, jak

bardzo puszyste i bawełniaste wydały mi się jego chmury. - I ta ich ostra biel jest piękniejsza, bardziej nasycona.

Zaśmiał się, wierzę, że czule, wręcz z wdzięcznością.

- Dziękuję - powiedział.

Dopłynęliśmy do brzegu, a potem poszliśmy na spacer po lesie.

Wędrowaliśmy po lekko wyboistym terenie. Damon prowadził, rozsuwając gałęzie, ale nie pamiętał o tym, że mogą mnie bić po twarzy. Kilka razy jego cienka koszula i spodnie zahaczyły o ciernie i musiałam mu pomóc się wyplątać. Widziałam, że tutaj już nie jest w swoim żywiole, tak jak na stawie. Niebawem jednak dotarliśmy do jego żywiołu. Do rzeki. Usiedliśmy na jej brzegu.

Pierwsze ruchy to interesujący temat. Swego czasu pewien znajomy opowiadał mi, jak doszło do pierwszego ruchu między nim a jego dziewczyną: siedzieli razem na ławce i wyszło na to, że mniej krępujące będzie wykonanie pierwszego ruchu niż jego niewykonanie. Damon i ja siedzieliśmy na kamieniu - czekałam na ten ruch, dzięki któremu sytuacja stałaby się mniej krępująca. On jednak wyraźnie nie podzielał moich poglądów, bo ostatecznie do niczego nie doszło. Oczywiście mogłam sama coś zrobić, ale chciałam dać mu szansę stania się tym, kto robi to jako pierwszy. Wieczór jeszcze był młody i wciąż nie opuszczał mnie optymizm.

- Pewnie przywieźli już kolację - odezwał się po jakimś czasie.

Ruszyliśmy w stronę domu; do salonu weszliśmy przez rozsuwane szklane drzwi z tyłu domu. Damon prosto stamtąd powędrował do drugich drzwi. Otworzył zamek i przeszedł przez tamten koszmary przedsiónek, w którym czekałam na niego wcześniej. Na krześle i na podłodze, jak się po chwili okazało, czekała na nas kolacja, w dużych papierowych torbach, które Damon zaniósł do kuchni, obiecawszy, że zaraz wróci.

Nie przeszkadzało mi, że zostałam sama, bo mogłam się odprężyć i poczuć ośmielona po całym popołudniu spędzonym w jego intensywnej

obecności. Niewiele czynności w życiu jest równie męczących jak żywienie nadziei, że cię lubią. Czułam się jak usta, które zastygły w uprzejmym uśmiechu na tak długo, że aż zaczynają drgać z wyczerpania. Moje mięśnie wdzięku - gdziekolwiek były umiejscowione - przesywał ból.

Po całym popołudniu udawania klejnotu i celowania iskrami własnej doskonałości w serce, umysł i lędźwie Damona miałam wrażenie, że umrę, jeśli natychmiast nie przestanę.

Na wypadek gdyby nie było jasne, o jakich to iskrach geniuszu opowiadam, spieszę wyjaśnić, że w przypadku niektórych ludzi wysiłek bycia czarującymi polega na nierobieniu wielu rzeczy, które robiliby normalnie; innymi słowy, na dławieniu sporych fragmentów ich osobowości. Ja właśnie zaliczam się do takich ludzi, choć zdaję sobie sprawę, że wybór takiej drogi jest błędem.

Przynajmniej w moim przypadku chyba tak jest. Mam nadzieję, że tak jest. Ale jest to także kwestia instynktu.

Kiedy więc opowiadam o swoich iskrach, przeważnie mam na myśli zdławione słowa i gesty. Gdyby takie zjawisko istniało w ramach fizyki albo kosmologii - może zresztą istnieje - wyobrażam sobie, że jego nazwa mogłaby brzmieć na przykład: pozytywna absencja.

Krążyłam nerwowo po salonie i aż mnie swędziało, by dać upust brakowi zahamowań, zanim wróci Damon. Na początek zanuciłam *Góry tętnią dźwiękami muzyki*, rozkoszując się akustyką tego wnętrza, potem zanuciłam temat z *Podwójnego życia Weroniki* - obie melodie zawsze zaliczały się do moich ulubionych, gdy testowałam pogłos w jakimś surowym, nagim pomieszczeniu. Tak więc maszerowałam po okręgu, uderzając piętami o marmurową posadzkę i nucąc coraz głośniejsze.

Zdziwiłam się, że pogłos jest tam taki dobry, bo spodziewałam się, że chmury mogą zadziałać jak dywan, wchłaniając i niszcząc echo.

Wciąż jeszcze nakręcona, przejechałam palcami po siedzeniu kanapy,

żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest obita skajem. Była obita skajem, tego okropnego gatunku, co to przykleja się do skóry. Nieznacznie rozchyliłam wargi i mocno wytrzeszczyłam oczy, żeby potraktować kanapę dawką gapienia się, na jakie zasługiwała taka zenująca tkanina w tak pięknym wnętrzu. Przynajmniej był to szorstki, wytłaczany skaj, więc się tak nie świecił. Przejechałam po nim paznokciami, wytwarzając złowieszcze skrzypienie. Kontynuowałam czynność nieco dłużej niż należało.

Kiedy już znudziłam się kanapą, przenieśliłam uwagę na kolejny fascynujący obiekt (pomijając chmury, których nie chciałam uszkodzić ani rozgonić), czyli na muzyczną fontannę. Wsadziłam palec pod jedną z kropel, by ją zatrzymać. Zgodnie ze swoimi podejrzeniami zrobiłam dziurę w melodii. Obejrzałam kroplę, która drżała na moim palcu, krucha i słaba jak lza, po czym roztarłam ją sobie na szyi jak perfumy.

- Poetycki koniec dla kropli muzyki - powiedział Damon, który przyglądał mi się z progu. - Na dworze czeka kolacja.

Wyszłam za nim na taras, starając się pocieszyć myślą, że lepiej dać się przyłapać na chwytaniu jednej z jego kropli niż na używaniu jego kanapy w charakterze osełki.

Na tarasie stał stolik nakryty na dwie osoby. Jedzenie zostało zamówione w pobliskiej restauracji; poinformował mnie, że często tak robi. To bardzo dobra restauracja, stwierdziłam po przełknięciu pierwszego kęsa.

Wcale mi się nie podobało, że on mi się tak bardzo podoba. To mnie przerażało. Nie chciałam się znajdować na tak nieuprzywilejowanej pozycji. Nie byłam w nastroju, by cierpieć z miłości, tego najbardziej frywolnego, a jednak najpotężniejszego źródła cierpienia.

Wlepiłam wzrok w Damona, starając się znaleźć w nim jakieś wady, szukając skazy na jego twarzy. Szkopuł jednak tkwił w tym, że on miał wygląd modela. Próbowałam sobie wmówić, że to mnie odpycha.

Dla niektórych kobiet to jest odpychające. Nie potrafiłam pojąć, dlaczego

nie dla mnie: ten typowy, czarujący uśmiech. Taki... typowy w przypadku superprzystojnych mężczyzn.

Tak więc płaszczyzna fizyczna na nic się nie przydała. Może więc będę miała więcej szczęścia na intelektualnej.

Na przykład: dobra muzyka nie wydaje dźwięku. Co za głupoty. Niby głupoty, a jednak coś w nich było.

Może tak więc jego nawyki. O tak, nawyki to rzecz, której warto się ucześcić. Szukałam. Te jego były takie...

Właściwie to doskonale.

Tylko się nie poddawaj. Musi być gdzieś jakiś feler.

No, przyłóż się. Wstrzymałam oddech, napięłam całe mnóstwo mięśni i wpatrzyłam się w niego z taką siłą, że aż poczułam, jak oczy wyskakują mi z orbit.

- Coś się stało? - zapytał dokładnie w chwili, gdy znalazłam to, czego szukałam.

- Nie.

- Dziwnie się zaczerwieniłaś.

- Jakoś nie czuję się zaczerwieniona.

Oto, co znalazłam: lekkie wybrzuszenie w linii szczęki, po obu stronach żuchwy, które powstawało, kiedy coś gryzł. Ucześciłam się tego wybrzuszenia, jakbym walczyła o życie, jakby to była boja ratunkowa. Tyle że była to bardzo licha boja, boja, dzięki której mogłam utrzymać się na powierzchni tylko wtedy, gdy on coś gryzł; wystarczyło, że napłynęła najłżejsza fala, w postaci któregoś ze zwyczajnie czarujących albo zaskakujących komentarzy Damona, i wtedy szłam na dno, razem z boją. I pojawiały się też inne fale, takie jak fakt, że każdemu człowiekowi robi się coś takiego ze szczęką podczas przeżuwania. Walczyłam z falą: nawet jeśli szczęki wszystkich ludzi to robią, nie znaczy to wcale, że to nie jest odpychające. Przywarłam do boi.

Niestety, ani ona, ani ja nie stanowiłyśmy godnych go przeciwników. Był

po prostu cudowny, pod każdym względem. Przynajmniej w moich oczach.

Przed deserem zdążyłam zmarznąć.

Schowaliśmy się do domu, a tam usiedliśmy przy jednym krańcu stołu z długim, szklanym blatem i zjedliśmy pływającą wyspę. Deser, o którym nigdy nie słyszałam i którego nigdy nie widziałam; była to wielka salaterka wypełniona ciepłym, płynnym kremem z mleka i żółtek z unoszącymi się kleksami piany z ubitych białek. Damon nałożył nam obojgu, po czym odstawił salaterkę na bok.

Jedliśmy powoli, zabawiając się rozmową; zapaliłam i zauważyłam bezwiednie, że moje papierosy chyba jeszcze nigdy nie dymiły tak obficie. Nasza rozmowa niesamowicie mnie pochłonęła i dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, że ledwie widzę twarz Damona za kłębam dymu. Zjawisko to rzucało się w oczy coraz bardziej; uznałam, że to coś nadzwyczaj osobliwego, i byłam zmuszona się zastanowić, co jest nie tak z moim papierosem. Już miałam wygłosić jakąś uwagę na ten temat, kiedy do mnie dotarło, że papieros przyczynia się do tego efektu jedynie w nieznacznym stopniu. Nie siedzieliśmy w chmurze dymu, tylko w chmurze i kropka. Widocznie napłynęła na nas. Przerwałam rozmowę, zwięźle wyrażając zachwyt.

Damon przytaknął powoli, z uśmiechem, i na powrót zaczęliśmy rozmawiać, skąpani w tej tajemniczej, mglistej atmosferze, która wyposażała każde nasze słowo w głębię i doskonałość. Albo tak mi się wydawało.

Nagle moją uwagę przykuło terkotanie rozbrzmiewające z salaterki z deserem. Krople Bóg wie czego, Bóg wie skąd, kapały prosto do kremu. Pływająca wyspa z białek tonęła pod ciężarem, jak się niebawem zorientowałam, kropel deszczu. Zrobiło mi się nieswojo, kiedy tak na to patrzyłam.

- Nie chciałabym ci przerywać - powiedziałam w końcu - ale na deser pada deszcz. I zatapia go.

Damon pochylił się nad salaterką.

- A rzeczywiście - stwierdził. Nakrył salaterkę talerzem.

Krople zaczęły padać również na mnie.

- Na to wygląda, że deszcz jest amatorem deserów - zauważył. - Przykryć też twój talerz? Czy po prostu uciekniemy od deszczu i pójdziemy na spacer po lesie?

Pogoda pod dachem jest dzisiaj gorsza niż na dworze.

Jest taka część lasu, której jeszcze nie widziałaś. Zachowałem ją na po kolacji, bo nocą prezentuje się szczególnie ładnie. Dam ci ciepły płaszcz.

Otworzył szafę i wyjął stamtąd wielki płaszcz.

- Od lat go nie wkładałem. Nie noszę już nieprzezroczystych ubrań. - Powiedział to tym samym kategorycznym tonem, z tym samym całkowicie usprawiedliwionym przeświadczeniem o własnej racji jak ludzie, którzy mawiają: „Ja już nie noszę futer”.

Do lasu weszliśmy od drugiej strony domu, ale tym razem nie przedzieraliśmy się na oślep przez nie wydeptane zarośla; szliśmy idealnie wytyczoną ścieżką utworzoną z kamieni, kęp trawy i mchu, z kwiatami rosnącymi na skraju. Drogę oświetlały lampiony zawieszane w regularnych odstępach na gałęziach drzew. Mijaliśmy ławki z kutego żelaza, jedne pomalowane na czarno, inne na biało.

Dotarliśmy do niewielkiej polany, usiedliśmy tam na białej ławce. Wsłuchiwaaliśmy się w cykanie świerszczy i szelest liści. Owinęłam się szczelniej płaszczem. I czekałam. Odchyliłam głowę w tył. On też. Nie widzieliśmy gwiazd, bo blisko nas świecił lampion. Damon wstał i zgasił go. Siedzieliśmy teraz po ciemku i gwiazdy świeciły bardzo jasno. Przepęniało mnie po trosze zdenerwowanie, a po trosze optymizm - spodziewałam się, że on lada chwila odwróci się w moją stronę i wykona swój pierwszy ruch. Przecież tak jakby musiał. Po prostu wyszedłby na idiotę, gdyby tego nie zrobił.

Mijał czas. Za żadne skarby świata nie potrafiłam się domyślić, do czego on zmierza, tak tam siedząc i nic nie robiąc. Postanowiłam, że sama nie zrobię

nic, by uczynić sytuację mniej krępującą; jeśli zamierzał się wymigać i niczego nie zrobić, to ja nie mogłam mu tego ułatwiać.

Tak więc siedziałam, doskonale nieruchoma i sztywna.

Wszystko na nic. Dlatego westchnęłam w końcu ze zniecierpliwieniem, czy wręcz z irytacją.

- Coś ci jest? - spytał.

- Nie - odparłam potulnie.

Jeśli on nie uważał tej sytuacji za krępującą, to czemu ja miałabym?

Po jakimś kwadransie odwrócił się w moją stronę i powiedział:

- Miło było, prawda?

- Gdzie?

- Ten spacer po lesie i siedzenie tutaj.

- O tak.

Wstaliśmy i wróciliśmy do domu; ja w oszołomieniu. Spojrzałam na zegarek: jedenasta. Została mu godzina na pierwszy ruch i jeśli nie zamierzał go wykonać przed północą, to w takim razie inicjatywa należała do mnie - musiałam coś zrobić we właściwym momencie, by w zależności od osiągniętego skutku zdążyć na ostatni pociąg. Aż mi żołądek podskoczył z niepokoju, kiedy pojęłam, że będzie ze mną jak z Kopciuszkiem, tyle że na odwrót. Do północy zamiast uciekać, będę szarżować.

SZÓSTY

Aha, zapomniałem pokazać ci basen - powiedział, kiedy wróciliśmy ze spaceru. - I powinienem też oprowadzić cię po domu.

Basen został urządzony w piwnicy. Na pierwszy rzut oka całkiem standardowy, z całkiem standardowym wystrojem, tyle że pod jedną ścianą stał rząd gumowych kaczuszek, o najrozmaitszych kształtach, wielkościach i kolorach. Automatycznie przyszło mi do głowy pytanie, czy przypadkiem nie ma dzieci albo czy nie jest jakoś związany z dziećmi. Spytałam go o to.

- Nie - odparł lakonicznie.

Wybrał żółtą kaczkę i zaniósł ją do basenu, ściskając po drodze, przez co wydawała z siebie klasyczny, gumowokaczkowy pisk. Przykucnął, położył ją na wodzie i delikatnie popchnął. Zatonęła. Popatrzył na mnie, jakby się domagał jakiejś reakcji. Nie bardzo byłam pewna jakiej. Wciąż gapił się na mnie wyczekująco, być może się spodziewał, że zdębieję. No cóż, głupia sprawa, bo jednak nie zdębiałam. To prawda, gumowe kaczki zazwyczaj unoszą się na wodzie, ale co z tego, jeśli jedna z nich zatonęła? Co z tego, jeśli coś z nią było nie tak? Damon podniósł jeszcze jedną kaczkę i wręczył mi ją, nakazując gestem, abym sama ułożyła ją na wodzie.

Zrobiłam to i ta kaczka też zatonęła. Napięcie we wzroku Damona sprawiło, że nagle dotarła do mnie absurdalność całej sytuacji i zaniósłam się śmiechem.

- Okay - powiedziałam. - Poddaję się. Dlaczego te kaczki toną?

Zadałam to pytanie i wtedy jemu jakby ulżyło. Napięcie ustąpiło, ku mojemu zdziwieniu, na rzecz ni stąd, ni zowąd dobrodusznej obojętności.

Machnął lekceważąco ręką i odparł: - Och, kiedyś ci wyjaśnię.

Stwierdziłam, że nie dam mu tej satysfakcji i nie będę błagać, żeby wyjaśnił mi to teraz. Tak więc zignorowałam ukłucie rozdrażnienia i nic nie powiedziałam.

Wróciliśmy na górę i usiedliśmy obok siebie na skajowej kanapie. Szklany zegar stał tuż przed nami. Było już trzydzieści dwie po jedenastej.

Damon po raz kolejny zaczął mnie wypytywać o moje marzenia i pragnienia, co naturalnie przeniosło nas między innymi na temat aktorstwa. Nie wymieniłam jednak najnowszego i aktualnie dominującego pośród wszystkich przedmiotów moich pragnień, czyli jego samego.

- Jak ja bym chciał, żeby ta chwila trwała wiecznie - powiedział, ku mojemu zachwytowi, za pięć dwunasta.

- Przecież może - odparłam, z nadzieją, że to nie zabrzmiało zbyt śmiało.

- A jednak musi się skończyć - stwierdził żałobnym tonem i dodał: -

Pragnę zapamiętać spojrzenie, jakim na mnie patrzysz. Żałuję, że nie mogę go sfotografować, zrobiłbym to, gdybym nie czuł takiej odrazy do sztuki fotografii.

- Mogę znowu tak na ciebie popatrzeć.

- Przez wzgląd na ciebie mam nadzieję, że będziesz umiała, ale nawet jeśli będziesz umiała, twoje spojrzenie przeobrazi się w pustą skorupę, być może bardzo piękną, pozbawioną jednak twojego serca, pozbawioną szczerości.

- Nie rozumiem.

- Wiem. I żałuję, że tak nie może zostać.

- Mówisz samymi zagadkami.

- Wiem. I pozwól mi na to, jeszcze przez chwilę.

Popatrzył na mnie ze smutkiem.

- O czym myślisz? - spytałam.

- O alternatywie - odpowiedział powoli. - O jej doskonałości.

- Jakiej alternatywie? Wobec czego? Jesteś taki tajemniczy.

- Poprosiłem, żebyś mi... na to pozwoliła - niemalże wyszeptał.

- Powinnam cię ostrzec, że teraz to już oficjalnie wkraczasz na terytorium melodramatu. - Nie mogłam się powstrzymać, musiałam się z nim droczyć. Ale natychmiast poczułam się winna, bo zauważyłam, że on ma łzy w oczach.

Damon zignorował jednak moje ostrzeżenie przed grożącą nam sentymentalną szmirą i powiedział: - Ta chwila już nigdy więcej się nie powtórzy, z tą jej niewinnością, z tym egoizmem. Z prostotą i czystością.

Słodyczą. Już nigdy więcej tych otwartych drzwi, potencjału, nieznaney przyszłości. Wciąż jest możliwa każda droga, ale niebawem już tak nie będzie. Czy chciałabyś może powiedzieć mi coś ważnego?

- Może i bym chciała, ale to byłoby nieco przedwcześnie.

- Za to później będzie już za późno. Tak to już właśnie jest; po części dlatego, że taka jest kolej rzeczy, po części ze smutku. Ale to konieczne. I słuszne. - Urwał. - Jest tyle *rzeczy*, które chciałbym ci teraz powiedzieć, chciałbym cię zapewniać i uspokajać, mówić prawdę.

To by mi ułatwiło zadanie. Nie wolno mi jednak. Bo to by przyniosło przeciwny skutek. Niemniej czuję się nieco lepiej, powiedziawszy choć tyle.

- No cóż, ja nie czuję się lepiej.

Zaśmiał się. Ja też się zaśmiałam, mimo że ta jego tajemniczość wprawiała mnie w rozdrażnienie.

Przyjrzał mi się uważnie.

- Widzę, że już mi się wymykasz.

To oświadczenie mogłam wytłumaczyć jedynie tym, że wyczuł moją irytację.

- A jednak nie - ciągnął. - Oszukuję się. To tylko błąd cień tego, co będzie. - Westchnął i jego głos utracił nutę goryczy. - Długo rozmawialiśmy o twoich pragnieniach. Teraz ja ci opowiem o jednym z moich pragnień: to nadzieja, że jeśli któreś z twoich marzeń się spełni, ja odegram choć drobną rolę w ich realizacji.

Poczułam wzruszenie. Doskonały moment, żeby go pocałować. Ale właśnie w tym tkwił problem. Ten moment był zbyt doskonały, tak doskonały, że tylko bym się wygłupiła.

BIM, wybrzmiał powoli zegar. Pierwsze uderzenie oznaczające północ, które sprawiło, że moment stał się jeszcze doskonalej głupi na pocałunek. Dlatego, tytułem drobnej dywersji, spytałam: - Kiedy odjeżdża ostatni pociąg?

BAM, drugie, powolne uderzenie.

- Chyba nie myślisz o wyjeździe, prawda? Miałem nadzieję, że zostaniesz.

BIM.

- Nie wiem - mruknęłam, starając się wyglądać na zamyśloną. A potem spojrzałam na niego, udając, że poddałam się intymności tej chwili (BAM), i podałam się do przodu, żeby go pocałować.

Odsunął się, unikając pocałunku.

Uśmiechnęłam się blado, z zażenowaniem (BIM) i podniosłam się z

kanapy.

- No cóż, powinnam już - (BAM) - się zbierać - stwierdziłam, udawanie obojętnym tonem. Dramatyczne bicie zegara sprawiało, że sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna i zagmatwana. Nie wspominając już faktu, że było donośne, że zmuszało mnie do podniesienia głosu, że utrudniało mi zachowanie obojętnego tonu. - Zdaje się, że ostatni pociąg odchodzi o wpół do pierwszej - skłamałam, żeby uzyskać pewność, że się nie spóźnię na ostatni pociąg odchodzący za dwadzieścia pierwsza. - Zechcesz mnie od - (BIM) - wieźć na stację czy raczej mam zadzwonić po taksówkę?

Podeszłam do drzwi i kiedy już miałam podnieść swoją torbę, Damon ujął mnie (BAM) za rękę. Stałam twarzą do niego i czekałam, aż zrobi to, co sobie zamierzył. BIM. Ale on nic nie zrobił. BAM. Tylko wpatrywaliśmy się w siebie. Dopóki to nie stało się krępujące. Popatrzyłam na niego ze smutkiem, rozczarowaniem. BIM. Niemalże zrobiło mi się go żal. W tym momencie wydawał mi się żaloszny. Znów się odwróciłam, żeby podnieść torbę, tym razem ją podniosłam.

- Nie, Anno - (BAM) - nie rób tego - poprosił cicho.

Dałam mu jeszcze jedną szansę. Odczekałam kilka chwil, żeby sprawdzić, co robi, ale on nie zrobił nic, więc w końcu łagodnie powiedziałam: - To już się robi głupie, nie uważasz? Naprawdę powinnam iść.

Wyjął torbę z moich rąk, postawił ją z powrotem na podłodze i pociągnął mnie w stronę schodów.

- Co ty robisz? - spytałam z wahaniem, nie chcąc psuć tej romantycznej chwili, jeśli ta chwila była rzeczywiście romantyczna. Zaraz potem stwierdziłam, że nawet jeśli jest romantyczna, to jest też taka beznadziejna, taka ponieważ, że niewiele mogę zrobić, by ją popsuć, i że odtąd wszystko będzie się toczyć wyłącznie pod górkę.

- Uszczęśliwiam cię - odparł, prowadząc mnie schodami na górę.

- Nie jestem pewna, czy potrafisz.

- Będę stawał na głowie.

- I przy okazji strasznie unieszczęśliwisz siebie, czy tak?

- Tylko tyle mogę zrobić.

- Błagam, nie chcę, żebyś się zmuszał - powiedziałam. Oczywiście sarkastycznym tonem.

Nie odpowiedział, ale dalej ciągnął mnie na górę.

Trzymał mnie dość mocno za rękę, a mną zaczęło owładać niepokojące wrażenie, że być może nie uda mi się wyswobodzić, jeśli spróbuję.

- Chyba powinnam cię poinformować, że przemoc to nie najlepszy sposób, żeby mnie podniecić - oświadczyłam.

Nie zwolnił uścisku. Nie wyobrażałam sobie wcześniej, że nasza wyprawa do sypialni będzie miała taki przebieg.

- To bardzo nieromantyczne - warknęłam.

- Chodź - tylko tak brzmiała odpowiedź.

- Ja już nie chcę. Proszę, puść mnie. To, co robisz, jest odstręczające. Słyszysz mnie? - W duchu zaś pomyślałam: kto wie, nie jest to moje ulubione podejście, ale może się okazać owocne albo przynajmniej interesujące.

Doszliśmy do drzwi na końcu korytarza. Otworzył je i wtedy moje oczy natknęły się na dziwny, obcy widok.

Połowę przestrzeni tego wnętrza przecinały żelazne pręty, rozciągające się od podłogi do sufitu, które przeobrażały jego dalszą część w coś w rodzaju klatki.

Natychmiast się odwróciłam, próbując uciekać, ale Damon był wyraźnie przygotowany na taką reakcję.

Jego uścisk stał się bolesny; ciągnął mnie w stronę prętów. Wrzasnęłam na niego, żeby przestał, żeby mnie puścił. Kopałam, tłukłam pięściami, wbijałam w niego paznokcie, gdzie tylko mogłam. Rozdarłam to cienkie ubranie, rozchełstałam koszulę, od której odpadło kilka guzików. Wszystko jednak na próżno. Wrzucił mnie do celi i zatrzasnął drzwi.

Usiłowałam je otworzyć, ale jak się należało spodziewać, był w nich zamek zatraskowy.

- Przepraszam za to, co się właśnie stało - powiedział Damon, ciężko dysząc. - Jest mi strasznie z tego powodu.

- Wypuść mnie stąd! - krzyknęłam. - Dlaczego mnie uwięziłeś?

- Jestem lekko wstrząśnięty i ty też, więc może będzie lepiej, jeśli wrócę później, kiedy oboje się uspokoimy.

- Nie, nie zostawiaj mnie tutaj! Dlaczego to robisz?

Mów!

Przystanął przy drzwiach, jakby się zawahał.

- Teraz nie mogę - odparł. - Nie jestem w nastroju.

Oniemiała patrzyłam, jak wychodzi. Pozostawił drzwi do pokoju otwarte, ale nie do mojej celi. Ruszył w głąb korytarza i zniknął za drzwiami po lewej stronie.

Odwróciłam się i opadłam plecami na kraty, zaciskając na nich dłonie. Przez jakiś czas nie byłam w stanie się puścić, bałam się, że cela mnie wessie, wchłonie, stanie się moim władcą, pojemnikiem na mnie. Po czym dotarło do mnie, że tym właśnie jest.

Na półce na ścianie po mojej lewej ręce, na poziomie wzroku, stał rząd ekranów telewizyjnych. W sumie pięć.

W najdalszym lewym kącie stał normalny telewizor.

Tuż za nim były dwa okna z widokiem na ogród. W głębi celi zauważyłam odgałęzienie, ciągnące się jeszcze dalej, w prawo, ale z mojego miejsca nie widziałam, dokładnie dokąd. Ruszyłam przed siebie, z nadzieją, że jakimś cudem jest tam wyjście.

Na środku podłogi leżała kula do kręgli i młotek.

Zdumiałam się, ale bardziej interesowało mnie to odgałęzienie, które ku mojemu przygnębieniu okazało się tylko przedłużeniem więzienia, terenem bardziej prywatnym, z łóżkiem i nocnym stolikiem, na którym stały lampka i

budzik. Na widok tych swojskich sprzętów krew zastygła mi w żyłach; już goła więzienna cela byłaby dostatecznie straszna, za to cela wyłożona beżową wykładziną, wyposażona w niewątpliwie wygodne łóżko przerażała na śmierć. Staralam się nie dopuszczać do siebie żadnych teorii, co to wszystko naprawdę oznacza.

Po prawej stronie znajdowały się drzwi, za którymi z jeszcze większą paniką odkryłam przyjemną łazienkę.

Wróciłam do ekranów. Każdy pokazywał jakieś inne wnętrze. Rozpoznałam tylko salon (Damon ostatecznie nie oprowadził mnie po swoich włościach), ale uznałam, że pozostałe pomieszczenia też znajdują się w tym domu, bo we wszystkich unosiły się chmury.

Na jednym z ekranów zauważyłam jakiś ruch. To był Damon, chodził po sypialni. Obserwowałam go, dopóki nie padł na łóżko i nie ułożył się na wznak.

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego umieścił tu te ekrany razem ze mną i czy ja też jestem filmowana. Nie wypatrzyłam żadnych kamer na suficie.

Obróciłam się w stronę okien. Były pozamykane na zamki, ale nie zakratowane. Rozejrzałam się po celi w poszukiwaniu jakiegoś ciężkiego przedmiotu, którym mogłabym je rozbić. Skok z pierwszego piętra nie musiał być śmiertelny. Za to pobyt tutaj owszem.

Na nocnym stoliku stała lampka. Oraz budzik. A potem mój wzrok padł na kulę do kręgli i młotek, z których każde mogło przysłużyć się lepiej. Podniosłam młotek i zobaczyłam, że do trzonka umocowana jest kartka, na której odręcznym pismem napisano:

Droga Anno!

Oto młotek i kula do kręgli, których możesz użyć zamiast lampki albo budzika do rozbijania szyb. Muszę cię jednak uprzedzić, że w oknach są szyby z dźwiękoszczelnego i kuloodpornego szkła; nie próbuj ich rozbijać, bo tylko je porysujesz, odtąd na stałe ograniczając sobie przyjemność wyglądania na zewnątrz - to tak na wypadek, gdyby ci na czymś takim zależało.

„Damon”, podpisał się pod spodem. Tym razem, inaczej niż w pozbawionym wskazówek przedśionku, wczułam się znacznie lepiej w rolę doinformowanej Alicji z Krainy Czarów.

Z całej siły walnęłam młotkiem w pierwsze okno. Potem w drugie. I powtórzyłam jeszcze kilka razy.

Potem rzucałam w nie kulą do kręgli.

Udało mi się jedynie zarysować szyby. I narobić potwornego hałasu. Przez meble i ściany przebiegały wstrząsy.

Znowu chwyciłam za młotek, zdjęta paniką pod wpływem frazy: „Odtąd na stałe”. Przecież te słowa oznaczały coś więcej niż tylko kilka godzin. Prawdopodobnie nawet więcej niż dzień. Czyli właściwie ile? Jaką maksymalną ilość czasu mogły oznaczać te słowa?

Znieruchomiałam z młotkiem zastygłym w ręku, gapiąc się w przestrzeń i roztrząsając tę kwestię w myślach.

Młotek odbił się od framugi okna: „Odtąd na stałe” nie wykluczało „zawsze”

Po długim czasie przestałam walić młotkiem i rzucać kulą. Wiedziałam już, że nie rozbiję tych szyb. Upuściłam młotek i podeszłam do ekranów. Damon nadal leżał na łóżku, najwyraźniej nie przejmując się tym rabanem. Zapewne się go spodziewał.

No tak... Damon okazał się psychopatą. Wciąż żywiłam mglistą nadzieję, że tylko się w coś ze mną bawi, ale to wydawało się mało prawdopodobne. I nawet jeśli rzeczywiście w coś się bawiliśmy, był psychopatą i kropka.

A już najgorsze w tym wszystkim było to, że bynajmniej się nie zdziwiłam. Oglądając się wstecz, nie mogłam swobodnie stwierdzić: „W życiu bym się nie spodziewała czegoś takiego po kimś takim”. Jakkolwiek było, ten człowiek produkował chmury. A jednak to właśnie te chmury sprawiły, że straciłam czujność, zaabsorbowały mi wyobraźnię do tego stopnia, że przestała normalnie funkcjonować: tworzyć zdrowe paranoje w związku z rzeczami

typu... och, sama nie wiem, więc niech będzie pierwsza lepsza rzecz, jaka mi przychodzi do głowy - typu bycie uwięzioną, bo w końcu czemu nie.

Zaczęłam biegać dookoła celi, badając każdy zakamarek. Nie należało go ratować tamtej nocy w metrze, ależ ze mnie nadęta kretynka. Biznesmeni mieli rację: do cholery, co ja sobie myślałam, że jestem jakimś super-

- Kopciuszkiem czy co?

Przeszukałam dokładnie celę, ale nie znalazłam żadnych tajnych drzwi, żadnej drogi ucieczki. Obok łóżka stała szafa, w środku był tylko odkurzacz.

Jedyne, co mogłam teraz zrobić, to uciec w siebie.

Może mogłam coś powiedzieć, zachować się w jakiś szczególny sposób, dzięki czemu przekonałabym Damona, aby mnie puścił.

Zanim zabrałam się do myślenia, wzięłam młotek i schowałam go pod sweter. Poczułam na brzuchu chłód metalu. Nie włożyłam pod spód żadnej koszulki, bo chciałam wyglądać bardziej seksownie. Na samo wspomnienie łyzy zakręciły mi się w oczach. Usiadłam na podłodze, blisko krat, pod prawą ścianą celi, żeby móc patrzeć na ekrany, jeśli zechcę.

Musiałam rozgryźć, dlaczego Damon to robi, co nim kieruje. Dzięki temu wiedziałabym, jak go podejść. Odegrałam w myślach pół godziny, które poprzedziło moje uwięzienie. Przeanalizowałam jego enigmatyczne uwagi.

Twierdził, że chce mnie uszczęśliwić. Może właśnie teraz opracowywał plan, jak to obsypie mnie klejnotami i będzie traktował jak księżniczkę, przymuszając do życia w tym nadzwyczajnym luksusie. Z jakiegoś powodu jednak wątpiłam w to: wewnątrz celi było wprawdzie przyjemne, niemniej brakowało mu przepychu; nie ociekało satyną, drogocennymi kamieniami, płatkami róż, tacami pełnymi fantastycznego żarcia i szafami pełnymi królewskich szat. Ale może było tak, bo Damon nie poznał się dotąd na moich gustach i nie chciał mi wciskać satyny, skoro mogłabym woleć jakąś inną tkaninę.

Albo może chciał mnie wykorzystać do jakichś przyjemnych naukowych

eksperymentów z chmurami.

Albo może wiedział, że czuję do niego słabość, i chciał mi złożyć siebie w ofierze, dokładnie w sposób, w jaki to sobie wyobrażałam, kiedy włókł mnie na górę po schodach.

Wtedy dotarło do mnie, że nawet jeśli naprawdę chciał mnie uszczęśliwić, to w przypadku takiego psychopaty wcale nie wykluczało śmierci. Może uznał, że będę szczęśliwsza jako trup.

Niestety, nawet wtedy, gdy na chwilę odzyskiwałam zdrowe zmysły i odrzucałam założenie, że z tą chęcią uszczęśliwienia mnie to było na poważnie, wachlarz możliwości otwierał się znacznie szerzej, ukazując coraz to mniej atrakcyjne opcje, od tortur po tortury połączone ze śmiercią. Już sama niewiedza stanowiła torturę.

I czyjego tortury, gdyby rzeczywiście zamierzał mnie im poddać, byłyby natury psychicznej czy fizycznej? I po co te ekrany?

Często wstawałam i zmieniałam pozycję, bo nie zawsze mi się chciało oglądać śpiącego Damona. Raz mi się chciało, raz mi się nie chciało, a kiedy mi się nie chciało, to wołałam nie być zmuszona do zamykania oczu, żeby go nie widzieć, więc przesiadywałam pod przeciwległą ścianą, dopóki znowu mi się nie zachciało.

Młotek na moim brzuchu zdążył się mocno rozgrzać.

Spięta ze zdenerwowania przyciskałam go do ciała coraz mocniej. Nie udało mi się wyznaczyć ani minuty na wymyślenie jakiejś strategii. Byłam kompletnie nieprzygotowana.

Damon zjawił się, kiedy akurat siedziałam pod ścianą od niepatrzenia na Damona. Zaskoczył mnie.

W jednym ręku niósł krzesło, w drugim moją podręczną torbę. Dał tylko jeden krok do wnętrza pokoju i zatrzymał się.

- Wymienię z tobą informacje na młotek - powiedział. - Nie chcę, żebyś rzucała nim w moją głowę.

Nadal siedziałam pod ścianą z podkurczonymi nogami, więc nie miał jak się zorientować, że ukryłam młotek pod workowatym swetrem. Zastanowiłam się, czy jednak nie jestem filmowana.

- Nie, nie jesteś filmowana przez kamerę - oznajmił, jakby czytał mi w myślach. - Po prostu wiem, że każda osoba o przeciętnej inteligencji próbowałaby uderzyć mnie młotkiem w głowę. Inaczej niż geniusz czy kompletny matoł, który takiej próby być może by nie podjął. Nie chcę przez to imputować, że ty nie jesteś genialna. Jestem pewien, że są jacyś genialni ludzie, którzy podjęliby taką próbę.

Nie ruszałam się z miejsca, rozważając jego ofertę.

- Została ci jeszcze kula do kręgli - dodał po chwili.

Wahałam się teraz nie w związku z tym, czy zgodzić się na wymianę młotka za informacje - już postanowiłam, że się wymienię - tylko czy wręczyć mu go delikatnie, czy raczej walnąć nim w głowę.

Ostatecznie nie zrobiłam nic, bo sam mi podał instrukcje: - Wyrzuć młotek z celi na taką odległość, abyś nie mogła dosięgnąć go nogą.

Zrobiłam, jak kazał. Natychmiast się rozluźnił i zaczął się krzątać, stawiając krzesło blisko celi, poza zasięgiem kopniaka, i kładąc moją torbę tuż pod kratami.

Potem usiadł na krześle.

- Teraz mogę odpowiadać na twoje pytania.

- Dlaczego zostałam tu uwięziona?

- Aby otrzymać prezent.

- Jaki prezent?

- Ty sama nim jesteś.

- Co to znaczy?

- Właśnie to, co powiedziałem.

- Przecież mam już siebie.

- Masz pewną wersję siebie. Ja natomiast zaofiaruję ci inną wersję.

- Jaką wersję?

- Ulepszoną. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, na samym końcu to twoje nowe ja, które ci ofiaruję, będzie potrafiło realizować wszystkie twoje marzenia.

Ulżyło mi; jak dotąd przynajmniej wyraźnie nie zamierzał mnie zabić. Chyba że jego zdaniem ulepszona wersja mnie miała być martwą wersją.

- Rozumiem - odparłam. - Więc to będzie jakieś seminarium poświęcone autoafirmacji. Takie typu: „Jak odnieść jeszcze większy sukces” albo „Jak sobie podnieść samoocenę”? Ty będziesz tu siedział i mówił mi, jaka jestem wspaniała? Albo zmuszał do wysłuchiwania taśm z podprogowymi nagraniami?

- Nie. Ale cieszę się, że nie jesteś aż tak przybita i potrafisz dostrzec jaśniejsze strony sytuacji.

Wściekłam się.

- Jestem tylko zdziwiona. I zniesmaczona. Żądam, żebyś natychmiast mnie stąd wypuścił. Twój denny plan mnie nie interesuje. Chcesz mnie uszczęśliwić, to mnie stąd wypuść.

- Nie.

- Jak długo zamierzasz mnie tu trzymać?

- Nie jestem dokładnie pewien. Jakiś czas.

Westchnęłam.

- Co zamierzasz mi zrobić?

- Ja tobie? Nic wielkiego. To ty będziesz robiła z sobą różne rzeczy. I nie będziesz robiła innych. Ja cię zmienię.

Albo raczej zmuszę cię, żebyś sama się zmieniła. Moim darem dla ciebie będzie odebranie ci na jakiś czas swobody wyboru. Wolność potrafi być bardzo niezdrowa i bezproduktywna. Zamiast tego uzyskasz wolność od wyboru.

- Błagam, wypuść mnie.

- Dlaczego?

- Bo to nieprzyjemne, jak cię trzymają w więzieniu - warknęłam.

- A co byś wolała?
- Wolność.
- Co chciałabyś robić?
- Wrócić do domu.
- I co tam robić?
- Och, przestań. Życ.
- Możesz żyć tutaj przez jakiś czas.

Oczywiście musiałam się zastanowić, jakie to rzeczy mogłam robić wyłącznie w domu.

- Chcę się spotykać z rodziną, przyjaciółmi, chodzić do pracy, poznawać nowych ludzi, pracować nad swoim aktorstwem...

- Bingo! Będziemy pracowali nad aktorstwem. Oprócz innych rzeczy, których nie warto w tej chwili wspominać. Ale przede wszystkim będziemy zajmowali się aktorstwem.

Wstał i wyszedł, pozostawiając mnie z rozdziawionymi ustami.

SIÓDMY

Musiałam koniecznie zapalić. Chwyciłam swoją podręczną torbę, ale nie byłam w stanie precyzyjnie jej przez kraty, więc szukałam paczki papierosów z twarzą wbitą między dwa pręty.

Niezdolna znaleźć ani papierosów, ani zapalniczki, zdenerwowałam się i wysypałam całą zawartość torby na podłogę. Nadal nie mogłam ich znaleźć. Dlaczego Damon zabrał mi papierosy i zapalniczkę? Może uznał, że jestem zdolna do podpalenia jego domu. Tylko dlaczego brakowało także moich miętówek? Niczego innego nie brakowało. Precyzyjnie przetrząsnęłam pustą torbę przez kraty i powoli pochowałam do niej wszystko.

Kiedy się podniosłam i obróciłam dookoła, mój wzrok nadział się na to, o co zapomniałam spytać: ekrany.

Może lubił, jak go obserwują. Pewnie zwykł chodzić nago po swoim pokoju. To miało sens. Posiadał przecież ekshibicjonistyczną żyłkę: paradował

w przezroczystych ciuchach. Więc czemu nie iść na całość?

Nawet nie próbowałam zasnąć. Kilka razy wrzasnęłam w ciągu nocy, waliłam pięścią w ściany i wpatrywałam się w ekrany, sprawdzając, czy się poruszy. Rozmyślałam o swoich rodzicach i zastanawiałam się, czy będą się martwić. Trochę płakałam.

Usiadłam przy oknie i wyglądałam na zewnątrz przez kuloodporną szybę. Widok na rozświetlony las był oszpecony przez rysy, które pozostawiłam na szkle, i już zaczynałam tego żałować. Ile czasu upłynie, zanim zacznie mnie szukać policja? Czy w którymś momencie pojawią się w wiadomościach komunikaty o moim zaginięciu?

Wstałam i włączyłam telewizor, licząc, że kontakt z wolnym światem przyniesie mi pociechę. I że być może natrafię na komunikaty o zaginionych osobach; zrozumieć wtedy, jakiego typu ludzi zgłasza się jako zaginionych. Znalazłam kanał, na którym nadawali wiadomości mimo późnej pory, i ku swojemu zdumieniu zobaczyłam w nich siebie! To było nagranie wideo, zrobione od tyłu, jak uciekam przed ścigającą mnie po ulicy Chriskate Turschicraw. Prowadząca program powiedziała: „Od godziny czternastej wszyscy się zastanawiają: Kim jest ta uciekająca kobieta? Kim może być kobieta goniona przez kobietę, za którą uganiam się cały świat.

Spekulacjom nie ma końca”.

Następnie pokazano reportera robiącego wywiady z przypadkowymi ludźmi na ulicy; pytał ich, kim ich zdaniem była ta uciekająca kobieta.

„Nie wiem, kim ona jest - odpowiedziała jedna z zagadniętych osób - ale musi być kimś niezwykłym, skoro ścigała ją taka niezwykła kobieta”.

„Nie wiem - oświadczyła inna - ale pewnie ma w sobie coś takiego, co ją wyróżnia. Bo inaczej dlaczego najpiękniejsza kobieta na świecie chciałaby ją złapać?”

„To pewnie jakaś sławna aktorka albo gwiazda rockowa - odparł trzeci przechodzień. - Albo może jeszcze jedna modelka”.

W tym przypadku reporter dociekał dalej: „Czyżbyś nie widział nagrania z udziałem ściganej kobiety? Nie miała ciała modelki”.

„Nie, nie widziałem. Słyszałem o wszystkim w radiu. Nie mam telewizora”.

Ktoś jeszcze inny powiedział: „Nie, na podstawie jej pleców można stwierdzić, że nie jest nikim wyjątkowym. Inaczej mówiąc, jest daleka od doskonałości, nie ma tyłka jak skała. Moim zdaniem to jakaś zwykła kobieta i to właśnie sprawia, że wszystko jest takie ekscytujące. Bo to znaczy, że za każdym z nas może się uganiać po ulicy ktoś taki jak Muszla. To krzepiące. Nie trzeba być kimś wybitnym, sławnym, żeby uganiały się za tobą takie wybitne jednostki”.

Patrzyłam na to wytrzeszczonymi oczyma. Być może z idiotyzmu tego materiału należało wnosić, że to wszystko mi się śni. Może zasnęłam na kanapie Damona i to, co stało się potem, tak naprawdę wcale się nie wydarzyło, łącznie z moim uwięzieniem. Albo jeszcze lepiej, może zasnęłam we własnym domu, po kąpieli, i tylko mi się przyśniło, że Damon zadzwonił z zaproszeniem na wieś.

Otwarłam oczy jak najszerzej, żeby się obudzić, na wypadek gdyby to rzeczywiście był sen. Często z powodzeniem stosowałam tę technikę, żeby wybudzić się z koszmaru. Tym razem jednak nic się nie zmieniło; świat się nie zmienił.

Na ekranie telewizora znowu pojawiła się prowadząca program. „Naród zwraca się do ściganej kobiety: prosimy, ujawnij się. Powiedz nam, kim jesteś. Daj nam się poznać”.

Wrzasnęłam na Damona. Naród mnie pragnął. Musiałam się ujawnić. On musiał mi pozwolić się ujawnić.

Dobra wymówka, aby zostać wypuszczoną na wolność.

Niestety, ani drgnął w swoim łóżku.

Przez całą noc nie zmrużyłam oka.

Za dziesięć ósma Damon wciąż spał. O ósmej zjawił się, niósł jakąś torbę. Wyjął z niej klucz i bez wahania wszedł do mojej celi.

Lekko mnie to uraziło. Ostatecznie byłam uwięzioną, rozjuszoną dziką bestią, a on tak sobie wchodził do mojej klatki, beztrosko ryzykując życie? Poczułam się jak wykastrowane zwierzę.

- Cześć - rzucił, nie przestając żuć gumy. - Pewnie się nie wyspałaś. Dzisiaj zrobimy to na łagodnie.

Cisnął torbę na bok i już miał usiąść na podłodze pod ścianą, kiedy powiedziałam mu, że jestem sławna jako ścigana kobieta. Namówiłam go, żeby razem ze mną obejrzał wiadomości do chwili, gdy puszczą ten materiał, i rzeczywiście go puścili, ku mojej uldze. Kiedy pokazano nagranie z pościgu, wyjaśniłam, że to jestem ja, która uciekam przed Chriskate Turschicraw. Zdziwił się i ubawił, niemniej jednak stwierdził, że to w niczym nie zmienia jego planu: naród będzie musiał poczekać z poznaniem mnie. Odparowałam, że chcę, by naród poznał mnie już teraz, natychmiast, i że to jest znakomita sposobność dla mojej kariery aktorskiej.

- Bzdura - odparł. - Musisz najpierw zostać dobrą aktorką. Fakt, że goniła cię Chriskate Turschicraw, być może otworzy przed tobą kilkoro drzwi, ale nie pomoże ci w zdobywaniu Oscarów. Co prowadzi mnie do tego, o czym chcę z tobą pogadać. W ramach przygotowań do zostania twoim instruktorem przeczytałem kilka podręczników poświęconych aktorstwu, które ty na pewno też czytałaś. Moim zdaniem nie powinniśmy korzystać z zawartych w nich teorii. Nie będziemy się opierać w ogóle na żadnej teorii. Po prostu będziemy grali. - Uśmiechnął się. - Przeczytałem też kilka zbiorów scenek, ale raczej nie będziemy z nich korzystali. Sam będę pisał scenki, których będziemy się uczyli na pamięć i potem je odgrywali. - Wyjął z torby niewielki notatnik i otworzył go. - Spisałem sobie także twoje marzenia i życzenia. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby się ziściły.

- Czy wszystko to planowałaś od samego początku, czy też postanowiłaś

mnie porwać pod wpływem impulsu?

- Byliśmy akurat nad rzeką, kiedy ten pomysł wpadł mi do głowy. Próbowałem wymyślić sposób na odwzajemnienie ci się za to, że mnie uratowałaś.

- Zdajesz sobie sprawę, że to, co robisz, jest niezgodne z prawem?

- Tak.

- Sugeruję, żebyś postarał się mnie uszczęśliwić w jakiś legalny sposób.

- Nie martw się, Anno, koniec uwieńczy środki, sama zobaczysz. To po prostu kwestia opóźnionej gratyfikacji.

- A po co te ekrany?

- Pomyślałem, że może będziesz się czuć mniej samotna, mogąc mnie obserwować, jak wykonuję różne domowe czynności. Ze może to ci doda pewności siebie, pozbawi nieprzyjemnego wrażenia, że otacza cię tajemnica.

- O tak, na pewno zrobi mi się lepiej, gdy sobie popatrzę, jak ty cieszysz się wolnością, gdy tymczasem ja tkwię w tej klatce.

Pod wpływem nagłego, nieprzemyślanego odruchu, jak przystało na dzikiego zwierza, postanowiłam zaatakować Damona. Rzuciłam się na niego i zaczęłam go dusić. Zamiast mnie odepchnąć, sięgnął do swojej torby i wyciągnął z niej pistolet. Natychmiast przerwałam atak i zaszokowana wlepiłam w niego wzrok, nie dlatego, iż dotąd nie przyszło mi do głowy, że mógłby mieć broń, tylko dlatego, że to był pistolet na wodę. Damon się nie śmiał, nawet się nie uśmiechał. Pistolet był z przezroczystego plastiku jadowitej, pomarańczowej barwy.

Pobiegłam do łazienki, zamknęłam drzwi i ryknęłam śmiechem, starając się, żeby mnie nie usłyszał: nie chciałam ani mu schlebić, ani go obrazić swoim śmiechem.

Zagrzebawszy twarz w grubym ręczniku kąpielowym, śmiałam się tak długo, aż oczy zaszły mi łzami i ledwie mogłam oddychać. Wizja Damona, w tym przezroczystym ubranku, przez które widać zarysy jego dyndającego

ptaszka, jak strzela do mnie z pomarańczowego pistoletu na wodę, była powalająca.

I w tym momencie zebrało mi się na płacz, że ten przerośnięty, stuknięty dzieciak nie chce mnie puścić.

A niech sobie strzela, stwierdziłam. Chętnie popatrzę, jak cieniutki strumyczek wody moczy moje ubranie niczym strumyczek wątlej ejakulacji.

Nie mogłam jednak pójść na takie ryzyko. Może pistolet strzelał prawdziwymi kulami. Może cała sztuczka polegała na tym, że to był prawdziwy pistolet, który tylko udawał pistolet na wodę.

- Czy to prawdziwy pistolet? - zawołałam z łazienki, wiedząc, że pewnie potwierdzi, byle tylko wydać się dziwny.

- Nie.

- Czy to pistolet na wodę?

- Tak. Ale potrafię zadać nim ból.

- Jak? Rzucając nim we mnie?

Otworłam drzwi i spojrzałam na niego. Damon siedział na podłodze, pod ścianą, wertował jakąś książkę, jednocześnie robiąc balony z gumy do żucia. Pistoletu nie było w zasięgu wzroku.

Prędko porwałam ze stolika nocnego lampkę i budzik, które w tym celu nocą odłączyłam od prądu, i podbiegłam do niego. Cisnęłam w niego lampką. Zablokował ją ramieniem, wyciągnął pistolet i strzelił do mnie.

Poczułam w żołądku piekący ból. Wrzasnęłam i upuściłam budzik. Popatrzyłam po sobie i spostrzegłam, że w moim brzuchu tkwi mały okruch lodu. Wyciągnęłam go, zadarłam sweter i zauważyłam w pobliżu pępka krwawiącą ranę długości połowy cala.

- Au! - krzyknęłam. - Krew mi leci!

Damon wyjął z torby opakowanie plastrów, wyciągnął jeden i rzucił go w moją stronę: plaster sfrunął tylko bezwładnie na podłogę niczym liść. Potem wyjął z torby buteleczkę ze spirytusem, paczkę wacików i wręczył mi to

wszystko.

Krew spływała po brzuchu, plamiąc mi dżinsy.

- Uważasz, że taką ranę można zalepić zwykłym plastrem? - spytałam. -
Jedziemy do szpitala, na ostry dyżur. Muszą założyć mi szwy.

- Nie, wcale nie muszą. Zdezynfekuj to i zaklej plastrem. - Celował we mnie z pistoletu.

- Powiedziałeś, że to pistolet na wodę, ty kłamczuchu. - Zaczęłam przemywać ranę.

- Lód to woda - odparł zimnym tonem. - Miałem nadzieję, że nie będę musiał go użyć ani w ogóle nawet wyjmować. Dlatego właśnie przyniosłem go w torbie.

- Ty podstępny dupku.

Zrobił urażoną minę.

- Podejź tu. - Ujął mnie za rękę i ustawił przed łóżkiem. - Posłuchaj. - Po pierwsze, ta broń potrafi zabić.

Nożem z lodu. - Wbił w materac spore ostrze z lodu. - Mogę też strzelać do ciebie okruchami. Mam także lodowe igły, od których boli tak samo jak od zastrzyków. - Wstrzelił jedną w poduszkę. - Są jeszcze nitki z lodu.

Od nich nic nie boli.

- Więc do czego służą?

- Do zabawy. Jest też jeszcze wrzątek. Dawki występują w trzech wielkościach: łyżki stołowej, łyżeczki i połowy łyżeczki. I w dwóch formach: strumienia albo pocisku. - Strzelał wszystkimi odmianami w moje łóżko.

- Czy twój pistolet nie mógłby strzelać normalnym, łagodnym strumieniem wody w temperaturze pokojowej?

Otworzył usta, wsadził do nich lufę pistoletu i strzelił kilka razy. Nagle zrobił zboląłą minę i pomyślałam, że może przez przypadek użył wrzątku albo lodu. Ale nie.

- Odrażające pH - powiedział tylko.

A potem zaczął gadać o giętkości. Chciał wiedzieć, jak daleko jestem w stanie się rozciągać we wszystkie strony. - Pokaż mi swój mostek - rozkazał.

- Jaki znów mostek? Ja nie mam żadnego mostka.

- No wiesz, wygięcie tułowia w tył.

- Wiem, co to jest mostek, nie zrobię niczego takiego.

- Nieważne, jaki jest mały. Chcę go zobaczyć.

- Kiedy nie zrobię. Nawet małego.

- Na pewno dasz radę. No już, zrób go.

- Nie mogę. Nie zrobię nawet kawałka mostka. Możesz sobie strzelać we mnie okruchami albo nawet sztyletem, a ja i tak nie zrobię mostka.

Przewrócił oczami.

- W takim razie sam ci pokażę, jak robisz mostek.

- Nie, złamiesz mi grzbiet. To będzie złamany mostek.

- Bzdura.

Kazał mi się ułożyć na plecach, z ugiętymi nogami, łokciami wycelowanymi w górę i dłońmi ułożonymi płasko na podłodze, po obu stronach głowy. We właściwej przedmostkowej pozycji. Wsunął mi ręce pod talię i podźwignął mnie z podłogi, próbując siłą wygiąć moje ciało w mostek. Ja jednak nie chciałam się zgodzić, żeby mnie wyginał; trzymałam plecy prosto i sztywno jak deska, zanadto bojąc się bólu albo urazu., Damon pociągnął jeszcze mocniej i w końcu całe moje ciało (w tym również dłonie i stopy) uniosło się z podłogi, z plecami nadal idealnie prostymi. Balansowałam na jego rękach jak huśtawka.

Poddał się i położył mnie z powrotem, dysząc z wysiłku.

- Jeśli chcesz znać moje zdanie, ten, kto nie ma giętkiego ciała, nie może być prawdziwie zrównoważony na umyśle. Wiem, że ja bym nie był.

- Przecież ty nie jesteś zrównoważony na umyśle.

- Giętkość jest ważna nie tylko dla zdrowia psychicznego, jest ważna dla życia. Bo widzisz, w głębi ducha ludzie umierają na zeszywnienie. Źródłem

wszelkiej śmierci jest zeszywnienie. Czego dowodzi *rigor mortis*.

- To się z tobą robi po śmierci.

- I tu właśnie się mylisz. Stężenie pośmiertne dopada cię niedostrzegalnie, jeszcze zanim umrzesz, i to ono właśnie cię zabija. Umierasz na subtelne zeszywnienie.

Zeszywnienie intensywne, jakiego doznajesz zaraz po śmierci, to tylko symboliczna manifestacja, dowód na to, że zabiło cię właśnie zeszywnienie.

- To twoja obłąkańcza teoria.

- Tak, przyznaję, to moja teoria, wymyślona w charakterze żartu. Niewykluczone jednak, że jest prawdziwa. I do pewnego stopnia zdajemy sobie sprawę, że jest prawdziwa. Każdy wie, że to zdrowo być giętkim. Że giętkość chroni wręcz przed wypadkami. A poza tym jest ważna nie tylko dla zdrowia umysłowego i fizycznego, ale także emocjonalnego. To zasadniczy element owocnych związków. Przy czym należy też zwrócić uwagę na jeszcze bardziej fascynujący fakt, że mianowicie liczy się w sztuce. - Urwał i zaczął mówić powoli i z pasją, jakby dzielił się ze mną jakimś wyjątkowo ekscytującym sekretem. - Moim zdaniem najbardziej podstawową, zasadniczą cechą geniuszu jest giętkość. - I dodał bardzo prędko: - Bez niej nie byłoby wielkich artystów.

Wyjął z torby coś czerwonego i wręczył mi to. Był to kostium kąpielowy.

- Zechcesz tam pójść i się przebrać? - spytał, wskazując ruchem głowy łazienkę.

- Po co?

- Bo chciałbym obejrzeć twoje ciało. Muszę uzyskać wyraźniejszy obraz, ile pracy wymaga.

- Nie jestem kawałem mięsa.

- Hej, to ty chcesz zostać aktorką. Ciało się liczy. - Wyjął z torby swój plastikowy pistolet i wycelował go we mnie. - No idź.

Westchnęłam i poszłam.

Rozebrałam się, początkowo z nadzieją, że ten jednoczęściowy kostium

nie okaże się za mały, a potem z nadzieją, że okaże się za mały, dzięki czemu Damon poniósłby jakąś drobną porażkę. Ale kostium pasował i na swój sposób nawet mnie upiększał. Nie upiększał jednak dostatecznie, bym czuła się absolutnie swobodnie, kiedy wychodziłam z łazienki.

W tym momencie oburzyłam się na samą siebie i zawstydziłam, że nie czuję się swobodnie z własnym ciałem. Idiotyzm: przecież siedziałam w więzieniu. Ostatnie miejsce, gdzie powinnam się godzić, by wizje wysokich, szczupłych modelek, wizje, które ciemniły kobiety przez całe stulecia, dodatkowo spotęgowały moje uciemnienie.

Próbowałam pocieszyć się wspomnieniem najlepszego i zdaje się jedyne komplementu, jaki kiedykolwiek usłyszałam w związku ze swoją twarzą: powiedziano mi mianowicie, że przypominam młodą Elizabeth Taylor, tyle że z nieco jaśniejszymi włosami i lekko zniekształconą. „Tak wyglądałaby Elizabeth Taylor, gdyby odrobinę zgnieciono jej twarz”.

Wyszłam z łazienki z wyzywającą miną.

- No to zobaczmy, co tu mamy - powiedział Damon. - Będziemy musieli popracować nad nogami. - Zaszedł mnie od strony pleców i mruknął: - Wybacz, że cię dotykam - i ścisnął moje ramię, prawdopodobnie sprawdzając jego jędrność, względnie jej brak. - Te ramiona moglibyśmy ukształtować nieco lepiej. Brzuch jest w niezłym stanie... stosunkowo. Pośladki powinny być bardziej jędrne, ale tym zajmiemy się razem z nogami.

- Chciałabym papierosa.

- Przykro mi, ale nie. To jest życzenie numer pięć na liście: rzucić palenie.

- Ja tylko żartowałam.

- Ależ z całą pewnością nie żartowałaś. Wypowiedziałaś to życzenie osiem i pół razy przez te kilka tygodni, odkąd cię poznałem.

- A jakie są inne?

- Co inne?

- Inne życzenia na twojej zasranej liście.

- Dokładnie wiesz, jakie są: to są twoje życzenia. Nie muszę ci ich powtarzać. - Nadal stojąc za mną, ułożył dłonie na moich ramionach i wygiął je do tyłu. - Przydałoby się poprawić ci postawę. O, widzisz, kiedy stoisz prosto, twoje piersi wyglądają na swój wiek. Masz szczęście, są dość duże, co oznacza, że po wszystkim staną się przyjemnie pełne.

Odczekałam chwilę i spytałam: - Czyli po czym?

- Jak już wykonasz szereg istotnych czynności typu... gimnastyka i jeszcze różne inne, drobniejsze, na przykład będziesz... odżywiała się zdrowo, albo pewne... zupełnie drobiazgi. - Zrobił balona, który eksplodował mu na całą twarz. Odkleił część gumy i wsadził ją z powrotem do ust, ale jeszcze sporo zostało na policzkach i podbródku. Nie zwróciłam mu na to uwagi.

Wyjął z kieszeni jakieś klucze i otworzył zamek w drzwiach mojej celi. Ujął mnie silnie za nadgarstki i poprowadził przez dom.

- Dokąd idziemy? - spytałam.

- Do najbardziej oczywistego miejsca, biorąc pod uwagę twój strój.

- Nic nie jest oczywiste, kiedy do głosu dochodzi twoje szaleństwo.

Podprowadził mnie na skraj basenu i powiedział: - Wejdz do wody.

Niby od niechcienia wycelował we mnie pistolet.

Z początku próbowałam się opierać, co nie zdało się na nic, więc zesłam na pierwszy szczebel drabinki. Woda wydawała się dziwaczna. Poczułam od strony nóg, że jest niezwykle delikatna, lekka i miękka, jakby nagle ścierpła mi skóra.

- Dalej - rozkazał Damon.

Zesłam na kolejny szczebel. Wsadziłam nogę do wody, która stawiała niewielki opór. Nie była tak materialna jak normalna woda. Była taka, jaka mogłaby być woda we śnie.

Dopiero kiedy zanurzyłam się cała w wodzie, zrozumiałam, niczym zwierzę, które wie, że powinno trzymać się z daleka od ognia, że należało zrobić wszystko, co w mojej mocy, byle tylko do niej nie wchodzić. Zanim zdążyłam z

niej wyjść, Damon siłą oderwał moje dłonie od drabinki i wtedy wleciałam do basenu, na plecy. I dalej leciałam. Prawdę powiedziawszy, poszłam na dno, choć uczucie było takie, jakbym tylko leciała.

ÓSMY

To było coś przerażającego. Woda przypominała lotny piasek, tyle że lotny do kwadratu. Musiałam nadzwyczaj silnie i szybko uderzać nogami i rękoma, żeby utrzymać się na powierzchni. Jeśli zwalniałam choć na chwilę, od razu zaczynałam tonąć. Próbowałam podплыwać z powrotem do drabinki, ale tam stał Damon, z pistoletem, i nie pozwalał uchwycić się szczebla.

- Jeszcze nie, Anno. Świetnie ci idzie. Postaraj się do niej przyzwyczać. Jeszcze tylko trochę. Postaraj się rozluźnić.

Rozluźnić? Co za kretyn. Gdybym się rozluźniła, tobym poszła na dno. Nie była to taka woda, w której człowiek przyjemnie się tapla.

- Idzie ci wspaniale - pochwalił mnie. - To rewelacyjne ćwiczenie. Doskonałe dla twoich nóg. Dla wszystkiego. Po prostu musisz się przyzwyczać.

- Już się przyzwyczałam - wycharczałam, co zresztą okazało się błędem, bo miałam w sobie za mało energii, by tak nią szafować, i z miejsca zaczęłam tonąć. Poruszałam się teraz zbyt omdlałymi ruchami, by wybić się na powierzchnię.

Czyjaś dłoń schwyciła mnie za ramię i wydźwignęła z powrotem na powietrze. Kiedy wyciągał mnie z basenu, jego przezroczyste, mokre spodnie przywarły mu do nóg niczym chusteczka higieniczna.

Kaszlałam jak nigdy w życiu. A potem płakałam, siedząc z twarzą ukrytą w kolanach.

Podniosłam na niego wzrok i zaczęłam błagać: - Proszę, pozwól mi odejść. Proszę. - Łzy ciekły mi po policzkach i zamazywały widzenie. Powtarzałam słowo „proszę” jak jakaś wariatka, żeby mu pokazać, że być może tracę rozum.

- Uspokój się, Anno. Nie jest tak źle, jak ci się wydaje. Po prostu

pamiętaj, co tu oboje robimy: pracujemy nad twoimi marzeniami.

- Przez podtapianie mnie? A tak nawiasem, co jest grane z tą cholerną wodą?

- Jest mocno rozcieńczona.

- Rozcieńczona? Czym?

- Powietrzem.

- Co ty wygadujesz? Przecież wody nie da się rozcieńczyć - odparłam bardziej autorytatywnie, niż czułam się uprawniona. - A już na pewno nie powietrzem.

- No dobrze, nazwijmy to aeracją. Ta woda jest nasycona powietrzem. Nie zawsze daje oparcie pływakom czy gumowym kaczkom.

- Więc kazałeś mi pływać w powietrzu.

- Nie, niestety nie. Coś takiego byłoby o wiele bardziej zabawne. Pływałaś w wodzie napowietrzanej, czy też lekko zamglonej.

- Proszę, wypuść mnie - powtórzyłam.

- Poczujesz się lepiej, jeśli po prostu zaakceptujesz fakt, że będziesz tu żyła, dopóki nie osiągniemy naszego celu - odparł, sadowiąc się obok mnie. - Dlatego więc postaraj się dołożyć wszelkich starań.

Złapałam się za głowę rozcapierzonymi palcami.

- Ja tu nie przeżyję. Nie jestem w stanie ani pracować, ani funkcjonować w takich okolicznościach. Ty jesteś naukowcem; nie masz zielonego pojęcia o aktorstwie. A nawet gdybyś je miał, to ja i tak niczego bym się nie nauczyła w tych warunkach. Wszelki talent, jaki być może posiadam, ulegnie dewastacji, choćby ze zwykłej odrazy. Ale jeśli jakimś cudem ulepszysz moje aktorstwo i odniosę sukces, wcale nie stanę się przez to szczęśliwsza. Sukces nie zapewnia szczęścia, zwłaszcza jeśli zostaje osiągnięty w taki koszmarny sposób. A zdaje się, właśnie moje szczęście jest twoim głównym celem?

- Nie inaczej. I sukces we wszystkich twoich marzeniach może nie zagwarantuje ci szczęścia, ale przynajmniej maksymalnie je uprawdopodobni.

- Nie, bo istnieją rzeczy, które liczą się dla mnie bardziej niż sukces, na przykład pilnowanie, by moje życie toczyło się w naturalny sposób, by mój los był dla mnie najbardziej naturalny. Ty nie pozwalasz, by tak było.

- Dla istot ludzkich najbardziej naturalne jest rozwijanie ich najwyższego potencjału. Sposób, w jaki to się odbywa, nie jest ważny. Ważne jest to, że się odbywa. A teraz wracajmy do pracy - powiedział. - Musimy znaleźć jakąś inną formę ćwiczeń dla ciebie, oprócz pływania w wodetru.

- Pływania w czym?

- W wodetru. Tak to nazwałem. Wymyślisz coś lepszego?

- Chyba tak. Wodoszmar. A propos, zamierzam poświęcić resztę mojego życia na uczynienie piekła z twojego życia, jeśli wręcz nie zakończenia go. Twoim celem jest uszczęśliwienie mnie? No to proszę bardzo, będę w takim razie nieszczęśliwa, byle ci tylko dopiec.

- Moje życie nie jest dla mnie ważne. Jeśli uważasz, że robienie mi piekła z życia przysporzy cię zadowolenia, to niech ci będzie, rób je sobie. Jestem do twojej dyspozycji. A teraz powiedz, jakie ćwiczenia fizyczne lubisz uprawiać?

- Jazdę konną.

- Dotąd nie słyszałem, byś wspominała o jeździe konnej. Ale to nie wchodzi w grę, z oczywistych powodów.

Co jeszcze?

- Kolarstwo przełajowe.

- Te same oczywiste powody. Jakie to dziwne, że o tym też nie słyszałem.

Co jeszcze?

- Sermierka. A o niej słyszałeś, jak wspominałam?

Sermierka. To wszystko, co lubię robić fizycznie.

- Tak, ale sermierki nie będziesz miała z kim tu uprawiać, bo ze mną byłoby to zbyt ryzykowne; pokonałabyś mnie w mgnieniu oka. Widziałem, jak posługiwałaś się różdżką w metrze. Byłaś niebezpieczna.

- Twoje pochlebstwa budzą we mnie wstręt.

- Jakie jeszcze sporty lubisz?
- Wszelkie takie, które polegają na prędkim przenoszeniu się po otwartych przestrzeniach.
- Rozumiem, że nie uzyskam od ciebie większej pomocy. Jeśli chcesz, bym sam wybrał dla ciebie jakiś sport, to proszę bardzo. Może tak bieganie?
- Znakomicie. Zwłaszcza po otwartej przestrzeni i w samotności.
- W takim razie bieganie.
- Po otwartej przestrzeni i w samotności? - spytałam zdziwiona i pełna nadziei.
- Pod dachem i pod nadzorem.
- Nie cierpię biegać.
- Za późno. Zmęczyłaś mnie i nadwerżyłaś moją cierpliwość. Wracamy do twojego pokoju, żebyś mogła się przebrać w strój do biegania.
- Błagam, nie nazywaj tak tego.
- Strój do joggingu? Dres?
- To nie jest mój pokój. To więzienie. Nazywaj to więzieniem.
- Okay, wracamy do więzienia. Ale w tym układzie wychodzi na to, że jestem klawiszem.

Wróciliśmy, ale zamiast mnie zmuszać do zmiany stroju, Damon zerknął na zegarek i powiedział: - Właściwie to nie mamy czasu na robienie tego teraz.

Będziesz musiała mi wybaczyć na jakiś czas. -1 z tym wyszedł. Była trzynasta dwadzieścia pięć.

Na ekranach zobaczyłam, jak Damon idzie do salonu i znika tam za jakimiś drzwiami. Kiedy wreszcie wrócił, pół godziny później, oczy i nos miał zaczerwienione: ewidentnie płakał.

Podał mi spodnie od dresu oraz Tshirt i kazał się przebrać. Od płaczu jego głos był stłumiony i nosowy.

- Co się stało? - spytałam.
- Nic.

- Martwisz się czymś?

- To sensowne założenie.

- No więc czym?

- A jak myślisz, dlaczego nie ma kamery tam, gdzie poszedłem? Jak myślisz, dlaczego mnie nie widziałaś na ekranach? Nie widziałaś, bo ani nie jest to coś, co powinnaś wiedzieć, ani coś, o czym chciałbym, abyś wiedziała, ani też coś, co ciebie dotyczy. A teraz proszę, idź się przebrać.

- Jestem zbyt głodna. Zaraz zemdleję - odparowałam.

- Minie ci, jak tylko zaczniesz biegać.

- Nie, stracę przytomność.

- W takim razie sprawdźmy, które z nas ma rację - powiedział, mierząc do mnie z pistoletu i wycierając nos o swój chusteczkopodobny rękaw.

Poszłam do łazienki i przebrałam się.

- Zaczynj biegać - rozkazał, kiedy już wyszłam.

- Tutaj? - Rozejrzałam się po swej małej celi.

- Tak. Czemu nie?

Nie zniżyłam się i nie odpowiedziałam. Zaczęłam biegać od jednego końca do drugiego, po L, w jakim ukształtowana była cela. Po czterech takich rundach, co mi zabrało zaledwie kilka sekund, podpowiedział: - Możesz biegać w miejscu, jeśli chcesz.

- Oj ej ku, będzie jeszcze fajniej.

Biegałam w miejscu, uporczywie gapiąc się na niego, w nadziei, że od tego zrobi mu się nieswojo.

- Nie lubię biegać - powiedziałam w końcu i odważyłam się znieruchomieć. - Źle się z tym czuję.

Zrobił zmartwioną minę.

- Naprawdę? Bolą cię kolana? A może plecy?

- Nie.

- No więc co?

- Wstydzę się o tym mówić.

- Ach, ty podrygujesz - stwierdził przez nos. - Chodzi o twoje piersi?

Piersi cię bołą?

Jak ja żałowałam, że nie mam jakiegoś ciężkiego przedmiotu, którym mogłabym mu przywalić. Albo jeszcze lepiej, mojej szpady.

- Czerwienisz się - zauważył.

Dostał jeszcze trzy wyimaginowane ciosy.

- Prawdę powiedziawszy, może wcale nie podryguję. Może po prostu czuję, że moje organy rozrodcze się obluźowały i lada chwila wysypią mi się z pochwy, jeśli chcesz znać prawdę.

Na chwilę odebrało mu mowę. A potem uśmiechnął się i odparł:

- Nie, ja myślę, że ty podrygujesz.

- Niekoniecznie. A jeśli nawet, to raczej powinno się to nazwać podskakiwaniem.

- Masz rację, jeśli mówimy o piersiach. Ale jeśli rozmawiamy o innej części, na przykład o pośladkach, to według mnie powinno być nazwane podrygiwaniem.

- Tu chodzi o piersi! - zachnęłam się z oburzeniem.

- Okay, postaram się coś wymyślić - obiecał i wyszedł z celi.

Wrócił z bandażem.

- To ci powinno pomóc.

- Ale w czym? - spytałam, licząc, że nie w tym, co mi się pomyślało.

Nie pomyliłam się.

- Żebyś sobie owinęła klatkę piersiową - wyjaśnił. - Nie ma powodu, by nie poskutkowało.

- A właśnie, że istnieje jeden bardzo dobry powód: nawet się do tego nie zbliżę.

Westchnął.

- Więc jaki sport wolałabyś uprawiać? - Umilkł, a potem dodał: - Okay.

Już wiem. Kupię po prostu jakieś urządzenie do ćwiczeń, którego będziesz mogła używać w swoim pokoju.

- W moim pokoju - powtórzyłam, wznosząc oczy do sufitu.

- Kupię ci stepper albo rower stacjonarny. Co wolisz?

- Och, nie szastaj tak na mnie pieniędzmi.

- Odpowiedz.

- No cóż, skoro już muszę, to wybieram rower. Ale taki półleżący.

- Nie ma sprawy. Jeden rower półleżący na życzenie!

Nareszcie nadajemy na jednej fali - powiedział i zrobił głośnego balona.

- Co za komunały - mruknęłam zniesmaczona.

- Po prostu staram się nas rozweselić.

- Ano tak, zapomniałam, że komunały wprost z tego słyną, że są takie rozweselające.

Podał mi niewielką kanapkę, którą natychmiast pochłonęłam. Sam też zjadł jedną.

Następnie kazał mi robić przysiady, gdy tymczasem sam przyjrzał się sobie w ręcznym lusterku i próbował odkleić gumę z twarzy. Zanim ze mną skończył, dostałam skurczów i z wielkim trudem dokuśtykałam do łóżka.

- Rozchmurz się - powiedział. - Po kolacji odbędziemy sesję życzeń. To ważna część programu. Twierdziłbym, bardziej duchowa. Wyrazisz jakieś życzenia, które ja postaram się spełnić.

Potem pojechał do miasta, żeby kupić półleżący rower.

Ja zostałam w łóżku, wpatrzona w sufit, pogrążona w transie depresji. Zaczęłam płakać i łzy ściekały mi we włosy, wywołując swędzenie, a kiedy próbowałam podnieść rękę, żeby je wytrzeć, ból skurczu był zbyt duży, więc nie miałam wyboru i musiałam pozwolić, by gromadziły mi się za uszami.

To właśnie w takim pozałowania godnym stanie wymyśliłam plan ucieczki. Nie był to ten typ planu, na który wpadliby jacyś superwięźniowie. Nie był to genialny plan. Ale to może właśnie ten jego brak finezji sprawiał, że był

nieprzewidywalny i skuteczny. Postanowiłam, że wypróbuję go wczesnym rankiem następnego dnia, jeśli nie uda mi się uciec wcześniej.

Włączyłam telewizor i znalazłam wiadomości. Nie minęło wiele czasu i znowu usłyszałam historię o tajemniczej ściganej kobiecie. Naród uległ obsesji, jak się zdawało. A potem, ku mojemu zdziwieniu, usłyszałam coś, od czego aż usiadłam na łóżku. Podobno zgłosiło się aż pięć kobiet, z których każda twierdziła, że to ona jest tą ściganą. Z jedną z nich przeprowadzono nawet wywiad w studiu telewizyjnym. Wydawała się wulgarna, wyzywająca. Jak oni mogli pomyśleć, skoro widzieli mnie w biegu i tylko od tyłu, że mój przód będzie wyglądał tak tandetnie? Zostałam w łóżku, pogrążona w letargu, dopóki nie wrócił Damon.

Wszedł do mojej klatki i zaczął chodzić tam i z powrotem u stóp łóżka, zamazyście gestykulując.

- Kupiłem ci niesamowity, półleżący rower! Najdroższy. Najbardziej zelektronizowany.

- Jakież to podniecające - jęknęłam.

- Dostarczą go jutro.

- To niedobrze, bo do tego czasu już mnie tu nie będzie.

- Ach tak? A gdzie będziesz?

- Ucieknę.

- I dobrze dla ciebie. Albo raczej niedobrze dla ciebie, bo stracisz przyszłość całkiem godną pozazdroszczenia, ale hej, to w końcu twoje życie.

- Zgadza się, więc może tak łaskawie zechcesz mi je oddać? Zgłaszają się jacyś ludzie, którzy kradną moją tożsamość. Możesz się na to godzić? Musisz mi pozwolić, żebym im pokazała, jak jest. Bo w przeciwnym razie, zanim mnie wypuścisz, ja tam przestanę istnieć. Oni mi mnie ukradną. Przestanę być sobą. To oni będą mną.

- Naprawdę? Jakież kobiety twierdzą, że to one są tą ściganą kobietą? Wcale mnie to nie dziwi, jak się tak nad tym zastanawiam. Ale nie przejmuj się.

Powinnaś być ponad to. Zostaw im te ich żalosne intrygi. - Rzucił na moje łóżko kasetę wideo. - Wypożyczyłem *Nikite*, żebyśmy mieli co obejrzyć po kolacji, po sesji życzeń. Mam nadzieję, że jeszcze tego nie widziałaś.

- Nawet filmu nie mogę sobie sama wybrać?

- Nie, ten film może cię zainspirować, żebyś patrzyła bardziej pozytywnie na swój pobyt tutaj. Opowiada o kobiecie, która podobnie jak ty zostaje poddana wyszkoleniu i dzięki temu staje się lepsza. I na tym kończy się podobieństwo, bo ona zostaje wyszkolona do zabijania ludzi.

- Dlaczego po prostu nie pożyczyłaś *My Fair Lady*?

To by zaspokoilo twoje pigmalionowe tęsknoty.

- Niezły pomysł, ale *Nikita* jest bardziej współczesna, może się stać bardziej inspirującym modelem.

- Ale z ciebie nazista. Chcesz mnie przerobić w jakiegoś nadczołowieka. Masz może trochę niemieckiej krwi?

- Nie, w tej chwili cała mi wyszła. Zazwyczaj trzymam jakiś zapas w zamrażarce, ale może na jutro zdobędę trochę. A co, też byś chciała?

- Jak można mówić takie rzeczy komuś, kto został porwany i kto być może sam skończy w twojej zamrażarce. Albo w twoim brzuchu. Albo w jednym i drugim.

Wtedy stałabym się twoim ekskrementem.

- Jak uroczo. No dobra, przepraszam, nie wiedziałem, że ty wciąż się boisz, że mogę cię zabić. A poza tym w moich żyłach, o ile wiem, nie płynie niemiecka krew.

- Niech ci będzie, ale w takim razie może za bardzo się naczytałaś Nietzschego? Czy to nie on przypadkiem mówi o nadludziach?

- Wcale mnie nie interesuje tworzenie nadludzi czy nadczołowieka. Interesuje mnie twoje szczęście. Gdybyś mi powiedziała, że marzysz o zostaniu bezdomną żebraczką, dałbym ci pusty karton do mieszkania. Gdybyś mi powiedziała, że chcesz znaleźć mężczyznę swojego życia i mieszkać z nim w

domku z białym płotkiem, to przeszukałbym całą ziemię, żeby go znaleźć, sprowadziłbym go dla ciebie i kupiłbym ci ten domek.

- Jesteś nienormalny - odparłam. - Ale powtarzam się. A gdybym tak powiedziała ci, że pragnę właśnie ciebie?

- Przestrzegłbym cię. Ale potem bym ci uległ.

- Przed czym byś mnie przestrzegł?

- Ze posiadanie mnie być może wcale by cię nie uszczęśliwiło.

- Ale potem byś się zgodził?

- Tak.

- Do tego stopnia byłbyś w stanie się poświęcić?

- To nie byłoby poświęcenie. To, co robię teraz, to poświęcenie.

- Chcesz powiedzieć, że to by nie było poświęcenie?

Twierdzisz, że mnie kochasz?

- Wielka szkoda, że tego nie nagrywaliśmy, bo moglibyśmy to odtworzyć i sprawdzić, czy rzeczywiście powiedziałem coś takiego. Raczej tego nie powiedziałem.

I znowu kazał mi się rozciągać.

- Czy ja kiedykolwiek, w jakimkolwiek momencie, powiedziałam, że chcę być giętka? - wściekłam się. - Nie! Giętkość nie znajduje się na liście moich pragnień, którą ty tak pieczołowicie sporządziłeś. Więc zostaw mnie w spokoju!

Nie zostawił mnie w spokoju.

- Pamiętam, że któregoś razu zauważyłaś, jaki jestem giętki - oświadczył - i stwierdziłaś, że też byś chciała taka być.

- To nie było na poważnie.

Zignorował to. Po ćwiczeniach rozciągających dostałam pozwolenie na wzięcie kąpeli i odpoczywanie przez resztę popołudnia, bo, jak powiedział, to był mój pierwszy dzień.

Skorzystałam z okazji, żeby dopracować plan ucieczki.

Jeśli zaś idzie o Damona, to pracował w laboratorium. Przyglądałam mu się na ekranie. Przez jakiś czas stukał na komputerze, a potem, za pomocą wielkiej maszyny w laboratorium wyprodukował trzy nowe chmury, które wyleciały z czegoś, co wyglądało jak poziomy komin albo rura wydechowa; przypominało to powolną, powietrzną defekację względnie poród. Potem umieścił wszystkie te chmury pod szklanymi pokrywami i tak je tam zostawił.

Zjedliśmy kolację w mojej celi, przy składanym stoliku.

Jedzenie okazało się smaczne, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że było takie zdrowe: ciemny, pełnoziarnisty makaron z warzywami gotowanymi na parze pociętymi na małe kawałki. Jedliśmy plastikowymi łyżeczkami, ze względów bezpieczeństwa. Kiedy już zjedliśmy to, co było na stole, ogarnęła mnie panika i poczułam pot na czole, bo nic więcej się nie działo: nie pojawił się żaden deser.

- Co jest na deser? - spytałam.

- Och, jeszcze jesteś głodna?

- Co to ma wspólnego z czymkolwiek? - odpowiedziałam.

- Jeśli jesteś jeszcze głodna, to powinnaś jeść więcej.

Zjedz jeszcze makaronu.

- Nie jestem już głodna. Chcę deseru. Deseru do tego posiłku.

- Nie ma żadnego deseru.

Poczułam, jak zaciska mi się gardło.

- Ach, a więc jednak chcesz mnie zabić.

Z twarzą wyrażającą kompletny brak zrozumienia popchnął salaterkę z makaronem w moją stronę, mówiąc potulnie:

- Zjedz jeszcze makaronu.

Powstrzymałam się i nie cisnęłam salaterką przez cały pokój.

- Potrzebuję cukru.

- Ach tak. W porządku, jeśli chcesz, mogę ci dać kawałek jakiegoś owocu albo jogurt.

- Nie. - Byłam bliska łez. - Chcę prawdziwego deseru. Prawdziwego

cukru.

- Przykro mi, ale tego raczej nie mogę ci dać. A o jakim deserze myślisz?

- Może być cokolwiek z czekoladą. Niektóre desery bez czekolady też mogą być, pod warunkiem że są dobre i zawierają sacharozę, nie fruktozę.

- Wiem, że z początku jest trudno, ale za kilka dni twoje ciało przystosuje się do tego, że nie dostaje cukru ani czekolady.

- Nie, nie przystosuje się. Nigdy mu to nie wychodzi, a gdyby nawet, to ja się nie przystosuję. Uwierz mi, twoje stosunki ze mną ulegną poprawie na wszystkich płaszczyznach, jeśli dasz mi jakiś deser. Więc proszę, zadzwoń do tej restauracji i zamów coś.

- Nie. Spróbujmy raczej oderwać twój umysł od deseru, a po pięciu minutach nie będziesz o nim pamiętała.

- Posłuchaj mnie, D e m o n i e! Jeśli nie dasz mi deseru, to pożałujesz. Ostrzegam cię. To najgorsza z wszystkich rzeczy, jakie możesz mi zrobić, druga w kolejności po porwaniu mnie. To coś jeszcze gorszego niż zmuszanie mnie do pływania w wodetrzu. To gorsze niż zakaz palenia.

- Klasyfikowanie braku deseru jako czegoś najgorszego jest chyba trochę przedwczesne, nie uważasz? Jesteś tu zaledwie jeden dzień.

Nie dał mi deseru. Dał mi banana i jogurt. Nie przyjął ich, powodowana dumą i brakiem głodu. Poprosiłam o papierosa.

- Nie, ty kopciuchu - odmówił mi.

Po kolacji kazał mi usiąść na krześle pod ścianą, po czym usiadł przede mną z notatnikiem i długopisem marki Bic. Zaproponował mi gumę do żucia o smaku winogronowym, którą z niechęcią przyjął. Sam też się poczęstował.

- Okay, możesz już zacząć - powiedział. - Wypowiedz swoje życzenia.

Zapatrzyłam się na niego pustym wzrokiem, a potem, tonem ociekającym sarkazmem, odparłam: - Hm, trudno powiedzieć, bo wszystkie moje życzenia zostały spełnione. Jestem taka szczęśliwa, pod każdym możliwym względem. Nie mogłabym chcieć już nic więcej. - Urwałam. - Nie, ale czekaj chwilę,

właśnie przyszło mi do głowy jedno życzenie: żebyś mnie wypuścił z tej obleśnej, zasranej klatki.

- Nie, prawdziwe życzenia dotyczące twojego życia, przyszłości.

- Żebyś dał mi deser.

Obdarzył mnie spojrzeniem pełnym przygany.

- Żebym obsesyjnie nie chciała cię zabić, kiedy już będę wolna.

- Powiedziałem ci, że chcę usłyszeć jakieś prawdziwe życzenia. Oprócz zostania aktorką, czego jeszcze zawsze chciałaś?

- Skąd ci przyszło do głowy, że kiedykolwiek zdradzę ci jakiegokolwiek moje życzenie? Ty chyba jesteś nienormalny. - Urwałam. - Ależ oczywiście, ty jesteś nienormalny. I oprócz tego na pewno też jesteś niedorozwinięty umysłowo.

- Do głowy to mi przychodzi, że albo powiesz, albo zacznę do ciebie strzelać. Życzenie, natychmiast!

- Moje życzenie jest takie, by twoje życie przeobraziło się w jedno wielkie pasmo nieszczęść.

- Sama chciałaś - odparł i strzelił we mnie. Wrzasnęłam. Stał teraz nade mną, z wycelowaną bronią. - Przestań mnie denerwować i wyraż życzenie. Bo inaczej...

- Nie, już nie strzelaj - poprosiłam, osłaniając się rękoma niczym tarczą. - Czekaj. Nie wiem. Potrzebuję czasu na zastanowienie.

- Nie, nie masz czasu. Na tym właśnie polega sesja życzeń: że nie masz czasu.

Lufa pistoletu znajdowała się w odległości cala od mojego czoła, uznałam za bardzo niepokojące, że postanowił strzelić właśnie w to miejsce.

Usiłowałam wymyślić jakieś bezpieczne życzenie, które nie dałoby mi okazji do torturowania mnie.

- Okay. Żałuję, że nie mam lepszego wyczucia stylu.

Przez chwilę zdawał się oszołomiony, a potem krzyknął: - Nie! To

oszukańcze życzenie. Uchylasz się przed wyrażeniem swoich prawdziwych życzeń.

Strzelił mi w obojczyk, a ja zawylałam, wyciągnęłam odłamek i wrzasnęłam:

- Musisz używać tych okruchów?! Mógłbyś przynajmniej używać pocisków z gorącą wodą.

- Z wrzątkiem. One nie przysparzają mniejszego bólu - ostrzegł.

- Ale przecież już znasz wszystkie moje prawdziwe życzenia. Zdradziłam ci je, kiedy byliśmy prawdziwymi przyjaciółmi.

- Chcę poznać inne twoje życzenia, również te, o których być może sama nie masz pojęcia. Dostanie tego, czego chcemy, nie wystarcza, żeby zapewnić nam szczęście. Inaczej niż wtedy, gdy dostajemy coś, czego chcemy, nie wiedząc o tym. Ale żeby to się zdarzyło, musimy zrozumieć, czego chcemy, nie wiedząc o tym. Wtedy jesteśmy w stanie to zdobyć. Dlatego więc poszukaj w głębi siebie.

- Rzeczywiście mam pewne życzenia, ale wolałabym nie wyrażać ich na głos.

- Dlaczego?

- Bo się boję twojego pistoletu. Możesz uznać, że nie są takie, jak trzeba.

- Okay, nie będę strzelał. Mów, jakie to życzenia.

- Żebyś się zabił.

- Okay, wyrzuciłaś to z siebie. A jakie są te inne?

- O mój Boże, właśnie do mnie dotarło, że jeśli ty umrzesz, to i ja umrę.

- Jestem wzruszony.

- Nie, ja mówię w dosłownym sensie, że umrę. Z głodu.

- Tym się nie przejmuj. A teraz podziel się ze mną mnóstwem życzeń. No już, ma być mnóstwo. - Gwałtownie pstryknął palcami.

- Chciałabym nigdy nie umrzeć i żeby nikt z mojej rodziny też nie umarł... Nie myśleć zbyt wiele. Być wolna od wszelkich obsesji. Zawsze

widzieć wszystko w jakiejś perspektywie. Życ pełnią życia i umrzeć bezbolesną śmiercią (ale tylko wtedy, jeśli moje życzenie, by nigdy nie umrzeć, okaże się niemożliwe). Polecieć na Księżyc...

- Po co? - spytał.

- Żeby znaleźć się w rakiemie.

- Po co?

- Żeby doświadczyć nieważkości.

Uśmiechnął się smutno, marzycielsko.

- Nie uważasz, że to trochę naciągane?

- Nie powiedziałaś, że to nie może być naciągane.

- Co jeszcze?

- Móc zapominać o tym, czego chcę, i żebyś ty też mógł zapomnieć o tym, czego chcę, i zapomnieć o tym, że mnie zmuszałeś do chcenia różnych rzeczy, i zapomnieć o tym, że mnie zmuszałeś do myślenia o tym, czeR go chcę, nie wiedząc o tym.

Przewrócił oczami, westchnął i zrobił balona.

- Twoje życzenia stają się monotonne. Podaj mi jakieś inne.

- Poskakać na prawdziwej trampolinie. Skakałam tylko na tych małych w sklepach ze sprzętem sportowym.

Spojrzał na mnie, a ja się przestraszyłam, że znowu się zapędziłam w tym obśmiewaniu jego sesji życzeń.

- Przepraszam, tobie się to życzenie nie podoba, prawda? Cofam je.

- Żartujesz sobie? Na trampolinie mogłabyś uprawiać jogging bez podrygiwania. To znaczy trochę byś podrygiwała, ale delikatniej. I nie byłoby wytrząsania. Oprócz roweru kupię ci trampolinę. Zdradź mi jeszcze kilka innych równie pożytecznych życzeń.

- Chciałabym, żebyś mi ofiarował jakąś piękną, starą szpadę.

- Co jeszcze?

- Chwila, nie powiesz mi, że to znakomity pomysł, bo dzięki temu będę

mniej tęskniła za domem i będę mogła lepiej się skupić nad twoją tresurą?

- Nie. Kolejne życzenia.

- Już nic innego nie przychodzi mi do głowy.

- Ależ zastanów się. M y ś !!

- Że kiedy będę już sławna, prasa nie będzie mnie za bardzo zadręczać i pozwolą mi na odrobinę prywatności.

- Co jeszcze?

- To wszystko. Już nic więcej nie wymyślę. Nie jestem dobra w takich rzeczach.

- W takich rzeczach? Jakich rzeczach?

- No wiesz, w czymś takim jak sesje życzeń.

- Okay, na razie możemy przerwać, ale niebawem odbędziemy następną sesję, więc powinnaś się zastanawiać nad kolejnymi życzeniami i zapisywać je.

Wręczył mi swój notatnik, w którym nie zapisał żadnego z moich życzeń. Potem rozmontował długopis, wyciągając zeń wkład z tuszem. Podał mi rurkę z samą końcówką.

- Dlaczego tylko to? - spytałam, trzymając pionowo w palcach to wątle narzędzie do pisania niczym nie ugotowaną nitkę spaghetti.

- Jeśli nie umiesz się domyślić, dlaczego daję ci tylko szkielet długopisu, to dowiesz się podczas oglądania filmu. Jestem pewien, że uda ci się nim coś napisać.

Położyliśmy się na moim łóżku, z jego pistoletem wycelowanym w moim kierunku, i zaczęliśmy oglądać **Nikitę**.

- Jak się czujesz? - spytał. - Przyjemnie jest poćwiczyć, prawda?

Nie zniżyłam się i nie odpowiedziałam.

Scena z długopisem była na samym początku. Bohaterka dźgnęła nim policjanta w rękę.

- Brawo - mruknęłam.

Kilka minut później powiedział „ha”, jakby coś zauważył.

- Co? - spytałam.

- Właśnie mi przyszło do głowy, że gdyby taki Bic żył, to nie czułby bólu. Jednorazowe długopisy są jak insekty.

To bezkręgowce. Mają szkielety na zewnątrz i są miękkie w środku. Powinny być klasyfikowane jako owady. Albo może mięczaki. Gdyby takie długopisy żyły, to wtedy tak jak wszystkie bezkręgowce nie czułyby bólu.

Wytrzeszczyłam na niego oczy.

- Jakaż użyteczna wiedza. Jestem pewna, że przyda mi się w życiu, gdy znajdę się w otoczeniu stada żywych Biców. Będę spokojniejsza, wiedząc, że nie czują bólu.

Zwłaszcza biorąc pod uwagę całą krzywdę, jaką zamierzam im wyrządzić.

Po filmie, który normalnie podobałby mi się bardziej niż w tamtych okolicznościach, wyjął ze swojej torby jakieś kartki zszyte zszywaczem, położył je na moim łóżku i powiedział:

- To napisana przeze mnie scenka, której masz się nauczyć na pamięć dziś wieczorem. Jutro ją odegramy.

Nie odpowiedziałam. Zostawił mnie samą na noc.

Włączyłam telewizor i czekałam na wiadomości.

Na ekranach widziałam Damona, który rozciągał się przez piętnaście minut w swojej sypialni. Był niewiarygodnie giętki.

Zaczęli nadawać wiadomości. Dopiero w połowie pojawiła się historia pościgu, którego byłam bohaterką. Ujawnili, że doliczono się już trzynastu: zgłosiło się trzynaście kobiet, które twierdziły, że to one są ściganą kobietą. Poza tym nadchodziły doniesienia, z wszelkich sfer życia, że modne stało się dawanie do zrozumienia, jakoby się było ową ściganą kobietą. Robili to nawet mężczyźni. Wypowiedział się w tej kwestii pewien ekspert: główna jego teza brzmiała, że pościg rozgrzał wyobraźnię opinii publicznej.

Rozgoryczona wyłączyłam telewizor.

Przeczytałam scenkę, którą napisał dla mnie Damon, i przeżyłam wstrząs. Była to historyjka o parze siedzącej w restauracji, która zauważyła przechodzącą obok gwiazdę filmową, gwiazdę, która przypadkiem jest mną, Anną Graham (przy czym nie była to rola przeznaczona dla mnie). Kobieta w tej parze (moja rola) jest zazdrosna o to, że jej chłopak tak podziwia Annę Graham.

I właśnie ja musiałam nauczyć się tej absurdalnej, żenującej scenki na pamięć. Przez chwilę rozważałam pomysł, by jednak tego nie robić, ale na myśl o wyskubywaniu odkruchów lodu z ciała prędko pozbyłam się tej mrzonki. Na szczęście dialog był nieopisanie idiotyczny, niezapomnianie idiotyczny, więc nauczenie się go nie nastęrczało trudności, a zresztą scenka nie była długa.

Po krótkim czasie znałam to cholerstwo na pamięć i poszłam do łóżka. Nastawiłam budzik na szóstą trzydzieści. Damon zapowiedział, że przyjdzie o ósmej.

W środku nocy wstałam, żeby pójść do łazienki; ledwie mogłam się ruszać, tak mnie bolały mięśnie. A przecież to wcale nie było tak, jakobym nigdy wcześniej się nie gimnastykowała albo nigdy mnie coś poważnie nie bolało od gimnastyki. Owszem, gimnastykowałam się, tylko nie lubiłam tego robić. Tak czy owak musiałam pójść do łazienki, więc szłam, znosząc nieznośne.

Musiałam przytrzymać się blatu umywalki, żeby usiąść na desce klozetowej, bo moje obolałe nogi nie były w stanie podtrzymać ciężaru ciała.

W drodze powrotnej do łóżka wyjrzałam za róg, by sprawdzić, czy wszystko wygląda tak samo, i zobaczyłam wielką donicę z niecierpkami. Podeszłam do nich, kuśtykając. Damon spał, na ekranie. Prawdopodobnie przyniósł je po cichu w nocy. Obok donicy na podłodze leżała mała biała karteczka. Z wielkim trudem i cierpieniem pochyliłam się i podniosłam ją. Odręcznym pismem było na niej napisane:

Droga Anno Graham!

Mam nadzieję, że jakoś je zniesiesz.

Przepraszam, że ci je daję, Ale wraz z tym darem przybędzie jeszcze piękna.

Skorzystaj ze wskazówki ukrytej w twoim imieniu i nazwisku, to mnie zrozumiesz.

(10-literowe słowo)

Twój Damon Z początku nie rozumiałam. Miałam „znieść” niecierpki? Większość ludzi na ogół znosi niecierpki.

A potem dotarło do mnie, że to zagadka. Jakby za mało było stresu, którego dotąd doznałam.

To była gra słowna, niepełny anagram ze słowa „niecierpki”, który miałam rozwiązać i rozwiązałam. Odpowiedź brzmiała: „cierpienie”. Odczytałam raz jeszcze jego list i w końcu doszukałam się znacznie więcej sensu. Dobrze było wiedzieć, że czuł się winny z powodu mojego obolałego ciała. Może następnego dnia będzie bardziej delikatny ze swoimi ćwiczeniami i okruciami.

Wróciłam do łóżka, już nie czując się taka słaba, przekonana, że moje narzekania przyniosły jakiś tam skutek.

Zjadłam banana i jogurt, które mi zostawił.

DZIEWIĄTY

Znowu nie spałam w nocy. O szóstej trzydzieści zadzwonił budzik i zaczęłam realizować plan ucieczki.

Najpierw przywdziałam zbroję: włożyłam dżinsy, owinęłam nogi ręcznikami i na to wcisnęłam dwie pary spodni od dresów. Włożyłam ponadto wszystkie górne części ubrania, jakie miałam ze sobą: dwa Tshirty, jeden golf, sweter, a przedtem jeszcze owinęłam ręcznikiem jedną rękę i matę z łazienki drugą. Wepchnęłam pod sweter poduszkę, żeby ochronić tors. Na koniec okutałam głowę i twarz prześcieradłem, pozostawiając odsłonięte tylko oczy, i zrobiłam dziurę, żeby móc oddychać.

Wyjęłam z szafy odkurzacz i wygrzebałam kłęb kurzu z jego worka: to

miała być moja broń. Schowałam odkurzacz z powrotem i sprawdziłam na ekranach, co się dzieje z Damonem. Był już w kuchni, szykował śniadanie.

Ostrożnie wzięłam kłęb kurzu w ręce i zaniósłam go niczym niemowlę do łazienki. W rzeczy samej był wielkości niemowlęcia. Weszłam do wanny, zasunęłam zasłonkę i czekałam.

Nie minęło dużo czasu i zjawił się Damon. Najpierw zapukał do drzwi łazienki i dopiero potem je otworzył.

Odsunął zasłonkę. Wepchnęłam mu kurz w twarz, wyskoczyłam z wanny i usiłowałam po drodze przechwycić jego pistolet, ale mi się nie udało. Podbiegłam do drzwi celi. Nie zamknął ich na zamek. Poprzedniego dnia zauważyłam, że czasami nie chciało mu się zamykać klatki po tym, jak już wszedł do środka; nie musiał, bo przecież miał nade mną władzę dzięki swemu pistoletowi.

Ale już nie teraz, bo ja miałam swoją zbroję. Wybiegłam z pokoju na korytarz. A raczej wytoczyłam się (za sprawą zbroi byłam bardzo grubą osobą). Obolałe mięśnie też nie pomagały. Mata z łazienki wysuwała się z rękawa.

Stopnie pokonywałam zeskokami i zanim dotarłam do najniższego, Damon zdążył mnie dopaść. Powlókł mnie z powrotem na górę, wparował razem ze mną do celi, zatrzaskał zamek, usiadł przy stoliku nakrytym do śniadania i wrzasnął: - Jedz!

Śniadanie składało się z mało apetycznej, pełnoziarnistej, niczym nie osłodzonej owsianki zalanej kwaśnym mlekiem oraz grzanki bez masła, dżemu ani miodu.

Oraz z soku pomarańczowego.

Miałam ochotę mu powiedzieć, że umieram bez cukru, że nie jestem w stanie grać, jeśli nie jem cukru, że muszę jeść cukier, żeby być żywa. Ale chwila jakoś nie wydawała się odpowiednia.

Jadłam przez dziurę do oddychania w prześcieradle.

Kiedy skończyliśmy jeść, spojrział na zegarek i kazał mi usiąść na

poduszce na podłodze, oprzeć się o kraty i założyć ręce na plecy. Przykuł mnie kajdankami do krat i związał mi nogi. Wyjął z torby dwa kawałki tej samej cienkiej, przezroczystej tkaniny, z której były uszyte jego ubrania, i cisnął je obok mnie. Lekko sfrunęły na podłogę. Wyglądały jak chustki. Mógł mnie udusić za ich pomocą. Albo powiesić.

- Co zamierzasz zrobić? - spytałam.

Wyszedł z pokoju. Ze swojego miejsca widziałam jedynie jakieś niewyraźne ruchy, pojawiające się to na jednym, to na drugim ekranie. Czekałam. Damon nie pozwolił mi zdjąć zbroi. Poduszka pod swetrem wybrzuszała się przede mną niczym ogromny, piwny brzuch. Było mi gorąco.

Minęło około półtorej godziny i wtedy zadzwonił dzwonek, który najpierw mnie zdumiał, a potem wtrącił w stan intensywnego poruszenia. Tymczasem do celi wbiegł Damon i brutalnie zerwał mi prześcieradło z głowy. Wziął jedną z jedwabnych chustek i wepchnął mi ją do buzi, a drugą owinął usta i związał ją mocno z tyłu głowy. Zaczęłam się krztusić tak mocno, że aż pociekło mi z nosa.

Ktoś miał zaraz wejść do domu i gdyby tylko udało mi się narobić hałasu, mogłabym przykuć jego uwagę.

Zaraz po wyjściu Damona usiłowałam krzyczeć, ale wychodziło mi tylko buczenie. Próbowałam różnicować jego natężenie, w nadziei, że jedno będzie głośniejsze od innych, ale wszystkie wychodziły z tą samą głośnością. Próbowałam więc tupać. Próbowałam wstać, ale poprzeczna sztaba zagrażała drogę kajdankom, które nie mogły przesunąć się w górę. Próbowałam walić głową o kraty, ale zrobiłam to tylko raz - odgłos był bardzo cichy, a ból wielki. Powróciłam do szaleńczego buczenia. Zaczęło mnie boleć gardło i momentami się dusiłam, a z nosa jeszcze bardziej mi ciekło, ale jakimś cudem nie zwymiotowałam, co mnie przyjemnie zdziwiło.

A potem usłyszałam męskie głosy. Przestałam na chwilę buczeć, ale nie byłam w stanie zrozumieć, co mówią.

Znowu walnęłam głową o kraty. Głosy zaczęły cichnąć, a ja się popłakałam. Zmusiłam się jednak, żeby przestać, bo zatkał mi się nos i nie mogłam oddychać.

Pięć minut później Damon otworzył drzwi i mnie odkneblował. Co było niedobrym znakiem, bo oznaczało, że tamten mężczyzna czy mężczyźni już sobie poszli. Ale i tak wrzasnęłam, na wszelki wypadek. Damon wyraźnie się tym nie przejął, co potwierdziło moje obawy, że tamci już sobie poszli, niemniej nie przestawałam krzyczeć, wiedząc, że to nielogiczne, że raczej by nie blefował, a jednak chciałam być dokładna.

- Już dobrze - powiedział wreszcie. - Nie musisz krzyczeć. Poszli sobie.

- Kto to był?

- Dostawcy.

Nadal siedziałam na podłodze, przykuta kajdankami, ale kiedy wykręciłam szyję, zobaczyłam w drzwiach wielką maszynę. Niewykluczone, że jakieś urządzenie do tortur.

Bardzo się nie pomyliłam. To był rower, półleżący rower.

- Jest fascynujący - stwierdził Damon, wpychając wielkie, elektroniczne urządzenie do mojej celi. Ustawił je naprzeciwko ekranów i podłączył do gniazdka w ścianie. Usiadł na nim i powiedział: - Pedałuje się niezwykle gładko.

- Nacisnął kilka guzików, by podświetlić niewielki panel.

Zdjął mi kajdanki i powiedział, żebym poszła się przebrać w coś wygodniejszego. W łazience, kiedy zdejmowałam swoją zbroję w oparach kurzu, poczułam się smutna i pokonana.

Później Damon kazał mi pedałować na rowerze, dopóki na panelu nie wyświetli się komunikat, że spaliłam osiemset kalorii.

- Osiemset kalorii! Przecież to dwie albo trzy godziny pedałowania! - zakrzyknęłam z przerażeniem.

- Nastawiam go na taki poziom, że to będą dwie godziny. Wrócę za godzinę, postaraj się spalić do tego czasu czterysta kalorii. Jeśli tego nie zrobisz,

będę bardzo zły i bardzo tego pożałujesz. A teraz idę popracować w laboratorium. Pedaluj dzielnie.

Pedałowałam, obserwując, jak kalorie sumują się na ekranie, żałowałam, że nie mam papierosa. Albo czekolady, która dodałaby mi energii. Wypatrzyłam Damona na jednym z ekranów, miotał się po laboratorium. I robił bardzo fascynujące rzeczy.

Pozdejmował szklane pokrywy z chmur, które wyprodukował poprzedniego dnia, i przeprowadzał na nich eksperymenty. Zakładam, że to były eksperymenty, bo przecież mógł też zwyczajnie zabijać czas.

Po godzinie wrócił, żeby mnie sprawdzić, i przekonał się, że pracuję zgodnie z planem, pod względem kalorii.

Gdy już miał wrócić do laboratorium, spytałam:

- Dlaczego obijałeś chmury raketami do tenisa?

Pytanie jakby zbiło go z tropu.

- Sprawdzałem gęstość chmur poprzez obserwowanie prędkości, z jaką przechodzą przez otwory w siatce rakiety. Przez porównanie tych prędkości mogłem jednocześnie porównać opór stawiany przez poszczególne chmury.

- A dlaczego wsysałeś je za pomocą zakraplaczy do oczu i nakłuwałeś szpikulcami do pieczenia indyków? - pytałam, dysząc z wyczerpania, bo podczas mówienia cały czas pedałowałam.

- Również w ten sposób sprawdzałem ich gęstość.

- A dlaczego je deptałeś, siadałeś na nich i próbowałeś ciąć je nożem?

- Byłem wściekły, bo chmury nie okazały się tak gęste, jak na to liczyłem.

- A dlaczego usiadłeś na podłodze, w otoczeniu wiejących na ciebie wentylatorów?

- Starałem się rozwiązać problem.

- Jaki problem?

Popatrzył na mnie zagadkowo.

- Jak zwiększyć ich gęstość.

- Jak zamierzasz to osiągnąć?

- Przez zmianę sposobu ubijania wody. Tłumaczyłem ci, że moje bonzaiowe chmury powstają dzięki miksowaniu wody w szczególny sposób, za pomocą maszyny do ubijania, podobnej do zwykłego blendera, którego końcówki miksują w różnych pozycjach, tworząc wielorakie wzorce i kombinacje ubijania przy zróżnicowanych prędkościach. - Na chwilę przestał mówić, a potem wyjaśnił to jeszcze dokładniej: - Ubijanie przypomina robienie na drutach. Chmura powstaje ze ściągów, ale to są płynne ściegi. I teraz usiłuję wymyślić, jak sprawić, by te ściegi były mocniejsze, a jednocześnie zachować ich lekkość.

Ostatnie trzy lata spędziłem na testowaniu różnych prędkości i wzorów ubijania, w nadziei, że dzięki temu uzyskam gęściej utkaną fakturę.

- A jak gęste miałyby być te twoje chmury?

- Chciałbym, żeby były zwarte.

- Dlaczego?

- Byłoby miło.

- A może ty przypadkiem chcesz, żeby przenosiły różne rzeczy?

Wzruszył ramionami.

- Może.

- Ty chcesz, żeby one przenosiły ciebie, powiedz, że nie! Uległeś wpływowi książek dla dzieci, w których ludzie fruwać na chmurach. Jesteś stuknięty. Ubrdałeś sobie, że to możliwe? Nawet woda jest gęstsza od chmur.

- Skąd u ciebie to negatywne nastawienie? Ja nie neguję twojego marzenia o zostaniu aktorką. Dlaczego negujesz moje szanse na odkrycie właściwego sposobu ubijania wody?

- A próbowałeś czegoś jeszcze oprócz zmiany sposobu ubijania wody?

- Oczywiście. Próbowałem wszystkiego, co mi tylko przyszło do głowy. Próbowałem mieszać chmury z różnymi chemikaliami. Mieszałem je nawet z krwią, śliną, ropą, potem, łzami.. włosami. Całymi dniami zajmowałem się

wyłącznie wymyślaniem, co mógłbym zrobić z chmurami, żeby stały się zwarte. Poszedłem do specjalisty od zdrowego żywienia i spytałem go, jakie witaminy powinienem przyjmować i co powinienem jeść, żeby być bardziej twórczy i błyskotliwy w ramach działalności naukowej. Moim zdaniem brak mi jakiegoś odżywczego składnika albo witamin i to właśnie nie pozwala mi wpaść na rozwiązanie. A może cierpię na brak równowagi chemicznej.

- Bo nie potrafisz tworzyć zwartych chmur.

- Tak. - Usiadł na podłodze, twarzą do mnie i krat. - A propos, możesz przestać pedałowac; widzę, że właśnie spaliłaś osiemset kalorii. Próbowałem nawet rozmawiać z moimi chmurami, przekonywać je, by były bardziej materialne, że życie jest lepsze, kiedy jest się bardziej materialnym, że posiadanie masy jest zabawne.

Wytrzeszczyłam oczy. Wydawał się kruchy, kiedy tak siedział na podłodze, z nogami rozłożonymi w perfekcyjnym szpagacie. Rozciągał się. I nie przestawał mówić: - Bywały takie chwile, kiedy czułem, że tracę zmysły, na przykład wtedy, gdy próbowałem je mieszać z dymem, ciemnością i zapachami. - Z wyraźnie nieswoją miną dodał: - Kiedy mój stan psychiczny pogorszył się jeszcze bardziej, próbowałem mieszać chmury z nudą, zazdrością, tendencyjnością i ekstremizmem. Ale nie poddam się. Dokonam tego. Muszę.

- Dlaczego musisz?

- Bo chcę. Bez żadnego szczególnego powodu oprócz wielkiego pragnienia.

Potem nastąpiła nieprzyjemna sesja rozciągania, która trwała godzinę. Raz po raz powtarzał: „Giętkość to wolność”. Ugniatał gumę do zucia w palcach, mówiąc, że powinnam postarać się być równie giętka jak ona. Kiedy nie rozciągałam się dostatecznie mocno, dodawał mi bodźca lodowymi igłami albo lodowymi nićmi, które były tak cienkie jak moje wyobrażenie o igłach do akupunktury. Pod koniec sesji zrobił ze swojej gumy maleńką rzeźbę i sprezentował mi ją na wyciągniętej dłoni. To była twarz, która odlegle

przypominała moją, tyle że była bardziej atrakcyjna; młoda Elizabeth Taylor bez lekkiego rozplaszczenia. Kiedy skończyliśmy się na nią gapić, Damon wrzucił twarz do ust i powiedział: - Giętkość to nie tylko wolność. To piękno.

Pozwolił mi odpocząć, a sam pojechał do miasta i kupił rozkoszniutką trampolinę.

Podczas lunchu doszło między nami do kłótni; to ja ją wywołałam, mówiąc:

- Marnujesz czas swój i mój, trzymając mnie tutaj.

Nigdy nie ulepszysz mojego aktorstwa. Moim przeznaczeniem jako aktorki jest albo odnieść sukces, albo porażkę, ale ty tu niczego nie zmienisz.

- Pozwól sobie wytłumaczyć, że kiedy cię poznałem, zdążyłaś w stronę porażki. I że wiedziałaś o tym. Gdybym się nie zjawił, za dziesięć lat wciąż byś się tak biedziła.

- Przede wszystkim pozwól sobie przypomnieć, że ty się wcale nie zjawiłaś: to ja się zjawiłam. A gdybym ja się nie zjawiła, ty być może już byś nie żyła! Obecnie z całego serca żałuję, że do tego nie doszło.

- Może bym i nie żyła. Ważniejsze jednak, nie tylko dla ciebie, ale i dla mnie, jest to, że poniosłabyś porażkę i byłabyś nieszczęśliwa.

Wściekłam się. I nie potrafiłam wymyślić właściwej riposty. Dlatego w końcu z infantylną pasją powtórzyłam:

- No i już byś nie żyła!

- Kotku, zauważyłaś, kto właśnie przeszedł obok nas?

Przez sekundę myślałam, że bredzi. Ale potem wycelował we mnie pistolet i tym ożywił moją pamięć: recytował pierwszą kwestię scenki, której kazał mi nauczyć się na pamięć.

Prychnęłam, w ramach komentarza wobec jego wyczucia czasu. Bezwstydnie wykorzystywał sytuację, swoją władzę, wybierając ten właśnie moment na odegranie scenki. Powiedziałam mu, że moim zdaniem jego scenka jest głupia, na co odparł, że o scenkach nie będzie dyskusji z góry. Zagroził, że

będzie strzelał, jeśli spróbuję to robić.

- Kotku - powtórzył - zauważyłaś, kto właśnie przeszedł obok nas?

- Kto? - wyrecytowałam.

- Anna Graham.

- Ta aktorka? Jesteś pewien?

- Tak. Spojrzała na mnie.

- Była ładna?

- Tak.

- Ładniejsza ode mnie? - spytałam, czując się jak debil.

- Naprawdę nie umiałbym powiedzieć. Dlaczego pytasz?

- Odpowiedz mi.

- Może trochę. Ale to nie dzięki swemu wyglądowi jest taka niesamowita jako aktorka. Ma zdumiewającą osobowość.

- Ciekawszą od mojej?

- Ciekawszą od dziewięćdziesięciu dziewięciu procent populacji.

- Czy to oznacza, że ciekawszą od mojej czy nie?

- No cóż, ciekawszą od niemalże wszystkich.

- Ale ciekawszą od mojej czy nie?

- Jeśli masz osobowość ciekawszą niż dziewięćdziesiąt dziewięć procent populacji, to w takim razie nie, ona nie ma ciekawszej osobowości niż ty.

- Czy moja osobowość jest ciekawsza od osobowości dziewięćdziesięciu dziewięciu procent populacji?

- A kto to może wiedzieć?

- Ty możesz. Właśnie stwierdziłeś, że jej osobowość taka jest, więc możesz też powiedzieć, czy moja jest taka.

- Posłuchaj. Ona jest aktorką, co zazwyczaj oznacza wdzięk i charyzmę. Ty prowadzisz punkt ksero, co zazwyczaj oznacza... prawdopodobnie wiele zalet, ale niekoniecznie wdzięk i charyzmę. Sama wyciągnij wnioski.

- A przespałbyś się z nią, gdybyś mógł?

- Prawdopodobnie nie.

- Co to znaczy „prawdopodobnie nie”? Czy to oznacza, że „może”?

- Nie wiem. To by zależało od tego, co ty byś o tym pomyślała.

- To znaczy, że gdybym powiedziała okay, to ty byś to zrobił? Chciałbyś to zrobić? Chciałbyś się przespać z jakąś inną kobietą?

- Ona nie jest jakąś tam inną kobietą, tylko sławną aktorką filmową. Dlatego coś takiego byłoby bardziej dopuszczalne, łatwiejsze do wytłumaczenia. Jeśli wręcz nie godne akceptacji, nie uważasz? Innymi słowy, mogłabyś wtedy poczuć się dumna, że masz chłopaka, który przespał się z Anną Graham. Pomyślałabyś sobie: okazał się jej wart, więc musi być wart cholernie dużo.

Rozumiesz, niezła z niego partia. Nie mam racji?

- Nie, nie masz racji. I moim zdaniem sprawy między nami mają się źle.

Klasnął w dłonie.

- Powiedziałbym, że to dobry początek. I doskonale wyuczyłaś się swoich kwestii. Jestem bardzo zadowolony. Powinniśmy to uczcić.

- To była najgłupsza scenka, jaką w życiu słyszałam.

Nawet w filmach pornograficznych nie padają tak złe kwestie jak u ciebie. Ale przecież jesteś meteorologiem, który udaje kogoś, kto coś wie na temat aktorstwa, więc czemu ja się dziwię?

- Twoja pasja i szczerść są śmieszne. Mógłbym tego słuchać od rana do nocy, ale musimy zająć się innymi rzeczami.

- To wszystko? Nie zamierzasz mnie teraz uczyć i krytykować mojej gry? Czy nie o to tu miało chodzić?

Wzruszył ramionami.

- Uznałem, że poszło ci dobrze.

- Trzymasz mnie w więzieniu, by robić takie coś? Ojejku, jak wspaniale się dowiedzieć, że poszło mi dobrze. Już czuję, że Oscar coraz bliżej, ty żaloszny oszuście.

- Podoba mi się twój obecny nastrój. To nadzwyczaj dojrzały nastrój.

Dojrzały jako kontrast. Czuję, że w moim wnętrzu wrze załazek nowego nastroju. Jest już prawie gotów. Mam go! Twój nowy nastrój to szczęście.

Wypreparowane i ogromne. Chcę, żebyś odegrała szczęście. No już... odegraj je... - Powiedział to niczym projektant, który wyobraził sobie, że kolorem obowiązującym w następnym sezonie będzie czerwony.

- O czym ty bredzisz, idioto? - warknęłam.

Zaśmiał się. Ja nie.

- Innymi słowy - ciągnął - chcę, żebyś odegrała rolę szczęśliwej. Niesamowicie dużo się zastanawiałem nad różnymi ćwiczeniami aktorskimi, jakie powinnaś wykonywać. I wymyśliłem to jedno, które będzie polegało na tym, że będę ci kazał, niespodziewanie i bez uprzedzenia, odgrywać rozmaite nastroje lub stany albo będę ci dawał demonstrować różne cechy osobowości.

A więc czas teraz na szczęście.

- Zapomnij.

- Och, przestań, czy musimy znowu przechodzić przez całą procedurę z pistoletem i pogrózkami? Czy nie możemy tego pominąć, uznać za rzecz zrozumiałą samą przez się?

Nie odpowiedziałam.

- Okay, dobrze, widzę, że się zgadzasz. A teraz proszę, zagraj szczęście.

Stawianie oporu nie miało sensu.

- Jestem szczęśliwa - oznajmiłam zeszywniałymi wargami.

Wybuchł śmiechem.

- Będziesz musiała zrobić to o wiele, wiele lepiej.

- Jestem taka szczęśliwa - powiedziałam tępo.

Wycelował we mnie pistolet.

- A ja nie. Będziesz musiała zrobić to co najmniej dziesięć razy lepiej.

- Jestem w ekstazie?

Postrzelił mnie w udo. Wrzasnęłam z bólu i oburzenia. Byłam zaszokowana, zaszokowana, że strzela do mnie w takiej sytuacji. Wydłubałam

okruch i cisnęłam mu nim w twarz.

Wykonał klasyczny już manewr z rzucaniem we mnie plastrem.

- Odegraj szczęście - rozkazał, kiedy opatrywałam ranę.
- A czego byś sobie życzył: skakania do góry i okrzyków radości?
- Czemu nie?
- Jak długo?
- Dopóki nie każę ci przestać.
- Za jakąś minutę?
- Nie. Od kilku minut do kilku godzin.
- Ale z czegoś takiego wyszedłby aerobik.

Westchnął.

- Odegraj szczęście. Po prostu je odegraj. I to dobrze.

Klasnęłam w dłonie, wierzgnęłam nogą i powiedziałam: „Życie jest cudowne!”, ale wyszło to sarkastycznie, jak tekst wylatujący z paszczy tygrysa reklamującego owsiankę, i znowu zostałam postrzelona.

Zrobiłam głęboki wdech, skupiłam się, usunęłam cały sarkazm ze swojego wnętrza i odegrałam szczęście: - W tym miejscu jestem taka szczęśliwa - powiedziałam. - To przypomina pobyt w uzdrowisku. Jak to cudownie nie być zmuszoną do chodzenia do pracy w punkcie ksero ani do sklepu jubilerskiego. Przecież to jest tak, jakbym chodziła za darmo do szkoły aktorskiej i za darmo na siłownię, jakbym dostawała nie tylko darmowe pyszne posiłki, ale także darmową klatkę razem z darmowym opierunkiem.

Miałam nadzieję, że nie będzie do mnie strzelał za te obraźliwe ostatnie słowa, przed którymi jednak nie potrafiłam się powstrzymać. Skrzywił się wprawdzie, ale ja nie przestawałam paplać, żeby odwrócić jego uwagę: - I ten anagram! Jakież czarujący sposób na przekazanie prezentu i jednocześnie przesłania. A te zajęcia! Żyję w nieustannym podnieceniu, bo czekam, jakąż to nową i ambitną metodę ulepszenia wymyśliłeś dla mnie. - Być może trudno w to uwierzyć, ale w moim tonie nie było ani śladu szyderstwa.

- Przykro mi, ale nie zaplanowałem nic nowego na dzisiaj - powiedział.

- Też dobrze. Dzięki temu będę mogła cieszyć się staR rymi pomysłami, które zresztą i tak są dla mnie nowe.

- Czy odgrywanie szczęścia sprawia ci przykrość? - spytał, wyraźnie zmuszając mnie, żebym spotęgowała narzucony mi nastrój.

- Właściwie to tak, bo to mnie naprawdę deprymuje, że mieszkam w takim cudownym domu, u boku cudownego faceta, który wymyśla dla mnie ćwiczenia aktorskie całkiem za darmo. Tak, o wiele bardziej wolałabym marnować życie w punkcie ksero.

Uśmiechnął się z uznaniem wobec tego mojego *tour de force*: że potrafiłam powiedzieć, co naprawdę czuję, jednocześnie nadal dopasowując się do jego ćwiczenia.

Spojrzał na zegarek i powiedział: - Myśl o tym jeszcze, zaraz wracam.

Było dwadzieścia pięć po pierwszej.

Popatrzyłam na ekrany i zobaczyłam, jak przechodzi przez te same drzwi co wczoraj, o tej samej porze - drzwi prowadzące do jakiejś tajemniczej przestrzeni, której kamery nie rejestrowały.

Tak samo jak poprzedniego dnia wrócił pół godziny później, znowu zapłakany.

Poinformował mnie, że jeszcze nie zostałam zwolniona z obowiązku „odgrywania szczęścia”. Zaprowadził mnie nad basen i oczywiście kazał pływać.

- Ale nie unós się tylko na powierzchni, pływaj!

- Nie mogę - zaprotestowałam. - To niemożliwe.

- Ależ oczywiście, że to możliwe.

- Nie.

- Tylko popatrz - powiedział, odkładając pistolet na półkę z gumowymi kaczkami. Zanurkował do basenu i przefrunął przez wodę (bo poruszanie się w tej napowietrzanej wodzie bardziej przypominało fruwanie niż pływanie).

Chwilę później był z powrotem u mojego boku. Wyszedł z wody. - Cała sztuka polega na tym, by poruszać nogami tak jak w kraulu, a rękoma jak w żabce. Czyli tak, jakbyś fruwała.

Mów za siebie, pomyślałam. Na pewno bym nie robiła czegoś takiego, gdybym fruwała; w ogóle w życiu nie widziałam, żeby ktoś fruwał w taki sposób. No chyba że we śnie.

- Płyn - rozkazał, stając na skraju basenu. Ociekające ubranie przywarło mu do skóry, przezierało przez nie nagie ciało. - No dalej - powiedział i strzelił mi w szyję igłą z lodu, mniej bolesną niż okruc.

Próbowałam pokonać jakiś dystans. Damon wciąż jednak nie pozwalał mi przestać „odgrywać szczęście”, więc zachowanie uśmiechu na twarzy było prawdziwym wyzwaniem, bo przecież bałam się, że się utopię. W którymś momencie stwierdził:

- Nie wyglądasz na jakoś wybitnie szczęśliwą. - I chwycił pistolet, a kiedy zmusiłam się do szerszego uśmiechu, orzekł: - Ależ jesteś szczęśliwa, pomyliłem się.

W końcu pozwolił mi wyjść z wody. Wspięłam się po drabince, z uśmiechem niebezpiecznie zsuwającym mi się z warg.

- Fajnie było? - spytał.

- Tak.

- Opowiedz mi coś więcej.

- To mnie naprawdę podnieca, rzuca mi wyzwanie i jednocześnie dostarcza uniesień - powiedziałam, gromadząc wszystkie krople emocjonalnej energii, jakie mi jeszcze zostały. - Żaden ośrodek na ziemi nie oferuje takiej gimnastyki.

- Okay, możesz już przestać odgrywać szczęśliwą.

- Co ty masz we łbie, ty zbrojeńcu? - syknęłam. - Nie można tak traktować drugiego człowieka. Jestem człowiekiem! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, co to znaczy? - Trzęsłam się z zimna i złości. - Wydaje ci się, że jesteś

Bogiem? W życiu nie myślałam, że można czuć do kogoś taką nienawiść. Wręcz się niepokoję siłą swojej nienawiści. Gdybym miała broń, zabiłabym cię bez chwili wahania. Zabiłabym nawet siebie, byle tylko odebrać ci zabawkę. - Straciłam kontrolę nad swoimi wargami, które uniosły się samowolnie, obnażając zęby: moje kły. - Zabiję cię, gdy tylko będę miała okazję.

Ucieczka już mi nie wystarczy.

Padłam bezwładnie na podłogę i zalałam się łzami nieszczęścia.

Delikatnie położył mi rękę na ramieniu.

- Nie dotykaj mnie! - wrzasnęłam. - Twoje próby sprawienia, żebym poczuła się lepiej, tylko wszystko pogarszają.

- Wcale nie chciałem, żebyś poczuła się lepiej - odparł cicho. - Zamierzałem powiedzieć, że chcę, abyś teraz zagrała fajną.

- Co?

- Zagraj teraz fajną. Zagraj fajność.

Próbowałam rzucić się do basenu, żeby się utopić i w ten sposób położyć kres całej sprawie, ale złapał mnie wpół i powiedział:

- Nie chce mi się ratować cię dzisiaj po raz drugi.

Proszę, nie zmuszaj mnie, żebym znowu za tobą skakał.

Bądź grzeczna. - Przyjrzał mi się uważnie i dodał: - A teraz zdobądź się na odwagę, Anno. Bądź fajna.

- Czy możesz dać mi kilka chwil, zanim zaczniesz mnie do tego zmuszać?

- To by nam udaremniło osiągnięcie celu. Musisz zrobić to teraz.

- O Boże, jak ja cię nienawidzę - powiedziałam, dysząc. Czułam się jak ta dziewczynka z *Egzorcysty*, opętana przez diabła. - Zdychaj! - wrzasnęłam.

- Zagraj fajną! - odparł.

Wściekłość i taka jakaś dziwna gorączka niszczyły moje zdrowie psychiczne. W rzeczy samej warczałam.

Jak pies. Po raz pierwszy w życiu warczałam: dopiero teraz się dowiedziałam, że ludzie robią coś takiego, że stać ich na to, kiedy zostaną

doprowadzeni do ostateczności.

Odpełzłam od Damona pod ścianę, na czworakach.

Zbliżył się do mnie ostrożnie, jak poskromiciel dzikich zwierząt. Nadal ociekał wodą.

- Anno, bądź rozsądna. Przestań wydawać te dźwięki i opanuj się. Zagraj wyluzowaną. Od chwili, gdy to słowo opuszcza moje usta, jest twoje; musisz je zagrać. Natychmiast, albo będę strzelał.

Potrząsnął pistoletem w moją stronę, czym wytrącił mnie ze stanu bestii, przynajmniej częściowo. Wbiłam wzrok w sufit, rozpaczliwie starając się wymyślić, jak zagrać rolę fajnej. Znacznie lepiej rozumiałam „wyluzowaną” i miałam nadzieję, że te pojęcia są wymienialne.

Zrobiłam głęboki wdech i dałam nura w sposób bycia, który moim zdaniem mógł cechować kogoś fajnego: zaczęłam od przeczesania włosów palcami, z czym nie poradziłam sobie najlepiej, bo były mokre i splątane i dłonie przyklejały się do nich.

Damon zdjął swoją mokrą koszulę i rzucił ją na podłogę. Po raz pierwszy zobaczyłam go w prawdziwym toplesie. Jak przewidywałam, był wspaniale zbudowany.

Kiedy eskortował mnie do celi, wciąż grałam fajną.

Przebraliśmy się w suche ubrania, a potem zmuszał mnie do odgrywania fajnej podczas rozciągania się, skakania na trampolinie i kolacji. Potem położyliśmy się na moim łóżku i oglądaliśmy *Trzy kamelie* z udziałem Bette Davis - wydawało mi się, że cały czas gram fajną, a jednak Damon stwierdził: - Nie siedzisz w pozycji osoby fajnej. To pozycja fajtłapy. Usiądź fajnie.

Poprawiłam nogi. Ugięłam jedną i skrzyżowałam palce na brzuchu. Wydawał się ugłaskany. Jak ja żałowałam, że nie mam papierosa albo czekolady; wtedy i ja byłabym ugłaskana.

- A teraz chcę, żebyś była fajna, smukła w biodrach i posągowa - powiedział w połowie filmu.

Nie był normalny i tyle. Nawet nie drgnęłam.

Po chwili odezwał się znowu:

- Nie zamierzasz zmienić pozycji? Nie możesz zostać w tej samej pozycji.

To jest pozycja fajnej. Nie możesz zostać w pozycji fajnej, jeśli masz być fajna, smukła w biodrach i posągowa.

- A może właśnie jestem fajna, smukła w biodrach i posągowa?

- Nadal uważam, że powinnaś zmienić pozycję.

Usiadłam na łóżku nieco bardziej prosto i przycisnęłam dłonie do bioder, jakbym je ścisnęła.

- Co ty robisz z rękami? - spytał.

- Wysmuklam sobie biodra.

- Nazywasz to dobrym aktorstwem? Nie proszę cię, żebyś ty była smukła w biodrach, w każdym razie nie akurat teraz. Proszę cię, żebyś zagrała osobę smukłą w biodrach. I posągową.

Zaczęłam rozmyślać o bardzo chudych ludziach i przypomniało mi się, że zauważyłam sposób, w jaki zwykli siadać: zakładają nogę na nogę, a nawet potrafią oplatać jedną wokół drugiej niczym jakieś pnącze.

Spróbowałam więc zrobić coś takiego i okazało się, że nie jest mi specjalnie wygodnie, niemniej zostałam nagrodzona milczeniem, a zatem mogłam przyjąć założenie, że było znośnie.

Po filmie zostawił mnie samą na noc, położywszy na łóżku tekst nowej scenki, którego miałam się nauczyć do rana.

Przeczytałam, struchlałam, nauczyłam się go na pamięć.

Postanowiłam tego dnia nie włączać telewizora. Nie miałam ochoty sprawdzać, co mnie tam ominęło, ile uwagi na mnie nie skupiono, z jakich to okazji nie skorzystałam.

Położyłam się do łóżka. Byłam kompletnie wyczerpana, przez dwa dni prawie nie spałam. Postanowiłam porządnie się wyspać, żeby być w dobrej formie do ewentualnej ucieczki, jeśli nadarzy się okazja.

Rzeczywiście zapadłam w głęboki sen, ale obudziłam się w samym środku nocy, nadzwyczajnie zagubiona i zdezorientowana, bo byłam cała mokra i z każdą chwilą robiłam się coraz bardziej mokra. Padało na mnie z wielkiej chmury, która wleciała do mojej klatki.

Wszystko było mokre: koc, poduszka, materac i dywan. Krzyknęłam na Damona i dobrnęłam do krat, żeby jeszcze tam pokrzyczeć, ale wtedy moją uwagę przykuła mała, biała karteczka, na której leżała ciemnoczerwona kulka. Zorientowałam się, że to wiśnia.

Powoli, z wielkim bólem, pochyliłam się i podniosłam wiśnię oraz karteczkę, na której przeczytałam:

Droga Anno Graham!

Nie myśl, że nie wiem, co o mnie myślisz.

I nie myśl też, że nie wiem, że to, co o mnie myślisz, to jest łagodnie powiedziane.

Skorzystaj ze wskazówki ukrytej w twoim imieniu i nazwisku, to mnie zrozumiesz.

(6-literowe słowo)

Twój Damon Chmura warknęła na mnie niczym pies. Jakby w reakcji na to warknięcie pozostałe chmury w domu zawtórowały jej grzmieniem albo podobnym warkotem.

Machnęłam ręcznikiem, żeby wytworzyć wiatr i zmusić ją, by odfrunęła, ale ona była wielka, więc konieczny byłby wichur, żeby zechciała ruszyć z miejsca.

Albo coś wręcz przeciwnego, pomyślałam, nagle uderzona tym pomysłem. Wszystkie potwory mają swoje słabości, trzeba spełnić określone wymagania, żeby je zabić: wampirowi przebija się kołkiem serce albo wystawia się go na słońce, zombi trzeba, zdaje się, podpalić albo obciąć mu głowę, chmury zaś należy potraktować, potraktować... pewnym szczególnym urządzeniem domowym, które przypadkiem miałam w swojej celi.

Wyjęłam odkurzacz z szafy, wsadziłam wtyczkę do gniazdka, po czym podniosłam go, celując wlotem w chmurę.

Odkurzacz znowu mnie zawiódł. W walce z moim wrogiem siła ssania nie była bardziej skuteczna niż kurz.

Chmura nie dała się wessać i cały czas padało z niej na moje łóżko. Cisnęłam odkurzacz na bok.

Potrzebowałam wypoczynku. Poszukałam na dywanie suchego miejsca, gdzie mogłabym się przespać, i znalazłam je pod ekranami. Przykryłam się ręcznikami, wzięłam także mój biedny, ogołocony długopis i notatnik, żeby spróbować rozwiązać anagram, który zostawił mi Damon, na wypadek gdyby przydało się wiedzieć, co on myśli, że ja myślę o nim.

W niespełna kwadrans domyśliłam się, że anagramem słowa „wiśnia” jest „świnia”. Znacznie lepiej bym na tym wyszła, gdybym spała.

I to właśnie próbowałam zrobić, ale bez powodzenia.

Nie przywykłam do spania na podłodze, bez poduszki.

Potrzebowałam łóżka, a ponieważ chmura wreszcie sobie na nim ulżyła, zdjęłam zasłonkę od prysznic, rozłożyłam ją na mokrym materacu i położyłam się na niej.

W końcu opatulłam się zasłonką, kiedy z chmury znowu zaczęło siąpić.

Wsluchując się w odgłos kapania deszczu na plastik i licząc, że się nie uduszę od gorącego, wilgotnego, niemalże pozbawionego tlenu powietrza, wreszcie zasnęłam pod zasłonką.

DZIESIĄTY

Kiedy powiedziałam Damonowi, że nocą zalał mnie deszcz, przeraził się i wylewnie przeproszał, że nie sprawdził prognozy pogody dla salonu, zanim poszedł spać. Niemniej, mimo tych wyrazów skruchy, zmusił mnie do dalszego odgrywania „smukłej w biodrach i posągowej” przez całe śniadanie i podczas sesji jazdy na rowerze, która odbyła się po śniadaniu. Potem kazał się przerzucić na „ofermowatą”, nie robiąc mi żadnej przerwy, podczas której mogłabym go

obrażać. Musiałam robić za ofermowatą podczas pływania, skakania na trampolinie, gimnastyki, aż do połowy lunchu, kiedy powiedział, że mogę przestać, i wreszcie go poobrażałam do woli podczas jedzenia łyżką pysznego, zdrowego makaronu pociętego na krótkie pasemka.

W którymś momencie przerwał mi w samym środku nowej obelgi, zauważając łagodnie: - Jesteś jakby trochę przygaszona.

Byłam zdumiona tym absurdalnym brakiem właściwej oceny sytuacji. Otworzyłam usta, żeby wygłosić jakąś jadowitą ripostę, ale zauważyłam pomarańczową, plastikową lufę pistoletu wycelowaną we mnie i zamiast tego powiedziałam:

- Tak, jestem w depresji z powodu naszej córki Anny.

Martwi mnie to, że nic jej się nie udaje.

- Wiem, ja też tak się czuję - odparł - ale powinniśmy starać się o tym nie myśleć.

- Jedna, niewielka porażka to byłby drobiazg - wyrecytowałam stoickim tonem - ale taka wielka porażka. Serce się kraje. Nie zdobyła dotąd ani jednej roli, nie zarobiła na aktorstwie ani grosza, tylko chodzi do szkoły, kseruje i przekłwa uszy. Nie rozumiem, co z nią nie tak. Aż mi skóra cierpnie, kiedy znajomi mnie wypytyją, co Anna zamierza robić ze swoim życiem. W rzeczy samej wstyd mi, że nie ma niczego interesującego, o czym mogłabym im opowiedzieć. I nienawidzę siebie za to, że się wstydzę. Nienawidzę siebie nawet za to, że teraz się do tego przyznaję.

- Jesteś po prostu uczciwa. Ja też tak się czuję. John O'Connor opowiedział mi któregoś dnia o rozmaitych osiągnięciach synów i córek mieszkańców naszej kamienicy, a potem spytał, co robią nasze dzieci. Powiedziałem mu, że nasz syn zrobił dyplom, że ma wspaniałą pracę, i liczyłem, że na tym poprzestanie, że nie będzie pytał o Annę, ale on spytał. I to dokładnie takimi słowami:

„A jak tam wasza córka? Ta obiecująca? Ta ambitna?” To było naprawdę

nieprzyjemne, poczułem się jak dureń.

- To niesprawiedliwe - powiedziałam - że taki porządny człowiek jak ty musi znosić takie interakcje. Nie zasłużyliśmy na coś takiego. Często czuję niechęć wobec Anny za jej porażki. Jej porażka jest naszą porażką, więc czy w związku z tym nie powinniśmy się uważać za złych rodziców? John O'Connor ma rację: Anna była taka obiecująca. To ironia losu, że to nasz syn coś osiągnął. A z początku wszystko wyglądało inaczej.

- Tak, ale nic z tego nie przyjdzie, jeśli będziemy się nad tym rozwodzić. Powinniśmy myśleć o przyjemnych rzeczach - zakończył Damon jako mój ojciec. A potem, Damon jako Damon, nie odczekał nawet chwili, tylko z miejsca wypalił: - Drewno! Byłaś drewniana! Drewniana, drewniana, drewniana. Jesteś drewnem, mimo że powinnaś być wodą. Nie byłaś tak dobra jak wczoraj. Musimy powtórzyć to później. Tobie najwyraźniej ta scenka się nie podobała i nie włożyłaś dostatecznego wysiłku, by ukryć ten fakt. Musisz być bardziej przekonująca, bardziej elastyczna, bardziej płynna.

Miałam wrażenie, że płynę. Moje ciało utraciło fizyczność i przeobraziło się w emocję: nienawiść. Nie byłam w stanie mówić i nie musiałam nic mówić. Gapiłam się na niego i byłam nienawiścią.

Siedzieliśmy wpatrzeni w siebie, ja z moją nienawiścią, on obserwujący ją uważnie, jakby ją mierzył, a nawet wręcz wyceniał jej wartość.

Wreszcie przerwał milczenie, mówiąc do mnie powoli i zdecydowanie:

- Chcę, abyś teraz odegrała telepatkę.

Zagrałam telepatkę. Przyglądał mi się przez jakieś pięć minut, po czym zerknął na zegarek. Też zerknęłam na zegarek. Było dwadzieścia trzy po pierwszej. Popatrzył na mnie, jakby czekał, aż coś powiem. Tylko odwzajemniłam spojrzenie.

- Pomyśl - powiedział - grasz telepatkę, więc byłby to dla ciebie doskonały moment, żeby oświadczyć: „Zamierzasz właśnie na chwilę wyjść”. Bardzo źle, przepuściłaś okazję.

Wstał, kierując się do wyjścia, a ja wypaliłam: - Wrócisz tu za pół godziny, ale przedtem spłaczesz się jak małe dziecko, dziecko automat, które płacze codziennie o tej samej porze, jak podłączone do prądu.

- Lepiej późno niż wcale - odparł i wyszedł.

Zajęłam swoje stanowisko przed ekranami i jako żywo, znowu zniknął za drzwiami pomieszczenia, którego nie filmowały kamery. Wyszedł stamtąd pół godziny później, zapłakany.

A co do tej cholernej scenki, w której wyrażałam rozczarowanie moją córką Anną, to zmusił mnie, abym odegrała ją powtórnie, w trakcie niespodziewanej sesji pływania w wodetrzu. Omal się nie utopiłam.

Kiedy po południu odpoczywałam krótką chwilę w celi, obejrzałam niesamowity program w telewizji: Geraldo Rivera z kanału Fox News zrobił odcinek specjalny poświęcony Ściganej Kobiecie. Od ostatnich wiadomości, które oglądałam, liczba udających mnie kobiet urosła do pięćdziesięciu trzech. Geraldo zaprosił trzydzieści najbardziej wiarygodnych kandydatek, dając im możliwość udowodnienia swej autentyczności podczas programu. Widownia miała zdecydować, która z nich jest tą prawdziwą. Oglądałam to, walcząc z mdłościami i wieloma innymi, nieprzyjemnymi objawami.

Od wszystkich tych kobiet zażądano dwóch rzeczy: 1) żeby dały się filmować od tyłu podczas biegu przez studio, 2) żeby wyjaśniły, dlaczego goniła je Chriskate Turschicraw.

Wyłączyłam telewizor, żeby uspokoić objawy. Trzydzieści sekund później znów go włączyłam i dalej oglądałam to, co mogło być moim życiem. Nie, żeby to był aż taki splendor, jak analizują i oceniają podrygiwanie tyłka w biegu, porównując go z podrygiwaniem tyłka z oryginalnego nagrania. A jednak to mogło otwierać niektóre drzwi.

Po paradzie tyłków odbyło się głosowanie. A potem zorganizowano konkurs w kategorii wyjaśniania, w ramach którego te kobiety opowiadały swoje historie, przeważnie banalne. Niektóre były naciągane, nie traciły

wszakże znacząco na banalności. Ciekawe, co pomyśleliby widzowie na temat mojej historii: Chriskate, zakochana w mężczyźnie, który kochał się we mnie. Chce mnie analizować, chce być taka jak ja. Najlepsza historia. Nie do wymyślenia.

W końcu odbyło się ostatnie głosowanie. Kobieta, która wygrała, nazywała się Armory Jude. Kompletnie do mnie niepodobna.

Tamtego wieczoru, podczas deseru (sałatka owocowa), Damon zmusił mnie, bym grała wyciąganie pochopnych wniosków, co z kolei natychmiast go natchnęło, by kazać mi to robić w trakcie skakania na trampolinie. W rzeczy samej to wyciąganie pochopnych wniosków całkiem mi się podobało, bo wcale nie było odległe od moich naturalnych tendencji w obecnej sytuacji.

Niestety, Damon natychmiast się połapał i kazał zamiast tego odgrywać opaloną. Ponieważ nigdy nie zauważyłam, by opaleni ludzie zachowywali się w jakiś szczególny sposób, jedynym, co mi przyszło do głowy, było podwinięcie rękawów i nogawek dresu, żeby zademonstrować opaleniznę. Pieściłam także i oglądałam swoje obnażone ręce i nogi, żeby pokazać, jak bardzo mi się podoba moja opalenizna. Ponadto wyrażałam się w lekko marzycielski sposób, zakładając z jakiegoś powodu, że opaleni ludzie są bardziej marzycielscy, po tym, jak cały dzień wylegiwali się na słońcu.

Potem zostawił mnie na godzinę, żebym mogła odpocząć, obiecawszy, że kiedy wróci, będziemy oglądali jakiś film.

Wiedziałam naturalnie, czego się będzie spodziewał po powrocie: że nadał będę opalona. Nie cierpiałam grania opalanej. Pomyślałam, że wyciąganie pochopnych wniosków było o wiele przyjemniejsze, i stwierdziłam, że w przyszłości będę to znowu robiła, kiedy tylko mi się zachce.

Nagle przeraziłam się, że myślę o sobie w taki sposób.

Nie było dla mnie przyszłości w tym domu. Nie mogłam dopuścić, by istniała jakaś przyszłość.

Przeraziło mnie, że nie czuję już panicznego strachu, grozy, bólu;

zaakceptowałam swoje położenie. Zrozumienie tego wreszcie ukazało pełny zasięg koszmaru, w jakim utknęłam.

Odwinęłam nogawki i rękawy. Nie będę opalona, kiedy on wróci. Niech sobie do mnie strzela. Będę wytrzymywała okruchy tak długo, jak się da, albo lodowe ostrza, albo pociski z wrzątku, albo cokolwiek, nawet jeśli mają mnie doprowadzić na skraj śmierci. Ale nie będę więcej grała opalonej. Ani też żadnego innego stanu.

Czekałam, nie tylko zdenerwowana, ale także mężna i silna niczym Joanna d'Arc albo Antygona.

Damon po powrocie paplał o tym i owym i nawet nie zauważył, że przestałam grać opaloną, co tylko dowodziło absurdalności tego wszystkiego. Nie powiedziawszy mi, że mogę przestać grać opaloną, kazał mi odgrywać realistkę.

Spojrzałam mu prosto w oczy i stanowczym tonem odmówiłam.

Westchnął i przewrócił oczami.

- Już mi brakuje cierpliwości na korowody z pogrózkami. Od teraz kończę z pogrózkami i od razu strzelam.

A teraz zagraj realistkę.

- Nie. Strzelaj sobie do mnie, czym tylko chcesz, choćbym miała upodobnić się do jeża i umrzeć. Nigdy w życiu nie będę grała realistki ani też nie będę wypełniała żadnych innych twoich rozkazów.

- Nie powinnaś tak mówić. Kilka okruchów może sprawić, że jednak się ugniesz i odegrasz realistkę. Oszczędź swoją dumę. Zagraj realistkę.

- Nie. Mam gdzieś swoją dumę.

- Ja nie żartuję. Zagraj realistkę.

- Nie.

Postrzelił mnie w rękę. Ledwie drgnęłam.

- Zagraj realistkę - powtórzył.

- Nie.

Postrzelił mnie jeszcze raz, tym razem w pierś. To bardzo bolało i z ust wyrwało mi się stłamszone „Au”.

- Zagraj nieposłuszną - rozkazał.

Aha, sztuczka. Gdybym powiedziała „nie”, to okazałabym mu posłuszeństwo. Jak to obejść? Nie było jak.

Nieważne, nie zamierzałam brać udziału w jego zabawie.

- Nie - powiedziałam.

- Dobrze. Teraz odegraj stoicką.

- Nie.

- Znakomicie. A teraz zagraj realistkę.

- Nie.

Na jego twarzy pojawił się zbolący wyraz. Widziałam, że stara się podjąć decyzję, w którą część ciała strzelić, z dala od innych ran. Postrzelił mnie w ramię. To też mocno zabolęło, więc znowu mruknęłam „Au!”

- Zagraj realistkę.

- Nie.

Strzelił mi w brzuch łyżką wrzątku.

- Au!

- Zagraj realistkę.

- Nie.

Ułożył pistolet do strzału i opuścił go. Odwrócił się powoli, po czym wyszedł z klatki ze zwieszoną głową, nie zapominając oczywiście zamknąć zamka na klucz.

Wygrałam.

Usiadłam pod ścianą, pograżając się w błogiej medytacji, przyciskając palce do ran na piersiach i ramieniu.

Wygrałam. Tak. Anagram od „tak” to „kat”. Tak, kacie, wygrałam. Znalazłam twój słaby punkt (albo mocny punkt, w zależności od tego, jak na to spojrzeć): nie jesteś w stanie poważnie mnie skrzywdzić.

Kilka minut później usłyszałam grzmot, który rozszedł się w głębi korytarza. Zobaczyłam wielką, ciemną chmurę lecącą prędko w moją stronę; głośno pohukiwała. Na sekundę rozbłysła niczym żarówka. Po chwili jeszcze raz. Zapalała się i gasła, mrugała nieregularnie.

A potem zobaczyłam błyskawicę, która niczym dzida wbiła się w podłogę.

Za chmurą szedł Damon, długimi, pewnymi krokami; niósł wielki wentylator, którego obecność tłumaczyła, dlaczego chmura zbliża się tak gwałtownie.

Wdmuchnął chmurę do mojej klatki i sam wszedł do środka. Chwycił mnie, wepchnął do łazienki i wdmuchnął tam za mną chmurę. Usiłowałam otworzyć drzwi, ale Damon je przytrzymał od zewnątrz.

Natychmiast poraził mnie piorun. Ból był wstrząsający, gorszy niż normalny, prosty ból. Nie pomagało żadne spinanie się w sobie. Podstępny, bardzo silny ból, który bierze cię we władanie i zaraz potem opuszcza.

Znowu mnie poraziło. Wrzasnęłam przeraźliwie i usiłowałam otworzyć drzwi, ale Damon nie chciał mnie wypuścić. Weszłam do wanny, żeby uciec przed chmurą. Błyskawica trafiła w mydło, zaledwie kilka cali od mojej talii; podskoczyło na wysokość stopy, zaraz za nim plastikowa mydelniczka. Przez długie minuty siedziałam w wannie, co w żaden sposób nie chroniło mnie przed kolejnymi porażeniami piorunem - niemalże straciłam przytomność. Nie zagram realistki. Już wolę umrzeć. W końcu oczywiście zmieniłam zdanie: załomotałam w drzwi i obiecałam, że zagram realistkę.

W chwili, gdy drzwi zaczęły się wreszcie otwierać, zostałam jeszcze raz trafiona i opadłam bezwładnie na Damona. Musiał mnie zawlec do łóżka.

Położył się obok mnie, nic nie mówiąc. Zastanawiałam się, czy przypadkiem nie czeka, że właśnie teraz będę aktywnie odgrywała realistkę, ale brakowało mi sił, by się tym przejmować. Zamknęłam oczy.

Po kilku chwilach wymamrotałam: - Wcześniej byłam o tobie wysokiego

mniemania, kiedy przestałeś do mnie strzelać i wyszedłeś. Myślałam, że nie jesteś w stanie poważnie mnie skrzywdzić. Że nie stać cię na to. Myliłam się.

- Nie, nie całkiem - odparł. - Jestem w stanie zrobić ci krzywdę, ale cię nie uszkodzę. Na tym polega różnica.

Nie odpowiedziałam i nie otworzyłam oczu.

A on mówił dalej:

- Pioruny, które w ciebie trafiały, to były tylko bonzaiowe pioruny, pochodzące z bonzaiowych chmur. - Zawahał się. - Musiałem podjąć decyzję. Istniało, mówiąc szczerze, niewielkie ryzyko, że chmury zagrożą twojemu zdrowiu...

Podniosłam rękę, pokazując, że ma się przymknąć, i powiedziałam, słabo, niemalże niesłyszalnie, ale z nadzwyczajnym oburzeniem: - Moje życie było zagrożone.

- Zabolało cię, ale ostatecznie nic ci się nie stało, o czym przekonasz się za tydzień, kiedy to poznika - powiedział, ujmując mnie za ramię i wskazując ślady przypominające trafienia w tarczę strzelniczą.

Przyjrzałam się śladom wytrzeszczonymi oczyma. Nie zauważyłam ich wcześniej.

- Znajdziesz podobne na stopach i łydkach, gdzie błyskawica wstrząsała twoim ciałem - dodał. - Tak czy owak, jak powiedziałem, istniało niewielkie ryzyko, naprawdę małe. Ale uznałem, że powinienem je podjąć. Twoja przyszłość zaczęła mi się nagle jawić w czarnych barwach. Zaryzykowałem twoje życie, żeby ratować twoje marzenia.

Wciąż mnie mdliło od piorunów. Nie potrzebowałam jego słów, żeby mnie zemdlilo jeszcze bardziej.

- Nie zmuszałbym cię do ponoszenia ryzyka, którego sam wcześniej nie poniosłem. Podczas swojej pracy ulegałem porażeniom od pioruna więcej razy, niż umiem zliczyć. To obrzydliwe doświadczenie, ohydne, i za każdym razem, gdy mi się przydarza, przysięgam sobie, że skończę z tym. Ale popatrz na mnie,

wciąż tu jestem, wszystkie moje kończyny funkcjonują, nadal jestem inteligentny, nadal jestem normalny.

- Normalny?!

- Czas na film.

Nastawił *Terminatora 2* (dzięki czemu mogłam „zostać zmotywowana muskulaturą i ogólną sprawnością fizyczną Lindy Hamilton”). A jednak trudno było skupić się na jej mięśniach, bo zaraz na początku filmu usłyszałam polecenie:

- A teraz zagraj błaznowatą.

Wytrzeszczyłam na niego oczy. I ogarnęła mnie groza wobec tego jego talentu do wymyślania nastroju, który w danym momencie wydawał mi się najbardziej odstręczający.

- Myślałam, że chcesz, żebym odgrywała realistkę - zauważyłam.

- To było dobre na wtedy. A to jest dobre na teraz.

Zrobiłam, co mogłam, żeby zagrać błaznowatą, co nie jest łatwym zadaniem w przypadku kogoś, kogo dopiero co poraził piorun.

Przed pójściem spać położył mi na łóżku tekst scenki, którego miałam się nauczyć na następny dzień. Nauczyłam się go.

Tamtej nocy, już po wyjściu z łazienki, wyjrzałam za róg, by sprawdzić, czy jakimś cudem moja klatka nie jest przypadkiem otwarta na oścież. Nie była, ale na dywanie, między kratami, leżała mapa Persji. A obok niej karteczka o treści:

Droga Anno Graham!

Oto, z czym powinno się spotkać twoje dawne ja.

(4-literowe słowo)

Twój Damon.

Byłam tak rozdrażniona tym wszystkim, że nie chciało mi się zgadywać, ale to było zbyt łatwe: prosta odpowiedź po chamsku wtargnęła mi do głowy, kompletnie bez zaproszenia.

Anagramem do Persji była presja.

JEDENASTY

Mijały dni. Damon wymyślał słowa, hasła oraz frazy, które wypowiadał, kiedy chciał, żebym zaczęła odgrywać jakąś scenkę. „Graj”, brzmiało jedno z nich. „Rób to, co kochasz”, brzmiało inne. Nie udzielał ostrzeżenia, nie dawał czasu na przygotowanie. Wyraźnie wyznawał filozofię, że nie ma sensu odgrywać scenki, jeśli pora nie jest jak najbardziej niewłaściwa. Ze na tym właśnie polega skuteczna nauka gry aktorskiej: należy wcielać się w daną postać spontanicznie. Czasami prowokował nas oboje do kłótni, bo dzięki temu czerpał potem przyjemność z wybierania najbardziej dojrzałego momentu na wydanie rozkazu: „Graj”. Jednym z elementów procesu stawania się dobrym aktorem jest chowanie dumy do kieszeni, twierdził.”

I wciąż odgrywaliśmy nasze scenki. Często dotyczyły nas samych, naszych życiorysów, naszej przyszłości.

W jednej z nich ja byłam już sławna i Damon odgrywał rolę mojej sekretarki. W innej odegrał mojego nauczyciela aktorstwa, Aarona Smitha, który mówił jednej ze swoich protegowanych, odgrywanej przeze mnie, że jego dawna studentka, obecnie ta sławna Anna Graham, nie zgodziła się, by inna dziewczyna przybrała jej imię i nazwisko. Powiedział, że nie potrafił pojąć, jakim sposobem została taką dobrą aktorką, bo przecież zawsze była za bardzo sobą i teraz grzeszyła w tym jeszcze bardziej. „Jestem w kropce, dodawał. Może powinienem przejść na emeryturę”.

Na co ja, ta protegowana, mówiłam: „Może rzeczywiście. Szczerze powiedziawszy, nie jesteś najlepszym nauczycielem”.

W jednej wkurzającej scenie musiałam zagrać siebie dzwoniącą do Damona kilka dni po tym, jak uratowałam go w metrze. On mnie pytał, czy naprawdę musi spotkać się ze mną jeszcze raz tylko dlatego, że go uratowałam, i czy od tej pory będę zmorą jego życia.

Jeszcze bardziej obleśną scenką była taka, w której w rozmowie ze

znajomym (odgrywał go Damon) wspominałam, jak mnie porwano, i mówiłam mu, że to wcale nie było takie złe, że czasami owszem, Damon strzelał do mnie okruchami lodu, ale zawsze z uzasadnionych powodów, nigdy z mściwości.

Czasami dawał mi scenkę, która stanowiła wierną kopię naszego normalnego trybu życia, naszych rutynowych zajęć. Raz odwrócił nasze role i to on odegrał więźnia (nie użyczając mi jednak naładowanego pistoletu na wodę). Innym razem oboje byliśmy więźniami.

Tak się to toczyło bez zmian przez następne tygodnie, z jednym wyjątkiem, że trampolina się rozpadła. Damon insynuował, że załamała się pod moim ciężarem.

Bardzo się wtedy zjeżyłam.

Innych powodów do stresu nastroczyła Armory Jude, ta, która niby miała być mną, czyli ściganą kobietą, bo tak zdecydowano drogą głosowania. Otóż Armory Jude dostała propozycję zagrania w filmie. Staralam się nie myśleć o tym zbyt wiele, ale przychodziło mi to z trudem.

Nic innego w naszym życiu się nie zmieniało. Damon wciąż wychodził codziennie do nie filmowanego pokoju, zawsze o trzynastej trzydzieści, i wracał zapłakany po półgodzinie. Codziennie z wyjątkiem weekendów. Nie dowiedziałam się, o co w tym chodziło.

Nadal pojawiały się anagramy. Pewnej nocy znalazłam na dywanie czerwoną różę, a obok niej liścik o treści: Droga Anno Graham!

Na wypadek, gdyby cię to interesowało, ból, o jaki przyprawia mnie twój piękny dar, łagodnieje, kiedy sobie pomyślę, że jesteś dzięki niemu szczęśliwsza.

(4-literowe słowo)

Minęło trochę czasu, zanim się domyśliłam, że anagramem do róży może być uraz. Damon robił tu aluzję do sińca, którego zadałam mu kopniakiem tamtego ranka.

Innego ranka ze zdumieniem zobaczyłam na moim dywanie ametyst;

wiedziałam, co to takiego, bo przecież pracowałam w sklepie jubilerskim mojego wujka. Dołączony list brzmiał:

Droga Anno Graham!

Twoja gra aktorska domaga się obróbki, aby można ją było darzyć czymś więcej niż zwykłym zainteresowaniem. Proszę, staraj się bardziej.

(6-literowe słowo)

O co mu mogło chodzić, skoro ametyst składał się z siedmiu liter? Zastanawiałam się jakąś chwilę, po czym się poddałam.

Nie chciałam, żeby Damon pomyślał, że jego anagramy mnie interesują, więc następnego dnia usiłowałam nie prosić go o odpowiedź, ale w końcu nie wytrzymałam. Odpowiedź brzmiała: estyma.

Następnej nocy na dywanie leżała gałązka jakiegoś drzewa obsypana różowymi kwiatami. Za nic nie potrafiłam rozpoznać, co to za drzewo, aczkolwiek musiałam przyznać, że kwitło imponująco. List brzmiał tak:

Droga Anno Graham!

Być może nie zdajesz sobie sprawy, że właśnie tego ci brakuje, czasami.

(6-literowe słowo).

Jako pierwszą rzecz rankiem powiedziałam:

- Nie ma sensu dawać mi takich prezentów. Nie znam się na drzewach. Znam się na kamieniach szlachetnych, z pracy, ale nie na drzewach, a zwłaszcza takich, które tak kwitną.

- To była gałązka moreli - wyjaśnił.

- A anagram do niej?

- Nie chcesz sama zgadnąć?

- Nie chce mi się.

- Ale i tak to wstyd nie spróbować. Powiem ci wieczorem.

Tym razem się nie ugięłam i nie próbowałam zgadywać. Wieczorem dowiedziałam się, że chodziło o morale. Była to oczywista aluzja do faktu, że poprzedniego wieczoru rzuciłam mu w twarz jedzeniem, kiedy mnie

poinformował, że mogę przestać grać skomplikowaną.

Nadal pisał scenariusze, których musiałam uczyć się na pamięć. Odkryłam, że najlepszą metodą na radzenie sobie z tymi scenkami jest wskakiwanie w nie i odgrywanie ich jak najlepiej, automatycznie, na zimno, nieobecnie, niczym zdalnie sterowane urządzenie.

W końcu nauczyłam się wcielać w daną rolę bez udziału myślenia. Damon twierdził, że jest wstrząśnięty, nie moim aktorstwem, tylko skutecznością i talentem do spontanicznego przyswajania sobie cudzych cech.

Kazał mi odegrać scenkę, w której duszę swojego przyszłego syna, więc musiałam udawać, że duszę Damona, który leżał na moim łóżku.

Kazał mi odgrywać smutną, kiedy oboje oglądaliśmy jakiś śmieszny film, i na odwrót.

Kazał mi przez cały dzień udawać, że jestem filiżanką albo kwiatem, albo tylko słowem, takim jak na przykład „Skądinąd”. Nie oczekiwał, że będę dosłownie odgrywała filiżankę, tylko raczej jej istotę.

Jeszcze bardziej od scenek nienawidziłam odgrywania nastrojów. Tamtego tygodnia kazał mi odgrywać „czujną”, „niepraktyczną” i „rozplotkowaną”. Potem kazał mi się wcielić w „pijawkę”, „niepalącą” i „łasą na komplementy”.

Zdarzało się, że musiałam odgrywać osobę wykonującą konkretny zawód, na przykład „latarnika”, „czyszciciela basenów” albo „technika radioterapii”.

Niekiedy kazał mi odgrywać ludzi jeszcze trudniejszych do zdefiniowania niż „była koleżanka z drużyny” albo „dwukrotna rozwódka”.

A czasami wymyślał rzeczy, których nie dawało się odegrać, na przykład „śródścienne” albo „streszczone”.

Mijały miesiące. Nikt mnie nie ratował. Często myślałam o swoich rodzicach i o tym, przez co muszą przechodzić.

Rzeczy, które miałam na sobie w dniu przyjazdu, zrobiły się workowate. I widziałam, że moje ciało stwardniało - już tak nie podrygiwało, kiedy się

ruszałam.

Życie nieodmiennie przechodzi w rutynę, jakkolwiek dziwne by było. Czasami na krótką chwilę niemal zapominałam, że jestem więźniem, i potrafiłam się śmiać razem z Damonem. Zauważył to któregoś dnia; spoważniałam wtedy i powiedziałam:

- Z tego, że cię nienawidzę, jeszcze wcale nie wynika, że nie potrafię dobrze się bawić w twoim towarzystwie, od czasu do czasu. A z tego, że zdarza mi się dobrze bawić w twoim towarzystwie, wcale jeszcze nie wynika, że nie jestem nieszczęśliwa.

Nadal odgrywaliśmy scenki. W ramach tej, której nie cierpiałam najbardziej, kazał mi odgrywać moją matkę, która dziękuję Damonowi za wszystko, co zrobił dla Anny: za to, że ją ulepszył, że zrobił z niej dobrą aktorkę etc. Potem powiedziałam mu, że dla mnie ta scenka była niedorzeczna i odrażająca i że wyrzekłabym się mojej matki, gdyby kiedykolwiek zrobiła coś takiego, co zresztą było zupełnie nieprawdopodobne.

Kazał mi udawać, że występuję na rozdaniu Oscarów, z mową, w której miałam mu dziękować i którą miałam wygłosić ze wzruszeniem, ze łzami w oczach. Sam siedział na wirtualnej widowni; musiałam go poprosić, żeby wstał, a następnie klaskać.

Po tej scenie Damon spytał mnie, czy nie uważam przypadkiem, że odgrywanie tych wszystkich chwil sukcesu może sprawić, że w przyszłości, kiedy już go odniosę, będzie dla mnie czymś mało spektakularnym czy podniecającym. Nie chciałby przecież mnie ograbić z przyszłego szczęścia; to by zniszczyło cały sens naszej wspólnej pracy.

Wytrzeszczyłam na niego oczy i spytałam: - A na jakiej podstawie uważasz, że osiągnę sukces?

- Moim zdaniem robimy ogromne postępy. Może nie jestem specjalnie doświadczonym arbitrem sztuki aktorskiej, ale zauważam zmiany, które, moim zdaniem, świadczą o poprawie.

W scenkach, które kazał mi odgrywać, zaczął się systematycznie pojawiać pewien wątek, oparty na motywie egoizmu i niszczenia cudzego życia.

Mężczyzna, który przeprasza swoją żonę za to, że miał romans. Ojciec, który przeprasza córkę za to, że ją molestował. Syn, który przeprasza matkę za to, że ją okradł.

Wyrzuty sumienia i poczucie winy.

I to zawsze Damon odgrywał osobę poszkodowaną.

Oskarżałam go, że ma jakieś osobiste problemy, że nie potrafi oceniać takich sytuacji obiektywnie.

- Jestem ci potrzebna do zaspokajania jakichś psychopatycznych potrzeb, nienormalnych obsesji - stwierdziłam.

Anagramy wciąż się pojawiały. Którejś nocy znalazłam laskę. Anagramem do laski była skala i klasa; w ten sposób mówił mi, że jestem osobą z klasą na wielką skalę, prawdopodobnie czyniąc aluzję do tego, że go uratowałam.

Innej nocy dostałam ciastko. Leżało na małym talerzyku, na moim dywanie. W liście przeczytałam: „Powinnaś, bądź taka”. Z rozkoszą zjadłam ciastko. Następnego dnia zamierzałam poprosić Damona o więcej.

- Zakładam, że nie domyśliłaś się, jaki jest anagram do „ciastka”. Chcesz go poznać?

- Nie, ale chciałabym dostać jeszcze ciastek.

- I tak ci powiem. To „stoicka”.

- Uważasz, że nie jestem stoicka?

- Ani trochę.

- Ach tak - powiedziała cicho i rzuciłam w niego groszkiem za pomocą plastikowej łyżeczki.

Moim ulubionym anagramem były trzy różne desery, które zostawił raz dla mnie, prawdziwe desery (żadnych bananów, jogurtów czy czegoś w tym stylu). Były to: nugat, flan i creme brulee. Usiłowałam znaleźć anagram do

słowa tłusty albo deser, ale nic mi nie wychodziło. Później okazało się, że chodziło o karmel, składnik wszystkich trzech deserów, jego anagramem zaś była reklama. Ponoć chciał ze mnie stworzyć żywą reklamę mnie samej. Ale desery były naprawdę dobre.

A potem anagramy stały się, łagodnie mówiąc, dziwaczne. Obląkańcze. Raz zostawił mi małe naczynko z jakimiś kłakami. Nie umiałam orzec, co to takiego. To po prostu wyglądało jak kurz. I to rzeczywiście był kurz, bo on chciał mi powiedzieć, że jak nie popracuję nad sobą, to będę beznadziejna jak jakiś żuk. Nie do końca to rozumiałam. Potem znowu dostałam naczynko, ale tym razem w środku była jakaś dziwna, szara maź, najpierw myślałam, że to błoto, ale potem okazało się, że to szlam. Miałam z tego wywnioskować, że jak już odniosę sukces, to będę zarabiała mnóstwo szmalu.

Któregoś dnia to ja ofiarowałam mu anagram. Pracowicie wybrałam wiśnie z mojego jogurtu, poczekałam kilka dni, aż spleśniały, i obrzuciłam go nimi, mówiąc: - Tak zawsze nazywam cię w myślach. Sześcioliterowe słowo.

Wyszedł z pokoju, ścierając wiśnie z twarzy. Wrócił później, domyśliwszy się, że nazwałam go świnią. Nie obraził się; stwierdził, że to było dobre.

Większość scenek, które kazał mi odgrywać, była albo żenująca, głupia, wkurzająca albo upokarzająca, ale rzadko przerażająca. Ale jedna taka była. Zagrał kogoś, kto znał Damona intymnie i kto udzielał mi pewnej rady.

Tym razem kwestii do nauczenia się było bardzo mało.

- Musisz uważać - zaczął. - Jest jedna rzecz ważniejsza dla Damona niż twoje szczęście.

- Co to takiego?

- Jego nieszczęście. Jeśli kiedyś będzie musiał wybierać między jednym a drugim, prawdopodobnie wybierze to drugie. Jego potrzeba własnego nieszczęścia czyni go niebezpiecznym. Zrobi wszystko, byle je zachować. Powinnaś zawsze uważać, zawsze się chronić, zawsze być czujna.

Obawiam się o twoje bezpieczeństwo w przyszłości. Jeśli kiedykolwiek poczujesz, że coś ci grozi, nie wahaj się go zabić. Jeśli tego nie zrobisz, Damon może zniszczyć cię ostatecznie. Gdybym wiedział, jak mu pomóc, zrobiłbym to, ale obawiam się, że to niemożliwe. Jego ból jest potężny. Jego zamiar uczynienia cię szczęśliwą to tylko niewielka ulga od tego, na co cierpi od lat.

- Ale co powoduje ten jego ból? - spytałam. (Tego nie było w scenariuszu.)

Postrzelił mnie.

- Przez ciebie zapomniałem swojej kwestii. - Urwał na chwilę i ciągnął: - Proszę, zapamiętaj moje słowa: uważam, że Damon nigdy nie znormalnieje, nigdy nie będzie zdrowy na umyśle. Tym ważnym słowem tutaj jest „nigdy”. Nie zapominaj o tym. Może nie zawsze będziesz chciała, a jednak pamiętaj.

- Czy on kiedykolwiek mnie wypuści? - (To było w scenariuszu.)

- Chyba tak, ale nie można tego orzec z całą pewnością.

- Mógłbyś go jakoś przekonać?

- Nic by z tego nie wyszło, bo to ja nim jestem.

- Czy jest coś, czym mogłabym go przekonać, żeby mnie puścił?

- Nic mi nie przychodzi do głowy. Ale wydaje mi się, że jesteś tu bezpieczna, bo jesteś tu wbrew swojej woli i dopóki tak jest, nic ci z jego strony nie grozi.

- Czy powinnam próbować uciec?

- Nie miałaś dotąd żadnych okazji. Jeśli kiedykolwiek będziesz taką miała, powinnaś za wszelką cenę z niej skorzystać.

Po ośmiu miesiącach niewoli postanowiłam mu wmówić, że się w nim zakochałam. Trudne zadanie, ale gdyby mi się udało, mogłoby mi pomóc w ucieczce. Więc zaczęłam.

Przestałam narzekać, zaśmiewałam się z wszystkich jego dowcipów, słuchałam z zainteresowaniem jego tyrad, patrzyłam na niego z podziwem za każdym razem, gdy to się wydawało stosowne, i inicjowałam kontakt fizyczny,

co jakiś czas oferując, że odlepię mu zapomnianą gumę do żucia z twarzy. Zauważał te zmiany z rozbawieniem.

Pewnego dnia, podczas sesji życzeń, powiedziałam, że chciałabym, aby mnie nauczył poruszać się i tańczyć jak on. Stwierdził, że to bardzo dobre życzenie, że jako aktorka powinnam się właściwie poruszać. Zaczęły się lekcje. Byliśmy zmuszeni angażować się w częstsze kontakty fizyczne niż dotychczas. Tańczyliśmy, ustawiając się naprzeciwko siebie: miałam naśladować jego ruchy, falować razem z nim. Bo mieliśmy być falami. Czasami nie falowałam dostatecznie dobrze, więc musiał mi pomagać, żebym się wczuła w jego falowanie. Ujmował mnie w talii i kazał mi kłaść dłonie na jego ramionach.

Dzięki temu mogłam rozumieć istotę jego ruchów.

I działo się coś jeszcze innego. Mimo nienawiści, jaką do niego czułam, nienawiści, która nie ustąpiła ani na jotę, czułam, po raz pierwszy, odkąd zostałam wprowadzona, rodzaj dziwnego fizycznego przyciągania. Wiedziałam, że to coś chorego, ale tłumaczę to sobie tym, że był taki duży i znajdował się tak blisko.

Nadal udawałam, że się w nim zadurzyłam, ale ani razu się do tego nie przyznałam. Za to podczas sesji życzeń powiedziałam, że chciałabym, aby on się we mnie zakochał.

Któregoś dnia Damon ni stąd, ni zowąd oświadczył, że jeśli moja miłość do niego to gra, to znakomicie mi to wychodzi, że nie potrafi orzec, czy jest prawdziwa, czy udawana. Dodał, że gdyby wiedział na pewno, że to gra, to puściłby mnie z miejsca, bo wiedziałby wtedy, że jestem już doskonałą aktorką.

Dla mnie to był dylemat. Jeśli kłamał, to w takim razie powiedzenie mu prawdy zniweczyłoby mój plan ucieczki. Jeśli zaś mówił prawdę, to mogłabym zostać natychmiast uwolniona za uczciwość.

Postanowiłam przez jakiś czas grać bezpiecznie i zakładać, że kłamię. Nadal udawałam miłość.

Zaledwie dzień czy dwa po tej interakcji, pięć z sześciu ekranów w mojej

celi pogasło. Kiedy go o to spytałam, wyjaśnił, że się popsuly. Jedyne działający to był ten z widokiem na jego sypialnię.

Tego samego dnia, kiedy pogasły ekrany, Damon spędził ze mną mniej czasu niż zwykle: po południu zostawił mnie na wiele godzin samą w celi. Podobnie było następnego dnia. Nie miałam pojęcia, co się za tym kryje, ale byłam zdenerwowana, co częściowo należało tłumaczyć tym, że zdecydowałam się wreszcie mu zdradzić, że moja miłość do niego to gra.

Nie znalazłam na to czasu tamtego dnia, więc postanowiłam zrobić to następnego. W nocy znalazłam jeden z najbardziej psychopatycznych anagramów, jakie kiedykolwiek mi ofiarował.

Dostałam mianowicie maleńką filizankę, a w niej kroplę po części zaschniętej, żółtawej, kleistej mazi. Za nic nie mogłam się zorientować, co to takiego. Dołączony liścik mówił:

Droga Anno Graham!

Jutrzejszego wieczoru będzie ona wcześniejsza niż zazwyczaj.

(4-literowe słowo)

Miałam wrażenie, że świństwo w filizance to jakaś wydzielina, ale niekoniecznie siuski. Wydawało mi się, że to może być ropa, i to się zgadzało, bo wtedy odpowiedzią byłaby pora. Następnego dnia zagadnęłam o to Damona i okazało się, że miałam rację, chodziło o porę na kolację.

Po wczesnej kolacji, kiedy zadałam sobie pytanie, czy to jest właściwy moment, by wyznać, że moja miłość jest udawana, powiedział:

- Zdradzę ci, że wiem, że mnie nie kochasz. Domyśliłem się, że to tylko gra.

Opadłam z sił.

A on dodał prędko:

- Wiem nie stąd, że kiepsko grasz. Po prostu zdaję sobie sprawę, że to niemożliwe, by ktoś w twojej sytuacji mógł być zakochany w kimś w mojej sytuacji. Ale grałaś wspaniale.

- Więc mnie puścisz?

- Nie.

- Dlaczego nie? Powiedziałeś, że jeśli moja miłość do ciebie jest udawana, to mnie puścisz, bo to by oznaczało, że jestem świetną aktorką. Blefowałaś?

- Tak jakby.

- A więc moje aktorstwo jeszcze nie jest dostatecznie dobre?

- Ależ skąd. Grasz znakomicie.

Nadęłam się.

- Ale nadal nie jest dość dobre, żeby mnie wypuścić, tak?

- Ależ tak, jest dostatecznie dobre, aby cię wypuścić.

Moje serce zaczęło cwałować i nagle wyobraziłam sobie kolację, którą tego wieczoru zjadłabym z rodzicami.

- Ale ja cię nie wypuszczę - dodał.

- Chcesz, żebym była jeszcze lepsza?

- Moim zdaniem już nie jesteś w stanie. A w każdym razie nie znacząco.

Moim zdaniem nikt już nie mógłby się stać lepszy.

- Więc w czym problem?

- Nie ma żadnego problemu.

- Więc kiedy mnie puścisz?

- Nigdy cię nie wypuszczę.

- Nigdy?! - wrzasnęłam. - Dlaczego?

- Dlatego, że dzięki temu będziemy mogli dalej odgrywać nasze scenki.

Jeśli cię wypuszczę, skutek będzie łatwy do przewidzenia: trafisz do filmu, zostaniesz gwiazdą, będziesz zdobywała Oscary i tak dalej, i tak dalej. Banalne.

A jeśli zostaniesz, to będzie mniej banalne. Jeszcze nikt dotąd tego nie robił. Przynajmniej nie tak często.

- A co z moim szczęściem? Uważasz, że tutaj mogę być szczęśliwa?

- Nie.

- Więc czemu to robisz?

- Bo już mnie to nie obchodzi.

- Nie obchodzi cię moje szczęście? Przecież to był cel twojego życia! Twierdziłeś, że będę taka szczęśliwa, jeśli zostanę wielką aktorką, po tym, jak już mnie ukształtujesz i wypuścisz.

- Tak, byłabyś bardzo szczęśliwa. To bardzo ważne, byś w pełni zdawała sobie z tego sprawę - powiedział, patrząc mi prosto w oczy. - Osiągnęliśmy nasz cel. Udało mi się wytworzyć w tobie bogaty potencjał szczęścia. Gdybym cię teraz wypuścił, nadzwyczaj prędko osiągnęłabyś sukces. I byłabyś bardzo, ale to bardzo szczęśliwa. Dlatego ciekawiej będzie trzymać cię tutaj. To nowe wyzwanie, które oderwie mnie od tego, od czego powinienem się oderwać. W ten sposób będę mógł sprawdzić, czy zdołam uczynić cię szczęśliwą tutaj. To trudniejsze.

- Damon, ja się zabiję, jeśli mnie nie wypuścisz - powiedziałam, również patrząc mu w oczy.

- Bzdura. Jakoś się dotąd nie zabiłaś. Wątpię, byś miała zrobić to teraz.

- To dlatego, że miałam nadzieję. A teraz mi tę nadzieję odebrałeś.

- No cóż, zawsze możesz udawać, że jest jakaś nadzieja. Dość nadziei, żeby się nie zabijać, błagam. Oto scenka na jutro. Naucz się jej dokładnie.

- Nie. To koniec. Już nigdy więcej nie zagram z tobą żadnej scenki.

- A właśnie, że zagrasz. Bo w przeciwnym razie... - Tu pokazał pistolet.

- Proszę bardzo. Proszę bardzo, czekam na przeciwny raz, tylko niech to będzie jakiś imponujący przeciwny raz, ostatni przeciwny raz. Niech to będzie rozstrzygający przeciwny raz.

- Zapoznaj się z nową scenką, naucz się jej na pamięć i wróćmy do naszego normalnego trybu życia.

- Nie zapoznam się z nią.

A jednak ją przeczytałam. A potem przeczytałam ją po raz drugi i po raz trzeci. Nie było sposobu, bym nie mogła uciec, gdyby sprawy miały potoczyć

się tak, jak zostały opisane w scenariuszu. Nieważne, ile razy ją czytałam, nie potrafiłam znaleźć tu żadnej pułapki. I to nie mogła być głupota z jego strony. To było celowe.

Tamtej nocy nie zmrużyłam oka, nie pojawił się też żaden anagram.

Następnego dnia cała w nerwach czekałam na zjawienie się Damona, ale przyszedł do mojej celi dopiero o piątej po południu, co tłumaczyło, dlaczego poprzedniego dnia zostawił mi dwie kanapki.

Przyszedł z kolacją na tacy i dwiema starymi szablami. Wpadłam w ekstazę. Zamknął drzwi celi, ale nie przekręcił zamka.

Zjedliśmy kolację, prawiąc sobie uprzejmości. Bardziej uprzejme niż kiedykolwiek. Staralam się być cierpliwa. Nie rozumiałam, dlaczego postanowił mnie uwolnić w taki okrężny sposób, ale to nie miało znaczenia, byleby się stało.

Kiedy zabraliśmy się do naszych fałszywych deserów z jogurtu i owoców, Damon powiedział: - Zaczynij grać scenkę.

- Przyniosłeś szable - wyrecytowałam.

- Tak, żeby cię rozweselić. Pewnie mocno się denerwujesz wieścią, że nie odzyskasz wolności. Jeśli trochę się zabawimy w szermierkę po kolacji, to będziesz mniej tęskniła za domem. Przecież to by cię chyba rozweseliło?

- Owszem.

- I dobrze. W życiu nie fechtowałem się z kimś, kto autentycznie to potrafi. W rzeczy samej w życiu z nikim się nie fechtowałem. To będzie na pewno coś ekscytującego. A potem udzielisz mi jakichś wskazówek, takiej minilekcji szermierki. Dzięki temu stworzymy wspólnie przyjemną dynamikę: ja udzielałem ci lekcji tańca, ty udzielisz mi lekcji szermierki. - Zjadł cząstkę owocu i podjął monolog z pełnymi ustami: - A jeśli dziś wieczorem będziemy się dobrze bawić, to nie istnieje powód, dla którego nie mielibyśmy uprawiać szermierki co wieczór! To jest mój pierwszy wielki krok ku uczynieniu cię szczęśliwą tutaj. Zauważ, że dążę do swego celu z pełną determinacją i nie

zatrzymam się przed niczym.

Miałam problemy z przełknięciem banana. Damon spojrział wreszcie na mnie i powiedział: - Zaczynamy?

Wstaliśmy. Podszedł do szabli, które stały oparte o ścianę, i podniósł je. Wręczył mi jedną i ustawił się z drugą, kurczowo zaciskając dłoń na rękojeści. Wyglądał na zdenerwowanego i ja też byłam zdenerwowana, dopóki nie ujęłam szabli.

Zaczęliśmy się fechtować. W tym właśnie miejscu kończyła się napisana przez niego scenka. To, co działo się dalej, już nie było grą.

Po krótkim czasie rozbroiłam go.

- To było wspaniałe! - powiedział. - A teraz musisz mnie nauczyć, jak to się robi. - Pochylił się ostrożnie, by podnieść swoją szablę, ale ja odkopnęłam ją poza zasięg jego ręki.

- Ohoho. Tego też musisz mnie nauczyć.

Podniosłam jego szablę i wyrzuciłam z celi.

- Co ty wyprawiasz?

- Wychodzę.

Przewrócił oczami.

- Nie, nie wychodzisz. - I rzucił się na mnie, udając, że wcale go nie obchodzi, że trzymam w ręku długi ostry przedmiot, którym doskonale władam.

- A co ty wyprawiasz? - spytałam i rozciąłam mu rękę.

Wrzasnął i zrobił wściekłą minę. Sprawy nie toczyły się tak, jak się spodziewałam. Krew przesączyla się przez jego białe ubranie, ale rana nie wyglądała na głęboką, co wcale nie znaczy, bym znała się na ranach albo do tej pory często zajmowała się ranieniem ludzi do krwi.

- Daj klucz - rozkazałam.

- Po co?

- Żebym mogła cię zamknąć, żebyś ty mnie nie gonił i żeby znalazła cię policja.

- Och, nie prosz, to się na nic nie zda.

- Dawaj!

- Wybij to sobie z głowy. To ja ci wyświadczam grzeczność, fechtując się z tobą, żebyś mniej tęskniła za domem, a ty mi się tak odwdzię...

Zrobiłam coś, co przedtem często sobie wyobrażałam: pacnęłam go w skroń szablą. Zatoczył się na kraty, wyraźnie lekko zamroczony.

- A teraz oddaj klucz!

Znowu się na mnie rzucił, a ja znowu raniłam go w kilku miejscach. Padł na kraty.

- Czy teraz oddasz mi klucz?

- Nie, to się na nic nie zda - powtórzył, znowu chwiejnie ruszając na mnie, a ja znowu walnęłam go w skroń szablą.

Wyglądał teraz na zupełnie ogłuszonego. Ostrożnie wsunęłam palce do jego kieszeni i wyjęłam klucz. Ku mojemu zdziwieniu zaczął się śmiać i powiedział: - To na nic. Nie trudź się.

Kiedy już wychodziłam z klatki, usiłował znowu mnie złapać, ale był osłabiony, więc bez trudu go odepchnęłam. Uchwycił się krat i próbował podźwignąć, nie przestając się przy tym śmiać. Zapatrzyłam się na jego palec wskazujący, opleciony wokół pręta. Przepelniał mnie wstręt i rozzalenie na to wszystko, co mi zrobił. Podniosłam szablę i zamachnęłam się nią na palec, i przecięłam go w połowie. Kikut wylądował niedaleko.

Damon krzyknął przeraźliwie. Wyszłam z celi, zamykając ją za sobą na klucz. Miał rozwścieczoną minę, krzyczał coś, płakał. Jego przezroczyście, białe ubranie było teraz całe umazane krwią.

Wybiegłam z pokoju, bez towarzystwa, po raz pierwszy od dziewięciu miesięcy. Pędem zbiegłam na dół, ściskając rękojeść szabli, przerażona, bo przecież powiedział, że to „się na nic nie zda”. Kusilo mnie, żeby skorzystać z telefonu w kuchni i wezwać policję, ale czułam irracjonalny lęk, że Damon znajdzie sposób, by mnie ścigać. Tak więc otworzyłam frontowe drzwi,

wypadłam na podjazd i biegłam dalej przed siebie. Moje beżowe spodnie od dresu i żółty Tshirt były brudne od krwi. Jego krwi. Płakałam i jednocześnie się uśmiechałam. Minęło mnie kilka samochodów. Próbowałam je zatrzymać, machając rękami i zakrwawioną szablą. Żaden się nie zatrzymał. Nadal biegłam. Pojawiły się jakieś domy i zastanawiałam się, czy nie wstąpić do któregoś, ale ogarnęła mnie paranoja, że jego sąsiedzi biorą w tym wszystkim udział.

W końcu dobiegłam do jakiejś restauracji. Wydawała się bezpieczna, z wszystkimi tymi ludźmi wewnątrz.

Weszłam do środka; lawirowałam między stolikami, szukając kogoś, kto tam pracuje. Mijałam posilających się ludzi, którzy milkli i gapili się na mnie. Zapewne wyglądałam niezwykle.

Nagle chwycił mnie paniczny strach i zatrzymałam się jak wryta: znałam zapachy unoszące się w tej restauracji.

Popatrzyłam na talerze gości: na każdym widziałam potrawy, które znałam, potrawy, które jadłam przez ostatnie dziewięć miesięcy. To mnie przeraziło. W moją stronę szedł kelner niosący danie, które zaliczało się do moich ulubionych.

- O co chodzi? - spytał.

- To wasza restauracja dostarczała Damonowi jedzenie.

- Słucham?

- Jest taki człowiek, który codziennie zamawia u was jedzenie... szukam telefonu, chcę zadzwonić na policję.

W krytycznej sprawie.

Zadzwoiłam na policję.

- Błagam, przyjdźcie i zabierzcie mnie - powiedziałam im. - Przyjdźcie i zabierzcie mnie.

Przyjechali pięć minut później i zawieźli mnie na posterunek. Opowiedziałam im o wszystkim. Posłali kilka radiowozów do domu Damona.

Zadzwoiłam do rodziców. Odebrała matka. Jej „halo” brzmiało inaczej.

Było bardziej spokojne niż normalnie. Kiedy usłyszała mój głos, zaczęła szlochać. Powiedziałam jej, że jestem na posterunku.

- Zostałam porwana - wyjaśniłam.

- Zostałaś porwana? Na dziewięć miesięcy?

- Tak, byłam trzymana w niewoli. W klatce.

- O mój Boże! Jesteś zdrowa? Czy oni robili coś z tobą?

- Czasami. Ale nic mi nie jest.

- Dawali ci jeść?

- Niewielkie ilości.

- Och, Anno. - Znowu się rozplakała. - Czy ty możesz... chodzić?

- Tak. I biegać też. Przybiegłam tutaj.

- Czy policja ich złapała?

- Jego. To był tylko jeden mężczyzna. Jeszcze nie wiem, ale myślę, że go złapią, bo zamknęłam go w klatce.

- Nikt nie żądał od nas okupu.

- Wiem. To nie było takie porwanie.

- A jakie?

- Psychopatyczne. Zostałam zmieniona. Wbrew mojej woli.

- Co ty wygadujesz! - krzyknęła histerycznie.

- Och nie, to nie jest nic kalibru operacji chirurgicznej. Nic mi nie jest. Jestem nadal taka sama. Po prostu zostałam nauczona kilku umiejętności i takich tam...

- Nauczono cię zabijać?

- Co? Nie! Powiedziałam, że nauczono mnie kilku umiejętności.

- Och. Ale nie umiejętności zabijania?

- Nie! Jesteś rozczarowana?

- Oczywiście że nie, po prostu wydało mi się, że powiedziałaś coś o zabijaniu. Widziałam taki film, z bohaterką, która miała na imię Niki, czy jakoś tak, i to mi utknęło w głowie.

- To była *Nikita*, znam ten film. Nie, nie nauczono mnie zabijania. Uczono mnie sztuki aktorskiej. Ale o tym opowiem ci kiedy indziej.

- Twój ojciec jest gdzieś na terenie budynku, naprawia klimatyzację. Będzie taki szczęśliwy... - Zaczęła się dławić od emocji.

Potem obiecała, że natychmiast przyjedzie tu z ojcem i zabiorą mnie do domu.

Policjanci zawieźli mnie do szpitala na badania. Potem czekałam na przyjazd rodziców, podczas gdy policjanci wciąż zadawali mi pytania w szpitalnej izbie przyjęć, co zresztą wolałam od przesłuchania na posterunku.

Wreszcie przyjechali rodzice i mój brat. Biegli przez korytarz. Kiedy znaleźli się blisko mnie, na ich twarzach pojawiła się zmiana. Subtelna, a jednak ją zauważyłam.

A potem wszystkim, w mniejszym lub większym stopniu, głośno zapało dech.

- Wyglądasz znakomicie - stwierdziła matka.

Ojciec obdarzył ją zirytowanym spojrzeniem i uściskał mnie.

- Nie, wcale nie wyglądasz znakomicie. Po prostu przeszła przez dziewięć miesięcy piekła. Jak mogłaby wyglądać znakomicie?

- Nie wiem - odparła matka.

Policjanci spytali nas, czy moglibyśmy spędzić tę noc w miasteczku, dzięki czemu rano mogliby mnie jeszcze przepytac. Powiedziałam im, że wolałabym być przesłuchiwaną całą noc, niż jeszcze raz spać w tej części świata.

Potem przyszedł raport, że nie znaleziono ani Damona, ani żadnych maszyn wytwarzających mgłę, ani też żadnej mgły (powiedziałam im, że dom jest wypełniony mgłą, a nie chmurami, nie chcąc, by pomyśleli, że jestem jakąś wariatką). Twierdzili, że znaleźli pustą klatkę, z otwartymi drzwiami. I że była w niej tylko krew i pół palca.

Bardzo się zdenerwowałam.

Policjanci zawiadomili szpitale, że mają zwracać uwagę na mężczyznę z amputowanym palcem.

Wreszcie o trzeciej trzydzieści nad ranem wróciliśmy do miasta. Matka płakała w samochodzie. Brat, ku mojemu zdumieniu, też płakał. Ojciec zdawał się zatopiony w myślach. Kilka razy spytał:

- Jak można zrobić coś takiego?

Tamtej nocy spałam u rodziców. Kiedy się obudziłam późnym rankiem, matka miała zakłopotaną, czujną minę, która wzbudziła moją ciekawość.

- Dzwonili z policji - powiedziała.

- Tak?

- Wiedzą, jak uciekł Damon.

- Jak?

- Podobno... w celi było ukrytych piętnaście kluczy.

Zagapiłam się na nią w oszołomieniu.

- Nie! - zaprotestowałam.

Skrzywiła się i potrząsnęła głową.

- Powiedziałam im, że trudno mi w to uwierzyć, że jestem pewna, że byłabyś je znalazła. Przynajmniej jeden.

Milczałam chwilę, zastanawiając się, po czym odparłam:

- Tak naprawdę wcale nie szukałam. Z jakiego powodu miałabym uważać, że ukrył w mojej celi klucze? Z jakiego powodu miałby to robić?

- Zrobił to na wypadek swojej śmierci. Żebyś ty wtedy nie umarła. Z głodu.

- Domyślasz się tego czy to wiesz?

- O dziewiątej rano, kiedy policjanci wciąż przeszukiwali dom Damona, na jednym z ekranów w twojej celi zaczęło się odtwarzać nagranie wideo. Pojawił się napis mówiący, że gdyby Damon umarł zniecka albo zniknął, albo z jakiegoś innego powodu nie był w stanie się tobą zająć, to w celi jest ukrytych piętnaście kluczy. Po czym opisał szczegółowo piętnaście kryjówek. Nagranie

było tak zaprogramowane, że miało się odtwarzać codziennie o dziewiątej rano, jeśli nie zostałyby wyłączone.

- Więc gdzie były te klucze?

- Zapamiętałam tylko kilka miejsc, ale policjanci podadzą ci pozostałe, jeśli będziesz chciała. Wiem, że jeden z nich został ukryty w pręcie, na którym wisiała zasłonka prysznicowa. Drugi był przyklejony taśmą do sedesu. Były też klucze w nodze łóżka, w jednym z ekranów i w odkurzaczu. A także jeden przyklejony pod dywanem. Zapomniałam już, gdzie były pozostałe.

DWUNASTY

Mijały dni, a ja wciąż miałam trudności z przystosowaniem się do normalnego świata. Przygniatał mnie swoim ciężarem. Odwykłam od zmagania się z życiem bez interwencji Damona, bez konieczności przeobrażania się w jakieś postaci kilka razy dziennie. Miałam wrażenie, że wewnątrz jestem uwięziona w klatce. Kiedy teraz angażowałam się z kimś w kłótnię, denerwowało mnie, że nie jestem znieczulona zmuszana do odgrywania „wyjątkowej” albo „łysej” i że w rzeczy samej spodziewają się po mnie, iż będę kontynuowała kłótnię aż do gorzkiego finału. Dusiałam się od tego.

Kusiło mnie, żeby prosić rodzinę i znajomych: niech mi każą zachowywać się w dowolny wybrany przez nich sposób, w dowolnej chwili. Nie odważyłam się jednak o to poprosić, bo bałam się, że albo będą mnie wykorzystywali, albo pomyślą, że jestem niespełna rozumu. Zamiast tego więc sama zmuszałam się ni stąd, ni zowąd, w chwilach najbardziej nieodpowiednich, do udawania „gniewnej”, „podejrzliwej” czy jakiegokolwiek innej. I robiłam to dyskretnie, jak mi się zdawało, ale prawdopodobnie nie dość dyskretnie, sądząc po ludzkich spojrzeniach.

Miałam też inne problemy, inne powody, by czuć się zagubiona.

Jednym z nich była moja ucieczka czy raczej tamten dziwny epizod z moim udziałem. Co to było? Uciekłam czy zostałam uwolniona?

Poza tym nie dawał mi spokoju fakt, że odcięłam Damonowi palec.

Zwłaszcza po tym, kiedy usłyszałam o kluczach.

To był jeszcze inny problem. Właśnie te klucze. Aż piętnaście kluczy. Wzruszały mnie. Odbierały mi spokój, wstrząsały mną. Nie potrzebowałam tych wszystkich nowych uczuć w mojej sałatce emocjonalnej, ogromnej sałatce skomponowanej ze zbyt wielu już niedopasowanych, trudnych do strawienia stanów: plasterków smutku, paseczków stresu, pokruszonego wyczerpania, dojrzałego oburzenia, ziarna goryczy, skórki gniewu, utartej wściekłości, śmiertelnego przerażenia ugotowanego na twardo, perspektywy ugotowanej na miękko, zblanszowanego wstydu, łyżeczki wyparcia, poszatowanej pogardy, kandyzowanej wyższości, konS serwowej tolerancji, kruchej ciekawości, suszonego humoru, listków ulgi, szczypty poczucia winy, stopionej melancholii i odrobiny świeżego strachu do smaku.

I po co jeszcze dorzucać kawałki „wzruszonej” i „wstrząśniętej”? Wzruszenie i wstrząs nie nadawały się na składniki mojej sałatki. Takie emocjonalne owoce poddane procesowi trawienia mogłyby sprawić, że porzygałby mi się mózg, serce albo dusza. Rzyganie mózgu; ciekawe, czym to się objawia? Szaleństwem? Tak, na pewno tak; szaleństwo to wymiociny mózgu.

Nieważne zresztą. Człowiek ma niewielką władzę nad swoimi emocjami, dlatego więc te piętnaście kluczy rzeczywiście mnie poruszyło. I niewiele mogłam z tym zrobić. Ponadto byłam wściekła na siebie, że nie przeszukałam celi dokładniej. Co ze mnie za ofiara porwania?

Ale i tak największym problemem, z jakim się zmagalam po powrocie do prawdziwego świata, było to, że już nie wiedziałam, co chcę zrobić ze swoim życiem. Kusilo mnie, żeby porzucić aktorstwo, byle tylko dopiec Damonowi.

Przemyślawszy to, stwierdziłam, że oczywiście odniosę największe zwycięstwo, jeśli nie pozwolę, by Damon wpływał na sposób, w jaki kieruję własnym życiem.

Tak czy siak było coś, co mi nie dawało spokoju: ścigana kobieta. W

czasie, kiedy ja siedziałam w niewoli, Armory Jude, oszustka, która udawała, że jest prawdziwą ściganą kobietą, zagrała w trzech niskobudżetowych filmach. Wszystko dzięki zainteresowaniu, jakie na sobie skupiła. Uważano ją za kiepską aktorkę bez przyszłości, a jednak lepszy rydz niż nic. Nic - to było wszystko, co miałam ja. Tak więc zżerała mnie zawiść i dlatego nie potrafiłam odzyskać spokoju. W kółko się zastanawiałam, czy przypadkiem nie chciałabym być w jej butach.

Męczyła mnie pokusa, by ujawnić mediom, że to ja byłam ściganą kobietą. Kreowałam takie wizje w wyobraźni. Starłam się tego nie robić, ale nie umiałam się powstrzymać. Postanowiłam zwrócić się o radę do matki.

Zgodziłam się z nią pofechtować, bo był to najlepszy sposób na prawdziwą rozmowę.

Poszczekiwanie naszych szpad dźwięczało echem w holu wejściowym budynku, którego mój ojciec był administratorem. Fechtowałyśmy się w milczeniu przez kilka minut, zaabsorbowane, ignorując dozorcę i wchodzących bądź wychodzących lokatorów.

W którymś momencie ciągu walki poruszyłam wreszcie temat: - Słyszałaś o ściganej kobiecie?

- Tak, oczywiście.

- No więc to ja jestem tą ściganą kobietą. Tamta podszyła się pode mnie.

- Czujesz się ścigana? Ktoś cię ściga?

„Westchnęłam. Nedorzeczny, tak brzmiało najlepsze określenie dla sposobu rozumowania mojej matki.

Myślała nedorzecznie i mówiła nedorzecznie, dokładnie tak, jak to się, moim zdaniem, często zdarza geniuszom. W przypadku szermierzy to zaleta. Żeby wygrywać w szermierce, należy się poruszać, atakować i nawet myśleć nedorzecznie.

- Nie teraz - odparłam. - Teraz nie jestem ścigana, ale byłam wtedy. Nie śledzisz wiadomości? Ścigana kobieta już nie jest ścigana, była ścigana tylko

wtedy, tamtego jednego popołudnia. I to ja byłam tą ściganą kobietą! To ja!

- Skąd wiesz?

- Jak to skąd wiem? Ja tam byłam, to mnie goniła Chriskate Turschicraw, Muszla. I to nas filmowali paparazzi.

Miałam na sobie sweter, który dałaś mi na Gwiazdkę. Ten żółty, pamiętasz? Nie rozpoznałaś go na nagraniu?

- Okay. I...?

- Ta kłamczucha dostaje całkiem interesujące role w filmach. Po prostu uważam to za niesprawiedliwość, bo przecież to ja jestem tą ściganą.

- Ale czy to takie wartościowe osiągnięcie, gdy ściga cię po ulicy ktoś sławny? Czy nie mogłabyś po prostu poprosić tej Chriskate Turschicraw, skoro ją znasz, żeby ci pomogła przez swoje znajomości?

- To byłoby proszenie o przysługę, a pościg po prostu się zdarzył. Nie próbowałam niczego uzyskać. Wprost przeciwnie.

- Nie sądzę jednak, by podążanie w tym kierunku przynosiło zaszczyt. Byłoby bardzo poniżające, nie rozumiesz tego?

- Co byłoby poniżające? - spytał mój ojciec, maszerujący w naszą stronę od windy. Jak zawsze miał przypasany floret, z miejsca zaczął się z nami fechtować.

Matka skrótowo opisała mu mój dylemat.

- Faktycznie poniżające! - stwierdził, dźgając mnie. - Nie masz w sobie ani odrobiny godności?

- Raczej nie - odparłam. - Ale oboje o tym wiecie.

Chociaż brakowało mi godności, rada rodziców uciszyła nękającą mnie pokusę, by ujawnić swoją tożsamość mediom. Czułam się bardziej uspokojona i zostały mi już tylko sporadyczne wizje konfrontacji z oszustką, w których mówiłam jej: „To ja jestem ta prawdziwa”.

Powróciłam do pracy w punkcie ksero i do przekłuwania uszu w sklepie jubilerskim wujka. Podjęłam wszelkie wysiłki, by żyć tak jak dawniej. Co

również oznaczało, że zaczęłam znowu chodzić na przesłuchania. Wszystko teraz było takie jak przedtem, ale nie potrwało to długo, bo zdarzyło się coś niesłychanego: dostałam kilka ról.

Czego nie przewidziałam, nawet jeśli trudno w to uwierzyć. Nie, żebym się spodziewała, że nie będę dostawała ról, albo żebym nie wierzyła, by moja gra była lepsza; po prostu nie pozwalałam sobie tak myśleć, bałam się, że ugrzęznę w dynamice zaciskania kciuków i w konsekwencji nabawię się stresów i fobii.

Nie czułam się z tym dobrze, nie byłam nawet zadowolona z takiego obrotu spraw. To komplikowało mój plan, by żyć tak jak zawsze. Mało tego, na całkiem innym poziomie to mnie obrażało. Przesłuchujący równie dobrze mogli mówić: „Tak, było warto. Nie zatrudnilibyśmy cię, gdybyś nie przeszła przez takie cierpienia. Damon cały czas miał absolutną rację, w każdym calu. Odwalił kawał dobrej roboty. I teraz zostaniesz za to nagrodzona”.

Z początku jedyną pociechą było to, że czułam się nieszczęśliwa, co z kolei oznaczało, że Damon przegrał, a to z kolei sprawiało, że czułam się szczęśliwa. Potem jednak utraciłam nawet swoje nieszczęście. Trudno się czuć nieszczęśliwą wobec takich wyrazów szacunku i podziwu, na jakie natrafiałam na swojej drodze. Staralam się zachować przynajmniej swoje pierwotne rozgoryczenie, ale również ono się wytarło i coraz trudniej było je odzyskać. Ponieważ nie czułam goryczy, postanowiłam odgrywać rozgoryczoną. I naturalnie robiłam to znakomicie. Ale granie wcale nie sprawiało, bym się taka czuła. Więc znowu byłam nieszczęśliwa, dzięki czemu czułam się szczęśliwa.

Żałowałam, że nie mogę posłać Damonowi pocztówki o treści: „Popatrz na moje doskonale nieszczęście, ty sukinsynu”.

Teraz, kiedy dostawałam role, musiałam albo zrezygnować z aktorstwa, albo popłynąć z prądem. Istniała zresztą jeszcze trzecia opcja, ale była zbyt absurdalna, by brać ją pod uwagę: mogłam systematycznie odrzucać role, które mi proponowano, i nadal chodzić na przesłuchania. Moje życie stałoby się

wtedy takie jak dawniej, pomijając fakt, że teraz dostawałabym role.

Tak więc postanowiłam popłynąć z prądem. Nie podobało mi się to, ale jaki miałam wybór? Wyrzeczenie się aktorstwa oznaczałoby, że Damon zniszczył mi życie, a rezygnowanie z ról oznaczałoby, że jestem stuknięta.

Nie zamierzałam jednak tylko zwyczajnie płynąć z prądem ani pozwalać, by on mnie poniósł lub miał nade mną władzę: zamierzałam pokierować prądem.

Odrzuciłam cztery zaproponowane mi role, bo gdybym je przyjęła, pozwoliłabym, aby „prąd mnie poniósł”

(to były etiudy filmowe). Zrobiłam sobie nowy komplet zdjęć, który posłałam do trzech agentów. Wszyscy trzej oddzwonili, spotkałam się z nimi, pozwoliłam zrobić z sobą wywiad i zostałam przez nich przyjęta. Ten, którego wybrałam, wydawał się inteligentny i rzeczowy, a jednocześnie opiekuńczy.

Poszłam na przesłuchanie do niskobudżetowego filmu science fiction. Dostałam tę rolę. Poszłam też na przesłuchanie do niskobudżetowego filmu naśladowującego produkcje oparte na powieściach Jane Austen. Dostałam tę rolę. Mogłam przyjąć obie, bo prace nad jednym filmem miały się rozpocząć po ukończeniu prac nad drugim.

Ten postęp w karierze nie uszczęśliwił mnie tak jak powinien ani też nie unieszczęśliwił tak jak powinien. Czułam się dziwacznie zdezorientowana i pusta. Decyzja pokierowania prądem była wprawdzie owocna, a jednak nie uwolniła mnie od niemiłego wrażenia, że Damon nadal kontroluje moje życie. Nie czułam się wolna.

To się zmieniło, gdy tylko zaczęły się zdjęcia do filmu science fiction. Grałam rolę dobrej pani naukowiec, która walczy ze złymi naukowcami, i przez cały film albo byłam twardzielką, która niszczy tych złych ludzi, albo darłam się wniebogłosy, bo akurat mnie torturowali lub lada moment miałam zostać zakatrupiona. Czułam się podniecona i szczęśliwa. Wszystko inne w moim życiu, jak na przykład to, kto kontroluje kogo, względnie jakieś duperele

związane z wolnością, wydawało się trywialne. Ten epizod zaabsorbował mnie bez reszty.

Po skończeniu tamtego filmu od razu przeszłam na plan imitacji filmu według Jane Austen. Ponieważ wszystkie powieści Jane Austen zostały już wcześniej przerobione na filmy, scenarzyści wymyślili fabułę, która mgliście przypominała jeden z jej utworów, wcale nim nie będąc.

Poza tym mgliście przypominała także moje życie, choć oni o tym nie wiedzieli. Cała rzecz była oparta na motywie przemiany, która miała w sobie znajomy posmak i czasami sprowadzała na mnie niedobre wspomnienia.

Grałam w tej historii przeciętną, normalną dziewczynę, która o władniętą nagłą ambicją postanawia się przeobrazić w osobę bardziej atrakcyjną. Ponieważ jednak nie chce, by ludzie świadomie zauważali zmianę, planuje robić to krok po kroku. Były w tym również istotne składniki właściwe Jane Austen: szept, chichoty, plotki kobiecych bohaterek ulegających obsesjom na punkcie mężczyzn. A także romantyczna intryga. W sumie praca nad tym filmem okazała się bardzo zabawna.

Tak czy owak często myślałam o Damonie. Czasami wydawało mi się, że za nim tęsknię, i zastanawiałam się, czy to przypadkiem nie są jakieś emocjonalne halucynacje. W każdym razie na pewno byłam ciekawa, co się stało z nim i jego amputowanym palcem.

Zaczęłam się znowu spotykać z wiolonczelistą/ striptizerem/ ekspertem *savoir vivre*'u/doradcą Strażników Wagi. Czyli z Nathanielem. Który skontaktował się ze mną, kiedy wróciłam z porwania. Z początku był zaszokowany moją fizyczną metamorfozą, a potem chciał poznać wszystkie szczegóły moich przeżyć, a kiedy już je poznał, najpierw z troską, a potem obsesyjnie wypytywał mnie przy każdym naszym spotkaniu, czy widziałam znowu Damona, czy Damon próbował nawiązać ze mną kontakt w jakiegokolwiek formie.

- Nie, po co miałby się kontaktować? - spytałam.

- Jestem pewien, że będzie próbował. To nieuniknione.

Zinterpretowałam to jego oświadczenie jako przejaw chorobliwej zazdrości.

Spytałam go, co słyhać u Chriskate.

- Ma chłopaka - odparł. - Naprawdę jej pomogłaś, wreszcie dała sobie ze mną spokój. Dlatego jestem ci winien podziękowania. Chriskate bardzo znormalniała, łatwiej z nią wytrzymać. Czasami nawetjemy razem lunch, po starej przyjaźni.

- Cieszę się, że jest szczęśliwa. Ale też się dziwię. Nie sądziłam, że kiedykolwiek jej przejdzie. Nie miałam wrażenia, że choć odrobinę jej pomagam.

- Może po prostu potrzebowała czasu, żeby przetrawić twoje mądre słowa, nieważne, co jej powiedziałaś.

A tak na marginesie, Nathaniel i ja zostaliśmy kochankami. Doszło do tego po zakończeniu zdjęć do imitacji filmu według Jane Austen, i to z jego inicjatywy. W normalnych okolicznościach oparłabym się seksualnym zakusom ze strony mężczyzny, którym ani trochę nie interesowałam się uczuciowo. Ale już mnie to nie obchodziło.

Wszystko wydawało się mało ważne. Tak więc pozwoliłam Nathanielowi bawić się mną. On zaś gruntownie i nieustająco mnie wykorzystywał. Im świadomiej zauważał moją obojętność, tym bardziej to jego wykorzystywanie stawało się natarczywe. Kiedy mówię, że byłam obojętna, nie chcę przez to powiedzieć, że to na mnie nie działało. Byłam obojętna wobec faktu, że to na mnie działało. Byłam też obojętna na poziomie bardziej ogólnym. Nathaniel twierdził, że mnie kocha. I twierdził też, że dzięki temu czuje się szczęśliwy, ponieważ nigdy nie sądził, że będzie w stanie pokochać kogoś takiego jak ja.

- „Jak ja”? Co to znaczy „jak ja”?

Nie chciał wyjaśnić. Naciskałam go, ale bez skutku.

Uchylałam się od seksu. Wreszcie dał do zrozumienia, że mówiąc „jak

ja”, miał na myśli kogoś, kogo uroda nie wykracza znacząco ponad przeciętną. Roześmiałam się. Obrażliwe uwagi na temat mojego poziomu urody nigdy specjalnie mnie nie irytowały, a nawet jeśli tak, to w tym przypadku nie można mnie było obrazić: nie potrafił pokochać Chriskate, najpiękniejszej kobiety świata.

Podczas wykorzystywania byłam bierna. Wykorzystywał mnie jak przedmiot i wykorzystywał mnie z fascynacją. Czasami uprawiał ze mną seks tak, jakby chciał, żeby to była dla mnie obraza. Nie rozumiałam, dlaczego to robi, i miałam to gdzieś; być może zresztą się myliłam. Nie mówił nigdy nic specyficznego, nie używał przemocy w tym, co robił. Po prostu demonstracyjnie mi się narzucał i to właśnie za tym kryły się próby obrażania mnie, to właśnie tam je wietrzyłam.

I niespodzianie okazało się, że Nathaniel miał rację: znowu spotkałam Damona. Na zatłoczonym peronie metra. Zobaczyłam go z daleka, był wysoki, patrzył na mnie ponad głowami ludzi. Szedł w stronę wyjścia. Zatrzymałam się jak wryta, a potem rzuciłam się do biegu, żeby go zatrzymać.

Zniknął. Zadzwoiłam do policjantów, którzy pracowali nad moją sprawą, i opowiedziałam im o zdarzeniu.

Poradzili, żebym uważała, żebym nie chodziła sama do wyludnionych miejsc. Powtórzyłam, że to się stało na zatłoczonym peronie metra. Powiedzieli, że wiedzą, ale tak czy owak nie powinnam chodzić sama do wyludnionych miejsc. Odparłam, że dobrze, ale co mam robić, żeby go złapać. A oni na to, że mam dalej robić to, co robię.

- Czyli? - spytałam.

- Zwracać się o pomoc do najbliższego funkcjonariusza policji, jeśli taki gdzieś tam będzie.

Przypomniałam im, że nie to zrobiłam: próbowałam samodzielnie złapać Damona. Powiedzieli, że wiedzą, ale że są pewni, że gdyby tam w pobliżu był jakiś funkcjonariusz policji, to zwróciłabym się do niego o pomoc.

Poczułam ulgę, kiedy ta absurdalna rozmowa dobiegła końca.

Chciałam, żeby Damon został złapany. Zmienił moje życie wbrew mojej woli i co z tego, że to mi wyszło na dobre? To było niedorzeczne. Liczyła się zasada.

Gdyby został złapany, to czekałby nas interesujący proces sądowy.

Kiedy powiedziałam Nathanielowi, że widziałam Damona, ożywił się, stwierdził, że wcale go to nie dziwi, spytał, jaki mam plan w związku z następnym razem.

Odparłam, że nie mam żadnego planu. Powiedział, że tak jest okay, że nie powinnam odstraszać Damona, bo przez to będzie go trudniej złapać.

Kilka dni później szłam ulicą i zobaczyłam Damona, który przejeżdżał wolno obok mnie samochodem. Patrzył na mnie z wyrazem wielkiego skupienia. Zdawał się uważnie przyglądać mojej twarzy. Stałam nieruchomo na chodniku i przyglądałam się mu, jak odjeżdżał. W ostatniej chwili spojrzałam na tablicę rejestracyjną, ale numer był zakryty taśmą maskującą.

Kilka dni później wzięłam się za bary z główną rolą w filmie, którego akcja działa się w średniowieczu; czułam, że będzie zabawnie, bo scenariusz przewidywał, że będę walczyła na miecze. Zaproponowali mi tę rolę, w ogóle nie wiedząc, że znam się na szermierce, i byli bardzo zadowoleni, kiedy urządziłam im pokaz. Imitację Jane Austen skończyłam miesiąc wcześniej i mogłam odpocząć, ale spotkanie z Damonem sprawiło, że podczas kręcenia zdjęć do filmu nawiedzały mnie myśli o nim, odbierając mi radość z tego doświadczenia i z walki na miecze. Ostatecznie z zadania wywiązałam się dobrze, ale i tak dręczył mnie ciągły niepokój. To właśnie wtedy i właśnie dlatego wymyśliłam załączki swojego planu.

Dwa miesiące później praca nad filmem o średniowieczu dobiegła końca. A kilka tygodni potem w kinach zaczęły się jednoczesne pokazy moich pierwszych dwóch filmów: jeden z nich miał opóźnienie, a drugi został ukończony nadzwyczaj prędko. Był to najbardziej podniecający moment w

moim życiu i chciałam w pełni smakować to doświadczenie. Kupiłam sobie rolki i ubrałam się w czarny płaszcz i kapelusz, przykleiłam brodę i wąsy, pozostawione przez Chriskate w mieszkaniu Nathaniela, który wypożyczył mi je dla mojego celu. Po całych dniach pomykałam jak burza od jednego kina do drugiego, oglądając swoje filmy, przyglądając się ludziom, którzy oglądali moje filmy, karmiąc się ich minami i podsłuchując ich komentarze. Zawsze nosiłam przy sobie notes, by mieć gdzie zapisywać, co usłyszałam, co zobaczyłam i moje wrażenia wobec jednego i drugiego. Zabierałam też z sobą niewielki magnetofon, żeby nagrywać odgłosy dobiegające z widowni w powiązaniu z odgłosami dobiegającymi z filmu. Czasami towarzyszył mi Nathaniel, kiedy pozwalały mu na to wielorakie obowiązki zawodowe.

Siadaliśmy na przeciwległych krańcach widowni i donosił mi potem o swoich odkryciach, dzięki czemu uzyskiwałam podwójne dawki informacji.

Potem szliśmy do jego mieszkania i często uprawialiśmy seks, bo ta broda go podniecała, kiedy był w dobrym nastroju. Kiedy czuł się przygnębiony, prosił mnie, żebym ją zdjęła.

Spędziłam cały tydzień na oglądaniu swoich filmów, dzień po dniu, od rana do nocy, i nadal mnie to rajcowało. Pewnego dnia, kiedy z brodą trzepoczącą na wietrze i w płaszczu, którego poły rozwiewały się za mną niczym peleryna, sunęłam na rolkach jednokierunkową uliczką, by dotrzeć do pewnego oddalonego kina, jakiś samochód zwolnił obok mnie. To był Damon.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał przez otwarte okno.

Zauważyłam jego skrócony palec oparty na kierownicy.

- Czy ja uciekłam? - spytałam.

- Jesteś szczęśliwa? - powtórzył szczerym tonem. Nie robił aluzji do tego, co zrobiłam z jego palcem, jak mi się przez sekundę wydawało, tylko do tego, co zrobił z moim życiem.

Oboje zwolniliśmy, zatrzymaliśmy się.

Rozejrzałam się dookoła, sprawdzając, czy w pobliżu nie ma jakiegoś

policjanta. Nie było. Byli tam jacyś przechodnie płci męskiej. Nie miałam pojęcia, co robić.

Wybrałam dwóch mężczyzn, wskazałam palcem Damona i powiedziałam: - Pomocy! Zatrzymajcie tego człowieka! Ukradł mi portfel! - To, moim zdaniem, brzmiało lepiej niż powiedzenie: „Zatrzymajcie tego człowieka! On mnie porwał!”

Dwóch przechodniów zatrzymało się jedynie na chwilę; nie zatrzymali „tego człowieka”. Postali tak chwilę, gapiąc się na brodatą kobietę na rolkach, która zapomniała, że powinna wołać o pomoc męskim głosem. A Damon odjechał.

Zwymyślałam się później w duchu za taki brak przemyślności. Niemniej wciąż nie miałam pojęcia, co mogę zdziałać.

Nathaniel też mnie zwymyślał. Stwierdził, że zachowałam się jak idiotka, odstrasżając Damona.

- I co z tego? - spytałam.

- Teraz będzie ci trudniej go złapać. Będzie bardziej uważał.

- Jak ja mam go złapać? Nie mogę sprawić, by jakiś gliniarz w cywilu chodził za mną dzień w dzień.

Mniej więcej w tamtym czasie zaczęło się dziać coś dobrego, ale ja, wciąż wytrącona z równowagi spotkaniem z Damonem, nie umiałam cieszyć się tym w pełni. Dobrze było to, że oba moje filmy nieoczekiwanie stały się kasowcami. Najpierw zauważyłam to sama: z każdym dniem w kinach robiło się coraz tłoczniej. Poza tym ludzie, których śladem chodziłam po seansach, mówili dobre rzeczy.

Nie mogłam sobie przypomnieć - na podstawie moich dawnych doświadczeń z chodzeniem do kina i podsłuchiowaniem cudzych komentarzy - czy to normalne. Aby więc to sprawdzić, poszłam na kilka innych filmów i porównałam sobie. Nabrałam wyraźnego wrażenia, że ludzie mówili więcej dobrych rzeczy o moich filmach.

Kolejny sygnał, że moje filmy stały się kasowcami, odebrałam z rozmowy z reżyserem filmu science fiction, który zadzwonił, żeby mi o tym powiedzieć. Potem zadzwonił mój agent i też mi to powiedział. Potem usłyszałam o tym w telewizji. Przy czym w telewizji twierdzili, że to dzięki mnie: bo zagrałam w obu. To miłe, pomyślałam, że tak mówią, ale nie byłam pewna, czy to prawda. Potem to samo zaczęli mówić krytycy. W telewizji chcieli, żebym u nich występowała i coś mówiła. Wiele razy. Robiłam to.

Raz wystąpiłam u Joego Lettermana. Miałam trudności z byciem całkowicie obecną podczas tego doświadczenia, bo wciąż nawiedzały mnie myśli o Damonie; byłam nieR co bardziej osłabiona i zmęczona niż zazwyczaj. I robiono ze mną wywiady do czasopism. Musiałam im pozować do zdjęć. A pozowanie do zdjęć było czymś, z czym czułam się najmniej komfortowo. Nigdy nie byłam fotogeniczna. Moja osobowość nigdy nie domagała się czegoś mniej niż tego, żeby mnie fotografowano, a nie byłam dobra w kwestiach, które nie domagały się mojej osobowości.

Dlatego na zdjęciach wychodziłam albo całkiem bez wyrazu, albo nadmiernie wyraziście. Nigdy nie potrafiłam znaleźć pośredniej drogi i wyglądać po prostu naturalnie.

Sfrustrowani fotografowie z czasopism musieli robić mi zdjęcia z zaskoczenia, co nie było dla nich wygodne, ponieważ to drastycznie niszczyło planowane pozy i tła, które sobie dla mnie wymyślili. Robili mi zdjęcia, kiedy na przykład poprawiano mi makijaż, albo dyskretnie instruowali człowieka od świateł lub stylistkę, by na chwilę odwracali moją uwagę. Pstryk.

A potem dostałam propozycję zagrania w średniobudżetowej komedii romantycznej. Odrzuciłam ją z dwóch powodów: chciałam spokojnie ukończyć rozkoszowanie się projekcjami moich pierwszych filmów, a poza tym wiecznie śniły mi się koszmary z udziałem Damona i przez jakiś czas chciałam się nie przemęczać.

Musiałam się otrząsnąć z naszego ostatniego spotkania.

Po głowie krążyły mi załączki planu, ale raczej nie zwracałam na nie większej uwagi.

Dopóki nie powtórzyło się tamto. Minał tydzień, może dwa i już zaczynałam się otrząsać, czuć się silniejsza, kiedy obok mnie zwolnił samochód i Damon znowu mnie spytał, czy czuję się szczęśliwa. Wtedy jednak rozległ się klakson samochodu jadącego za nim, któremu zawtórował kolejny, i Damon odjechał, nie uzyskawszy odpowiedzi. Również tym razem jego tablica rejestracyjna była zaklejona taśmą maskującą. A ja doznałam nawrotu choroby. Czulałam to, tam i wtedy, zanim jego samochód zniknął z widoku. To był mroczny nawrót, przygniatający i mdlący; obróciłam się na pięcie i powędrowałam do domu ze wzrokiem wbitym w chodnik, ledwie coś widząc, ze sztuczną brodą schowaną w torbie, bo tamtego dnia już nie miała być użyta, bym mogła po raz piętnasty obejrzeć imitację filmowej adaptacji Jane Austen.

Po powrocie do domu odsłuchiwałam nagraną na sekretarce, podniecającą wiadomość od agenta, który informował mnie o propozycji pewnego liczącego się reżysera; miałam zagrać w wysokobudżetowym filmie i dostać ogromne pieniądze, jakich żadna aktorka z tak skromnym doświadczeniem jak moje jeszcze nigdy nie dostała. Kiedy siedziałam na posadzce w łazience i ponownie odsłuchiwałam wiadomość, wszystko zbiegło się razem w moich myślach; wszystkie sprawy, które się liczyły - były dwie takie - nabrały wyrazistości: przyjmę tę propozycję i zrealizuję swój plan. To drugie zrodziło się w moim mózgu, kiedy wracałam do domu, więc już mniej więcej wiedziałam, co będę musiała zrobić.

Wynajęłam robotników, żeby dokonali pewnych zmian w moim mieszkaniu.

Zaczęłam często przechadzać się po ulicach.

Wreszcie znowu się powtórzyło. Nadjechał samochód, zwolnił obok mnie.

- Jesteś szczęśliwa? - spytał Damon.

Nie rozejrzałam się w poszukiwaniu policjanta. I nie odpowiedziałam. Zamiast tego posmutniałam. Na szczęście nie nosiłam brody, bo to by mi przeszkodziło w robieniu smutnej miny. I dodatkowo, za sprawą umiejętności, które wpoił mi Damon, sprawiłam, że zwilgotniały mi oczy.

- Jesteś szczęśliwa? - powtórzył bardziej zatroskanym tonem.

Wciąż patrząc na niego ze smutkiem, zaczęłam się oddalać.

- Zaczekaj! - zawołał.

Zatrzymałam się.

- Proszę, wróć.

Powoli zawróciłam w jego stronę, starając się demonstrować niechęć.

- Co się stało? - spytał.

Wzruszyłam ramionami, potrząsnęłam głową, zrobiłam taką minę, jakbym się dławiła, i cicho odparłam: - Nic.

- Powiedz mi. Chcesz, żeby mnie aresztowali? O to chodzi?

Tylko popatrzyłam na niego, znowu nic nie mówiąc.

- Jeśli to właśnie z tego powodu jesteś nieszczęśliwa, oddam się w ręce gliniarza z drogówki, tu i teraz.

Musiałam stłumić skąpy uśmieszek. Jego propozycja brzmiała kusząco. Ale mój plan był lepszy.

Westchnęłam i zamknęłam oczy, po czym odeszłam, obdarzając go przedtem przeciągłym spojrzeniem doszczętnie przybitej.

- Anno! Zaczekaj! - zawołał, nieledwie wysiadając z samochodu. - Anno, wracaj!

Jednak nie wróciłam. Poszłam dalej ze zwieszoną głową.

Nocą zostawiłam okno otwarte. I zanim położyłam się spać, kręciłam się jeszcze na balkonie. Moje mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze i można było do niego dojść schodami przeciwpożarowymi.

Nie czekałam długo.

Przyszędł następnej nocy.

Leżałam w łóżku, kiedy wszedł przez okno. Nadal się go bałam. Być może zabrzmiało to głupio, ale bałam się, że znowu zostanę porwana.

Otrzeptał swoje przezroczyste białe spodnie, które ubrudziły się od parapetu, i powiedział: - Wiem, że to prawdopodobnie pułapka i że albo mnie zabijesz, albo każesz aresztować.

W tym momencie wydał mi się komiczny i z dużym trudem powstrzymałam się od śmiechu.

- Ale ja muszę wiedzieć, dlaczego wyglądałaś na taką nieszczęśliwą - dodał.

- Naprawdę wolałabym o tym nie rozmawiać - odparłam, wspierając się na łokciu. - Nie ma sensu.

- Musisz mi powiedzieć. Proszę.

Zagrałam pełną wahania, po czym włożyłam szlafrok.

- Okay, możemy pogadać. - Poczłapałam do drugiego pokoju, nakazując mu gestem, by poszedł za mną.

Usłuchał. Zapaliłam lampę dającą skąpe światło.

Nie zwrócił szczególnej uwagi na nakryty tkaniną sześcian o bokach długości ośmiu stóp, który zajmował środek pokoju.

- Usiądź sobie, jeśli chcesz - zaproponowałam, wskazując kanapę stojącą pod ścianą. - Przyniosę coś do picia.

Zanim jednak zdążyłam wyjść z pokoju, zapytał: - Więc to jest ten moment, kiedy ty dajesz znać policji, że tu jestem?

- Niekoniecznie - odparłam, ale powiedziałam to z uśmiechem, bo znajdowałam się tuż przy wyjściu, przez które przeszłam w następnej chwili. Zatrzasnęłam drzwi na zamek i było po krzyku.

Było po krzyku. Ale nie po wszystkim.

Otworzyłam atrapę szafy wbudowaną w ścianę, która dzieliła te dwa pokoje, wdrapałam się na mój kapitański stołek i popatrzyłam na niego przez weneckie lustro.

Stał przy drzwiach, próbując je otworzyć. Potem podszedł do okna, za którym widać było budynek po drugiej stronie ulicy, okna wypełnione go dźwiękoszczelną, kuloodporną szybą, jednostronnego i zamkniętego na zamek.

Pokój, w którym się znajdował, był dźwiękoszczelny.

Dlatego więc, korzystając z mojej deski nawigacyjnej, czy też stanowiska dowodzenia, włączyłam dwustronny mikrofon i przemówiłam do niego: - Zdejmij narzutę z tej dużej, kanciastej bryły za tobą.

Zdjął narzutę, z tą miną, jaką przybierają faceci na filmach reklamowych, kiedy zdejmują pokrowce z nowych samochodów.

Pod tkaniną znajdowała się nowusieńka klatka, z wszelkimi niezbędnymi urządzeniami: łóżko, wanna i klozet.

Trzeba się było trochę namęczyć, żeby go namówić, by wszedł do klatki.

- Przecież już jesteś w klatce - przekonywałam go. - Pokój, w którym się znajdujesz, to klatka. Ja tylko proszę, żebyś wszedł do jeszcze mniejszej klatki. W czym tu problem?

A zresztą życie też jest klatką. Racja? Więc gdzie tu różnica?

Nie podziałało. Dodałam więc: - Nie wypuszczę cię, dopóki nie wejdiesz do klatki. I nici z naszej rozmowy, jeśli nie wejdiesz do klatki.

Z powodu naszej przeszłości nie będę się czuła bezpieczna, rozmawiając z tobą, jeśli nie będziesz zamknięty.

Właśnie ta groźba, że nici z rozmowy, pomogła.

- Ale to tylko na czas tej rozmowy? - spytał głupio, kiedy już wszedł do klatki.

- Tak - odparłam i zatrzęsnęłam za nim drzwi, przyciskając guzik na panelu kontrolnym.

Nie kłamałam. Rozmowa może trwać całe życie.

Wyłączyłam dwustronny mikrofon i ryknęłam śmiechem jak jakiś czarny charakter, jak zła czarownica, jak szalony naukowiec, przy okazji przerażając samą siebie.

Czułam się nieopisanie szczęśliwa.

Otworzyłam drzwi i wróciłam do pokoju, w którym uwięziłam Damona. Usiadłam na fotelu, przodem do niego.

- Możesz mi teraz powiedzieć, dlaczego nie jesteś szczęśliwa? - spytał Damon.

Jakiż on miał cudowny umysł, skupiony wyłącznie na jednym. Podobnie jak ja.

- Czy ja uciekłam? - spytałam.

- Nie rozumiem tego pytania. I zanim mi je wyjaśnisz, powiedz mi wszystko, co chcę wiedzieć. Dlaczego nie jesteś szczęśliwa?

Miał rację, należało mu pozwolić na zadawanie pytań, na razie. Nie chciałam kłaść tej pięknej, drogocennej, świętej chwili własnymi potrzebami. Niechaj to doświadczenie będzie niczym nie upiększone, złożone głównie z jego reakcji i pragnień. Ja będę siedziała z boku, obserwowała i rozkoszowała się.

- Och, jestem bardzo szczęśliwa - odparłam.

- Nie mówię teraz. Mówię ogólnie.

- W rzeczy samej jestem bardzo szczęśliwa ogólnie.

Jedyną drobną skazą na moim szczęściu była dotąd świadomość twojego istnienia.

- To znaczy, że odniosłem sukces. Udało się.

- Gdybym mogła cofnąć się w czasie - powiedziałam - nie chciałabym dobrowolnie przechodzić przez to, przez co przeszłam z tobą.

- Nawet jeśli efektem jest kariera zawodowa i ogromne szczęście?

- Nie inaczej.

- No ale to się nie liczy. Liczy się, że jesteś szczęśliwa teraz.

- Ty idioto! Mogłeś mnie uszczęśliwić bez porywania mnie. Mogłeś mi pomóc, zachęcić, zaproponować, że mnie zmusisz do wykonywania wszystkich twoich ćwiczeń aktorskich. Poszłabym na to.

- To by nic nie dało - odparł, odkręcając kurek przy wannie i zakręcając

go; uznałam, że po to, by sprawdzić, czy działa. - Dziwię się, że tego nie widzisz. Byłam w stanie dociągnąć cię o wiele dalej poza te wszystkie poziomy, które byś osiągnęła, gdybyśmy się przyjaźnili. - Spuścił wodę w toalecie, która też działała. - Udało się, bo dokonało się wbrew twojej woli.

- To nieważne. Nie miałeś prawa.

Kiedy wstałam, żeby wyjść, poprosił, bym go wypuściła.

- Nie - odparłam - jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy. Będziemy kontynuowali ją jutro.

Wyszłam i już niebawem moja irytacja gdzieś się zapodziała. Próbowałam zasnąć, ale nie mogłam, bo byłam taka szczęśliwa. Kilka razy wstawałam i patrzyłam na niego przez weneckie lustro. Wziął kąpiel. Cieszyłam się w ten sam sposób, w jaki cieszy się właściciel kota, jeśli ten jego kot używa nowego słupek do drapania już w dniu, w którym słupek został kupiony.

Wczesnym rankiem cicho otworzyłam drzwi. Damon spał.

- Cześć, Damon - powiedziałam łagodnym, melodyjnym głosem.

Wstał i zagapił się na mnie przez kraty swojej celi.

Włosy sterczały mu we wszystkie strony.

Usiadłam na fotelu, uśmiechając się promiennie.

- Ty naprawdę wyglądasz na szczęśliwą - zauważył.

- O tak, jestem szczęśliwa. Udało ci się, jak sam zauważyłeś.

Pogwarzyliśmy sobie. Wypytywał mnie o to, jak wyglądało moje życie, odkąd je odzyskałam. Opowiedziałam mu o wszystkim, o rolach, które dostałam, o ludziach, z którymi współpracowałam, o łatwości, z jaką zdobyłam agenta, o szoku, jaki przeżywałam, kiedy proponowano mi każdą rolę, o którą się ubiegałam. Z tego to nawet się uśmialiśmy, przy czym Damon wyraźnie się wzruszył, miał łzy w oczach.

- Jestem taki szczęśliwy, Anno. Jestem szczęśliwy, że tak to dobrze wyszło. I dziękuję ci, że jesteś taka hojna i dzielisz się ze mną tym wszystkim.

- Mam nadzieję, że będziesz równie hojny w odpowiedzi na moje

pytania.

- Oczywiście. Strzelaj.

- Nie. Wciąż przetrwam teraźniejszość. Zachowam je na później.

Około południa zaczął się niecierpliwić, widziałam to. Uznałam, że po prostu za wszelką cenę chce wyjść.

A jednak to było coś innego.

O dwunastej trzydzieści powiedział: - Potrzebuję telewizora.

Stwierdziłam, że to interesujące.

- Doprawdy?

- Tak.

- A po co?

- Nie mogę powiedzieć.

- A właśnie, że musisz. Albo nie będzie telewizora.

- To bardzo ważne. Potrzebuję telewizora - nalegał, kurczowo chwytając się krat.

- Żebyś mógł z jego części skonstruować jakieś urządzenie potrzebne do ucieczki?

- Nie. W telewizji będą wyświetlali coś, co muszę obejrzeć. To nadzwyczaj ważne.

- Co to takiego?

- To nieistotne.

- A właśnie, że istotne. Niektóre programy są nieodpowiednie dla przestępców.

Popatrzył na mnie z żarem w oczach.

- O której leci twój program? - spytałam.

- O pierwszej trzydzieści.

I tu mi zaczęło coś świtać. Właśnie o trzynastej trzydzieści zwykł znikać na pół godziny i potem wracać zapłakany. Czyżby w tym pomieszczeniu nie rejestrowanym przez kamery odchodziło oglądanie telewizji?

Wzięłam program telewizyjny z nocnego stolika i wróciłam do Damona, po drodze przerzucając strony. Zachodziłam w głowę, który z programów nadawanych o wpół do drugiej, mógł go interesować. Zaśmiewając się, głośno odczytałam mu swoje typy, zerkając na niego pogardliwie przy każdym tytule: *Harry i Hendersonowie*,

Opowie - ści z drogówki, Historyjki Papy Borsuka, Moda na sukces, Kuchnia smakosza, Charlie Brown i Snoopy, Trendy mody i tak dalej.

Może był to jeden z programów dla dzieci, które, jak się nad tym zastanowić, pasowałyby doskonale do ekscentrycznej, infantylnej strony jego osobowości.

- Który to? - spytałam.

- Dasz mi telewizor?

- Nie możemy pozwolić, żebyś stracił ten program.

- Dasz mi czy nie? - wyszeptał ze smutkiem, który jeszcze bardziej rozjątrzył moją ciekawość.

- Czemu nie? - Poszłam do drugiego pokoju i wyłączyłam mój telewizor z gniazdka. Zaniiosłam go do jego pokoju i postawiłam na małym stoliku, przodem do klatki.

- Czy mógłbym teraz uzyskać odrobinę prywatności? - spytał.

- Dawałeś mi cukier, kiedy się go domagałam?

Nie odpowiedział.

- Dlatego właśnie - dodałam - coś mi się wydaje, że o pierwszej trzydzieści będę oglądała telewizję.

Dwadzieścia pięć po pierwszej powiedziałam mu: - Okay, jest prawie wpół do drugiej. Który kanał chcesz oglądać?

Po długim markotnym milczeniu, mruknął: - Drugi.

Włączyłam kanał drugi i zajrzałam do programu telewizyjnego.

- *Moda na sukces?* wychrypiałam.

Siedział z kamienną twarzą, wpatrzony w odbiornik.

Obejrzelismy tę operę mydlaną wspólnie, on płakał.

Widziałam, że usiłuje się pohamować, ale łzy i tak ciekły mu po policzkach. Podałam mu pudełko z chusteczkami, ale nawet go nie dotknął.

Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego płacze; to mnie przerastało. Ten serial wcale nie był smutny. Nie widziałam poprzednich odcinków, a mimo to byłam przekonana, że nie przeoczyłam tu jakichś głębokich pokładów smutku. Aktorzy byli stosownie piękni jak na ludzi modnych i żądnych sukcesu; nosili imiona typu Ridge, Brooke, Thorn, Sally Spectra. Ponadto był wśród nich także urodziwy, beznogi bohater jeżdżący w wózku inwalidzkim, na którego wołali Stem.

- Dlaczego płakałeś? - spytałam go później.

Nie odpowiedział.

- J a nie płakałam - powiedziałam. - A z pewnością nie jestem mniej wrażliwa niż ty.

Milczał.

- Gdybym chciała traktować cię tak samo, jak ty traktowałeś mnie, to teraz torturowałabym cię tak długo, aż byś mi zdradził, dlaczego płakałeś. Tylko, cholera jasna, nie mam pistoletu strzelającego lodem. Myślę, że mogłabym wyciągnąć z zamrażarki kostki lodu i rzucać nimi w ciebie, dopóki byś się nie ugiął.

Nadal nie chciał się przyznać, dlaczego płakał.

Tamtego popołudnia przeszłam się na spacer. Miałam wielką ochotę na to doświadczenie, jakim jest przejście się na spacer, kiedy się ma kogoś zamkniętego w klatce we własnym mieszkaniu.

I nie rozczarowałam się. To było wspaniałe, owocne uczucie.

Wstąpiłam do delikatesów, kupiłam kawior, wędzonego łososia, niepasteryzowanego camemberta i dwie bagietki. Potem jeszcze kupiłam szampana i wróciłam do domu.

Popatrzyłam na Damona przez weneckie lustro. Siedział na łóżku z

podbródkiem wspartym na dłoni. Zrobiło mi się głupio. Weszłam do niego z pogodną miną.

- Kupiłam dobre rzeczy na kolację, żeby to uczcić - oznajmiłam.

- Co uczcić?

- Twoją niewolę.

Podczas kolacji powiedział:

- Mam nadzieję, że nie jadasz takich rzeczy na co dzień, bo inaczej nie minie dużo czasu, jak... - i tu wymownie podniósł brwi, nie kwapiąc się z dokończeniem zdania.

- Dlaczego zostawiłeś swój palec, po tym, jak ci go odrąbałam? Dlaczego nie zabrałeś go z sobą i nie starałeś się, żeby ci go przyszyli?

- Och, z wielu powodów - odparł, jedząc kawior i oblizując niektóre ze swoich całych palców. - Po pierwsze, postanowiłem przyjąć karę, którą mi wymierzyłaś. Zasłużyłem sobie na nią. - Podniósł swój kieliszek z szampanem i powiedział: - Wypijemy za to?

Stuknęliśmy się kieliszkami przez kraty klatki i wypiliśmy.

- Po wtóre - ciągnął - uznałem, że taki brak palca to byłaby miła pamiątka po tobie i od ciebie. Nieodwracalna pamiątka.

Za to też się stuknęliśmy.

- Po trzecie i najważniejsze, to mi miało przypominać o poświęceniu, na jakie zdobyłem się dla ciebie, która to myśl miała mnie rozweselać w chwilach przepełnionych melancholią i sprawiać, bym nie myślał o sobie aż tak źle.

Znowu podniósł kieliszek, abyśmy mogli się stuknąć.

Tymczasem ja chlusnęłam mu w twarz swoim szampanem i popatrzyłam na niego beznamiętnie.

Zamrugał, bo zapiekło go w oczach. Stuknął kieliszkiem o kraty klatki, napił się i zrezygnowanym głosem dodał:

- Każdy ma prawo do posiadania własnych powodów, dla których porzuca swoje palce.

- Czy ja uciekłam? - spytałam.

- Nie, jasne, że nie; zostałam uwolniona - odparł, wycierając serwetką zalane szampanem oczy. - Dałam ci szablę.

- W takim razie dlaczego stanąłeś ze mną do walki, nie pozwalałeś odejść i doprowadziłeś do tego, że obciąłam ci palec?

- Żeby ci stworzyć iluzję ucieczki. Bałem się, że jeśli cię wypuszczę w taki bezpośredni sposób i powiem ci prawdę, a więc że osiągnęliśmy nasz cel i że teraz jesteś już gotowa do podboju świata aktorstwa, to będziesz stawiała większy opór wobec tego przeznaczenia, które z takimi bólami dla ciebie zaplanowałem i przygotowywałem. Gdybyś natomiast - tu podniósł w górę plastikowy nóż dla podkreślenia wagi swoich słów - uznała, że uciekłaś, albo nawet gdybyś nie była niczego pewna, to miałabyś poczucie kontroli nad własnym życiem i nad swoją przyszłością, czułabyś się silna, niezależna i zadowolona z siebie, bo wydostałaś się z tego pasztetu. - Wykonał w powietrzu gesty naśladujące cudzysłów.

TRZYNASTY

Mijały dni. Damon ciągle się dopytywał, dlaczego nie chcę go wypuścić, a ja odpowiadałam, że go nie wypuszczam, bo nasza pogawędka jeszcze się nie skończyła. Nabył zwyczaju rzucania we mnie różnymi przedmiotami: szczoteczką do zębów, pastą do zębów, mydłem, rolką papieru toaletowego, korkiem od wanny, butami, zegarkiem, kubkiem do mycia zębów. Chciałam wierzyć, że wcale nie ma zamiaru zrobić mi coś złego, ale jakoś nie potrafiłam, zwłaszcza gdy ciężki, metalowy korek trafił mnie w policzek, kalecząc skórę. W takich momentach obrzucałam go francuskimi słowami, którymi pewna moja znajoma Francuzka traktowała swojego kota, kiedy zachowywał się nieznośnie: ***Mechant!*** (nieдобry), ***Arretes!***

(przestań), ***Faisgaffe!*** (uważaj).

Całymi godzinami przesiadywałam na fotelu przed jego klatką i przyglądałam mu się, rozmawiałam z nim i ogólnie dorabiałam się czegoś, co

nazywałam „moją Damonową opalenizną”. Uwielbiałam te sesje; ładowałam się nimi, jakbym była baterią. Obok fotela stawiałam wiaderko z kostkami lodu; ćwiczyłam rzucanie do celu, kiedy mnie czymś rozzłościł. Cały ten czas dopisywał mi doskonały nastrój. Damon był moim ludzkim zwierzątkiem domowym, moim hobby, moim doradcą, terapeutą. Pytałam go o radę we wszystkim. Odbywaliśmy głębokie, poważne rozmowy na najrozmaitsze tematy, takie jak na przykład „ja”. Przeważnie ja. Na przykład mówił mi, jak powinnam potraktować taką a taką osobę. A potem ciskał we mnie maszynką do golenia, wkładając w to dużo siły. Kiedy pytałam, dlaczego to zrobił, odpowiadał: dlatego, że to normalne.

W każdy powszedni dzień oglądaliśmy *Modę na sukces* i Damon zawsze wtedy płakał. Nie potrafiłam zrozumieć dlaczego. Fabuła serialu opierała się na sercowych problemach rodziny wziętych projektantów mody, przy czym jeden z bohaterów, dawno temu utracony, beznogi brat Stem, ulepszał życie innych.

- Co w tym takiego smutnego? - pytałam ze zniecierpliwieniem. - Dlaczego płaczesz? Moim zdaniem to było nawet miłe, kiedy Stem powiedział Brooke, że Ridge naprawdę ją kocha. Przecież to znaczy, że znowu się zejS dą. Więc dlaczego płaczesz, do cholery! Powiedz mi!

- Proszę, bądź cicho - mówił, zakrywając uszy dłońmi.

W ramach eksperymentu zmusiłam go któregoś dnia do obejrzenia *Młodych i niecierpliwych*, których puszczałam godzinę wcześniej. I wcale nie płakał. A zatem to w *Modzie na sukces* było coś, co go tak przygnębiało.

Przyglądałam się dokładnie jego twarzy, kiedy to oglądał, i starałam się wykryć jakiś wzorzec w tym jego płakaniu, ale żadnego się nie doszukałam.

Co jakiś czas przeprowadzano ze mną wywiady na żywo w wieczornych programach telewizyjnych, w związku z filmem, który właśnie kręciłam; po wszystkim szłam do domu. Zaraz po wejściu Damon rzucał we mnie różnymi przedmiotami, po czym mówił, że oglądał wywiad i że jego zdaniem był

znakomity.

Kiedy wywiad nie był przeprowadzany na żywo, oglądaliśmy go razem, z nogami wygodnie o coś opartymi, niczym para przyjaciół; dzieliły nas jedynie te kraty. Piliśmy miętowe, brzoskwiniowe, malinowe i kakaowe likiery, jedliśmy dobre sery i czekoladowe trufle i Damon śmiał się z moich dowcipów albo krzywił groźnie, gdy słyszał jakieś głupie pytania.

Kiedy wieczór dobiegał końca, Damon próbował kontrolować mnie z klatki, mówiąc: - Okay, zjadłaś już dosyć trufli. Jeśli się nie opanujesz, będę musiał skonfiskować pudełko.

Wtedy ja piorunowałam go wzrokiem, wpychałam trzy trufle do ust i zjadałam je hałaśliwie, pilnując, by widział mnóstwo lśniącej, brunatnej mazi przelewającej się po moim języku i zębach.

- Och, Anno - mówił, zakrywając oczy. - Co ty z sobą wyprawiasz?

Któregoś razu odpowiedziałam w ten sposób, że rzuciłam w niego truflą, która zostawiła plamę z kakao na jego policzku. Damon pieczołowicie zebrał ją z podłogi i ułożył na brzegu wanny.

- Konfiskuję trufkę do czasu, aż zaczniesz się kontrolować.

Miałam w pudełku jeszcze dwadzieścia sztuk; rzuciłam w niego następną, a on powtórzył procedurę i w końcu miał na brzegu wanny rządki złożony z sześciu czy siedmiu trufli. Potem się znudziłam, a poza tym kończyły mi się trufle, więc przestałam nimi rzucać.

Damon chciał posłuchać muzyki, przyniosłam mu więc magnetofon, który ustawiłam pod klatką, poza jego zasięgiem, więc nie był w stanie zrobić z jego części żadnego urządzenia pomocnego w ucieczce. Puszczalam mu taśmy, w tym jedną z Nathanielem grającym na wiolonczeli - nie powiedziałam mu jednak, że Nathaniel to mój chłopak, że w ogóle go znam ani też, że mam jakiegoś chłopaka. Kompozycje na wiolonczelę Nathaniela wywarły na Damonie silne wrażenie. Wydawał się niemal zahipnotyzowany i nie chciał, żebym puszczała mu cokolwiek innego. Oczywiście pytania, które do niego

kierowałam, nie przyniosły należytego efektu; wyglądało to następująco, całkiem typowo zresztą: - Ta muzyka naprawdę ci się podoba? - spytałam.

- Nie, słowo „podość się” nie ma tu raczej zastosowania - odparł, nie przestając się rozciągać na łóżku. - Czuję z nią więź. Przypomina mi o emocjach, które zdarza mi się odczuwać, a także o innych, których nigdy nie odczuwałem, ale które były obecne w otaczającej mnie atmosferze w pewnym momencie mojego życia.

Rzuciłam w niego kostką lodu.

- Co to były za emocje? - spytałam, przyglądając mu się badawczo między kratami.

- Te same stare dzieje, Anno. Ta sama sprawa, o której nie mogę ci opowiedzieć.

- Właśnie przez tę sprawę płaczesz, oglądając *Modę na sukces*?

- Tak, to wszystko sprowadza się do jednej dawnej sprawy.

- Powiesz mi kiedykolwiek, o co w niej chodziło?

Pogrążył się w zadumie na dłuższy czas, wpatrując się w sufit, z rękoma splecionymi pod głową.

- Nie wiem. Bez specjalnego powodzenia próbuję wyobrazić sobie chwilę, kiedy czułbym się zmuszony opowiedzieć o wszystkim.

Rzuciłam w niego jeszcze jedną kostką, którą on strzepnął na podłogę; pewnie po to, żeby nie zmoczyła mu materaca.

- Opowiedzieć mi czy w ogóle komukolwiek? - spytałam.

- Nie wiem. Może komukolwiek. Może tobie bardziej niż innym - odparł, zerkając na mnie.

- A powiedziałaś mi, gdybym poddała cię torturom?

Zaśmiał się.

- Trudno to wiedzieć z góry. Jakie by to były tortury?

- To są jakieś, które miałyby większe szanse na odniesienie skutku? - spytałam, krążąc dookoła klatki.

- Tak od razu to nie wiem. Może gdyby mi się chciało nad tym zastanowić, wymyśliłbym taką, która byłaby skuteczna. Ale nie mam ochoty się nad tym zastanawiać.

- Czy są jakieś inne okoliczności, w których mógłbyś mi o tym opowiedzieć?

- O tym też nie mam teraz ochoty myśleć. Proszę, puść mi znów tę muzykę.

Zrobiłam to, z nadzieją, że z wyrazu jego twarzy dowiem się więcej niż z jego słów. Ale nie dowiedziałam się, jak się okazało, mimo że bez końca słuchałam tej kasety, tamtego dnia i następnego.

Trzy dni później umówiłam się z Nathanielem na kolację w restauracji, bo nie widziałam się z nim od tygodnia, odkąd weszłam w posiadanie mojego nowego człowiekazwierzaka. Poinformowałam o tym Damona.

- Masz chłopaka?

- Oczywiście, a co ty myślał?

- Nic. To dobrze. Po prostu dotąd o nim nie wspominałaś.

- To prawda. I nie wspominałam też, że to ten sam, który skomponował i zagrał te utwory na wiolonczelę, które tak bardzo ci się podobają. Innymi słowy te, z którymi czujesz taką więź.

- Doprawdy? To zabawne - odparł bez uśmiechu.

- Dzieje się coś dziwnego, o czym mi nie mówisz - powiedział podczas kolacji Nathaniel.

- Nie.

- Tak. Coś się stało, mam rację?

- Jak na przykład co?

- Ty mi powiedz. Poznałaś kogoś? Interesujesz się kimś jeszcze? Czy tu chodzi o Damona? Widziałaś go znowu i nie powiedziałaś mi o tym?

- Tak. Mieszkamy razem.

- Po prostu powiedz mi prawdę. Nieważne, co to takiego. Po prostu chcę

wiedzieć. Proszę.

- To nie tak. Ale wydaje mi się, że traktujesz nasz związek zbyt poważnie. Może na jakiś czas powinniśmy od siebie odpocząć.

- Nie! Chcesz powiedzieć seksualnie? Jeśli chodzi o seks, to nie ma sprawy, ale nie, jeśli chodzi o przyjaciół, o ludzi. Nie chcę, żebyśmy od siebie odpoczywali jako ludzie.

Wzruszyłam się.

- Okay, ale zwolnij trochę, dobrze?

- Jasne. Mieszkasz z kimś teraz?

- Nie. Żartujesz sobie?

- Po prostu mi powiedz.

- Powiedziałam.

- No więc to udowodnij. Chcę zobaczyć twoje mieszkanie.

- Dlaczego?

- Od jakiegoś czasu nie pozwalasz mi tam zajrzeć.

- Nie.

- Jeśli mi nie pozwolisz, to przyjmę założenie, że mieszkasz z Damonem, co zresztą wcale mi nie przeszkadza. Po prostu chcę znać prawdę.

- Po pierwsze, skąd taki pomysł? I po drugie, nic mnie to nie obchodzi, co sobie zakładasz.

- A powinno. Jeśli mi powiesz albo pokażesz, że mieszkasz z Damonem, nie ma sprawy. Będę smutny i zazdrosny, ale przyjmę to do wiadomości. Jeśli jednak pozostawisz mnie na pastwę domysłów, to wtedy zareaguję: powiadomię twoich rodziców i policję. Powiem im, że z nim mieszkasz.

- Uważasz, że zdobędziesz tym moje serce?

- Mam to gdzieś! - krzyknął, uderzając w stół rozpostartą dłonią. - Po prostu chcę znać prawdę! - Bliski łez dodał: - Ale jeśli zdecydujesz się pokazać mi swoje mieszkanie, to musisz to zrobić natychmiast, żebyś nie miała czasu nic ukryć.

Zastanawiałam się nad tym przez minutę, po czym się zgodziłam. Nie chciałam narażać się na ryzyko, że Nathaniel będzie rozmawiał z moimi rodzicami albo policją, nabijając im głowy tym absurdalnym pomysłem, że mieszkam z Damonem. A zresztą wszystko, co mogłoby mnie zdradzić, zamknęłam przed wyjściem: pokój Damona i nową szafę z panelem kontrolnym.

Zabrałam Nathaniela do siebie; zauważył nową szafę i rozłożoną kanapę.

- Kto tu śpi? - zapytał.

- Ja.

- Dlaczego?

- Bo zepsuło się ogrzewanie w sypialni, a nie mogę tu nikogo ściągnąć, żeby je naprawił, bo tam jest za duży bałagan.

Pomaszerował do drzwi sypialni i próbował je otworzyć.

- Dlaczego są zamknięte?

- Bo tam jest straszny bałagan. Nie chcę, by ktoś go oglądał. Wstydzę się.

- Wydziwiasz. Chcę obejrzeć twoją sypialnię.

- Nie.

- Jaki jest ten nasz związek, skoro nie mogę obejrzeć twojej sypialni?

- Niezbyt ważny.

- Dlaczego jesteś okrutna?

- Ja tylko mówię o faktach. Nie chcę wprowadzać cię w błąd.

- Niewykluczone, że mieszkasz z kimś, kto jest w tej sypialni.

- Tak, niewykluczone. I zamykam go na klucz, kiedy wychodzę z domu.

Roześmiał się. Napięcie jakby zelżało, a jednak zniecka cały zeszywniał.

- Gdzie twój telewizor?

- W mojej zabałaganionej sypialni.

- Dlaczego?

- Ponieważ osoba, z którą dzielę sypialnię, uwielbia oglądać telewizję.

Pośmialiśmy się, po czym ja dodałam: - Zwłaszcza *Modę na sukces*.

Nathaniel nienaturalnie szeroko otworzył oczy.

Kiedy tak gapiłam się na niego zagapionego we mnie, przyszło mi na myśl, że powinnam napisać list do producentów *Mody na sukces* i spytać ich, czy zauważyli, jak mężczyźni reagują na ich serial, a jeśli tak, to może zechcą mi to objaśnić.

W końcu odwrócił się, mruczając pod nosem: - To wcale nie musi nic znaczyć.

- Ale może to rzeczywiście coś znaczy - odparłam. - A jeśli tak, Nathanielu, to co? Dlaczego *Moda na sukces* jest taka ważna?

- Na ile się orientuję, wcale nie jest ważna.

- Więc dlaczego tak dziwnie wpływa na niektórych ludzi, na przykład na ciebie?

- I kogo jeszcze?

Ta rozmowa prowadziła donikąd. Uprawiałam z nim seks, żeby wprowadzić spokój do jego myśli. To osobliwe uczucie: uprawiać z kimś seks, kiedy w pobliżu ktoś siedzi w klatce.

Nathaniel chciał znowu się ze mną spotkać, kilka dni później, co jest normalne w przypadku kochanka, ale ja prawie wcale nie miałam ochoty go widzieć. Znowu zachowywał się paranoicznie, nie przestawał mnie podejrzewać. Więc się z nim spotkałam.

- Wydajesz się nieszczęśliwa - zauważył Damon, kiedy wróciłam do domu po spotkaniu z Nathanielem.

Wziął pilota od magnetofonu i wyłączył utwór na wiolonczelę, którego słuchał omal nieustannie, odkąd go z nim zapoznałam.

Padłam na fotel.

- Chcę zerwać z moim chłopakiem, twoim drogocennym wiolonczelistą.

- Dlaczego?

- Ponieważ zagroził, że powie moim rodzicom i policji, że mieszkam z tobą. Potrafisz to sobie wyobrazić?

- Ależ ten człowiek ma tupet.
- Wiem.
- Więc mu powiedziałaś?
- Nie. To znaczy nie na poważnie. To paranoik.

Nie do końca mówiłam Damonowi prawdę. Tym razem Nathaniel wcale nie groził, że powie cokolwiek moim rodzicom. Chciałam z nim zerwać, ponieważ z jakiegoś tajemniczego powodu - powodu, w który bynajmniej nie miałam ochoty zagłębiać się mocno - myśl o nim, jak uprawia ze mną seks, przestała do mnie przemawiać. Co wcale nie znaczy, by kiedykolwiek przemawiała. Ale teraz nie byłam wobec niej neutralna ani obojętna. Byłam przeciwna, ta myśl odstręczała mnie; wręcz czułam do niej prawdziwą awersję, a co dziwne, - nie miało to nic wspólnego z Nathanielem.

Damon się mylił. Nie byłam nieszczęśliwa. Czułam się radosna i wolna na myśl o możliwości zerwania z Nathanielem, lekka i rozigrana. Wyobrażam sobie, że tego samego uczucia doświadczają ludzie po zażyciu środka przeczyszczającego. Nie miałam jednak pojęcia, czy odważyłabym się to zrobić. Niebawem jednak zapomniałam o tym, kiedy porozmawiałam na inne tematy z moim zwierzaczkiem.

Dwa dni później zadzwoniła do mnie Chriskate Turschicraw; oznajmiła, że ma mi coś ważnego do powiedzenia, i poprosiła o spotkanie. Umówiliśmy się w kawiarni. Dla niepoznaki miała czarną perukę i okulary przeciwsłoneczne. Poinformowała mnie, że nie przestała kochać Nathaniela, że zwyczajnie udawała, starając się ożywić jego zainteresowanie. Wyznała szczerze, że to ją unieszczęśliwia, że ja z nim chodzę, i że musi mi powiedzieć o czymś, co się zdarzyło w jej przeszłości z Nathanielem.

- W Nathanielu zakochałam się kilka lat temu - zaczęła - kiedy stawiałam pierwsze kroki jako modelka i wcale nie wiodło mi się najlepiej. Powiedział mi, że jego zdaniem jestem cudowna, ale jest jedna taka rzecz, która nie pozwala mu zakochać się we mnie bez pamięci. Ze mam coś takiego, co go odstręcza, i że

tym czymś jest mój odrobinę za długi nos. Jeden milimetr za długi, mówiąc precyzyjnie. Nikt mi nigdy wcześniej nie powiedział, że mam za długi nos, więc się zdziwiłam. Zrobiło mi się strasznie smutno i spytałam go, czy jest pewien, że w takim razie nie może mnie pokochać. Odparł, że jest tego pewien. Wydawało mi się, że to już koniec tamtego marzenia. Ale wtedy on powiedział, że istnieje potencjalne rozwiązanie: mogłabym się poddać operacji plastycznej. Zgodziłam się. Skierował mnie do dobrego chirurga, zaproponował, że zapłaci połowę za operację, i przygotował precyzyjne instrukcje na piśmie, jak ma wyglądać mój nos. Tak więc dałam się zoperować, a kiedy nos już się wygoił, poszłam pokazać go Nathanielowi. Strasznie się denerwowałam, bo nie byłam pewna, czy efekt jest dokładnie taki, jakiego sobie życzył. Okazało się, że jest. Nathaniel stwierdził, że chirurg wykonał wspaniałą robotę i że długość mojego nosa jest znakomita. Przyjęłam założenie, że w związku z tym będzie w stanie mnie pokochać, ale myliłam się.

- I co się stało? - spytałam, nagle uświadamiając sobie, że od jakiegoś czasu wytrzeszczam oczy.

- No cóż, wyczułam z jego strony pewną powściągliwość, więc spytałam, o co chodzi, a on wtedy wyjaśnił, że jest jeszcze jedna problematyczna rzecz, którą próbuje przezwyciężyć. Otóż nie podobało mu się, że moje oczy lekko obwisają, że ta skóra nad nimi zachodzi nieznacznie na powieki. I powiedział też, że może temu zaradzić operacja plastyczna. Kolejny raz dał mi starannie wypisane instrukcje dla chirurga. Zapewnił mnie, że potem nie będzie już żadnych przeszkód, by mógł mnie pokochać. Więc dałam sobie zrobić operację.

- I?

- I był zachwycony rezultatem. Twierdził, że wyszło pięknie. Spytałam, czy uważa, że teraz może mnie pokochać. Zrobił wtedy zakłopotaną minę. „Jest jeszcze jedna rzecz, ale waham się o nią poprosić”, powiedział. „Co to takiego?”, spytałam. „Mogłabyś mieć bardziej wydatną górną wargę”.

Opowieść Chriskate była dla mnie bardzo stresująca.

Nie potrafiłam się pohamować i spytałam: - I w żadnym momencie nie wyraziłaś sprzeciwu wobec tej farsy?

- Ależ tak. Wtedy to już się trochę zezłościłam i zadałam mu pytanie: „Dlaczego bawisz się mną w taki sposób? Czy to będzie twoja ostatnia prośba?” Powiedział, że tak. „I będziesz mnie kochał?” „Tak”. „Okay, zrobię to, jeśli mnie zapewnisz, że to dowód miłości, a nie kaprys”.

„To nie jest żaden kaprys”, odparł. Tak więc poddałam się operacji, ale nadal jakby nie był w stanie mnie pokochać.

- I znowu cię prosił, żebyś coś w sobie zmieniała? - spytałam.

- Nie. Wyraźnie chciał poniechać prób pokochania mnie. To ja go w końcu poprosiłam, żeby mi swobodnie powiedział, czy są jeszcze jakieś zmiany, dzięki którym miałabym jakiegokolwiek szanse na wzbudzenie jego uczuć. Powiedział mi, choć musiałam go błagać. To była jeszcze jakaś drobnostka związana z moim nosem. Kazałam to sobie poprawić. Nie trzeba chyba dodawać, że to się powtarzało bez końca. Za każdym razem mówił mi, że jeszcze tylko jedna zmiana i będzie mógł mnie pokochać. W skrócie mówiąc, przeszłam piętnaście operacji, które zmieniały moją twarz dosłownie mikroskopijnie, a jednak zasadniczo. To były zmiany, które powalały subtelnością. I dzięki każdej odnosiłam coraz to większe sukcesy jako modelka. Błagam, nie mów o tym nikomu.

Nie jest to coś, z czego jestem dumna. Okazało się rewelacyjne dla mojej kariery, ale nigdy nie pomogło mi w zdobyciu miłości Nathaniela.

Obiecałam jej, że nikomu nie powiem.

- Kiedy zostałam najlepiej opłacaną modelką Świata, zaczęłam podejrzewać, że mój wygląd nie miał nic wspólnego z tym, czy Nathaniel mógłby mnie pokochać. Wiedziałam, że musi być coś innego, coś, co ty najwyraźniej posiadasz. Właśnie to tak rozpaczliwie chciałam znaleźć, kiedy cię poznałam.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić, co by to mogło być.

Nie trzeba chyba dodawać, że opowieść Chriskate sprawiła, że było mi nadzwyczaj łatwo zerwać z Nathanielem, co zresztą zrobiłam jeszcze tamtego popołudnia, przez telefon, wyraziwszy najpierw swoje przerażenie tym, co zrobił. Na próżno usiłował przeprosić i wyjaśnić motywy swego obrzydliwego postępowania.

- Nie byłem w stanie nikogo pokochać - tłumaczył się. - Rozpaczliwie usiłowałem kogoś pokochać i byłem przekonany, że to ma coś wspólnego z wyglądem, ale teraz wiem, że się myliłem. Wiem, że byłem nienormalny, tak myśląc. A zresztą to, co jej zrobiłem, wcale nie okazało się aż takie straszne, prawda? Odniosła wielki sukces i teraz może zdobyć każdego mężczyznę, jakiego tylko zechce.

- Z wyjątkiem ciebie.

- To prawda. Ale proszę, wybacz mi, ja już nie jestem taki. Zdaję sobie sprawę, że to było potworne, takie przedłużanie jej udręki. Przykro mi z tego powodu, ale sam też przeżywałem udrękę. Nigdy nie być zakochanym. To dopiero była udręka. Wydawało mi się, że nie jestem w stanie nikogo pokochać. Myślałem, że coś ze mną nie tak.

- Bo z tobą jest coś nie tak.

- Proszę, nie zrywaj ze mną z tego powodu. Jestem teraz kompletnie innym człowiekiem. Jeśli przez to ze mną zerwiesz, nie wiem, co z sobą zrobię.

- Nie martw się, i tak zamierzałam z tobą zerwać, ale powstrzymywałam się, bo miałam skrupuły. To jedyna różnica.

- Ale ja chciałbym, żebyśmy przynajmniej byli przyjaciółmi.

- Nie rozumiem, jak by to miało być możliwe, skoro już wiem, co ty jej zrobił.

- Proszę.

- Jeśli potrzebujesz czegoś ode mnie, jakichś przysług, to poproś. Ostatecznie być może uratowałeś mi życie.

- Proszę cię o przyjaźń.

- No cóż, prosisz o wiele.

- No cóż, dałem ci wiele.

- To prawda. Okay, mogę czasami próbować okazywać ci przyjaźń. Musisz jednak wiedzieć, że od teraz patrzę na ciebie inaczej.

- Okay, na razie zgodzę się na tyle. Mam nadzieję, że kiedyś zmienisz zdanie. Mam nadzieję, że dostrzeżesz we mnie innego człowieka. Jestem tym, za kogo mnie uważałaś, zanim ona powiedziała ci to wszystko.

Zaczęły się zdjęcia do mojego wysokobudżetowego filmu. Na szczęście w większości miał być kręcony w Nowym Jorku.

Codziennie po powrocie do domu opowiadałam Damonowi o wszystkim, a on zdawał się rozkoszować każdym szczegółem. Nigdy nie miał ich dosyć; pytał nawet o kolor włosów, kolor butów i najdrobniejsze gesty wszystkich na planie, od reżysera po gońca. Chciał także znać wszelkie moje odczucia: każdy niuans stanu szczęśliwości, wszystkie przyływy podniecenia, lekkie przyspieszenia bicia serca, pęknięcie z dumy, rumieńce. Rozmawialiśmy o tym godzinami, aż wreszcie albo on, albo ja stwierdzaliśmy, że trzeba wypocząć przed następnym dniem na planie, i wtedy szłam spać.

Nadszedł ten dzień, kiedy musiałam zostawić mojego zwierzaczka samego na dwa tygodnie, by pojechać do miejsca, gdzie kręcono mały fragment filmu. Kupiłam niewielką lodówkę, którą ustawiłam tuż przy klatce Damona, w zasięgu jego ręki. Kupiłam mu mnóstwo tuńczyka w puszcze, spaghetti, owoce, warzywa, minikartony z mlekiem o długiej przydatności do spożycia, płatki owsiane, krakersy, oliwę z oliwek. W odróżnieniu od niego nie byłam taka bez serca i zostawiłam mu dziewięć tabliczek gorzkiej czekolady Lindta, a oprócz tego pudełka z ciastkami i cukierkami.

Chciałam mu kupić jakieś ubrania, bo dysponował tylko tym, co miał na sobie, ale nie udało mi się znaleźć męskich ubrań uszytych z przezroczystego, białego jedwabiu. Dlatego więc kupiłam zwój jedwabiu, z którego sam mógł sobie uszyć ubranie w razie potrzeby.

Zostawiłam mu przybornik krawiecki, w którym była tylko jedna igła i para nożyczek, maleńkich i bardzo tępych, z zaokrąglonymi końcówkami, by nie mógł dzięki nim uciec.

- Nie potrafię szyć ubrań - oświadczył.

- Ja też nie potrafię, ale to na pewno nie jest aż takie skomplikowane. Jestem pewna, że coś wymyślisz, jeśli cię najdzie ochota.

Tuż przed wyjazdem nastawiłam kamerę wideo, ukrytą za weneckim lustrem, więc niewidzialną dla Damona. Zaprogramowałam ją tak, by zaczynała go filmować codziennie o pierwszej trzydzieści, kiedy zabierze się do oglądania swojej opery mydlanej. Dzięki umieszczeniu drugiego lustra pod drugiej stronie pokoju mogłam uzyskać ujęcia zarówno jego twarzy, jak ekranu telewizora.

Na samym końcu dałam Damonowi telefon wykonany na zamówienie, w którym nie było klawiatury. Ja i tylko ja mogłam do niego zadzwonić, bo tylko i wyłącznie ja znałam jego numer. Oczywiście istniało ryzyko, że ktoś obcy wykręci jego numer przypadkiem - Damon mógłby wówczas poprosić o pomoc i zostać uwolniony, a ja mogłabym zostać aresztowana. Ale to on mnie porwał jako pierwszy, więc co mi więcej mogło grozić?

Zresztą i tak trzeba było iść na ryzyko. Zostawiłam Damona w klatce, z telefonem, i ruszyłam na wyprawę.

Dzwoniłam do niego codziennie. To było zabawne, mieć zwierzątko domowe, do którego można dzwonić.

Któregoś razu nie odpowiedział, czym się zdenerwowałam, ale wmawiałam sobie, że robi to specjalnie. Następnego dnia odpowiedział. W tle grała wiolonczela, jak niemalże zawsze.

- Dlaczego wczoraj nie odebrałaś telefonu? - spytałam.

- A co, dzwoniłaś? Byłem na zakupach.

Przeraziłam się na sekundę, ale błyskawicznie odparowałam:

- A co kupowałaś?

- Jedwab. Uszyłem sobie już trzy kostiumy i znowu się znudziłem.

- Cieszę się, że znalazłeś sobie zajęcie i że nie straciłeś poczucia humoru.

A co tam słyhać u niewolników **Mody na sukces**?

- Wszystko w porządku - odparł, natychmiast spochmurniały.

Stwierdziłam, że w którymś momencie po prostu będę musiała odgadnąć, o co w tym wszystkim chodzi. Zadzwoiłam do niego raz o pierwszej czterdzieści pięć, w samym środku odcinka, żeby sprawdzić, co robi. Odebrał telefon i natychmiast się rozłączył, nie mówiąc nawet cześć.

Innym razem zadzwoniłam o czternastej, zaraz po filmie.

- Halo? - powiedział do słuchawki zduszonym, nosowym głosem.

- Co się stało? Co ci jest? - spytałam, udając zdziwione niewiniątko.

Westchnął.

- A o co chodzi?

- Ty płaczesz? Dlaczego płaczesz?

- Właśnie oglądałem *Modę na sukces*.

- Ach tak. I?

- I nic.

- Skąd ten smutek? - spytałam, z nadzieją, że dzięki tej frazie, której nigdy dotąd nie użyłam, on jakoś może odpowie. Nie mogłam się wyzbyć wrażenia, że wystarczy, jak znajdę te magiczne słowa, magiczną formułę i uzyskam odpowiedź.

A jednak formuła nie okazała się właściwa, bo Damon tylko westchnął i milczał, dopóki nie zmieniłam tematu.

- Pogadaliśmy sobie o mojej pracy. Okazał mi dużo wsparcia, zapewniając, że jego zdaniem na pewno świetnie mi idzie, że będę najlepsza.

Rzeczywiście w pracy szło mi świetnie. Niezależnie od tego, jak dobrą aktorką już byłam, prawdopodobnie stałam się jeszcze lepsza dzięki świadomości, że w moim mieszkaniu jest zamknięty Damon. To ona dawała mi poczucie siły i spokoju, którego w innej sytuacji bym nie miała.

Moja wyprawa wreszcie dobiegła końca i wróciłam do domu. Nie

weszłam do pokoju Damona, spojrzałam na niego przez weneckie lustro. Leżał na podłodze w klatce, na boku, ubrany w długą, białą szatę; oglądał telewizję, jednocześnie unosząc i opuszczając udo niczym tancerz, sprawiając, że szata zsuwała mu się na biodra. Po kilku takich powtórzeniach opuścił nogę i oparł ją na desce klozetowej.

Weszłam do pokoju ubrana w strój do szermierki, na wypadek, gdyby chciał rzucać we mnie przedmiotami.

Miał tyle rzeczy, którymi mógł rzucać - i zresztą natychmiast zaczął rzucać: puszkami, nożyczkami krawieckimi, następnymi puszkami. Pozbierałam wszystko. Policzyłam puszki; zarówno te puste i ich wieka, jak te pełne, żeby mieć pewność, że żadna przy nim nie została - mógł mnie pokaleczyć wiekiem.

- A więc uszyłeś sobie suknię - zagałam i zdjęłam strój do szermierki.

- Tak - odparł, podnosząc ręce i prezentując ją niczym model. - Ma kształt litery A. Rozszerza się na dole, by dawać mi swobodę ruchów. Podoba ci się?

Wzruszyłam ramionami i wydałam jakiś neutralny odgłos. Szata rzeczywiście miała kształt litery A i rozszerzała się na dole. Poza tym była bardzo zgrzebnie skrojona i zszyta. Nie miała rękawów i wyglądała koszmarnie, jak jakiś kostium z domu wariatów, w którym stosuje się przemoc. Z dumą jednak stwierdzam, że było to lepsze niż cokolwiek; co ja mogłabym wykonać.

Kiedy podałam mu kolację, dźgnął mnie w rękę igłą, którą zapomniałam mu zabrać. To przywołało wspomnienia o okruchach lodu, którymi kiedyś we mnie strzelał. Trzymał teraz igłę między kciukiem a palcem wskazującym, gotów znowu mnie dźgnąć.

- Oddawaj - powiedziałam, a wtedy rzucił we mnie kolacją. - Dlaczego to robisz? - spytałam.

- Siedzę w klatce. I siedziałem w niej sam przez dwa tygodnie. Mam prawo to robić.

Usiadłam na fotelu i zjadłam swoją kolację z tacy. Rozmawialiśmy o tym, jak mi poszło na planie. Dwie godziny później, kiedy zgłodniał, dałam mu

kanapkę, w zamian za igłę.

Przez bite trzy dni nie wychodziłam z domu, żeby wynagrodzić mu swoją długą nieobecność. Nocą zanosłam telewizor do swojego pokoju, żeby potajemnie oglądać nagrania z Damonem oglądającym *Modę na sukces* podczas mojej nieobecności. Uzyskałam rezultaty, na jakie liczyłam. Nie wiedząc, że jest filmowany, powstrzymywał się mniej niż podczas mojej obecności, wreszcie byłam w stanie znaleźć regulę w jego płaczu. Miało to coś wspólnego z tym bohaterem bez nóg, Sternem. Kiedy na scenie pojawiał się Stern, Damon płakał trochę mocniej. Działo się to również wtedy, kiedy Stern akurat znikał ze sceny. Nabrałam wrażenia, że smutek Damona w związku z *Modą na sukces* ma coś wspólnego z jego przeszłością, z tą straszną rzeczą, którą rzekomo kiedyś zrobił.

Chcąc go zbić z tropu i być świadkiem autentycznej reakcji, zaatakowałam go wariackim przypuszczeniem, ogłoszonym bez uprzedzenia:

- To ty odrąbałeś Sternowi nogi, prawda?

Zesztywniał. Do końca dnia nie chciał się do mnie odezwać.

Przeprowadziłam więc niewielkie śledztwo. Zadzwoiłam do znajomego, Jeremyego Acidophilusa, który był podrzędnym pracownikiem „Screen”, czasopisma poświęconego filmom i gwiazdom ekranu. Właśnie odzyskał tę posesję, utraciwszy ją kilka miesięcy wcześniej, kiedy poprosił o podwyżkę.

Udało mu się znaleźć dla mnie nazwę agencji, która reprezentowała Sterna, względnie Philipa Jessena, bo tak brzmiało jego prawdziwe nazwisko.

Zadzwoiłam tam i zostawiłam wiadomość, że muszę bezzwłocznie porozmawiać z Philipem Jessenem na temat znajomej mu osoby, której nazwisko brzmi być może Damon Wedy.

Przez cały tamten dzień i wieczór trzymałam przy sobie telefon. Philip Jessen zadzwonił następnego dnia, kiedy akurat gawędziłam z Damonem. Nie zadając mi pytań o powody, dla których zadzwoniłam, poprosił, bym go odwiedziła. Obiecałam, że przylecę najbliższym samolotem.

Kiedy powiedziałam Damonowi, że znowu wyjeżdżam, wściekł się i

spytał, na jak długo. Obiecałam, że wrócę szybko.

Do Los Angeles przyleciałam jeszcze tamtego wieczoru i poszłam prosto do domu Philipa w Beverly Hills.

Drzwi otworzyła mi gospodyni, która poprowadziła mnie do gabinetu, gdzie na wózku inwalidzkim czekał na mnie Philip. Usiadłam, dostałam herbatę i przeszłam od razu do rzeczy.

- Kim jest Damon?

- To mój brat.

Przetrawiłam to i spytałam:

- Dlaczego płacze, kiedy ogląda cię w telewizji?

- Naprawdę?

- Tak. On płacze.

- To długa historia. A ty kim jesteś? - spytał, po czym prędko dodał: - To znaczy ja wiem, kim jesteś, z twoich filmów, ale na scenie pojawiłaś się dopiero niedawno.

Kim jesteś dla mojego brata? Skąd go znasz?

- Damon mnie porwał.

- Dlaczego?

- Żeby mi podziękować za to, że uratowałam mu życie w metrze. - Wyjaśniłam, że Damon postanowił mnie uszczęśliwić, sprawiając, by moje marzenie o zostaniu aktorką się ziściło. Po czym nagle spytałam: - Czy to on odrębał ci nogi?

- Nie, a czemu pytasz?

- Często dawał do zrozumienia, że zrobił w przeszłości coś strasznego. Więc przyszło mi na myśl, że to może mieć coś wspólnego z tobą.

- Nie, on mi nie odrębał nóg, choć prawdopodobnie uważa, że to zrobił.

Zacząłam błagać, żeby mi powiedział, o co w tym wszystkim chodzi. Twierdziłam, że to mi pozwoli lepiej sobie radzić z moim porwaniem. Przez chwilę siedział z zamyśloną miną, po czym się zgodził.

- Czy wiesz, gdzie on jest teraz? - spytał najpierw.
- Myślę, że w Nowym Jorku.
- Jesteś z nim w kontakcie?
- Tak jakby.
- Co to za kontakt? Listy, telefony, spotkania?
- Raczej spotkania. Podjeżdża do mnie na ulicy i pyta, czy jestem szczęśliwa.

- Och, jakież to nieprzyjemne. Nie miałem pojęcia, że jest taki nieźrównoważony. Następnym razem, kiedy to zrobi, przekaz mu, proszę, że brat chce nawiązać z nim kontakt. Być może dzięki temu odzyskałby zdrowie psychiczne. Czy próbowałaś doprowadzić do jego aresztowania?

- Tak. Ale go nie znaleźli.

Philip opowiedział mi wtedy historię związaną z Damonem, która okazała się dziwniejsza niż większość fabuł dowolnej opery mydlanej, z *Modą na sukces* włącznie.

Wyznał, że zanim został aktorem i zanim stracił nogi, był chirurgiem plastycznym. Jego opowieść obracała się wokół trzeciego mężczyzny, jego dawnego przyjaciela, który był także chirurgiem plastycznym i miał na imię Ben. Ben był z jednej strony wybitnie utalentowany i ambitny, a z drugiej nadzwyczaj nieetyczny i rozchwiany umysłowo. Najpierw przeprowadził operację plastyczną na młodej dziewczynie, nie mając zgody jej rodziców, później zaś porwał dwoje dzieci i też je zoperował, nie mając zgody ani ich rodziców, ani ich samych. Kiedy był już poszukiwany przez policję jako przestępca, Philip dowiedział się przypadkiem, że tym poszukiwanym jest właśnie Ben. Ben ubłagał wtedy Philipa, żeby na niego nie donosił, i Philip się zgodził, ale brat Philipa, Damon, który nienawidził Bena, wysłał do policji anonim ujawniający podejrzanego i Ben został aresztowany, a następnie uwolniony za kaucją, ale czekał go proces.

W tym momencie swej opowieści Philip urwał i powiedział cicho: - I

wtedy właśnie Ben przyszedł...

Milczał przez dłuższą chwilę, a ja spytałam: - Dokąd przyszedł?

- Tu właśnie tak naprawdę zaczyna się ta historia.

Albo kończy. Może zechcesz przestać pić herbatę, kiedy będę to opowiadał. To dla mnie bardzo trudne.

Odstawiłam filiżankę.

- Ben przyszedł do mojego domu pewnego wieczoru, kiedy jadłem kolację z moją córką i Damonem, który przypadkiem wstąpił do nas nieco wcześniej. Ben miał broń. Skuł nas kajdankami, zakneblował i zawiózł do swojego domu. Zabrał nas do piwnicy podzielonej na dwa pomieszczenia. W pierwszym zostawił Damona, związawszy go najpierw; córkę i mnie zaprowadził do tego drugiego. Były tam dwa ciężkie krzesła przyśrubowane do podłoga, naprzeciwko siebie, w odległości dziesięciu stóp. Usadził na nich córkę i mnie i związał nas.

Do poręczy mojego krzesła był przyspawany pistolet, wycelowany w córkę siedzącą na drugim krześle. Ben przywiązał moją dłoń do rękojeści pistoletu. Odkneblował córkę, ale nie mnie. Krzyczała i płakała.

Wtedy zaczął do mnie przemawiać, wygadując absurdalności typu: „Ty po prostu musiałeś na mnie donieść, prawda? Uczynić kogoś pięknym, o tak, nie ma straszniejszej zbrodni. Trzeba było zostawić te dziewczyny w spokoju, skazać na szczęśliwe życie w roli brzydkich kaczątek.

- Twoja córka nie zasługuje na miano brzydkiej, biedaczka. Nie wie, co traci, prawda? Nie bój się, nie ofiaruję twojej córce życia w brzydocie, w każdym razie nie na długo. Nie twierdzą przez to, że jej nie oszpecę. O nie, niczego takiego nie mówię. W rzeczy samej oszpecę twoją córkę w taki sposób, że mimo wielu operacji plastycznych nie będzie w stanie odzyskać swojego obecnego wyglądu. Ale to nieistotne, bo najpierw ją oszpecę, a zaraz potem zacznę ją poddawać nadzwyczaj bolesnym torturom, torturom, które, powiedzmy po półgodzinie, okażą się śmiertelne. A teraz powiem ci, jaki masz

wybór. Będę tak wspaniałomyślny, że dam ci możliwość zakończenia tortur w dowolnym momencie: będziesz mógł ją zabić tym pistoletem. Jest to o tyle zrozumiałe, że ona i tak ostatecznie umrze. Niemniej, powiedziałbym, że to nie najgorsze wyjście.

Philip urwał w tym momencie. A ja odniosłam wrażenie, że oddycham wyjątkowo głośno. Więc przestałam oddychać.

- I zrobił, jak powiedział - podjął swoją opowieść Philip, wpatrzony w jakiś punkt za moimi plecami, lekko mrużąc przy tym oczy. - Najpierw ją oszpecił, odcinając kawałki jej twarzy. Krzyczała. Podpalał ją w różnych miejscach, nakłuwał, obciął kilka palców, potem jedno ucho, na końcu język i wargi. Nie zastrzeliłem jej.

Nadal ją torturował, doprowadzając coraz bliżej śmierci, aż wreszcie przestała płakać i słyszałem już tylko jej bolesny oddech, jej rżenie. W końcu przestała oddychać.

Ben sprawdził jej puls i oznajmił: „Okay, dokonano się.

Nie będę ci wymawiał, że nie oszczędziłeś jej tej powolnej śmierci. Każdy dokonuje własnych wyborów. Żałuję tylko, że tego nie przewidziałem, bo mogłem oszczędzić Philip milczał chwilę, wpatrując się we mnie z napięciem, zanim zaczął mówić dalej: - Potem Ben zawlókł mnie do pomieszczenia, w którym był Damon, i wyjął mi knebel z ust. Byłem w stanie szoku i niezdolny nic mówić. „Pewnie ci się wydaje, że żartuję”, powiedział Ben, „ja jednak nie sądzę, że to, co tu zaszło, to dostateczna kara. Tobie dla odmiany obetnę nogi. Być może swoją trywialnością spowoduje to nagły i niepożądany spadek napięcia, ale nic mnie to nie obchodzi; moim zdaniem to świetny pomysł, zwłaszcza na dłuższą metę, kiedy ból spowodowany śmiercią córki osłabnie nieco i zaczniesz życie na nowo. Brak nóg będzie stanowił znakomitą żywą pamiątkę, że nie jest tak łatwo zaczynać od zera”. Damon miotał się, usiłował coś wykrzyczeć zakneblowanymi ustami. Chciał powiedzieć Philipowi, że to on posłał list, nie ja. Ale nie miał szansy. A ja z pewnością nie

miałem zamiaru wyjaśniać tego nieporozumienia. Nie zamierzałem tracić również brata. Damon nie przestawał się szarpać; Philip spojrzął na niego, powiedział: „Nie musisz na to patrzeć” i uderzył go w głowę pistoletem, pozbawiając przytomności. To uderzenie sprawiło, że Damon zapadł w śpiączkę, z której wybudził się dopiero po miesiącu.

Następnie Ben podał mi narkozę i potem obudziłem się we własnym domu, na wózku inwalidzkim, obok telefonu, bez nóg. Damon siedział bezwładnie obok mnie, na fotelu, zupełnie nieprzytomny. Do jego ubrania przyczepiony był list: „Nie wiem, dlaczego jeszcze się nie ocknął, co za mięczak”.

Siedziałem jak w transie, przypominając sobie, co się stało z moją córką, niezdolny się ruszyć. Wreszcie zadzwoniłem po karetkę, żeby zabrali Damona. Pospiesznie zawieziono nas obu do szpitala. Usłyszałem, że nic mi nie będzie, że amputację przeprowadzono bardzo fachowo. Damona zatrzymano w szpitalu i sztucznie podtrzymywano przy życiu.

Policja próbowała odszukać Bena, ale gdzieś zniknął i do dziś nie został odnaleziony. Kiedy Damon ocknął się ze śpiączki miesiąc później, naturalnie sam próbował znaleźć Bena. Oświadczył, że odtąd celem jego życia będzie odnalezienie Bena i zabicie go. Powiedziałem mu, że nie chcę tego. Uciekając się do licznych perswazji, wymogłem na nim przyrzeczenie, że nie będzie szukał Bena, że nigdy się do niego nie zbliży. Nie chciałem się bać o bezpieczeństwo Damona. Powiedział wtedy, że poświęci swoje życie na pomaganiu mi. Tę ofertę też odrzuciłem, twierdząc, że wolałbym, abyśmy przestali się widywać, bo jego widok będzie mi zawsze przypominał o tragedii. Przyrzekłem mu, że nawiążę z nim kontakt, kiedy wspomnienie tego, co zaszło, stanie się mniej żywe i bolesne. Odszedł bardzo zasmucony. Minęło osiem lat.

To był ostatni raz, kiedy z sobą rozmawialiśmy.

- I nigdy nie natrafiłeś na żaden ślad Bena?

- Nie. Całymi latami bałem się, że Ben się dowie, że to Damon na niego

doniósł, i znowu będzie szukał zemsty. Policja i personel szpitalny zgodzili się wtedy nie ujawniać prasie, że to Damon napisał tamten list. Niemniej trzy lata temu pewien dziennikarz napisał spory artykuł na mój temat do czasopisma „Opera Mydlana”. Był zafascynowany moją historią i głęboko grzebał w całej sprawie. Rozmawiał z lekarzami, pielęgniarkami i policją. Jakimś sposobem wywiedział się, że to Damon napisał anonim, i wspomniał o tym w artykule. Martwiłem się, że Ben to przeczyta i zacznie ścigać Damona.

Napisałem nawet list do Damona z ostrzeżeniem. Przysłał mi w odpowiedzi pocztówkę; twierdził, że miewa się dobrze, i odtąd przysyłał mi pocztówkę raz na miesiąc.

Skończyliśmy rozmawiać nad ranem. Miałam spać w pokoju gościnnym, ale ostatecznie nie byłam w stanie zasnąć i żałowałam, że natychmiast nie mogę wsiąść do samolotu lecącego do Nowego Jorku. Miałam odlecieć późnym rankiem, zaraz po śniadaniu.

Mój wyjazd jednak opóźnił się, bo kiedy jedliśmy śniadanie, Philip powiedział: - Jest jeszcze pewna sprawa, ale nie mam odwagi jej poruszyć.

- Tak?

- Naprawdę się waham, bo możesz mnie uznać za straszego dziwaka.

- O co chodzi?

- Cóż, to przysługa, o którą mam ochotę cię poprosić, ale jak. już to zrobię, musisz absolutnie odmówić, jeśli wzbudzi to w tobie niesmak.

Zaczęłam się robić spięta.

- Okay, mów. Co to takiego?

- Nie wiem, czy powinienem cię prosić. To żenujące.

Ja też nie byłam pewna, czy powinienem prosić, obojętnie, co to było.

- To ma coś wspólnego z Damonem albo z tym wszystkim, o czym rozmawialiśmy?

- Nie.

Coraz bardziej się denerwowałam. Podniosłam filiżankę i mruknęłam do

niej:

- Cóż, to zależy od ciebie, jeśli chcesz o to poprosić.

- Okay, poproszę, ale tylko jeśli obiecasz, że to nie Poczulam krople potu na czole.

- Och, strasznie przepraszam, masz taką nietęgą minę - zauważył. - Zapomnij, że coś powiedziałem. To nic ważnego.

- Okay.

- Ale żebyś nie wyobrażała sobie jakichś straszliwych zboczonych pomysłów, wyznam ci, że chciałem cię tylko poprosić, żebyś zrzuciła mnie z trampoliny. I to wszystko. Wśród wszystkich kobiet, jakie poznaję, jest bardzo niewiele takich, które mam ochotę o to prosić.

Zresztą nieważne. Pytałaś już o loty powrotne do Nowego Jorku?

Poczulam, że powinnam zdobyć się na taką uprzejmość.

- Nie miałabym nic przeciwko zrzuceniu cię z trampoliny - powiedziałam, potulnie i z wahaniem.

- Naprawdę?

- Tak. Tylko po co? Co to oznacza?

- Nie wiem. I wolę nie zastanawiać się nad tym zbyt głęboko. Od tego wpadam w depresję.

Wziął telefon i usłyszałam, jak mówi: - Poznałem kobietę i chcę, żeby mnie zrzuciła. Obiecała, że to zrobi. Masz coś przeciwko, jeśli przyjedziemy?

Pojechaliśmy taksówką do domu jego znajomego, który miał basen. Tym przyjacielem okazał się bardzo przystojny aktor, Ron Moss, który grał Ridge'a w *Modzie na sukces*.

Branie mężczyzny na ręce okazało się doświadczeniem nadzwyczaj osobliwym. Philip oczywiście był lżejszy niż cały mężczyzna. Niosłam go na rękach i wspięliśmy się na trampolinę. Czułam się podwójnie nerwowa, - Wolisz, jak cię zrzucają głową w dół... - spytałam Philipa. Chciałam dodać: „czy raczej nogami”, ale w porę się pohamowałam. Przecież nie mogłam powiedzieć

„kikutami”. I nie mogłam też powiedzieć „genitaliami”, mimo że to właśnie na nich się kończył. Nie mogłam się też zmusić do użycia słowa „tyłek”. Więc pozostawiłam swoje pytanie otwarte i okazało się, że tak jest dobrze.

Odparł, że mam wybrać sama, którym końcem go zrzucę, że ten element dodatkowo przysparza mu zadowolenia.

Zdecydowałam więc, że zrzucę go tyłkiem w dół, bo uznałam, że to zminimalizuje szkody na wypadek złego rzutu.

Wpadł do wody, wyraźnie rozkoszując się tą chwilą; rozpostarł ramiona, jakby wykonywał odwrotny klasyczny skok do wody.

Potem dopłynął do skraju basenu. Ridge wyciągnął go z wody i usadził na wózku.

Poleciałam do domu. Po drodze podjęłam decyzję.

CZTERNASTY

Uwolnię Damona, oto, co postanowiłam. Mało tego, wejść do jego klatki, aby dowieść samej sobie, że wreszcie go zrozumiałam i że on nic mi nie zrobi, nie zabije mnie ani nie zamknie w tej klatce. I tym sposobem jednocześnie pokażę mu, że mu ufam. Chciałam, abyśmy stali się przyjaciółmi, jeśli to możliwe. Chciałam, abyśmy stali się parą normalnych ludzi, którzy stają naprzeciwko siebie z wolnej woli. Jakie to będzie ciekawe przeżycie: rozmowa z Damonem, kiedy żadne z nas nie jest więźniem.

Po przyjeździe do domu zajrzałam tam najpierw przez weneckie lustro. Damon uprawiał jogging w klatce, przebierając nogami w miejscu. Wdziałam strój do szermierki. Przed wejściem do środka raz jeszcze zerknęłam do lustra. Tym razem robił pompki.

Gdy tylko weszłam do pokoju, wstał, ciężko dysząc, i otrzepał ręce z kurzu. Rozejrzał się po klatce, chwycił kilka puszek tuńczyka i zaczął nimi we mnie rzucać.

Odbijały się od mojej maski. Rzucał każdym przedmiotem, jaki miał na podorędziu, łącznie z otwieraczem do puszek. A potem zmordowany padł na

łóżko i spytał: - Jak się udała podróż?

- Była bardzo kształcąca.

- Kształcąca?

- Tak.

- A w jakimż to aspekcie życia cię wykształciła? - spytał, a jego dłoń natrafiła na coś twardego w pościeli.

Odslonił to: jeszcze jedna nieotwarta puszka tuńczyka.

Rzucił nią we mnie.

- Aspekt, którego nie potrafiłam zrozumieć - odparłam.

- To się rozumie samo przez się. A cóż to za aspekt?

- Jestem w takim nastroju, że nie mogłabym teraz o tym rozmawiać.

- Ach tak? A w jakim to jesteś nastroju?

- Wydaje mi się, że... to chyba jest szaleństwo.

Podeszłam do drzwi klatki i otworzyłam ją. Weszłam do środka, przytrzymując się krat, żeby nie przewrócić się ze strachu.

Wpatrywaliśmy się w siebie, ledwie oddychając. Wyglądał na zmrożonego, a ja zastanawiałam się, czy przyS padkiem się mnie nie boi. I aż się zaśmiałam, kiedy mi to przyszło do głowy. Tylko jedno parsknięcie: jedno głośne, niezdarne, nerwowe „Ha!” Ten odgłos był taki śmieszny i głupi, że wymknęły mi się jeszcze dwa, równie śmieszne i głupie. Wstrzymałam oddech, żeby zablokować następne.

Damon wstał i podszedł do mnie. Wyciągnął ręce w stronę mojej twarzy i ściągnął z niej maskę.

Długą chwilę wpatrywał się w moje oczy, a potem mnie pocałował.

Miałam gdzieś, że to takie nienormalne, chore i żenujące - nie wspominając już o tym, że również banalne i mało oryginalne, nie wspominając już o tym, że niebezpieczne - kiedy całuje cię twój porwacz. Dwa tylko fakty sprawiały, że było to odrobinę mniej wstrętne: to był mój eksporywacz, który z kolei został porwany przeze mnie.

Całowaliśmy się namiętnie i zdumiewająco miłośnie jak na dwoje takich, co to wzajemnie siebie porwali.

Udawało mi się zapominać, raz na kilka chwil, o ryzyku, że mógłby nagle się odwrócić i zamknąć mnie w klatce.

Udawało mi się zapomnieć i zaraz potem znowu sobie przypomiinałam i znowu zapominałam, kiedy jego entuzjazm niczym fala odciągał mnie od tej myśli.

Powoli, stopniowo, zaczęliśmy się kochać. Ledwie jednak zaczęliśmy, zeskoczyłam z łóżka, chwyciłam swoje ubranie i uciekłam z klatki. Damon chwycił swoje rzeczy i wybiegł za mną z fenomenalną prędkością. Pędem pokonałam schody i wypadłam na ulicę. On cały czas mnie ścigał. Kiedy znaleźliśmy się na ulicy, przestaliśmy biec, ubraliśmy się, a ja spytałam: - Dlaczego za mną biegniesz?

- Nie biegnę za tobą. Uciekłem z klatki, z tamtego pokoju i z twojego mieszkania, żebyś nie zdążyła znowu mnie zamknąć. A ty dlaczego biegłaś?

- Z tego samego powodu.

- Gadasz od rzeczy. Nie mógłbym trzymać cię w zamknięciu i jednocześnie do woli wchodzić do twojego domu i z niego wychodzić. Gdyby ludzie stwierdzili, że zaginęłaś, zaczęliby od sprawdzenia twojego mieszkania.

- To prawda - przyznałam i poczułam pokusę, by zaproponować, abyśmy wrócili na górę i kontynuowali od miejsca, w którym przerwaliśmy. Zaraz jednak odzyskałam rozsądek. - Nie, właściwie to się mylisz. Mógłbyś znaleźć sposób na to, żeby mnie wykraść z budynku i zabrać do klatki w jakimś domu na wsi.

- Ha, o tym nie pomyślałam.

- Innymi słowy, żałujesz, że tego nie wymyśliłeś, bo uważasz, że to dobry pomysł?

- Nie, po prostu chciałem powiedzieć: ha, nie wymyśliłem takiego uzasadnionego powodu, dla którego mogłaś się mnie bać we własnym

mieszkanii, tak samo jak ja bałem się ciebie.

Przytaknęłam. Znowu zaczęliśmy się całować. Między jednym a drugim pocałunkiem wymamrotałam: - Co teraz zrobimy?

- Wybór jest ograniczony. Moglibyśmy poczekać, aż przestaniesz się bać.

- Nie! To by trwało zbyt długo. To mogłoby potrwać wiele dni, miesięcy, a nawet lat, albo wręcz nigdy się nie zdarzyć.

- Wiem. Nawet godziny trwałyby długo - zgodził się.

Było zbyt zimno, by przebywać na dworze, zwłaszcza w przypadku Damona w jego przezroczystym ubraniu.

Dlatego więc postanowiliśmy pójść do kina. Usiedliśmy w ostatnim rzędzie i dalej się całowaliśmy, w ogóle nie patrząc na ekran. Miałam wrażenie, że przydałby mi się jakiś pas bezpieczeństwa.

W trakcie tego całowania się trochę też rozmawialiśmy.

- Dlaczego wszedłeś do mojej klatki? - spytał Damon.

- Pod wpływem impulsu.

- A co go wywołało?

- Chyba cały czas go w sobie miałam.

- Co ci kazało poddać mu się?

- Powiem ci któregoś dnia.

Znowu mnie pocałował i przy okazji wsunął dłoń pod elastyczny pasek przy mojej spódnicy. To było nie do zniesienia. Nasze napięcie frustracji stało się po prostu okrutne. W połowie filmu poszliśmy do pobliskiego baru i zamknęliśmy się w damskiej toalecie. Nie dopuściliśmy, by sztuka filmowa miała na nas wpływ: nie kochaliśmy się na stojąco. Zrobiliśmy to na podłodze, co było tym bardziej podniecające. Posadzka publicznej toalety, dostatecznie duża, by pomieścić nasze ciała ułożone horyzontalnie. Nawet nie taka brudna. Brudu było na niej w sam raz, by naszemu seksowi nadać charakteru.

Tamtego dnia spędziliśmy z sobą kilka godzin, podczas których przeważnie jeździliśmy po mieście autobusem, bo w autobusie było ciepło,

bezpiecznie publicznie, tanio i dodatkowo dostawaliśmy w ofercie rozmaite scenerie. W tymże autobusie Damon wyznał mi, że kochał się we mnie od samego początku, ale nie chciał mi powiedzieć ze strachu, że to by zniszczyło skuteczność jego szkolenia. Spochmumiałam, kiedy przypomniał mi moje dni jako porwanej.

- Przepraszam, że cię porwałem, aby cię uszczęśliwić - powiedział. -
Wiem, że twoim zdaniem nie było warto.

- Nawet jeśli było warto, nie miałeś prawa tego robić - odparłam.

Rozmawialiśmy żarliwym szeptem, żeby nas nie podsłuchali inni pasażerowie.

- Wiem - przyznał. - Ale chciałem cię uszczęśliwić w sposób całkiem pozbawiony egoizmu. Rozpoczynanie z tobą romansu nie byłoby pozbawione egoizmu. Mogłoby cię uszczęśliwić, ale ja wtedy też zostałbym uszczęśliwiony.

- A co z twoim pobytem w klatce? Co wtedy do mnie czułeś?

- Kochałem cię cały czas. Kochałem cię w klatce. Kiedy rzucałem w ciebie puszkami... - Zniżył głos, bo jakaś staruszka, która potencjalnie mogła nas podsłuchiwać, przyglądała nam się, albo wstrząśnięta, albo zgorzona. -
Kochałem cię.

- Więc dlaczego rzucałeś nimi we mnie? - spytałam.

- Żeby ci wmówić, że koniecznie chcę zostać wypuszczony. I również dlatego, że coś we mnie naprawdę pragnęło, żebyś mnie wypuściła.

- Więc dlaczego po prostu mi nie powiedziałaś, co do mnie czujesz?

- Nie chciałem ci się narzucać. Nie chciałem ci oferować niczego, czego nie chcesz. A na dodatek trudno wymyślać jakieś zręczne posunięcia za kratami.

- Urwał. - Przypomnij sobie: mój plan przewidywał ofiarowanie ci tego wszystkiego, czego sama pragnęłaś, a nie tego, co mi się wydawało albo na co miałem nadzieję.

Kiedy tamtej pierwszej nocy się rozstawaliśmy, Damon powiedział, że będzie spał w hotelu, myśląc o mnie, i że zadzwoni do mnie rano. Nadal baliśmy

się siebie wzajem.

Nie powiedziałam mu ani o mojej wizycie u jego brata Philipa, ani o tym, że Philip bardzo chce się z nim znowu spotkać. Uznałam, że to mogłoby wywołać w nim zamęt albo poruszenie, a nie chciałam, żeby to się stało, dopóki się nie dowiem, jak się rozwinie ten osobliwy, nowy skręt w naszym związku.

Czułam się samotna tamtej nocy, bo nie miałam już mojego zwierzątka domowego w klatce. Widok pustej klatki był niepokojący, niczym widok akwarium, którego mieszkaniec zdechł i został wyrzucony do klozetu.

Weszłam do klatki i zaczęłam dotykać rzeczy, których on dotykał. Dotknęłam skraju jego wanny. Użyłam jego klozetu, żeby się przekonać, jak mu służył całymi tygodniami. Wzięłam kąpiel w jego wannie. Włączyłam telewizor i oglądałam telewizję, siedząc na podłodze, tak jak on to robił. Puściłam sobie jego ukochaną wiolonczelę i słuchałam kompozycji mojego byłego, zastanawiając się, czy słuchanie ich zza krat sprawi, że wzruszą mnie w taki sam sposób, w jaki wzruszały Damona. Nie bardzo, jak się okazało.

Tamtej nocy spałam w jego łóżku.

Damon rzeczywiście zadzwonił do mnie następnego dnia. Spędziliśmy ten dzień razem, znowu w bezpieczeństwie publicznej przestrzeni, upajając się szczęściem. Uprawialiśmy seks w trzech różnych publicznych miejscach: w przymierzalni działu męskiego pewnego domu towarowego, w kościele i późnym wieczorem między dwoma wagonami jadącego metra. Pokój hotelowy wiązałby się ze zbyt dużym ryzykiem jako za mało publiczny: Damon mógłby pozbawić mnie uderzeniem przytomności i wynieść stamtąd potajemnie na przykład w jakiejś wielkiej torbie. I oczywiście ja też mogłam zrobić mu coś takiego, patrząc z jego punktu widzenia.

Spotkaliśmy się także następnego dnia i przez jakiś czas widywaliśmy się niemal codziennie. Zawsze w miejscach publicznych. Konieczność sprawiła, że staliśmy się nadzwyczaj ekspansywni; miasto przeobraziło się w naszą sypialnię.

Kibicował mi na planie wysokobudżetowego filmu, którego ostatnie sceny były kręcone na mieście. Wpatrywaliśmy się w siebie między poszczególnymi ujęciami, on stał spory kawałek dalej, nie wchodząc w drogę.

Bardzo to było niepokojące, widzieć Damona - mojego nauczyciela - właśnie tam, jak przyglądał się temu, czego mnie nauczył, czy raczej temu, do czego zmusił mnie, bym się sama nauczyła.

Od tamtego pierwszego dnia już ani razu nie wspominaliśmy faktu, że każde z nas uwięziło to drugie.

Udawaliśmy, że nic się nie stało. Całkiem zrozumiałe, był to drażliwy temat.

Kiedy nasz styl życia zaczął się nam wydawać nie bardzo praktyczny, próbowaliśmy rozmawiać o wzajemnym braku zaufania. Staralam się przekonać Damona, że nie ma się czego bać z mojej strony.

- To ja otworzyłam drzwi twojej klatki. Dlaczego miałabym teraz chcieć ci coś zrobić albo znowu cię uwięzić?

- Ja mógłbym powiedzieć ci to samo. Przyszedłem do ciebie, żeby się dowiedzieć, dlaczego jesteś nieszczęśliwa, wiedząc, że to prawdopodobnie pułapka. Dlaczego miałbym chcieć ci coś zrobić albo znowu cię uwięzić?

- Bo to była pułapka i mógłbyś chcieć się zemścić.

- To dlaczego cię pocałowałem, kiedy weszłaś do klatki? Dlaczego zwyczajnie cię nie wciągnąłem i nie zamknąłem drzwi na zamek?

Czasami w tych naszych pokrętnych rozmowach dochodziliśmy do takiego etapu, kiedy cała sprawa robiła wrażenie głupiej i wydawało się oczywiste, że powinniśmy sobie wzajem ufać. Kierowaliśmy się wtedy ostrożnie w stronę mojego domu, z zamiarem osvajania prywatności, jednak w miarę jak byliśmy coraz bliżej, stawaliśmy się coraz bardziej milczący, zalęknieni, coraz bardziej zwalnialiśmy krok.

- Jakoś to nie jest okay - mówiłam w końcu.

- Ulżyło mi, że ty to powiedziałaś jako pierwsza.

- Jedyne spos6b, w jaki wyobrazam sobie, że mogłabym się czuć swobodnie sam na sam z tobą we własnym mieszkaniu, to taki, że siedzisz w klatce.

- I właśnie dlatego ja nie czuję się swobodnie, idąc do twojego mieszkania.

Nasze dyskusje na ten temat ciągnęły się w nieskończoność. Mimo to podejmowaliśmy je za każdym razem, gdy było nam niewygodnie w jakiejś publicznej toalecie albo gdy czuliśmy się z tego powodu zawstydzeni.

Wciąż nie potrafiłam mu ujawnić, że znam jego przeszłość i że poznałam jego brata. Czułam się winna, że mu nie powiedziałam, i często czułam pokusę, by się przyznać, a czasami stawałam wręcz na skraju tej pokusy, ale w końcu tego nie robiłam, zawsze znajdując taką czy inną wymówkę: bieżąca wymówka była taka, że zaczekam z tym do czasu, aż wymyślimy sposób na wspólne znoszenie prywatności. Nasz związek stałby się wtedy stabilniejszy i mógłby przetrwać wszelkie szkody, jakie mogłoby spowodować moje wyznanie. Dlatego zwlekałam.

Do postępu w kwestii prywatności doszło dopiero wtedy, kiedy się zaziębiłam od pokładania się razem z Damonem na zimnej, wiosennej trawie w Central Parku. Stwierdziłam, że najwyższy czas wszystko zmienić.

Kiedy Damon leczył mnie z zaziębienia w delikatesach, każąc mi pić ziołową herbatę i jeść rosół, powiedziałam: - Wolałabym, żebyś pielęgnował mnie w domu.

- Ja też bym wolał.

- Byłoby tak miło. Leżałabym we własnym łóżku i ty byś się mną opiekował. Moglibyśmy wypożyczać filmy. Mógłbyś mnie wykorzystywać, gdybym miała gorączkę.

- Może powinniśmy znowu spróbować, spróbować dojść do twojego domu i sprawdzić, czy tym razem jesteśmy w stanie wejść na górę.

- Nie, nie będziemy próbować, bo jeśli spróbujemy, to się nam nie uda. Po

prostu zrobimy to tym razem.

Ale po pewnych przygotowaniach. Zdemoluję klatkę: każę ją usunąć. Wymontuję też zamek z drzwi mojej sypialni. A potem zmusimy się, żeby wejść na górę, i zostaniemy tam, choćby nie wiadomo jakie to było nieprzyjemne czy straszne być sam na sam. Zostaniemy tam, dopóki nie minie nam skrępowanie. W końcu będzie musiało. Nie uważasz?

- Wspaniały pomysł. To jedyne rozwiązanie.

Kilka dni później przyszli robotnicy, rozmontowali klatkę i wynieśli ją. Przyszedł też ślusarz i zdjął zamek.

Szliśmy w stronę mojego domu w grobowym milczeniu, z bijącymi sercami. Dotarliśmy do drzwi budynku, weszliśmy do środka, wspięliśmy się na górę, w żadnym miejscu się nie zatrzymując. Otworzyłam zamek.

Na widok kluczy oboje zadrżeliśmy ze strachu. Damon wręcz odwracał wzrok, dopóki drzwi nie zostały otwarte, a klucze schowane.

Zabrałam go na nerwowy obchód po moim wyremontowanym mieszkaniu. Wyraził aprobatę. Usiedliśmy na kanapie i uprzejmie gawędziliśmy przy herbacie.

Po czterdziestu pięciu minutach czegoś takiego dałam się ponieść podnieceniu, bo mój plan się powiódł: egzystowaliśmy razem w jednym pokoju, nie oddzieleni kratami, nie chronieni przed sobą obecnością innych ludzi, nie zagrażając sobie w żaden sposób. Rzuciłam mu się na szyję, pocałowałam go i powiedziałam: - Kocham cię.

Damon uśmiechnął się, roześmiał i zapewnił, że on też mnie kocha, po czym pchnął mnie na kanapę, tak samo namiętny jak w toaletach i kinach, tyle że tym razem bardziej niepohamowany.

Zostaliśmy w moim mieszkaniu na cały tydzień. Robiliśmy niewiele, ale za to bez końca: prowadziliśmy zmysłowe i erotyczne eksperymenty, wypożyczaliśmy filmy, jedliśmy najrozmaitsze rzeczy. Na zewnątrz wychodziliśmy tylko po to, by dokupić coś do jedzenia.

Wkładałam wtedy swoje zimowe buty i płaszcz, nie trudząc się ubieraniem czegoś pod spód, on natomiast jak zawsze paradował w przezroczystościach.

Mijały dni, a ja wciąż nie mówiłam o jego bracie, bo czułam, że musi upłynąć jeszcze trochę czasu, zanim będę mogła to zrobić.

Tak więc znowu mijały dni. Zaczęliśmy trochę wychodzić na zewnątrz. Kilka razy uprawialiśmy seks między wagonami jadącego metra, przez sentyment dla dawnych czasów, mimo niebezpieczeństwa, bo to nie było bezpieczne: Damon trzymał mnie mocno, a ja dowcipnie przypominałam mu, że nie powinien mnie puszczać. Raz jednak, który ze zrozumiałych względów okazał się ostatnim razem, puścił mnie. W ostatniej chwili przytrzymałam się czegoś i jednocześnie naszła mnie wizja, co by się stało z moim ciałem, gdybym tego nie zrobiła. Powiedział, że przeprasza, że puścił mnie niechcący, bo tak nami trzęsło. Wyraźnie się zdenerwował, że omal nie zostałam zmiażdżona: nie potrafił przestać mnie tulić i ukrywać twarzy w mojej szyi, nawet wtedy, gdy już opuszczaliśmy scenę mojej niedoszłej śmierci.

Dużo pracowałam, ale udawało mi się także poświęcać sporo czasu Damonowi. Schodziłam z planu natychmiast po nagraniu; nie zostawałam, by nawiązywać stosunki towarzyskie z innymi aktorami. Ani razu nie poszłam z nimi na kolację.

Spędzałam czas na uczeniu się swoich kwestii, gdy tymczasem Damon prowadził swoje badania naukowe. Pytał czasami, czy potrzebuję pomocy, ale zawsze bardzo dyplomatycznie, bo wiedział, że to drażliwy temat. Starał się być nadzwyczaj delikatny i szanować odpowiedzi, jakich mu udzielałam, a które brzmiały: „Nie, dzięki”.

Któregoś razu, pragnąc uczynić nasz związek jak najS bardziej normalnym i żeby sobie nie myślał, że czuję do niego urazę, spytałam, czy zechce mi pomóc z moimi kwestiami. Okay, powiedział, wyraźnie starając się zachować spokój, ale kiedy usiadł obok mnie, było oczywiste, że jednak trochę

się denerwuje. Recytowałam swoje kwestie, gdy tymczasem on zaglądał do scenariusza, a ponieważ wyrecytowałam je, jak należy, nie miał nic do poprawiania. Tylko uśmiechnął się do mnie normalnie, kiedy skończyłam. Nie mogłam się powstrzymać, by nie popchnąć nieco sprawy, a zresztą byłam ciekawa.

- Masz jakieś sugestie? Jakież uwagi co do mojej dykcji? - spytałam.

Chrząknął. Pewnie wiedział, że celowo go torturuję.

- Moim zdaniem wyszło ci znakomicie. - Mówił to łagodnym głosem. - Bardzo subtelnie, z interesującymi niuansami.

Czekałam, czy ma coś jeszcze do powiedzenia. Wyczuł to i dodał: - Jestem tylko naukowcem. Ty w swoim aktorstwie osiągnęłaś poziom daleko wykraczający poza domenę, w ramach której mógłbym ci ofiarować jakiegokolwiek użyteczne porady.

Chyba przestraszył się, że powiedział za dużo, zbyt przemądrzale, bo pokornie wpatrywał się w podłogę, jakby chciał się pod nią zapaść.

Przyglądałam mu się z rozbawieniem. Nie chcąc jednak nadmiernie go dręczyć, powiedziałam lekkim tonem: - No to dziękuję ci za pomoc - i zmieniłam temat.

Wyraźnie mu ulżyło.

Któregoś dnia zaczęłam odczuwać nowy impuls - wszechogarniający, irracjonalny - przypominający ochotę na wejście do klatki, w której siedzi twój porywacz, albo na bycie zrzuconym z trampoliny: zapragnęłam przedstawić Damona moim rodzicom. Powiedziałam im, że umawiam się z kimś, a oni wyrazili wielką chęć poznania tej osoby, i zapytali, czy też jest aktorem. Wyjaśniłam im, że to naukowiec. Kiedy spytali o dziedzinę nauki, jaką uprawia, zmieniłam temat, bo nie udało mi się wymyślić dobrej odpowiedzi. Przedyskutowaliśmy z Damonem możliwości. Nie wahał się z podaniem dziedziny nauki, którą chciał im wmówić.

- Powiedz im, że jestem astrofizykiem eksperymentalnym, że konstruuje

eksperymentalne urządzenia, które latają w kosmosie. Teleskopy i spektrometry, które wysła się w kosmos za pomocą rakiet badawczych i satelitów, tego typu rzeczy. W razie zainteresowania będę mógł im wszystko opowiedzieć. Kto zresztą nie byłby zainteresowany? Moim zdaniem nieźle znam żargon, by to w razie czego pociągnąć.

Roześmiałam się ze zdumieniem.

- Dlaczego chcesz, żeby pomyśleli, że jesteś astrofizykiem eksperymentalnym?

- Bo to dobrze brzmi. W rzeczy samej nic nie brzmi lepiej. Kto nie chciałby, żeby go przedstawiono astrofizykowi eksperymentalnemu?

Ogólnie Damon uważał, że moja chęć, by przedstawić go rodzicom, jest wariacka i autodestrukcyjna, ale chciał mi zrobić przyjemność i dlatego zgodził się, wbrew wielkiemu niebezpieczeństwu, na jakie jego zdaniem się narażał.

Nie do końca się mylił: rodzice wciąż cierpieli na obsesję pojmania mojego porywacza. Stale dzwonili na policję, by spytać, czy jest jakiś postęp, czy coś się okazało. Zwłaszcza ojciec okazał się uparty i niezmordowany w swoich wysiłkach. Twierdził, że chce, by ten potwór wylądował za kratkami. Biorąc pod uwagę wszystkie te czynniki, nie mam pojęcia, dlaczego tak bardzo mnie korciło, żeby ich sobie przedstawić, a jednak zrobiłam to. Po prostu uważałam, że Damon jest cudowny, i chciałam, żeby oni też zobaczyli, jaki cudowny jest mój nowy chłopak. Kochałam go tak namiętnie, tak intensywnie, tak głęboko.

- Dlaczego mieliby zacząć coś podejrzewać? - Staralam się uspokoić Damona i siebie. - Musiałabym być wariatką, żeby się angażować w związek ze swoim porywaczem. Oni nie uważają mnie za wariatkę.

Była tylko jedna rzecz, nad którą oboje z Damonem musieliśmy popracować przed spotkaniem: jego ubranie. Rodzice wiedzieli, jak się ubierał porywacz, że cały czas nosił przezroczyste ubrania.

Omówiłam z Damonem możliwość noszenia przez niego

nieprzezroczystych ubrań. Powiedział, że nie jest pewien, czy mu się uda, bo to będzie tak jak oddychanie bardzo małą ilością powietrza. Mógł to robić, jedynie jeśli uda mu się zachować nadzwyczajny spokój, wszelkie, nawet lekkie zamieszanie sprawi, że zacznie się dusić.

Od lat nie nosił nieprzezroczystych ubrań, a mimo to był gotów spróbować teraz, dla mnie. Przecwiczył to przed kolacją i udało mu się znakomicie; uprawialiśmy nawet seks, gdy był po zęby ubrany w nieprzezroczyste rzeczy.

Niemniej, wychodząc z domu, pokłóciliśmy się co do miejsca, do którego miała być rozpięta jego koszula. Ja twierdziłam, że wysoko. On twierdził, że nisko - najlepiej do samego końca, bo to by mu pomogło oddychać.

Chciał włożyć szorty i te same sandały co zawsze. PowieR działałam mu, że to wykluczone i że powinien patrzeć na to z jasnej strony: przynajmniej nie będzie musiał wkładać krawata. Aż zbladł na sam dźwięk tego słowa.

Wreszcie uzgodniliśmy, że będzie to cienka, zielona koszula z krótkim rękawem, do tego para podartych dżinsów (dziury trochę go uspokajały), kalosze, które były lekko przezroczyste, i przede wszystkim jedna skórzana rękawiczka, która miała ukryć brak palca. Rodzice wiedzieli aż nazbyt dobrze, że odrąbałam Damonowi palec; nie tylko o tym wiedzieli, ale to wręcz wzbudzało ich zachwyty i stanowiło powód do częstych przechwałek przed znajomymi.

Spotkanie miało się odbyć w mieszkaniu rodziców.

Czekali na nas z kolacją.

Wciąż nie potrafiłam powiedzieć Damonowi, że spotkałam jego brata. Właśnie miał poznać moich rodziców, nie zdając sobie sprawy, że ja poznałam już członka jego rodziny. Czułam się wrednie, ale uważałam, że koniecznie trzeba to zachować w tajemnicy, na razie.

Chciałam, żeby podczas spotkania był tak spokojny i zrelaksowany jak to tylko możliwe. Kiedy już uda nam się pokonać ten próg, będę mogła się

otworzyć.

Tuż przed zadzwonieniem do drzwi rodziców wyrywaliśmy sobie guziki jego zielonej koszuli. W końcu wymógł na mnie przyzwolenie na rozpięcie więcej niż dwóch guzików od góry. Ja z kolei wymogłam na nim, by miał rozpięte mniej niż cztery guziki.

Rodzice byli niewinni i czyści w swych oczekiwaniach, niczego nie podejrzewali. Przygotowali się, ochoczy i pełni nadziei, że o moim chłopaku będą jak najwyższego zdania. I wszystko zaczęło się dobrze. Wydawali się zadowoleni. Ich uśmiechy, już szerokie, kiedy otworzyli drzwi, stały się jeszcze szersze, kiedy zobaczyli Damona.

W nieprzezroczystym ubraniu robił dobre wrażenie, mimo że pokazywał sporą część torsu; był atrakcyjny. Wzięli od niego płaszcz, którego oczywiście nie miał na sobie, tylko go niósł. Ojciec wyciągnął rękę w stronę dłoni Damona odzianej w rękawiczkę, tym samym przypominając mu, że ma ją zdjąć. Zauważyłam to w samą porę.

- Andy ma wrodzoną wadę - powiedziałam. Razem z Damonem ustaliliśmy, że przy rodzicach będzie miał na imię Andy, i nawet przećwiczyliśmy używanie tego imienia, żeby uniknąć wpadek. - Skóra na jego lewej dłoni jest słaba i nie może być wystawiana na światło dzienne ani ostre krawędzie. Musi być stale chroniona rękawiczką, bo jeśli ulegnie skaleczeniu, co zdarza się nader łatwo, nie goi się sama: musi leczyć ją lekarz.

Wyobrażałam sobie, że tych informacji jest aż nadto, by rodzice zostawili jego dłoń w spokoju. I jakżeby inaczej, uprzejmie ją ignorowali. Nie dłużej jednak niż przez pięć minut - przynajmniej mój ojciec.

- Wyobraź sobie, że jestem hemofilitykiem - powiedział do Damona.

Damon przytaknął i wydał z siebie ciche: - Och.

- Ty też?

- Niezupełnie.

Ublagałam ojca, żeby się zamknął, a matka mnie wsparła. Więc się

zamknął.

Piliśmy drinki. Ojciec zaktualizował moją wiedzę w sprawie braku postępów policji w pojmaniu mojego porywacza.

- Czy to nie straszne, co stało się z Anną? - zwrócił się do Damona. - Nie wiem, czy opowiadała ci z wszystkimi szczegółami; zakładam, że tak. Ktoś taki jak ten Damon, ktoś, kto robi takie rzeczy drugiemu człowiekowi, musi być obłąkanym potworem, nie uważasz, Andy? Przecież to, co jej zrobił, to szczyt ohydny, zgadzasz się ze mną?

- Anna nie opowiadała mi o tym wiele - odparł Damon - ale rzeczywiście mówiła, że to było straszne.

Mimo sukcesu, jaki osiągnęła w swoim zawodzie, uważa, że wcale nie było warto.

- A niby jak miałyby uważać, że było warto! Czyżbyś uważał, że było warto?

- Tylko Anna ma prawo o tym orzekać. A ona stwierdziła, że nie było warto. Gdyby Anna nie została porwana, to prawdopodobnie nie wzięłaby udziału w tym przyjęciu z aktorami, na którym ją poznałem. Jeśli więc ci się wydaje, że waham się z potępieniem jej porywacza, wiedz, że to bez wątpienia z tego właśnie powodu.

Matka zachichotała oczarowana. Ojciec wyraźnie nie był pewien, co powinien poczuć.

Damon zaś, kierując się błędnym przekonaniem, że powinien przekabacić ojca, dodał: - Porywacz popełnił błąd, porywając Annę. Źle ocenił sytuację i bez wątpienia żałuje tego teraz, zwłaszcza jeśli jakimś sposobem się dowiedział, że zdaniem Anny nie było warto. Biedak. Współczuję mu. - Pomilczał chwilę i dodał: - Podejrzewam, że był zakochany w Annie, i chciał, żeby jej marzenia się ziściły.

- No właśnie. Tu nie ma usprawiedliwienia - odparł ojciec.

Podczas kolacji matka spytała: - Andy, na czym dokładnie polega twoja

praca? Bo ja jestem zafascynowana.

- Buduję teleskopy i czujniki, dzięki którym można oglądać niebo w promieniach rentgenowskich. Te systemy optyczne są wysyłane do atmosfery, gdzie pozyskują dane. Obecnie biorę udział w pewnym europejskim projekcie budowy orbitującego obserwatorium rentgenowskiego o nazwie XMM. Otóż składa się ono z trzech współpracujących z sobą teleskopów, z których dwa zostaną wyposażone w lustrzane spektrometry. To właśnie nad tymi spektrometrami pracuję. Tak naprawdę jest to bardziej misja spektroskopowa niż obrazująca.

Misje obrazujące zawsze kończą się pozyskiwaniem ładnych obrazków i są dobre dla PR, ale spektroskopia specjalnie nie ekscytuje opinii publicznej. Niemniej jednak to właśnie dzięki spektroskopii dochodzi do większości przełomów w nauce. Na przykład czarne dziury zazwyczaj identyfikuje się spektroskopowe. Tak czy owak, jest to naprawdę wspaniały projekt. Zaangażowali się w niego naukowcy z wielu krajów. Zostanie ukończony za jakieś dwa lata. W niczym nie przypomina tych niewielkich, amatorskich eksperymentów, które prowadziłem w dziedzinie rakiet sondażowych - to było jak badania nad fajerwerkami. - Damon zdawał się świetnie bawić, kiedy tak opisywał swój fikcyjny zawód. - To bardzo seksowna dziedzina - dodał nawet.

- Zaiste, bardzo seksowna - rzucił ojciec.

- Równie seksowna jak szermierka. To ta sama odmiana seksowności - upierał się Damon.

Ojciec przytaknął, a matka wtrąciła się marzycielsko: - O tak...

W miarę jak Damon z ożywieniem opisywał swoje zajęcie, stawał się mniej ostrożny z ręką w rękawiczce; gestykułował nią, co było wielkim błędem. Pozwalając swej dłoni poruszać się tak naturalnie, w rzeczy samej pozwalał, by wyglądała bardzo nienaturalnie: nie zauważył, że rękawiczka w tym miejscu, gdzie ukrywa brak palca wskazującego, pozostaje cały czas sztywna i wycelowana. Damon i ja rozmawialiśmy o tym zjawisku zawczasu,

stwierdził, że będzie musiał uważać. Niestety, nie uważał dostatecznie. Ku mojemu zdenerwowaniu zauważyłam, że wzrok ojca spoczywa na tym wyprostowanym, zamrożonym palcu, a potem, ku mojemu przerażeniu, zauważyłam, że jego wzrok nawet na moment nie opuszcza tego palca. Gdy tylko Damon zauważył spojrzenie ojca, pozostałe jego palce też zastygły. Przestał mówić, upił łyk wody i rozpaczliwie kontynuował wyjaśnienia, starając się na nowo zainteresować ojca: - Zajmuję się obserwowaniem cyklu życiowego gwiazd, a także badaniem gazów, z których gwiazdy są zbudowane. Bo musicie wiedzieć, że gwiazdy powstają z obłoków kolapsujących w galaktyce.

- A z czego są te obłoki? - spytała matka.

- Głównie z wodoru - odparł Damon - a także niewielkich ilości innych pierwiastków, jak hel, węgiel i tlen, oraz z pyłu. Często materia, z której te obłoki się składają, znajduje się w fazie molekularnej. Kiedy wewnętrzne ciśnienie obłoków przewyższa ich ciśnienie odśrodkowe, zapadają się, oddając ciepło, a kiedy stają się dostatecznie gęste, dochodzi do zapłonu i wtedy przeobrażają się w gwiazdy. Ciśnienie promieniowania gwiazdy może wyrzucać mniej gęste cząsteczki obłoków na zewnątrz.

Nie wierzyłam własnym uszom, że tak się rozgadał na temat chmur, zbyt bliski jego prawdziwego zawodu, o którym w końcu powiedziałam rodzicom po swojej ucieczce. Siedziałam za daleko niego, by móc go kopnąć pod stołem, więc potrząsnęłam głową w jego stronę, bezgłośnie wymawiając słowo „chmura”.

- Kiedyś pracowałem w laboratorium Oak Ridge National w Tennessee - natychmiast zmienił temat - gdzie zajmowałem się fizyką powierzchni razem z doktorem Dennisem Zilkhą. Przez kilka miesięcy mierzyłem reakcje powierzchniowe zachodzące między tlenem a, jak to mówią, „cudownym” stopem niklu z aluminium. Był taki czas, kiedy wzbudzał on ogromne zainteresowanie, jest bowiem lekki, ma dużą wytrzymałość na rozciąganie i jest też odporny na ciepło, dlatego więc ma sporo zastosowań jako budulec.

Damonowi nawet na sekundę nie udało się odwrócić uwagi ojca od jego palca i przez to robił się coraz bardziej podminowany. A czym się objawiało to podminowanie? Ano odpiął guzik koszuli. Matka, która wciąż nie zauważała jego wycelowanego palca, wyraźnie zauważyła odpinanie. Ojciec wprost przeciwnie.

Damon poruszył się niespokojnie. Dusił się nieznacznie i jakże dyskretnie. Schował drugą dłoń, tę bez rękawiczki, pod stół i coś tam z nią wyprawiał, a ponieważ go znałam, wiedziałam, że próbuje zdjąć spodnie.

To było coś katastrofalnego. Dłoń w rękawiczce wciąż była na widoku; jestem przekonana, że bał się nią poruszyć, na wypadek gdyby to miało rozwiązać czar paraS liżu, który najwyraźniej ośwładnął ojcem. Damon wciąż opowiadał o astrofizyce eksperymentalnej, co pozostało bez wpływu na matkę, która wyglądała na zdumioną i skrępowaną, ale z uprzejmości nie przyznawała się do tego, i stanowiło także próżny wysiłek w odniesieniu do ojca, który nie zauważył aktu rozbierania się, dopóki palec pozostawał sztywny. Damona doprowadzało to do szaleństwa. Tak niefrasobliwie, jak tylko potrafił, zsunął koszulę z jednego ramienia. Dłoń bez rękawiczki znów powędrowała pod stół: wyraźnie próbował zdjąć spodnie, ale było to trudne bez wstawania. Ośwładnięty frustracją, zerwał koszulę z drugiego ramienia, sprawiając, że tkanina napięła mu się na torsie, gdzie już tylko jeden guzik, ewidentnie gotów zaraz się oderwać, łączył obie poły. Zdążył już obnażyć oba ramiona.

Ojciec wstał od stołu i poszedł do kuchni, pytając: - Czy ktoś chce soli czosnkowej? - Wrócił z solą czosnkową i szpadą. Usiadł, posolił sobie jedzenie i spytał Damona, czy on też chce.

- Nie, dziękuję - odparł Damon i kompulsywnie ciągnął swoje: - Istnieje całe mnóstwo znakomitych metod badania tego, co się dzieje na powierzchniach, na przykład spektroskopia elektronów Augera, rentgenowska spektroskopia fotoelektronowa i dyfrakcja elektronów o niskiej energii. Można przeprowadzać pomiary chemicznego otoczenia atomów powierzchniowych za

pomocą spektroskopii elektronowej, w dosłownym sensie zobaczyć porządek na powierzchni za pomocą wzorców dyfrakcyjnych i uzyskać pełen skład atomowy powierzchni przy użyciu spektroskopii Augera...

Damon przestał mówić, kiedy ojciec ujął swoją broń, wsunął ostrze między palec wskazujący i środkowy Damona, po czym przygiął pusty palec rękawiczki w taki sposób, że przyległ płasko do wierzchu dłoni. Wszyscy - Ty jesteś Damon - obwieścił ojciec, czerwony na twarzy, oburzony i triumfujący.

Damon poderwał się z krzesła. Już wcześniej udało mu się zsunąć spodnie, a teraz zdjął je do końca, a potem jeszcze zdjął koszulę i bieliznę. Buty zrzucił całe wieki wcześniej; leżały pod stołem. Na samym końcu zerwał rękawiczkę z dłoni, ujawniając, że odcięto mu palec, i wybiegł z mieszkania (które znajdowało się na parterze), pokonując hol nagi jak go matka zrodziła.

Właśnie ten striptiz go uratował: rodzice nadal siedzieli na krzesłach, zbyt zdumieni, by się ruszyć. Wyrwałam płaszcz przeciwdeszczowy z szafy w korytarzu i ruszyłam za nim w pościg. Zdażył już przebiec obok portiera, który śmiał się, kiedy go mijałam.

Znalazłam Damona skulonego na jakimś progu, kilka domów dalej. Opatuliłam go w płaszcz, który niestety był czarny i nieprzezroczysty. Odepchnął go, mówiąc:

- Nie mogę. - Płakał.

Szłam razem z nim, starając się trzymać wokół niego płaszcz, ukrywać go, na ile się dało.

- Nie dotykaj mnie tym - powtarzał raz po raz.

Byłam zła na siebie, że nie zabrałam jego przezroczystych ubrań na wszelki wypadek. Co mi się wydawało, że kim on jest: kimś normalnym?

Kiedy Damon nieco się uspokoił, zatrzymaliśmy się na rogu, by złapać taksówkę. Próbowałam jakąś przywołać, jednocześnie osłaniając Damona od przodu płaszczem, by kierowcy nadjeżdżających samochodów nie widzieli jego nagości, ale i tak za jego plecami niebawem zebrał się tłumek. przechodniów i

sprzedawców.

Wreszcie zatrzymałam taksówkę, która powiozła nas w stronę mojego domu. Już mieliśmy wysiąść, ale na szczęście zauważyłam rodziców, którzy właśnie wysiadali z innej taksówki. Ublagałam kierowcę, by pospiesznie nas stamtąd zabrał. Rodzice wpakowali się z powrotem do taksówki i ruszyli za nami w pościg. Wkrótce ich zgubiliśmy.

Naszą najatrakcyjniejszą możliwością było udanie się do jakiegoś hotelu, ale ponieważ domyślaliśmy się, że żaden hotel nie przyjmie nagiego mężczyzny, stwierdziłam, że pojedziemy do przeważnie wyludnionego niewielkiego parku nad rzeką, niby po to, by się zastanowić, co dalej robić, ale tak naprawdę potajemnie żywiłam nadzieję, że Damon dostatecznie zmarznie, zgodzi się włożyć płaszcz i dzięki temu będziemy mogli zameldować się w jakimś hotelu.

Damon nie zgodził się jednak, mimo że spędziliśmy w tym parku jakiś czas. Siedział obok mnie na ławce, nagi i drżący, szczekał zębami i co jakiś czas popłakiwał.

Wreszcie nawet ja zmarzłam i nie potrafiąc znieść, że on tak marznie, wymyśliłam inny plan.

Postanowiłam, że zabiorę go do „Walcz ze stresem”, pobliskiego salonu masażu, który - jak ustaliłam telefonicznie - był otwarty aż do dwudziestej drugiej trzydzieści.

Personel „Walcz ze stresem” nie robił wielkiego halo na widok nagiego mężczyzny, być może dlatego, że każdy, kto tam przychodził, i tak ostatecznie się obnażał.

Rozgrzewając się w saunie przed wzięciem masażu, narzekaliśmy oboje, że nie włożył cienkiej rękawiczki, tylko te skórzane: wveladałobv to o wiele sensowniej, pod każdym względem, nawet w odniesieniu do wymówki o wrodzonej wadzie. Potem próbowałam go pocieszyć, gładząc po włosach i przemawiając kojącymi słowami, w tym upale, mimo wrażenia, że płoną mi zęby.

Po masażu moja masażystka powiedziała Damonowi, w mojej obecności, że byłam bardzo spięta. Na co jego masażysta, który ją podsłuchał, stwierdził: - Ty nie wiesz, co to znaczy spięty, jeśli nie masowałeś jego. Nie byłem w stanie poluznić ani jednego węzła.

Przykro mi było tego słuchać, bo miałam nadzieję, że Damon jest już w miarę zrelaksowany i włoży płaszcz przeciwdeszczowy, byśmy mogli iść do jakiegoś hotelu. Spytałam go, tylko na wszelki wypadek, i odpowiedź była negatywna. Po chwili jednak trącił mnie łokciem, patrząc na recepcję. Wskazywał gestami firankę, która wisiała za biurkiem i zakrywała okno wychodzące na ulicę. Była uszyta z białej koronki. I była obficie marszczona.

- Firanka? - spytałam. - To nie całkiem to samo.

- Nada się - wyszeptał. - Wszędzie ma dziury. W niej będę się czuł jak nagi.

Podeszłam do recepcjonisty i spytałam, czy moglibyśmy kupić albo pożyczyć tę firankę; że to sprawa nadzwyczajnej wagi, że jesteśmy gotowi zapłacić każdą cenę i że zwrócimy ją następnego dnia albo jeszcze tego samego wieczoru. Mężczyzna obejrzał sobie Damona i zgodził się, jakby zrozumiał cel mojej prośby. Zażądał sporej kaucji, z której trzy czwarte miał nam zwrócić po oddaniu firanki. Zatrzymana część kaucji zostanie wykorzystana na pralnię, powiedział.

Kiedy odpinał firankę, spytałam, gdzie jest najbliższy hotel. Powiedział nam, że za rogiem jest Regency.

Damon opatulił się firanką i poszliśmy do hotelu Regency. Nie dowiedzieliśmy się jednak, czy daliby nam pokój, bo portier nie chciał nas wpuścić. Dlatego szliśmy dalej, w nadziei, że znajdziemy jakiś inny hotel.

Znaleźliśmy: Pierre. Tym razem byliśmy sprytni.

Damon został na zewnątrz, poza zasięgiem wzroku, ja natomiast weszłam do środka i zameldowałam nas. Potem poszłam po niego i razem weszliśmy do środka, obdarzeni jedynie kilkoma ponurymi spojrzeniami.

Znalazłszy się sami w pokoju, z tą jego niepraktyczną nagością, poczuliśmy wielką ulgę. Siedzieliśmy na łóżku, tuląc się i współczując sobie wzajem. Położyliśmy się spać wcześniej.

Następnego ranka Damon miał zaczekać na mnie w pokoju hotelowym, w założeniu niedługo, a ja w tym czasie poszłam do domu, by zabrać jego przezroczyste ubranie. Ku mojemu zdziwieniu rodzice byli tam, pełnili wartę pod drzwiami, z prawdziwymi, śmiertelnie groźnymi starymi szablami przy nadgarstkach.

- Od jak dawna tu czekacie? - spytałam ich.

- Od wczoraj - odparła matka.

- Nie macie nic lepszego do roboty? - Weszłam do budynku. Ruszyli za mną.

- Nie - odparł ojciec, wspinając się moim śladem po schodach. - Nie mamy nic lepszego do roboty oprócz ratowania naszej córki, która postradała zmysły. Domagamy się wyjaśnień. Dlaczego przyprowadziłaś swojego porywacza na kolację?

- Bo go kocham.

- Ty go kochasz? Przecież on cię porwał!

- No więc kocham go teraz.

- Dlaczego? - spytała matka.

- Bo jest wspaniały.

- Ale przecież cię porwał! - powtórzył ojciec.

- Tak, ale ja też go porwałam - oświadczyłam, otwierając drzwi mojego mieszkania. - Więc teraz jesteśmy kwita. Trzymałam go w klatce i zakochałam się w nim.

Musi żyć. I muszę poznać jego tragiczną przeszłość.

Ojciec wcisnął się do mojego mieszkania i powiedział: - Żadna przeszłość nie usprawiedliwi tego, co ci zrobił. I do jakiego stopnia ktoś może się okazać niezwykle, mieszkając w klatce?

- Nie ma w tym nic niezwykłego. Był ludzki i czarujący.

Wyjęłam z szafy przezroczyste ubrania Damona: koszulę, spodnie i szatę, którą sam sobie uszył. Matka wyrwała mi to wszystko z rąk, mówiąc do ojca: - Popatrz, jego ubranie. - Podniosła koszulę za ramiona, rozwijając ją przed sobą. Ojciec wyjął szablę z pochwy i pociął koszulę na strzępy, a potem przytrzymał spodnie, z którymi to samo zrobiła matka, a także z szatą.

Problem i kłoda pod nogi. Mogłam zrobić tylko jedno.

Poszłam do najbliższego sklepu z tkaninami. Był to sklep z tkaninami dla panien młodych; weszłam tam, a rodzice za mną, z rękoma na rękojeściach szabli niczym straż.

Z najrozmaitszych powodów, poczynając od tego, że mieli tam ogromny wybór koronki i że tamtejszy przezroczysty jedwab nie był ani bardzo cienki, ani specjalnie przezroczysty, a kończąc na tym, że Damonowi dziury w firance najwyraźniej bardzo się podobały, postanowiłam kupić koronkę zamiast jedwabiu. Szczególnie spodobała mi się biała koronka o nazwie „haftowana tiulowa frywolitka”. Przeczytałam treść metki: trzynaście i pół dolara za jard, importowana, skład: poliester i rayon. Koronka była prawie biała, sprężysta, satynowa i bardzo przejrzysta dzięki temu, że składała się w większej części z tiulu, a nie z haftu. A sam haft, w skąpych ilościach, tworzył wzór z ptaków.

Spytałam sprzedawczynię, czy zatrudniają jakąś osobę, która zechciałaby może na miejscu uszyć zgrzebny, podstawowy ubiór dla mężczyzny o wzroście metr dziewięćdziesiąt. Osoba, z którą rozmawiałam, była gotowa to zrobić za sporą kwotę i obiecała, że uwinie się w godzinę.

Ulżyło mi, że rodzice nie pochwycili całej beli koronki i nie pocięli jej na kawałki. Poszłam do publicznego telefonu z zamiarem zadzwonienia do Damona i poinformowania go, co mnie tak długo zatrzymuje, ale po wykręceniu pierwszych trzech cyfr numeru hotelu Pierre zorientowałam się, że rodzice zaszli mnie z obu stron, że obserwują mnie niczym jastrzębie, gotowi rzucić się na każdą okazję wywiedzenia się, gdzie jest Damon. Odwiesiłam słuchawkę

zasmucona, że będzie się zastanawiał, gdzie jestem, cały nagi i kruchy.

Musiałam podjąć kilka innych drastycznych kroków, bo inaczej rodzice poszliby za mną do hotelu. Wróciłam do swojego mieszkania, nadal z rodzicami na karku, i zabrałam swój gaz pieprzowy w spreju. Zabrałam także swoją starą szablę - prezent od Damona - dzięki któremu mogłam od niego uciec i dzięki któremu mogłam teraz na nowo się z nim bezpiecznie połączyć.

Kiedy już wychodziłam, zadzwonił telefon. To Damon chciał wiedzieć, co mnie zatrzymało. Wpadłam w ekstazę, kiedy go usłyszałam.

- Rodzice pocięli twoje ubrania na strzępy - wyjaśniłam. - Musiałam wyjść i zamówić ubranie dla cieR bie, a teraz nie chcą mi dać spokoju, więc wróciłam do domu po broń. Niedługo będę.

Rodzice wyrwali mi z rąk telefon: obrzucali Damona obelgami i jednocześnie starali się od niego wyciągnąć, gdzie jest. Zagroziłam im sprejem i wyrwałam słuchawkę.

Powiedziałam, że zobaczę się z nim natychmiast, kiedy tylko uda mi się ich pozbyć. Kiedy się rozłączyłam, matka usiłowała odtworzyć numer, ale bez powodzenia.

Wyszłam z domu. A oni za mną.

Miałam do zabicia pół godziny, zanim kostium Damona będzie gotów, więc poszłam posiedzieć w kawiarni. Rodzice przystawili sobie krzesła i usiedli przy moim stoliku. Jeszcze nie chciało mi się używać przeciwko nim broni, bo i tak wiedzieli, że wrócę do sklepu z tkaninami.

Próbowali przemówić mi do rozsądku. Grozili, że każą mnie porwać jakiemuś specjalistce od przeprogramowywania ofiar sekt.

W końcu pół godziny minęło i odebrałam ubranie ze sklepu. Rodzice natychmiast chcieli mi je zabrać. Zagroziłam im gazem pieprzowym. Dobyli swoje miecze.

Ja dobyłam swój. Wycofałam się ze sklepu. Sprzedawcy wytrzeszczyli oczy.

Nagle mi zaświtało, że być może powinnam się zastanowić, czy nie wziąć sobie jakiegoś ochroniarza. Ostatecznie byłam gwiazdą. I było mnie na takiego stać.

Ochroniarza, który nosiłby za mną szablę i walczyłby z rodzicami na ich nędznym poziomie.

Przywołałam taksówkę i potrząsnęłam szablą w stronę ojca, nie pozwalając mu wsiąść razem ze mną.

- Mam dwadzieścia osiem lat! - krzyknęłam. - Zostawcie mnie w spokoju! Mogę robić, co chcę!

Przywołał taksówkę i wskoczył do niej z matką. Pognali za mną. Tym razem trochę to potrwało, zanim ich zgubiłam, bo ich taksówkarz lepiej znał się na rzeczy niż mój.

W końcu wróciłam do hotelu Pierre i dałam Damonowi jego bezcenny strój. Spodobał mu się i dobrze na niego pasował, aczkolwiek wyglądał w nim jeszcze dziwniej niż w swoim zwyczajnym odzieniu z przezroczystego, białego jedwabiu.

Kiedy mu opowiedziałam o przejściach, jakie miałam z rodzicami, posmutniał i sposepniał, ale nie chciał o tym rozmawiać.

Oddaliśmy firankę do „Walcz ze stresem” i postanowiłam zabrać Damona na kolację do Aureoli, bardzo dobrej pobliskiej restauracji, gdzie, miałam nadzieję, mógłby odzyskać humor. Ale tak się nie stało. Znowu spytałam, dlaczego wygląda na takiego przybitego.

- Czuję, że powinienem odejść - powiedział. - Jestem powodem zbyt wielu problemów w twojej rodzinie.

- Co to znaczy odejść?

- Tylko na trochę. Niech się wszystko uspokoi, niech twoi rodzice się uspokoją.

- Uważam, że to nie jest konieczne. Pogadam z nimi.

Jestem pewna, że wszystko naprawię.

- Wątpię. A poza tym to potrwa, nawet jeśli miałoby ci się udać. I na domiar wszystkiego jest pewien projekt, nad którym chciałbym popracować. Nie miałem pojęcia, że potrzebuję czasu, by nic nie robić, tylko pomyśleć, i pobyt w klatce dał mi ten czas. Wpadłem na mnóstwo pomysłów. A potem nasze kilka tygodni wspólnego szczęścia otwarły mi wyobraźnię jeszcze szerzej. Być może zabrzmiało to staroświecko, ale skąpały mnie w poezji, której potrzebowałem, by wlać życie i sens do moich pomysłów. Będę za tobą tęsknił.

- Jak długo cię nie będzie?

- Och, nie wiem, Może miesiąc, może mniej, może trochę dłużej. Niewykluczone, że za jakiś czas będziemy mogli się odwiedzać, kiedy rodzice przestaną tak ci deptać po piętach.

Płakałam tamtej nocy, leżąc razem z nim na łóżku w pokoju hotelowym.

Liczyłam, że do następnego dnia zmieni zdanie. Nie zmienił. Kiedy jedliśmy lunch, wyglądał na jeszcze bardziej zestresowanego niż poprzedniego wieczoru. Zapewnił, że jest mu smutno z powodu rozstania, zwłaszcza w takim momencie, i że będzie za mną tęsknił. Nie był nawet pewien, czy uda mu się skupić na pracy.

- Więc nie odchodź. Albo pozwól, żebym odeszła razem z tobą.

- Twoi rodzice będą cierpieli. Na razie to jest najlepsze, co można zrobić. Jestem pewien, że to rozumiesz. - Mówił szeptem, z głową pochyloną nad talerzem, i niemal się spodziewałam, że zobaczę łzy skapujące mu do zupy. W swoich koronkach wyglądał zarówno pięknie, jak i głupio.

Dłużej nie mogłam tego znieść.

- Damon, widziałam się z twoim bratem.

Powoli podniósł głowę i zagapił się na mnie zdumionym wzrokiem, więc mówiłam dalej: - Poznałam go, rozmawiałam z nim i wiem wszystko o twojej przeszłości.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

- Kiedy to było? - spytał natarczywym tonem.
- Wtedy, kiedy pojechałam do LA. Zanim cię uwolniłam.
- Jak on się miewa?
- Znakomicie.
- Co ci mówił o mnie? Wciąż mnie nienawidzi?
- Nie. Nigdy cię nie nienawidził.
- Ale od lat nie chce się ze mną spotkać.
- Wiem.
- Do diabła, dlaczego mi nie powiedziałaś o tym spotkaniu?

Ranił mnie tym tonem, ale rozumiałam go.

- Nie chciałam, żeby to wpłynęło na to, co teraz dzieje się między nami.

Przepraszam. Wiele razy chciałam ci powiedzieć, ale bałam się, że to coś zmieni. Byliśmy tacy szczęśliwi.

- Byłaś egoistką.
- Tak, dla dobra nas obojga.
- Nie, dla mnie nie. Chętnie bym się dowiedział. - Po dłuższym milczeniu dodał: - I to dlatego weszłaś do mojej klatki.

- Tak.

- Było ci mnie żal.

- Nie. To znaczy naturalnie było mi cię żal, ale to nie dlatego weszłam. To dlatego, że twoja przeszłość dała mi wymówkę, by ci wybaczyć. A naprawdę szukałam takiej wymówki. Od dawna jej szukałam.

- Nie mogę cię winić za to, że byłaś egoistką i że ukrywałaś to przede mną. Z początku byłaś wobec mnie mniej egoistyczna, niż na to zasługiwałam.

- Mam nadzieję, że nadal tak będziesz uważał, kiedy ci powiem, że brat chce nawiązać z tobą kontakt. Nie wątpię przecież, że o czymś takim chętnie byś się dowiedział znacznie wcześniej. Przepraszam, że od razu ci nie powiedziałam.

Nigdy nie widziałam Damona równie zdumionego i podekscytowanego.

- Jesteś pewna? Naprawdę to powiedział czy tylko tak zakładasz?

- On to powiedział. Jego słowa brzmiały: „Przekaż mu, proszę, że brat chce nawiązać z nim kontakt. Być może dzięki temu odzyskałby zdrowie psychiczne”. To ostatnie dodał, bo mu opowiedziałam, jak mnie porwał i całą resztę.

Damon uparł się, żebyśmy natychmiast zapłacili rachunek, choć wcale nie skończyliśmy lunchu, i wrócili do naszego pokoju hotelowego, aby mógł zadzwonić do brata.

Zaproponowałam, że zaczekam w holu, gdy będzie rozmawiał przez telefon, ale stwierdził, że już nie chce ukrywać przede mną żadnego elementu swojego życia.

Udało mu się zastać Philipa w domu; rozmawiali około półgodziny, nadrabiając ostatnie osiem lat. Wyznał Philipowi, że oglądał go w *Modzie na sukces*, a potem dodał: „Och, już ci o tym mówiła”. Opowiedział mu także o swoim wynalazku z małymi chmurami i że stara się nadać im masę. „Będziesz musiał je zobaczyć”, powiedział. Na koniec zdradził, że się kochamy, i jeszcze poinformował go ze śmiechem, że trzymałam go w klatce i wypuściłam zaledwie kilka tygodni temu. W tym momencie podał mi słuchawkę; Philip chciał ze mną porozmawiać.

- A więc się nie przyznałaś - powiedział Philip - będąc u mnie, trzymałaś mojego brata pod kluczem.

Zachichotałam.

- Bardzo się cieszę z waszego powodu - dodał prędko - i liczę, że znowu przyjedziesz mnie odwiedzić. Tylko nie mów mu, że zrzuciłaś mnie z trampoliny, bo będzie zazdrosny.

Roześmiałam się.

Damon omówił z Philipem swój plan przylotu do LA jeszcze tego samego wieczoru. Gdy tylko się rozłączył, kochał się ze mną, z miłością i radośnie.

Potem chciał iść do Bloomingdale'a.

- Po co? - spytałam.
- Nie mogę nosić tego ubrania; ta koronka jest zbyt zawstydzająca.
- Ale moim zdaniem oni tam nie mają przezroczystych męskich ubrań.
- Jestem pewien, że znajdziemy tam coś lepszego.
- Wątpię - stwierdziłam.

U Bloomingdale'a skierował się do działu z męską odzieżą, gdzie na pierwszy rzut oka było widać, że nie mają tam ani jednej sztuki przezroczystego ubrania.

Wiedziałam; już tu wcześniej szukałam.

Damon nawet się nie rozejrzył. Poszedł prosto do stoiska z golfami i chwycił bardzo nieprzezroczysty, granatowy. Popatrzyłam na to takim wzrokiem, jakby postradał zmysły i trzymał w rękach jakiś bardzo niebezpieczny materiał, który potrafi wywołać straszną alergię o katastrofalnych skutkach. Zdjął koronkową koszulę z niemal taką skwapliwością, z jaką rozebrał się u moich rodziców dwa dni wcześniej. Wdział ten niebezpieczny golf.

Potem zerwał z wieszaka parę spodni, zdjął golf i podał obie te rzeczy sprzedawcy, by za nie zapłacić. Sprzedawca popatrzył na jego nagi tors i wymamrotał jakiś karcący komentarz typu:

- W naszym sklepie nie aprobujemy niewłaściwej odzieży.
- Rozumiem - odparł Damon. - Proszę mi wybaczyć. - I włożył z powrotem golf, gdy tylko go kupił.

Potem zdjął swoje koronkowe spodnie i przez kilka sekund stał kompletnie nagi od pasa w dół.

- Proszę wybaczyć, sir, w tym sklepie to absolutnie niedopuszczalne - skomentował sprzedawca ten widok. - Jeśli pan natychmiast się nie ubierze, zawołam ochronę i zostaną przeciwko panu podjęte czynności, które, zapewniam, nie będą przyjemne. Zostanie pan ukarany zgodnie z polityką naszego sklepu, która polega na tym, że zostanie pan pozbawiony przywileju możliwości zwrotu swoich nabytków przy pełnym zwrocie kosztów.

Zanim mężczyzna skończył mówić, Damon zdążył włożyć nowe nieprzezroczyste spodnie. Wyjęłam jego koronkowe ubranie z kosza na śmieci, do którego je wyrzucił. Uznałam, że tak będzie mądrze, na wypadek braku tolerancji na ubranie albo opóźnionej reakcji alergicznej.

Nie byłam jednak przy nim dostatecznie długo, by się dowiedzieć. Objęliśmy się - on mnie namiętnie, ja jego ze łzami - i odleciał do LA.

PIĘTNASTY

Damon zabawił u brata kilka dni i była to bardzo udana wizyta. Wrócił przepełniony ulgą, że wreszcie nawiązali kontakt, choć jednocześnie widok zniekształconego ciała Philipa nastreczył mu bólu. Powiedział mi, że najbardziej niepokojący okazał się zakres, w jakim śmierć córki okaleczyła ekspresywność brata.

W czasie dzielącym tamtą wizytę i powrót do mnie Damon pracował nad wynalazkiem, który nie miał nic wspólnego z próbami zwiększania masy chmur. Rozmawialiśmy przez telefon codziennie, a jednak nie chciał mi powiedzieć nic więcej.

Podczas nieobecności Damona starałam się przekonać rodziców, żeby zaakceptowali nasz związek. Błagałam ich; nawet dobrowolnie się z nimi fechtowałam.

Zagrozili, że się ode mnie odetną. Zagroziłam, że to ja się od nich odetnę.

- On jest groźny. Nie jesteś przy nim bezpieczna - twierdził ojciec.

- A właśnie, że jestem, byłam i zawsze będę.

- Nic cię nie obchodzi, co my przez to czujemy? Rujnujesz nam zdrowie. Żyjemy w nieustannym stresie.

- On już nie jest groźny - zapewniłam. - Problem, z powodu którego był niebezpieczny, został rozwiązany. Jest już nawet w stanie nosić nieprzezroczyste rzeczy.

- O rany, na samą myśl o tamtej kolacji i jego striptizie boli mnie głowa. Łatwo gadać, że on nie jest niebezpieczny, dopóki nie znajdziemy cię martwej w

jakimś rowie.

- I obyś wtedy nie żałowała, że nas nie usłuchałaś - wtrąciła się matka.

- On jest niezwykłym człowiekiem - powiedziałam potulnie.

- A to czemu? Bo umie robić chmurki? - spytał ojciec. - To najbardziej bezużyteczna rzecz, jaką kiedykolwiek ktoś zrobił. Na co to komu?

- A teraz pracuje nad wynalazkiem, który prawdopodobnie jest wybitny - dodałam.

- Jestem pewien, że ludzkość obejdzie się bez niego.

Ani oni, ani ja nie robiliśmy żadnych postępów. Być może rodzice zmiękli trochę bardziej niż ja, ale za nic nie chcieli obiecać, że będą się zachowywali w bardziej cywilizowany sposób, że przestaną ścigać mnie taksówkami, że przestaną obserwować mój dom itd.

Kolejną osobą, z którą musiałam ułożyć sobie stosunki, był Nathaniel. Od czasu naszego zerwania, mimo mojej gotowości do pozostania z nim w jakiejś tam przyjaźni, widywaliśmy się z rzadka, przy czym on zachowywał się wtedy tak żałośnie, że zaczęło mnie to intrygować.

W końcu wyznał:

- Zerwałaś ze mną. Ja to zaakceptowałem, bo obiecałaś, że zostaniemy przyjaciółmi. Ale nie zachowujesz się jak przyjaciółka. Stałaś się tajemnicza i niekomunikatywna.

- Uprzedzałam cię, że będzie inaczej - odparłam. Niemniej jednak, by sprawić, żeby poczuł się lepiej - albo gorzej, nie jestem pewna - opowiedziałam mu o swoim związku z Damonem.

Ku mojemu zdumieniu opowieść o klatce, o spotkaniach z Damonem w miejscach publicznych z powodu bezpieczeństwa i o naszym romansie rozbawiła go.

Skarcił mnie jedynie za to, że przedstawiłam Damona rodzicom.

- Coś ty sobie myślała? - spytał jakby ostrym tonem. - To był nieprzemyślany ruch z twojej strony; to się musiało skończyć źle. Teraz być

może go odstręczyłaś.

Byłam wkurzona tym jego pesymistycznym podejściem, ale nie skomentowałam tego. Wizyta zakończyła się dobrze; Nathaniel zdawał się być w dobrym humorze - znacznie poweselał, w rzeczy samej - co mnie lekko zdezorientowało. Zastanawiałam się, czy ja w ogóle wiem cośkolwiek o ludziach.

Podczas nieobecności Damona mój przyjaciel Jeremy poprosił, żebym popilnowała przez jakiś czas jego kotki Minou. Tęskniłam za Damonem i z radością powitałam towarzystwo, mimo że niemal codziennie harowałam na planie filmowym.

Damon, trzy tygodnie po tym, jak opuścił mnie i miasto, skończył pracę nad wynalazkiem. Nadal nie chciał powiedzieć, co to takiego, ale obiecał, że wróci za tydzień i pokaże mi go, tylko najpierw zrobi jeszcze kilka testów. Dodał, że nie może się doczekać, kiedy mnie zobaczy.

Ku mojemu zdziwieniu Damon wrócił w swoim dawnym, przezroczystym ubraniu. Oprócz tego nosił wielkie i niezgrabne metalowe buciory. Byłam urzeczona jego widokiem i uściskałam go natychmiast, kiedy stanął na progu - czy raczej kiedy dotelepał się z trudem do mojego progu (za sprawą tych ciężkich butów). Pocałował mnie i przytulił z całej siły. W moich ramionach wydawał się niestabilny, jakby był pijany albo zmęczony. Usiadł na krześle i uśmiechnął się wyczekująco, być może spodziewając się, że to ja zacznę rozmowę.

- Jak ci poszło? - spytałam.

- Bardzo dobrze - odparł, kiwając głową i nadal się uśmiechając.

- Miałeś trudności z noszeniem nieprzezroczystych ubrań?

- Absolutnie żadnych. Jestem tak dzisiaj ubrany z konieczności. Ale nie wpytuj mnie o to teraz.

- Przyniosłeś swój wynalazek? - Spojrzałam na buciory.

- Tak.

Wstał, przeszedł na środek pokoju, a tam rozwiązał sznurowadła przy butach. A więc miałam rację: wynalazek był jakoś z nimi związany.

Wysunął stopę z jednego buta, a potem powoli, delikatnie wysunął drugą.

- Pamiętasz, jak bardzo chciałem dodać chmurom masy? - spytał.

- Tak.

- No więc nie udało mi się. I wtedy sobie pomyślałem: jak nie możesz ich zmaterializować, to przyłącz się do nich.

- To znaczy?

Delikatnie podskoczył, raz. Tyle że słowo „podskoczył” nie jest tu precyzyjne, bo oznacza natychmiastowe opadnięcie na ziemię, czego on nie zrobił, a w każdym razie niezbyt prędko i dopiero gdy dosięgnął sufitu.

Zrozumiałam wtedy, co chciał powiedzieć, kiedy mówił o łączeniu się z nimi.

Zrobiło mi się słabo.

Niemniej jednak wytłumaczenie tego, co widziałam, musiało być mniej dalekosiężne niż takie, że Damon stał się chmurą.

- Stałeś się bioniczny? - spytałam.

- Nie, tylko lekki.

Jeszcze raz się odbił i zaczął skakać po całym pokoju, jak gazela, praktycznie za każdym razem uderzając o sufit i jednocześnie robiąc to zwolnionymi ruchami. Jego białe, frymuśne ubranie trzepotało, a jasne włosy dryfowały w powietrzu. Wyglądał jak istota wyższego rzędu.

Po jakimś czasie zatrzymał się i stanął przede mną.

Ujął mnie za rękę.

- Podnieś mnie - poprosił.

Rzeczywiście był bardzo lekki. Nie mógł ważyć więcej niż dwatrzy funty. Podnosiłam go i podnosiłam, aż podniosłam go nad głowę. Powoli zsunęłam go po sobie.

Kiedy już stanął na podłodze, chciał wrócić do samochodu, by przynieść z

niego swoje akcesoria. Włożył z powrotem buty i poszczekując nimi, wyszedł. Poszłam razem z nim.

Zabrał z samochodu jakieś torby i wróciliśmy na górę.

Otworzył torbę - wyskoczył z niej żywy szczur. Popływał w powietrzu dookoła nas, próbując uciec, ale tak naprawdę to uciekał donikąd. Minou, kotka, którą się opiekowałam, była zafascynowana. W życiu nie widziałam bardziej nieszczęśliwego szczura ani bardziej podekscytowanego kota.

- Musiałem eksperymentować na szczurach, zanim przeprowadziłem eksperymenty na sobie - wyjaśnił Damon. - Przykro mi z tego powodu. Nie popieram eksperymentów na zwierzętach, ale nie wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić.

Potem wyjął z torby igły hipodermiczne i temblak.

- Przynieś wagi! - zawołał.

- Jakie wagi?

- Przecież wiem, że masz wagi.

- Tylko jedną.

- Nie masz wagi kuchennej?

Przyniosłam dwie wagi: do ważenia ludzi i kuchenną.

Rozebrał się i wszedł na ludzką. Ważył dwa funty.

Owinął temblakiem ramię i wstrzyknął sobie jakiś przezroczysty roztwór.

Obserwowaliśmy wagę i po kilku sekundach stracił jeden funt.

- Chciałbym, żebyś mnie przybliżyła - powiedział, schodząc z wagi.

- Do czego? - spytałam.

- Do zera.

- Po co?

- Bo wtedy będę mógł robić jeszcze zabawniejsze rzeczy.

- Na przykład jakie?

- Na przykład będę mógł pływać w powietrzu, dawać ci się zdmuchiwać, tego typu rzeczy. Im niższa waga, tym to zabawniejsze. Tylko nie dopuść,

żebym osiągnął zero, bo wtedy umrę.

- Chcesz powiedzieć, że umrzesz, bo będziesz taki wytracony z równowagi, czy umrzesz dosłownie?

- Mówię o rym drugim przypadku, a więc o rym pierwszym też. Jeśli osiągnę całkowitą nieważkość, stanę się bardziej chmurą niż człowiekiem i już nie będzie odwrotu. Nie odzyskam wagi, ostatecznie zamienię się w deszcz. To znaczy nie od razu. To potrwa kilka dni albo tygodni. Ale jak już zamieniasz się w deszcz, tracisz życie. Stajesz się kałużą.

Położył igłę i temblak na kuchennej wadze, którą następnie ustawił na zero.

Wszedł na tę wagę, starając się złapać równowagę.

- Obserwuj skalę i mów, co widzisz - poprosił.

- Jesteś pewien, że tego właśnie chcesz? - spytałam.

- Tak.

- A jeśli moja waga jest niedokładna, osiągnąłeś zero, ale ona tego nie pokazuje?

- Nie bój się, będzie dobrze.

Już miał zrobić sobie zastrzyk, kiedy wykrzyknęłam:

- Czeka! Jesteś pewien, że wypuściłeś wszystkie bańki powietrza?

- Płyn jest nieważki. Nie można wypuścić z niego baniek powietrza.

- Ale jeśli wstrzykniesz sobie powietrze, skutki mogą być śmiertelne.

- Ja jestem powietrzem, a raczej chmurą. To nieistotne.

Wstrzyknął sobie w ramię część roztworu i czekał.

Po kilku sekundach strzałka wagi stanęła na ośmiu uncjach.

Znowu wstrzyknął sobie roztwór i waga spadła o kolejne cztery uncje. Nadal wstrzykiwał sobie maleńkie dawki roztworu, stopniowo zbliżając się do zera.

- Jak bardzo chcesz się przybliżyć? - spytałam.

- Na ćwierć uncji.

- To szaleństwo. Moja waga nie jest aż taka dokładna.

Nie możesz jej ufać na tym poziomie.

- Robiłem to już na mojej kuchennej wadze, która wcale nie jest lepsza od twojej.

- Nie wierzę ci. Skąd możesz wiedzieć, jak blisko doszedłeś, jeśli nie było przy tobie nikogo, kto by ci powiedział?

- Używałem luster.

Nadal wstrzykiwał sobie małe dawki, do momentu, w którym okłamałam go, mówiąc, że osiągnął już ćwierć uncji, podczas gdy w rzeczywistości ważył pół uncji.

- Na pewno nie oszukujesz? - spytał. - Moim zdaniem oszukujesz, ale może po prostu sprawdźmy. - Zszedł z wagi. - O tak, czuję się ciężki.

Nagi podskoczył, dosięgnął sufitu i powoli sfrunął na dół niczym balonik. Tuż przed wylądowaniem zaczął dziarsko wierzgać nogami; rękoma wykonywał ruchy żabki, jakby próbował pływać w powietrzu. A potem wylądował.

- Anno! Oszukiwałaś! Nie powinienem lądować, kiedy to robisz. - Wszedł znowu na wagę i powiedział: - Z całą pewnością ważę co najmniej trzy czwarte uncji, w związku z czym wstrzyknę sobie taką ilość serum, żeby wyeliminować połowę uncji.

- Umrzesz, jeśli to zrobisz. Ważyłeś połowę uncji, racja?

- Racja. Nie okłamuj mnie więcej, bo to może się okazać niebezpieczne. Bądź bardzo prawdomówna, bardzo precyzyjna.

Zrobił zastrzyk i odczekaliśmy kilka sekund. Po tym czasie powiedziałam mu, że osiągnął swoją idealną wagę.

- I dobrze. Teraz ważę tyle, ile długopis Bic.

Zszedł z wagi, podskoczył w stronę sufitu, zrobił ruchy żabki i wierzgnął nogami. Udało mu się nie wylądować.

Powoli, bardzo powoli przemieszczał się w powietrzu.

Po jakiejś minucie zatrzymał się i wylądował. Dyszał z wysiłku.

- Wiesz, będę musiał zdobyć bardziej precyzyjną wagę, żeby się móc zbliżyć do zera, bo przy ćwierci uncji dłuższe utrzymywanie się w powietrzu kosztuje mnie zbyt dużo wysiłku. Założę się, że jeśli uda mi się zejść do jednej dwudziestej uncji, będę mógł utrzymywać się w powietrzu przy równie niewielkim wysiłku jak podczas pływania w wodzie.

A potem się zabawialiśmy. Kazał mi dmuchać na siebie: poddmuchiwałam go w górę, oddmuchiwałam go od siebie. Odpychałam, wachlując go. Uchyliłam lekko okno, by zrobić przeciąg. Podbijałam go niczym balonik. Pływał w powietrzu śladem szczura.

Potem próbowaliśmy uprawiać seks. Kiedy on był na górze, nie ważył nic, co było przyjemne z jednej strony, ale z drugiej mało praktyczne. W końcu udało nam się to zrobić, gdy ja byłam na górze i przyszpilałam go do poziomu, dzięki czemu nie odpłynął.

A potem padło to poważne pytanie, kiedy leżeliśmy obok siebie, a ja przytrzymałam go ciężarem swojej ręki.

- Chcesz, żebym ja też spróbowała? - spytałam.

- To nie moja decyzja. To zależy całkowicie od ciebie, czy chcesz spróbować stać się lekka. Nie będę na ciebie naciskał ani nawet cię zachęcał. Jestem dość pewny, że to bezpieczne, wręcz zdrowe na dłuższą metę, choć absolutnej pewności nie mam.

Przez chwilę miałam koszmarną wizję nas dwojga, jak przez kilka następnych miesięcy wymiotujemy i kurczymy się, bo wstrzyknęliśmy sobie tę miksturę.

- Czy to zabawne? Jak stajesz się lekki? - spytałam.

- O tak. To jak być astronautą. Ale Boże uchroni, jeśli przypadkiem osiągniesz zero, to staniesz się jak ten szczur, skazana na deszcz, i któregoś dnia umrzesz. Już trzy szczury wypadały się na mnie. Trzeba o tym pamiętać.

- Nie dopuścisz, abym osiągnęła zero, prawda?

- Nie. Wolałbym tysiąc razy sam stawać się deszczem, niż dopuścić, byś

ty choć raz stała się mżawką.

- Okay, zrobię to.

Damon sprawił, że stałam się lekka. Najpierw podał mi mikroskopijną dawkę, by sprawdzić, czy to toleruję i czy chcę się posunąć dalej. Dzięki temu pierwszemu zastrzykowi w ciągu około piętnastu sekund straciłam dziesięć funtów. Zachichotałam nerwowo: miałam wir w głowie i oczywiście czułam się lekka. To było przyjemne.

Jak niebawem się przekonałam, bycie lżejszą o dwadzieścia funtów sprawiało jeszcze większą przyjemność.

To jednak i tak było nic w porównaniu z osiągnięciem ćwierci uncji. Od pewnego momentu musiałam sama sobie robić zastrzyki, bo każde dotknięcie przez Damona zmieniałoby moją wagę na skali.

Bycie lekką, bardzo lekką, raczej nie dawało się przyrównać do niczego, czego kiedykolwiek doświadczyłam.

Odległe przypominało to uczucie wyzwolenia, którego zaznajesz, gdy ktoś pomaga ci ponieść torbę.

Podskakiwaliśmy zwolnionymi ruchami po całym mieszkaniu, tańczyliśmy i pływaliśmy w powietrzu.

Potem przeszliśmy się po ulicy w naszych ciężkich buciorach (Damon dał mi parę takich samych, jakie nosił), a następnie pojechaliliśmy samochodem Damona za miasto, na wyludnioną drogę, i kiedy jedno z nas prowadziło, to drugie było ciągnięte w powietrzu na nitce umocowanej taśmą klejącą do dachu samochodu. Kiedy przestało nas to bawić, zostawiliśmy samochód i zaczęliśmy wspinać się na drzewa, używając jedynie czubków palców i najlżejszego nacisku. Siadaliśmy na gałązkach nie grubszych niż wykałaczki. Huściliśmy się na liściach.

Po jakimś czasie zaczęliśmy odzyskiwać wagę, powoli, co przejawiało się tym, że kiedy zeskakiwaliśmy z wierzchołków drzew, lądowaliśmy na ziemi odrobinę prędzej niż zazwyczaj. Wróciliśmy do miasta, znowu zrobiliśmy sobie

zastrzyki i zaczekaliśmy do zmroku, żeby być mniej widzialni, kiedy wyfruniemy na zewnątrz. Wyszukiwaliśmy wyludnione ulice i po sprawdzeniu, czy w pobliżu nikogo nie ma, wspinaliśmy się po murach budynków.

Na ziemię opadliśmy tuż obok cieśniny East River. TrzyS maliśmy się nitek, które uwiązaliśmy do poręczy, żeby nas nie zdmuchnął wiatr. Noc była bardzo ciepła.

Następnego dnia Damon kupił wagę, dzięki której mogliśmy zejść do jednej dziesiątej uncji: czyli wagi dużego spinacza. Później tego samego dnia wazyliśmy jedną dwudziestą uncji. Przy tej wadze bawiliśmy się naprawdę znakomicie. Już nie musieliśmy być lżejsi.

Tamtej nocy szczur zamienił się w deszcz.

Utratą wagi cieszyliśmy się przez następne dwa tygodnie, bawiąc się swobodą, jaką nam dawała, i często robiąc sobie zastrzyki. Przyczepianie się do ptaków było takie cudowne. Albo do latawców. Albo do urodzinowych baloników napełnianych helem, które unosiły nas w górę. Wystarczyło potem, byśmy puścili sznurek, i albo wirowaliśmy w miejscu, albo sfruwaliśmy w dół

(w zależności od wiatru) jak zwyczajne balony. Dosiadaliśmy psów i innych małych zwierząt.

Chodzenie na rękach przestało być trudne. A nawet chodzenie na palcach rąk. Potrafiliśmy biegać na czubkach palców u stóp oraz podskakiwać i lądować na ziemi niczym tancerze, którzy nie potrzebują baletek. Potrafiliśmy godzinami wędrować ulicami na czubkach bosych stóp, jeśli tak nam się zachciało, i mieliśmy gdzieś, co sobie pomyślą ludzie.

Mogliśmy fikać koziołki w powietrzu, a jeśli upadaliśmy na twarz, nic nas to nie bolało. A jeśli upadaliśmy na głowy, nie łamaliśmy sobie karków.

Nikt by mi nie wmówił, że można się bawić lepiej. Jeśli istnieje niebo, to na pewno jest stworzone z nieważkości.

Dzięki temu, że wazyliśmy tak nieskończenie mało, potrafiliśmy chodzić po wodzie. I siadać na niej. Siadywaliśmy na rzekach, chadzaliśmy na długie

spacery po jeziorach, na krótkie przechadzki po stawach i kałużach.

Lubiliśmy siadać na przewodach elektrycznych, niczym praki, i całować się. A potem, kiedy już się znudziliśmy siedzeniem, chodziliśmy po tych przewodach jak cyrkowcy, a kiedy traciliśmy równowagę, to nie spadaliśmy, tylko sfruwaliśmy zygzakami.

Tylko na deszczu nie udawało nam się fruwać. Kilkadziesiąt kropli ważyło więcej niż my i obciążało nas, sprawiając, że wsiąkaliśmy w glebę, chyba że wiał silny wiatr, który to kompensował.

Natomiast naprawdę niebezpieczne było zeskakiwanie z urwisk, dachów albo drzew w momentach, kiedy zdarzało nam się zapomnieć, że trzymamy coś w rękach, na przykład kamień. W takim przypadku oczywiście spadaliśmy na ziemię, jeśli przytomność umysłu nie kazała nam wcześniej tego kamienia odrzucić.

Mimo wszystko zstępowanie z urwisk było zabawne - nazywaliśmy to „nurkowaniem”. Stawaliśmy na skraju, zdejmowaliśmy buty i odbijaliśmy się, czekając, aż poniesie nas wiatr.

Takie szybowanie, dopóki nie odzyskało się normalnej wagi, było ekscytujące, ale później nieodmiennie tego żalowaliśmy, kiedy lądowaliśmy daleko od naszych butów. Czasami lądowaliśmy w wysoce niepożądanych miejscach.

Któregoś razu wylądowaliśmy w samym środku jakiegoś lasu. Poszycie kłuło, co jeszcze nie było takie złe, zważywszy na to, że wciąż byliśmy stosunkowo lekcy, ale kiedy nabraliśmy wagi, zaczęły nas piec pięty.

Uwaga na temat naszych butów: preferowałam wygodne, sportowe półbuty, zgodnie z modą wiązane sznurowadłami, jak buty Damona. Chętnie uczepiał się palcami stóp sznurowadeł i w taki sposób kolebał na wietrze. Mnie natomiast podobało się, że mogłam wyslizgnąć się z butów w księgarni i podlecieć do jakiejś wysokiej półki. Oczywiście zawsze istniało ryzyko, że zostanę przyłapana, dlatego starałam się udawać, że wspinam się do półek, a nie

fruwam do nich.

Wiedliśmy również nieważkie życie towarzyskie. Dla zabawy chadzaliśmy na przyjęcia tematyczne, maskarady i imprezy poświęcone filmom. Wkładaliśmy normalne ubrania i nasze ciężkie buty. Ludzie pewnie zauważali, że poruszamy się dziwnie. Musieliśmy uważać, by nie rozluźniać mięśni, bo wtedy ręce majtały nam się u boków. Uchodzenie za ciężkich, kiedy byliśmy lekcy, wymagało dużej pracy i koncentracji. Nasze włosy oczywiście też stawały się nieważkie i pływały nam dookoła głów, jakbyśmy znajdowali się pod wodą, więc temu też należało jakoś zaradzić. Nosiliśmy więc peruki. Czasami wkładaliśmy kaptury. W domu, po powrocie z przyjęcia, uwielbiałam stawać przed lustrem, zrywać perukę albo kaptur i przyglądać się moim fruwającym włosom.

Takie figlowanie w stanie nieważkości było do tego stopniaczynsłowe, że często stawaliśmy się nadzwyczaj pobudzeni. Trudno jednak uprawiać seks, kiedy jest się lekkim; trochę jak pod wpływem Prozaku, na ile się orientuję. Z braku siły ciężenia musieliśmy używać samych mięśni - ale zupełnie innego kompletu mięśni niż ten, którego się używa do tradycyjnego, ciężkiego seksu.

Mieliśmy problemy z utrzymaniem się w jednym miejscu. Byliśmy jak dwa wielkie balony, które śmiały się z bezsilności, śmiechem tak serdecznym, że kompletnie nas wykańczał, jakby jednak nam się udało.

Z czasem wpadliśmy na to, jak się obejmować, żeby móc uprawiać lekki seks - musiałam oplatać jego nogi swoimi niczym pnączami. A gdy już nabraliśmy w tym wprawy, zaczęła nas wkurzać podłoga. Wystarczyło zrobić najłżejszy ruch i wybijało nas w powietrze, na wiele długich sekund, po czym lądowaliśmy z powrotem.

To było wyjątkowo denerwujące, gdy podczas uprawiania seksu raz po raz zderzaliśmy się z podłogą. Padaliśmy na nią na różne nieoczekiwane sposoby, na przykład bokiem, ale tylko na chwilę, bo razem z następnym ruchem znów wystrzeliwaliśmy w górę. Czasami ponownie powoli opadaliśmy

na dół głowami naprzód. A jak nie głowami naprzód, to wtedy ze zniecierpliwieniem odbijałam się od podłogi jedną nogą, ale czasami zdarzało mi się zrobić to zbyt energicznie i wtedy uderzaliśmy o sufit, co też było irytujące. I ta podłoga zawsze wracała, niczym natrętna mucha, choćbyśmy nie wiadomo ile razy ją odganiaли.

Dlatego właśnie postanowiliśmy uprawiać seks na wietrze. Robiliśmy to nocą, na niebie nad oceanem, licząc, że nikt nas nie zauważy. Mnie jednak męczyło, że możemy zostać aresztowani za czyny lubieżne, który to aspekt z pewnością kładł się cieniem na aspekt erotyczny. Tak czy owak unikaliśmy pełni, nie chcąc, by podświetlał nas księżyc.

Niosło nas nierównym rytmem. Wiatr obracał nami, przewalając po niebie niczym uschłe liście.

Bez wsparcia grawitacji kochaliśmy się zazwyczaj delikatnie. Czasami jednak rodziło to w nas niezadowolenie, bo nasza namiętność okazywała się zbyt silna, by tolerować delikatność. Tęskniliśmy za ciężarem, za ciężarem naszych ciał na sobie. Wyszło na to, że ciężar jest seksowny.

Dryfowaliśmy i tuliliśmy się z czułością, kochaliśmy się. Niczym pająk, który cierpliwie czeka, aż w jego pajęczynę wpadnie jakiś owad, tak Damon czekał na pojawienie się czegoś, co mogło posłużyć za uchwyt. A kiedy takie coś wreszcie się pojawiało, chwytął to i ciskał mnie na ten mur, poręcz, drabinę, huśtawkę, korzeń, obojętnie co, byle tylko przypominało uchwyt albo było dostatecznie wąskie, by on mógł się tego trzymać zza moich pleców. Seks w takiej pozycji potrafił być wówczas bardziej siłowy, niemal taki, jakbyśmy jednak coś wazyli. Wwiercał się we mnie całym naciskiem ramion, ujawniając przepełniającą go frustrację.

A czasami robiłam to ja. Kiedy jego plecy zderzały się z pniem drzewa, wczepiałam się w gałęzie otaczające go z dwóch stron, przygważdżałam go tam i rozkoszowałam się nim, opasując jego i pień nogami. Ale po chwili nie mogłam się oprzeć, by nie wczepiać palców w jego włosy i puszczałam gałęzie.

I znowu dryfowaliśmy.

Byliśmy jak owady, które uprawiają miłość, gdzie popadnie.

Po pierwszych dwóch tygodniach bycia lekkimi niemalże bez przerwy zredukowaliśmy tracenie wagi do dwóch razy tygodniowo przez wzgląd na moją pracę.

Bywało jednak, że pozbywaliśmy się wagi co noc. To bardzo uzależniało, choć nie w dosłownym sensie. Kiedy zrobiliśmy eksperyment i na tydzień przestaliśmy, nie pojawiły się objawy abstynencji.

Wmawiałam sobie, że wreszcie wymyśliłam, jak zmusić rodziców, by zmiękli i polubili Damona. Usłyszawszy tyle razy, jak mówili o Damonie rzeczy typu: „To żałosny palant, ckliwy, pretensjonalny i pospolity, albo podły, albo stuknięty, a w każdym razie na pewno niebezpieczny, więc cię unieszczęśliwi”, byłam w stanie dowieść, że jest niezwykły, przez wstrzyknięcie sobie serum na ich oczach i pokazanie im, że umiem latać.

Zrozumiałe, że z początku byli przerażeni, kiedy zobaczyli, że wstrzykuję sobie coś w ramię. Stwierdzili, że pod wpływem Damona biorę narkotyki.

Wtedy zaczęłam kwitować.

- Tak właśnie działają narkotyki. Dają ci iluzję kwitowania.

- Czy to jest iluzja? - spytałam.

- Prawdopodobnie.

- No co wy! Czy to ja mam halucynacje, że kwituję? - wrzasnęłam na nich z sufitu.

- Nie wiemy, czy ty masz halucynacje, ale my tak.

Fakt jest taki, że ktoś tu ma halucynacje; tu się dzieją jakieś halucynacje.

Damonowi i mnie wydawało się, że sprawy nie mogą wyglądać lepiej, że nic nie stanie między nami. Nadal co jakiś czas pomagał mi w uczeniu się roli, kiedy go o to prosiłam. Żyliśmy w harmonii. A jednak w pewnym momencie coś między nami stanęło.

Zacząło się od tego, że popadliśmy w rutynę. Fruwanie przestało być

nowością i Damon zrobił się ponury.

Napomykał, że miewa chore myśli. Kiedy spytałam, co to za myśli, tylko potrząsnął głową i odparł, że nie umie mi powiedzieć. Zastanawiałam się, czy mają coś wspólnego z pragnieniem popełnienia zdrady. Spytałam o to, ale zaprzeczył. Potem spytałam, czy tu chodzi o chęć ponownego porwania mnie. Zaprzeczył.

Wspomniałam Nathanielowi, że Damon miewa złe myśli. Chciał wiedzieć, co to za myśli, i nakłaniał mnie, żebym się dowiedziała.

Tylko że ja już wcześniej próbowałam, ale bez powodzenia. A zresztą coś jeszcze zaczęło się dziać, coś, co jakby przyćmiło sprawę. Damon zaczął próbować mnie zabić.

Z początku myślałam, że to pewnie tylko moja wyobraźnia.

Któregoś dnia, kiedy jechał na wstecznym biegu, nakierował samochód w moją stronę i gdybym nie uskoczyła mu z drogi, potrąciłby mnie. Innym razem, kiedy ważyłam tyle, co normalnie, omal nie zepchnął mnie z balkonu, rzekomo przypadkiem, a jeszcze innym razem rzekomo w ramach zabawy.

W „żartach” przykładał mi do twarzy poduszkę, przez długi czas, aż wreszcie praktycznie się dusiłam. Nie wiem, co by się stało, gdybym nie zaczęła z nim walczyć. A innym razem zamiast poduszki na twarzy poczułam jego dłonie na szyi. Które się zacisnęły. Nic z tego nie wyszło, ale to nie było przyjemne. I wyraźnie go kusilo, by dusić mocniej i dłużej, no chyba że to też była moja wyobraźnia.

I zauważyłam, że ciągnie go do mojej szabli. Którejś nocy obudziłam się, a on stał nade mną z uniesionym ostrzem, jakby zaraz chciał mnie dźgnąć, i nie byłam pewna, czy przyłapałam go w samą porę, czy też tylko powstałby nade mną jakiś czas, tak naprawdę nie zamierzając nic zrobić. Czasami widywałam go w kuchni, jak trzymał w ręce wielki kuchenny nóż i przyglądał mi się marzycielskim wzrokiem.

Fakt, te próby wydawały się niezbyt oczywiste, a jednak nie dawały mi

spokoju. Popadłam w rozpacz. Nie chciałam poruszać z nim tego tematu, bo jeszcze nie przyjmowałam do wiadomości, że jest jakiś problem z naszym związkiem.

Łamałam sobie głowę, starając się znaleźć powód, dla którego Damon mógłby chcieć mnie zabić. Wreszcie mi zaświtało, czego dotyczą jego chore myśli: on się bał, że nasz związek przestaje być tak namiętny jak na samym początku. Żeby pozbyć się problemu i dodać nieco pikanterii do naszych relacji, usiłował napędzić mi stracha, wpychając mnie pod rozpędzone wagony metra, na przykład. Ulżyło mi, że tu chodzi tylko o to.

Wspomniałam Nathanielowi, że Damon próbuje mnie zabić.

- Jak to próbuje cię zabić? - spytał bardzo przejęty. - Przecież ci mówi, że cię kocha?

- Tak. Bezustannie.

- To w takim razie gadasz mi jakieś bzdury. Jesteś paranoiczką albo kimś podobnym.

Opowiedziałam mu o licznych sytuacjach, w których omal nie zginęłam, a potem zdradziłam mu swoją teorię, zgodnie z którą Damon potrzebował pikanterii.

- Wcale nie uważam, żeby próbował cię zabić. Moim zdaniem on się wygłupia, bawi. I wcale nie dodaje pikanterii do waszego związku z wyrachowania.

Kilka dni po mojej rozmowie z Nathanielem Damon powiedział:

- Jest pewna kwestia, której dotąd nie poruszaliśmy.

- A co to takiego?

- Fakt, że od czasu do czasu próbuję cię zabić.

- A więc jednak rzeczywiście to robisz?

Przytaknął.

- Obawiam się, że tak. Nie chciałem się przed tobą przyznawać, ale dłużej nie dam rady tego ukrywać.

- No cóż, to smutne. Miałam nadzieję, że to tylko moja wyobraźnia.
- Jak myślisz, co powinniśmy z tym zrobić?
- Pytasz, czy powinniśmy z sobą zerwać?
- Sądzę, że nie umiałbym żyć bez ciebie.
- Być może będziesz musiał, jeśli mnie zabijesz.
- Wiem. Dlatego tak mnie kusi. Nieszczęście byłoby takie bolesne.
- Mogłabym się postarać i unieszczęśliwić cię w jakiś inny sposób.

Mogłabym brać sobie kochanków. Być dla ciebie wredna. Nie, pewnie nie potrafiłabym. Za bardzo cię kocham. Nie możesz po prostu się opanować siłą woli?

- Robię to. Staram się nie poddawać pokusie zabicia ciebie, ale to prawdziwa wewnętrzna wojna. Kiedy ból staje się tak przemożny, rozum jest zmuszony go pomieścić, tym samym ulegając nienaturalnym odkształceniom.

Powiedziałam mu, żeby się tak nie przejmował, że poradzimy sobie z jego morderczymi popędami.

W głębi duszy wierzyłam, że on tego nie będzie w stanie zrobić, że tylko musi regularnie się tym straszyć.

Damon zaczął znajdować za wycieraczką swojego samochodu listy o treści typu: „Szykuj się” i „Już niebawem”.

Z początku zastanawiał się, czy to ja przypadkiem ich tam nie zostawiam. Potem oboje się zastanawialiśmy, czy to przypadkiem nie moi rodzice. Kiedy ich spytałam, wyparli się. Niebawem listy zaczęły mówić: „Bądź gotów” i „Lepiej późno niż wcale”.

Któregoś dnia wpadłam z wizytą do Nathaniela; właśnie prasował i nie przerywając tej czynności, spytał, jak ja się miewam, czy moje sprawy z Damonem wciąż układają się tak dobrze.

- Chyba nie próbował cię ostatnio zabić, co?
- Czasami próbuje, albo przynajmniej go kusi, ale ponieważ oboje zdajemy sobie sprawę z problemu, wszystko jest pod kontrolą. To duża różnica,

kiedy nie ma problemów z komunikacją; no wiesz, kiedy kanały są otwarte.

- Tak, to prawda. Wiesz, jest coś, o czym chciałbym ci powiedzieć -
oznajmił, ostrożnie sunąc żelazkiem po rękawie niebieskiej koszuli.

- Co takiego?

Westchnął i nie patrząc na mnie, odparł: - Bardzo mi na tobie zależy.

- Mi też na tobie zależy.

- Chcę, żebyś wiedziała, że bardzo mi na tobie zależy i że cię kocham, i że uważam cię za osobę wyjątkową.

Jesteś taka cudowna. Za nic nie chcę, żebyś myślała, że zrobiłaś coś złego albo że cokolwiek jest twoją winą, ale przede wszystkim, jak już powiedziałem, nie chcę, żebyś kiedykolwiek pomyślała, że mi na tobie jednak nie zależy, i to straszliwie, niezależnie od tego, co zrobię, niezależnie od tego, co się stanie.

I w tym momencie zalał się łzami, które kapały na niebieską koszulę. Odstawił żelazko na bok. Podeszłam do niego, objęłam go i usiłowałam pocieszyć.

- Proszę, nie pocieszaj mnie - poprosił. - Przez to czuję się jeszcze gorzej.
Przestałam.

- Nie przewidziałem, że do tego dojdzie - dodał. - Ze będę płakał.
Wzruszam się tym, co mówię. Bo widzisz, jest coś, co mnie zasmuca.

- Co cię zasmuca? Co? - Czułam się nieuczciwie, zadając to pytanie, bo byłam pewna, że wiem: po prostu miał złamane serce - kochałam Damona, a nie jego.

W końcu to zasugerowałam.

- Nie, to niedokładnie tak - odparł. - W tej chwili nie bardzo mogę ci to powiedzieć. Chciałbym się opanować. - Próbował przestać płakać, zamykając oczy i powtarzając sobie: - Myśl o Świętym Mikołaju, myśl o Świętym Mikołaju.

Zadzwonił telefon.

Podniósł słuchawkę i nadal płacząc, powiedział: - Savoir vivre. Gorąca

linia. - Słuchał przez chwilę, po czym poinformował dzwoniącego: - Nie, nie należy maczać chleba w sosie. Maczanie chleba w sosie jest nieeleganckie. Nie ma za co.

Rozłączył się. Oddychał głęboko i wyglądał na bardziej opanowanego.

- Możesz mi teraz powiedzieć? - spytałam, w nadziei, że nie jestem zbyt nachalna, zwłaszcza teraz, kiedy się opamiętał i być może czuł się bardziej zażenowany tą chwilową demonstracją smutku.

- Tak, teraz mogę ci powiedzieć - odparł ku mojemu zdumieniu.

Nie spędziłam wygodnie tej nocy, kiedy tak leżałam skrępowana sznurkiem na kanapie Nathaniela. Nathaniel zademonstrował na sobie procedurę, zgodnie z którą zamierzał mnie zabić, wkładając sobie na głowę plastikowy worek niczym stewardesa demonstrująca wkładanie maski tlenowej. Był zdania, że przybliżanie mi takich szczegółów jak fakt, że w worku związanym na szyi umrę za pół godziny albo za godzinę i że w tym czasie może mi się wydawać, że mam wypchaną czymś głowę, sprawi, że nie będę się tak bardzo bała w trakcie doświadczania śmierci; mówiąc w skrócie, uważał, że jeśli będę wiedziała, czego się spodziewać, umieranie okaże się mniej stresujące.

Wyraził współczucie, że nie uda mi się doczekać końca mojego ekscytującego i obiecującego żywota, ale planował to od tak dawna, jeszcze wtedy, gdy moje życie wcale nie wyglądało na obiecujące.

Gdy poprosiłam, by jakoś wytłumaczył, dlaczego chce mnie zabić, odparł, że to dlatego, że nienawidzi swoich profesji. Gdy spytałam, od kiedy nienawidzi swoich profesji, odparł, że od zawsze. Gdy zauważyłam, że nigdy mi o tym nie mówił i że odniosłam wrażenie, że je jednak lubi, odparł:

- Jak to możliwe? Znasz mnie przecież. Uważasz mnie za jakiegoś durnia albo nudziarza?

- Nie.

- Więc jak mogłaś pomyśleć, że podoba mi się bycie ekspertem savoir

vivre'u, doradcą Strażników Wagi czy striptizerem? Jak mogłaś pomyśleć, że ktoś taki jak ja, z moim umysłem, z moim charakterem, czerpie jakąkolwiek satysfakcję z takich rzeczy?

- No to dlaczego je wykonujesz?

- Bo nie mogę wykonywać mojej prawdziwej profesji.

- A jaka jest twoja prawdziwa profesja?

- Chirurgia plastyczna. Proszę, nie rób takiej zdziwionej miny, bo zranisz moje uczucia.

Milczałam.

- Zastanawiasz się nad czymś - zauważył Nathaniel.

- Brat Damona był chirurgiem plastycznym.

- Znam go.

- Znasz?

- Tak. To ja jestem Ben - odparł.

- To niemożliwe.

- Czemu nie?

- Bo ty i ja poznaliśmy się przypadkiem, w parku, kiedy zostałam napadnięta i ty mnie uratowałeś. To byłby zbyt nieprawdopodobny zbieg okoliczności, gdybyś okazał się wrogiem człowieka, którego ja uratowałam dwa tygodnie wcześniej.

- Tak, taki zbieg okoliczności byłby zbyt nieprawdopodobny. Ale to nie znaczy, że ja nie jestem Benem.

To po prostu znaczy, że to nie jest zbieg okoliczności.

Chciałem cię poznać, więc zaaranżowałem tę napaść.

- Dlaczego?

- Zemsta. Na Damonie. Pozwoliłem, żeby to wszystko lekko wrzało, trzymałem się z daleka aż do idealnego momentu, momentu w twoim związku z nim, kiedy uczucia miały dość czasu, by nabrać sporego napięcia, ale nie dość, by okrzepnąć w nudzie albo zwykłym zadowoleniu. Wydaje się jednak, że

chyba za długo zwlekałem. Mówisz, że on próbuje cię zabić? To przecież brzmi tak, jakby osuwał się w szaleństwo. Albo ty. Mam nadzieję, że to ty. A jeśli to on, to jak można się zemścić na oszalałym umyśle?

- Więc cały ten czas, kiedy udawałeś, że jesteś moim przyjacielem, i twierdziłeś wręcz, że mnie kochasz, tak naprawdę miałeś mnie gdzieś - stwierdziłam.

Ukląkł obok kanapy, na której leżałam z rękoma związanymi na plecach, i przytulił mnie.

- Na litość boską, Anno to nieprawda! Dlatego właśnie przed tym wszystkim wyznałem, jak bardzo mi na tobie zależy. Nie pamiętasz mojej przedmowy? Była długa. Kochałem cię i nadal Kocham. Nikogo dotąd tak bardzo nie kochałem.

- A mimo to chcesz mnie zabić? - Do mojego ucha ściekła łza.

Otarł mi oczy i nos chusteczką, po czym odparł: - Siła mojej miłości do ciebie jest wielka, jednak pragnienie zemsty jest silniejsze. Damon zniszczył mi życie, a ja nie zniszczyłem jego życia. Nie mogę tak tego zostawić.

- Przecież zniszczyłeś mu życie.

- Nie aż tak bardzo jak on mi. A w każdym razie nie tak bezpośrednio ani tak intencjonalnie. Wiem, że to on napisał tamten anonim. Nie jego brat.

- Skąd wiesz?

- Z artykułu poświęconego życiu Philipa, który przeczytałem w czasopiśmie „Opera Mydlana”. Damon i Philip na pewno się bali, że mogę się na niego natknąć. Damon nie tylko zrujnował mi karierę, ale także szanse na miłość. Miałem taki plan, że znajdę jakąś piękną kobietę i poprawię jej twarz, zmienię ją na rozmaite sposoby, dzięki czemu będę w stanie ją pokochać. Ale potem, za sprawą Damona, otrzymałem zakaz wykonywania operacji plastycznych. I tak próbowałem zrealizować swoje marzenie, kiedy poznałem Chriskate, zatrudniając innego chirurga, który operował ją zgodnie z moimi zaleceniami. Jak jednak wiesz, rezultaty nie wzbudziły we mnie dostatecznie

silnych uczuć. Posłałem ją do lekarza, którego dzieła naśladowałem i aprobowałem. Nie znaliśmy się wzajemnie, ale mieliśmy podobny styl i technikę. Jak później się przekonałem, brakowało mu tylko wizji, wyobraźni. To, co z nią zrobił, było dobre. Komercyjnie. Ot, śmieciarska, komercyjna operacja. Poza tym jej efekty przemawiały do mas, jak tego dowiodła gwiazdorska kariera Chriskate. Niemniej wszystko to okazało się trochę za łatwe, trochę zbyt dostępne i powierzchowne, jak na mój gust.

Potrzebowałem więcej głębi i pokładów w jej urodzie.

Po dokończeniu swojej historii Nathaniel spytał, czy chciałabym przed śmiercią napisać do kogoś jakieś listy.

Próbowałam zwykłych strategii, żeby zmienić zamiar: gróźb, zastraszenia, próśb, błagania, sztuczek psychologicznych, kłamstwa, udawania, przemawiania do rozsądku, pogardy itd.

Oświadczył, że Damon zostanie powiadomiony o tym, gdzie się znajduję, na krótko przed zgonem.

Wyraził nadzieję, że Damon się zjawi i będzie świadkiem mojej śmierci. A potem wyznał, lękliwie i przeproszająco, że jeśli tak się stanie, to być może postanowi mnie torturować (podczas mojej półgodziny bezstresowego umierania), aby dzięki temu zemsta osiągnęła jak najwyższą jakość.

- Jeśli do tego dojdzie - dodał - to pozwolę sobie zawczasu cię zapewnić, że jestem nie tylko zasmucony, ale także wdzięczny, że przejdiesz przez te nieprzyjemności, tym samym realizując moje najdziksze fantazje na temat sprawiedliwości.

Damon rzeczywiście się pojawił. Dostał ostrzeżenie, że ma nie przyprowadzać policji, bo wtedy zostanę zabita na miejscu, niezależnie od konsekwencji dla wykonującego egzekucję. Tak więc przyszedł sam. Wyglądał okropnie: blady, zmęczony, wyniszczony.

Miałam usta zaklejone taśmą maskującą. Kiedy Damon wszedł do pokoju, Nathaniel wycelował we mnie broń, a wolną ręką wskazał kajdanki zwisające z

żelaznej sztaby osadzonej w ścianie. Powiedział Damonowi, że ma się przykuć do tej sztaby, bo inaczej mnie zabije.

- Nie - odparł Damon.
- Co nie? - spytał Nathaniel.
- Nie przykuję się.
- To ją zabiję.
- Rozumiem.
- I to nie będzie dla niej bezbolesne.
- Dla mnie też nie.
- Masz na myśli jej śmierć?

Damon przytaknął.

- No właśnie - odparł Nathaniel. - W tym sęk. Będziesz cierpiał.
- Liczę na to.
- Liczysz na to?
- A jak ci się wydaje, czemu spacerowałem po nocach, mimo że regularnie atakowali mnie faceci nasłani, zakładam, przez ciebie? Łącznie z tamtą nocą w metrze, kiedy Anna mnie uratowała. Robiłem to, bo od jakiegoś czasu jestem masochistą.

Nathaniel wycelował broń w Damona.

- Przykuj się albo zabiję i ją, i ciebie.

Damon się przykuł.

- Tak już lepiej - stwierdził Nathaniel. Chwilę później dodał: - Ją zabiję za pomocą plastikowego worka.

Wyjął dwie gumki i przeciągnął mi je przez głowę: szczelnie opasały mi szyję. Potem zdarł mi z ust taśmę.

Nasunął worek na głowę i wetknął jego skraj pod gumki, po czym sprawdził, czy nie dostaje się tam powietrze.

- Powinna umrzeć za jakieś pół godziny - rzucił. - Ewentualnie nieco później, bo to duży worek.

Worek był przezroczysty, więc widziałam wpatzonego we mnie Damona.

- Kocham cię, Anno - powiedział, ale nic nie zrobił.

- Ja też cię kocham - powiedział Nathaniel. - To nie będzie bolało.

Postanowiłem jednak nie stosować tortur, bo ta metoda umierania dostarcza subtelnej odmiany horroru, wyśmienitego wariantu bólu dla obserwatora.

Twój kochanek będzie widział, jak twoja twarz i wargi robią się niebieskie.

A potem zaczęli rozmawiać.

- Wreszcie dostaję to, na co sobie zasłużyłem - stwierdził Damon. - To wielka ulga, po tylu latach udręki, śmiertelnych męczarni i poczucia winy.

- Źle zrobiłeś, że napisałeś tamten list, że zniszczyłeś moją karierę - odparł Nathaniel.

- Nie. Źle, że stałem się przyczyną cierpienia mojego brata. A teraz sprawiedliwości nareszcie stanie się zadość.

- Błefujesz. To podstęp, który ma mnie przekonać, żebym ją uwolnił.

- I tak, i nie. Ja nie błefuję, ale to jest podstęp. Prawda jest taka, że gdybyś ją zabił, ja zaznałbym ostatecznego wyzwolenia, niemniej powodowany miłością i wyrzutami sumienia czuję, że powinienem próbować ją uratować, a z kolei jedyny sposób, w jaki mogę tego próbować, polega na powiedzeniu ci, że zaznałbym ostatecznego wyzwolenia, gdybyś ją zabił. Bo to jest coś, co naprawdę przyniosłoby mi ukojenie; cierpiałbym wtedy tak samo, jak cierpiał mój brat.

- Anno, zdawałaś sobie sprawę, że zadajesz się z czubkiem? To pewnie straszne rozczarowanie, odkryć coś takiego na łożu śmierci. - Urwał i zwrócił się znów do Damona: - A więc powiadasz, że dla ciebie najgorszym bólem jest ból związany z nieodczuwaniem bólu. Ale wiesz co? Ja sobie myślę, że chyba jednak wolę zadać ci ból związany z odczuwaniem bólu.

Zadzwonił telefon. Nathaniel podniósł słuchawkę i powiedział:

- Savoir vivre. Gorąca linia. - I zaraz dodał: - A właściwie to przepraszam

bardzo, zaszła pomyłka, właśnie rozstałem się z tym zajęciem i nie jestem już ekspertem savoir vivre'u. - Słuchał przez chwilę i powiedział: - Nie, proszę nie nalegać. To nie może być aż takie pilne.

Nie, proszę. - Westchnął. - No dobrze. Powiada pani, że jest na własnym przyjęciu, że weszła jakaś kobieta z psią kupą na bucie, że rozsmarowuje tę kupę po całym dywanie i pani teraz pyta: Czy może pani jej o tym powiedzieć? Odpowiedź brzmi nie, bo inaczej na zawsze popsuje pani swoje kontakty z tą osobą. Istnieją szanse, że szkody się zmniejszają, a nie zwiększają z każdym jej krokiem. Ta pani ostatecznie zauważy problem sama, sczyści kupę w łazience i nigdy się nie przyzna, że to ona była winowajczynią. Nie ma za co. - Odwiesił słuchawkę.

I właśnie w tym momencie w drzwiach coś wybuchło. Do pokoju wjechał na wózku inwalidzkim Philip, brat Damona, z pistoletem w ręku i starą szablą ułożoną na kolanach.

- Zdejmij jej ten worek - rozkazał Nathanielowi, który akurat nie miał w ręku pistoletu, bo odłożył go po tym, jak Damon przykuł się kajdankami do sztaby.

Nathaniel zawahał się, po czym usłuchał.

- Teraz ją rozwiąż - dodał Philip.

Nathaniel znowu usłuchał. Philip rzucił w moją stronę szablę.

- Rozkuj Damona - powiedział.

Kiedy Nathaniel to zrobił, Damon wbił mu w ramię hipodermiczną igłę.

- Co ty robisz? - spytał Philip. - Czy to go zabije?

- W końcu tak - odparł Damon. - Za kilka dni.

- To za długo. Nie chcę czekać tak długo. Chcę zabić go teraz.

- Okay, ale czekaj chwilę. Zdejmij ubranie, Ben - powiedział Damon do Nathaniela.

Ben po prostu tam stał i nie robił nic, jednocześnie stając się lekki.

- Kręci mi się w głowie - przyznał.

- Nie, ty czujesz się lekki i kropka - poprawił go Damon.

- Rób, co ci każe! - Philip potrząsnął w jego stronę pistoletem.

Ben zdjął ubranie. Podskoczył w górę i nie opadł na podłogę. Damon podał mu za dużą dawkę, wyraźnie przeszedł poniżej zera.

- Co się dzieje? - spytał Ben. - Czy ja umarłem?

- Raczej tak, w pewnym sensie - powiedział Damon.

- Jeden sens to za mało - stwierdził Philip. - On musi umrzeć we wszystkich sensach świata.

Podjechał do mnie wózkiem i wyrwał mi szablę z rąk.

Podtoczył się pod Nathaniela, który próbował odpłynąć w powietrzu. Philip ciął go i dźgał szablą, ale Nathaniel był zbyt lekki, żeby dało się go poważnie pokłuć.

Każde uderzenie szabli powodowało, że odskakiwał, doznawszy jedynie ukłucia.

Kiedy udało mu się dotrzeć do ściany, napierał na nią stopami, żeby się odepchnąć i uciec przed Damonem, który go stamtąd ścigał, klepiąc po plecach niczym balon, by go nakierować na szablę Philipa, względnie zwyczajnie rzucając go na Philipa, który z kolei wymachiwał ostrzem niczym pałką baseballową, posyłając go w innym kierunku, z jakąś płytką ranką.

Nathaniel zaczął mnie błagać, żebym kazała im przestać. Nic nie zrobiłam.

Zadzwoił telefon. Damon podniósł słuchawkę i zaczął słuchać. Rozłączył się i powiedział do Bena: - Kobieta z przyjęcia powiedziała, że zniszczenia nie stały się mniejsze, tylko jeszcze większe, i że możesz się spodziewać rachunku z pralni.

Philip nadal próbował dźgać Bena, ale bez powodzenia. Więc w końcu Damon podźwignął Philipa z wózka i podniósł wysoko. Stali pod Nathanielem, który unosił się w jednym miejscu, tuż pod sufitem, w pozycji horyzontalnej, z twarzą skierowaną w dół. Philip dźgnął go w żołądek i przykuł do sufitu.

Nathaniel wrzasnął i zagulgotał, z jego ust chlusnęła krew. Philip wyciągnął szablę z sufitu i wtedy brat usadził go z powrotem na wózku. Potrząsnął ostrzem z Nathanielem nabitym na czubek jak dziecko, które potrząsa ogromnym wężem. Uderzał i walił nim o podłogę, wbijając szablę coraz głębiej w brzuch.

Niebawem Nathaniel umarł we wszystkich innych sensach tego słowa.

Philip wyciągnął szablę z wnętrzości swojej ofiary i zakrwawiony trup zaczął lewitować po pokoju, my zaś zapadliśmy w sen, wyczerpani tym zamieszaniem. Kiedy serum przestało działać, ciało wylądowało delikatnie na Damonie, który obudził się z cichym krzykiem.

SZESNASTY

Nie rozmawialiśmy o tym wszystkim przez trzy dni, ale w końcu Damon poruszył temat.

Uważał, że chodzę taka przybita, bo on powiedział Nathanielowi, że może mnie sobie zabijać, jeśli chce.

- Kiedy ja wcale nie jestem przybita - zaprotestowałam. - Przecież nie mogłeś powiedzieć niczego innego, prawda? To był podstęp.

- A jeśli nadal mnie kusi, żeby cię zabić?

- Poradzimy sobie z tym. Radziliśmy sobie z tym wcześniej, to i poradzimy sobie teraz.

- Ach, ty beztroska Anno.

Ze swej strony wiedziałam, jak sobie z tym poradzę.

Będę z tego kpiała. Jeśli zauważę, że gapi się na mnie marzycielsko z wielkim kuchennym nożem w rękę, pomacham dłonią przed jego szklistymi oczyma i powiem: Hej!

A jeśli obudzę się w środku nocy i zobaczę go stojącego nade mną z uniesioną szablą, to powiem: „Może tak zechcesz podać mi chusteczkę, skoro już wstałeś”.

Nie byłam pewna, co zrobię, jeśli mnie pchnie pod nadjeżdżające metro.

Wtedy będę się zastanawiała.

Może kupię sobie bat i będę go karała, kiedy znowu będzie próbował mnie udusić.

Może zapiszę się na kurs samoobrony.

Może cały czas będę nosiła przy sobie sprej z gazem pieprzowym.

Ale sprawy nie osiągnęły takiego etapu. W kilka dni po naszej rozmowie, dokładnie w tydzień po śmierci Nathaniela, zastałam Damona unoszącego się po moim salonie; wyraźnie nie ważył nic. Wiedziałam to w chwili, kiedy go zobaczyłam, i ogarnął mnie taki niesmak i przerażenie, że omal nie zwymiotowałam.

- Natychmiast stań na wadze aptekarskiej - rozkazałam stanowczym tonem.

- Nie ma takiej potrzeby. Jest, jak myślisz - odparł.

Zalałam się łzami, podbiegłam do niego, schwyciłam go, ściągnęłam w dół.

- Coś ty zrobił?

- Przedawkowałam.

- Dlaczego?

- Nie mogę z tobą żyć, Anno. Przecież wiesz o tym.

Musimy wreszcie się z tym pogodzić. Ja cię zabiję. Nie możemy żyć razem.

- Damon, ja nie mogę żyć bez ciebie!

- Ale ze mną nie będziesz żyła.

Płakałam i tuliłam go.

- Przecież to był tylko zwykły problem. Można go było jakoś rozwiązać.

Nie mieliśmy pojęcia, ile to potrwa, zanim on umrze.

Zażądałam, żeby poszukał jakiegoś lekarstwa. Bez końca go naciskałam, przekonując, że jego mordercze zapędy dadzą się jakoś zmoderować dzięki kuracji psychiatrycznej albo może nawet z pomocą środków

przeciwdepresyjnych, więc wreszcie obiecał, że spróbuje znaleźć lekarstwo na to, że stał się bardziej chmurą niż człowiekiem.

Całymi godzinami przesiadywał zamknięty w swoim laboratorium, szukając. W każdym razie tak mi się wydawało. Okazało się, że owszem, szukał, ale nie tego, co mi się wydawało. Półtora tygodnia później wyszedł stamtąd w towarzystwie wielkiej, litej chmury. Tuż przed śmiercią osiągnął cel życia.

Wpadłam we wściekłość. Darłam się na niego, zdmuchując go swoim oddechem. A on chwycił się mojego ubrania, starając się mnie ucześcić. Zarzuciłam mu, że się do mnie klei. Powiedziałam mu, że popełnił samobójstwo, że zrobił to celowo, więc teraz nie ma prawa się tak kleić. Co on w ogóle wyprawia: tu się klei, a potem mnie zostawia? To nie fair. Powiedziałam mu, że przez to, co zrobił, można go przyrównać do człowieka, który celowo wstrzyknął sobie wirusa HIV, tym samym skazując się na powolną śmierć, i że to jest coś niesłychanego.

Po części chciałam odseparować się od niego emocjonalnie, zawczasu zredukować cierpienie, w które musiałabym popaść, kiedy on umrze. Wymaszerowałam z pokoju, trzaskając drzwiami. Później poprosił, żebym więcej tego nie robiła, bo przez to trzaśnięcie miotało nim po całym pokoju.

Usiłowałam go przekonać, by spędził resztę czasu na poszukiwaniu antidotum. Obiecałam, że mu pomogę, niech tylko mi powie, co mam robić. Odmówił, wyznał, że przez moment nie wierzył w możliwość wyleczenia się z morderczych zapędów i masochistycznych skłonności, że tylko przede mną udawał. Nie chciał lekarstwa, a nawet gdyby chciał, to było za mało czasu, by je znaleźć. Już czuł, że zbiera mu się na deszcz.

Chciał spędzić resztę czasu ze mną. No i spędzał. Okazało się, że to trzy dni. Mówił o moim życiu, o przyszłości. Udzielał mi rad, życzył szczęścia, zapewniał, że bardzo mnie kocha.

A potem kochał się ze mną na tej swojej chmurze. Ja zachowałam swój

pełny ciężar, nie chcąc już nigdy więcej robić się lekka. Czułam, że chmura mnie osacza, połyka, jakby z żalu, w podobny sposób, w jaki ja przelykałam łyzy. Wydawała się niemal zbyt cudowna. Nie harmonizowała z moim bólem i smutkiem. Pewnie należało uprawiać miłość na twardej, gołej posadzce. Na więziennej, być może.

Plakałam, kiedy kochał się ze mną na chmurze. Wynalazł coś tak niebiańskiego, tylko za jaką cenę? Bodajże wtedy właśnie kochaliśmy się po raz ostatni w życiu.

Obejmowałam go z całej siły. Przedawkował, dlatego więc technicznie był bardziej chmurą niż człowiekiem, a mimo to wcale nie czułam, by był inny. Choć z drugiej strony wydawał się bardziej idealny niż kiedykolwiek, bardziej do mnie dopasowany, stworzony dla mnie. Był moim dopełnieniem.

Popchnął mnie do skraju chmury; moja głowa, utraciwszy oparcie w jego wynalazku, przechyliła się do tyłu, z włosami zwisającymi w dół, rozkołysanymi. Miałam ochotę spaść, właśnie na głowę, złamać sobie kark, jeśli się da. Damon mi nie pozwolił. Podsunął chmurę pode mnie i zakrył mi usta pocałunkiem, a ja zaczęłam się dusić, bo nos miałam pełen łez. Wykręciłam szyję, by zaczerpnąć oddech.

Nie chciałam orgazmu. Nie mogłam znieść myśli, że mogłabym go przeżyć, wiedząc jednocześnie, że Damon lada chwila umrze. Nie mogłam jednak temu zaradzić.

Ciało okazało się okrutne i splatało takiego figła mojemu sercu. Później leżałam tam, czując się dziwnie.

Obłokowato.

Zastanawiałam się, czy to możliwe, by utrata płynów mogła go przywodzić bliżej śmierci. Każdy pocałunek mógł odbierać mu minuty życia. Jego orgazm: ile godzin mu zabrał? A ta mgiełka na czole, właśnie teraz, czy też kradła mu bezcenne sekundy?

Damon był zadowolony - miałam orgazm. Całował moje piersi, ramiona,

szyję; wiedział, że jest mi smutno, a mimo to był zadowolony. Żałowałam, że nie mogę po prostu wyparować i zobaczyć, jak on się wtedy poczuje. Zepchnęłam go z siebie i stoczyłam się z chmury. Poszłam do łazienki, zamknęłam się od środka. Usiadłam w pustej wannie, uruchomiłam prysznic i ukryłam głowę w kolanach. Wbiłam wzrok w twardej, zimnej powierzchni, dokładnie takiej, jakiej jeszcze przed chwilą tak łaknęłam.

Damon zapukał delikatnie.

- Źle się czujesz, Anno?

Zrobiłam głęboki, gniewny wdech.

- Ależ skąd, czuję się świetnie.

Nic więcej wtedy od niego nie usłyszałam.

Następnego dnia, kiedy właśnie wyszłam z kuchni, Damon płakał.

- Dlaczego płaczesz? - spytałam.

- Wcale nie płaczę.

- Ależ płaczesz. I dlaczego się pocisz?

- Wcale się nie pocę.

- Czy to koniec? - spytałam.

- Tak, chyba padam.

Nawet tego nie wiedzieliśmy. Musieliśmy to zobaczyć, żeby nabrać pewności. I zobaczyliśmy. I nabraliśmy pewności.

Zdjął ubranie, a ja pomogłam mu wejść do wanny.

Sama też się rozebrałam i weszłam razem z nim. Nie chciałam, by moje ubranie go wchłonęło. Nie chciałam utracić ani jednej kropli. Położyliśmy się, on na mnie.

Objęłam go.

- Nie mogę żyć bez ciebie - powiedziałam.

- Ależ będziesz żyła. Jesteś silna. Zrób to dla mnie, Anno. Moja miłości.

Do widzenia.

Pocałowałam go i moje usta zrobiły się mokre; woda ściekła mi po

podbródka.

Przemieniał się w deszcz, stając się coraz mniej materialny, coraz bardziej przezroczysty. Upodabniał się do obłoku. Coraz trudniej było go widzieć, coraz trudniej było wyróżniać jego oczy na wykafelkowanym tle, ogar niać kontury, wysłyszeć głos spośród odległego szumu ruchu ulicznego.

A tymczasem ja miałam jeszcze pytania, które przyszły mi do głowy z konieczności niemal zbyt późno. Zadałam je, ale już nie byłam pewna, czy ten głos, który mi odpowiadał, pochodzi od niego, czy bierze się z moich myśli.

- Kocham cię, Anno - usłyszałam na samym końcu.

Zabrzmiało to jak szept, jak westchnienie wiatru.

- Ja też cię kocham - powiedziałam głośno, ale nie usłyszałam odpowiedzi. - Słyszysz mnie? Słyszysz mnie? - Nic już jednak nie słyszałam.

Na piersiach czułam teraz własne dłonie - on zniknął. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam, nawet własnych myśli.

Leżałam nago w płytkiej kałuży utworzonej z jego wody. Leżałam tam długo, kąpiąc się w nim, otoczona nim. Płakałam.

- Nie mogę żyć bez ciebie - powtórzyłam w nadziei, że to go przywróci.

Jego woda stygła, a ja wciąż tam leżałam, dygocząc z zimna.

W końcu wyszłam z wanny, ubrałam się, nie wycierając ręcznikiem, a potem poszłam do najbliższego sklepu z naczyniami kuchennymi. Nie mogłam zmarnować ani chwili, musiałam zachować jego wodę. Za nic nie chciałam, by choć jedna kropla umknęła do odpływu, na wypadek gdyby korek był odrobinę nieszczelny, ani by wyparowała.

Szukałam w sklepie tego, czego potrzebowałam, z płaczem. Ale nie mogłam tego czegoś znaleźć. Wiedziałam, czego szukam, ale nie mogłam sobie przypomnieć, jak to się nazywa, więc podeszłam do ekspedienta i starając się panować nad emocjami, powiedziałam: - Szukam tego czegoś, czego się używa, żeby móc umieścić wodę kogoś, kto zmarł, w mniejszym pojemniku.

Ekspedient popatrzył na mnie pustym wzrokiem i potrząsnął głową. Nie

ustępowałam.

- To taki przyrząd, którego się używa, kiedy ktoś umrze i chcemy przenieść jego ciało do słoja, nie tracąc przy tym ani kropli jego wody. Ten przyrząd służy właśnie do tego, do przenoszenia.

Patrzył na mnie ogłupiałym wzrokiem, nie odpowiadając. W końcu przemówił: - Nie mam pojęcia, o co może chodzić.

Wykonałam ruchy dłońmi naśladujące kształt lejka.

- Wodę nalewa się od góry, żeby spłynęła do pojemnika z mniejszym otworem.

- Lejek? - spytał.

Nie rozpoznałam słowa, więc tylko gapiłam się na niego równie pustym wzrokiem jak on chwilę temu na mnie.

Zaprowadził mnie do lejków; przytaknęłam, trochę popłakałam, wzięłam jeden lejek i zapłaciłam za niego.

Nie podobał mi się. Nie podobał mi się jego wygląd.

Zatrzymałam się przy supermarkecie i kupiłam cztery galony wody. Wylałam ją na rogu ulicy i zaniósłam do domu cztery plastikowe butle, o wiele teraz lżejsze.

Wybrałam z wanny wodę Damona szklanką, przelewając ją do kolejnych butli za pomocą lejka. Była to żmudna praca, ale robiłam to tak długo, aż wypełniłam wszystkie cztery butle. Potem dokupiłam jeszcze cztery i powtórzyłam procedurę. I jeszcze raz, z kolejnymi czterema. Robiłam to i robiłam, aż uzyskałam dwadzieścia galonów wody Damona. Kiedy woda w wannie osiągnęła tak płytki poziom, że nie dawało się jej nabierać, zaczęłam zbierać ją gąbką, którą wyżymałam do lejka, i napełniłam w ten sposób jeszcze dwie butle. Wreszcie skończyłam. W sumie uzyskałam dwadzieścia dwa galony jego wody.

Umieściłam butle w sypialni, obok łóżka. A potem zaczęły mijać dni. Czasami zdejmowałam zakrętki, czasami je zakręcałam. Robiłam najrozmaitsze

rzeczy z butlami. Próbowałam przysłuchiwać się tej wodzie, na wypadek gdyby Damon coś do mnie mówił. Zaglądałam do niej i usiłowałam znaleźć jego oczy.

Przed śmiercią Damon zostawił mi mnóstwo serum lekkości (tak w końcu zaczęliśmy je nazywać), dość, by mi starczyło do końca życia, na wypadek gdybym często chciała być lekka. Zostawił mi też formułę, żebym z nią zrobiła, co zechcę - mogłam sama zdecydować, czy świat jej potrzebuje, czy z niej skorzysta; powiedział, że świat go nie obchodzi. Powinien był przewidzieć, że mnie świat też nie obchodzi.

Tak czy owak nie mogłam się zmusić, by upublicznić formułę, dopóki byłam w żałobie. Zbyt często i zbyt boleśnie przypominano by mi o nim, gdyby wszyscy zaczęli być lżejsi i na dodatek gdyby było ich pełno dookoła niczym rolkarzy.

Zostawił mi także formułę na tworzenie materialnych chmur i małych chmurek. Oprócz szczegółowych instrukcji na papierze podał mi, w uproszczonej formie, jak się robi materialne chmury: należało pochwycić wodę przez zaskoczenie, po czym gwałtownie zmieniać prędkość i wzór ubijania. Był to rodzaj pułapki, która podstępnie zmuszała wodę do zajmowania pozycji, która była dla niej bardzo nienaturalna, pozycji, w której nie była już wolna, w której była więźniem samej siebie i nie mogła się rozlewać: każda jej cząstka była związana z drugą.

Trzymałam jego materialną chmurę w sypialni, a sypialnię zamykałam na zamek, nikogo tam nie wpuszczałam. Żadnych znajomych. Nikogusieńko. Na początku zamknęłam ją w szafie, nie chciałam jej oglądać. Wciąż byłam zła na Damona, że ją stworzył, zamiast pracować nad lekarstwem, które mogło uratować mu życie.

W końcu jednak zaczęłam co jakiś czas na niej sypiać.

Damon twierdził, że materialne chmury żyją kilka lat, zanim przeobrażą się w deszcz.

Formuły na materialne chmury też nie ujawniłam.

Oglądanie ludzi ujeżdżających chmury raczej nie pomogłoby mi w procesie zdrowienia.

I nie wstrzyknęłam sobie serum lekkości. Nie miałam ochoty być lekka; zbyt ciężko mi było na sercu.

Tęskniłam za nim nie do wytrzymania. Nadal grałam w filmach, ale zawsze miałam przy sobie co najmniej jeden galon Damona. A kiedy szłam gdzieś na kolację, brałam jego cząstkę w pięknej szklanej buteleczce schowanej do torebki. Miałam nawet taki flakonik, który nosiłam na szyi, zawieszony na łańcuszku: nosiłam w nim jeszcze mniejszą cząstkę, na piersi. Czasami odkręcałam małą zatyczkę i mówiłam do wody ukrytej w środku, jakbym przemawiała do mikrofonu. Albo tylko odkręcałam zatyczkę, po to, by dopuścić go do rozmowy, na wypadek gdyby coś słyszał. Często mówiłam jego wodzie, że pragnę, żeby on powrócił, że nie mogę tego wszystkiego znieść.

Smutek prawdopodobnie wzbogacił moją grę aktorską o nową głębię, bo otrzymałam nominację do Oscara. Jakies dziewięć miesięcy po śmierci Damona poszłam na ceremonię rozdania nagród Akademii. Na tę okazję, w ramach hołdu dla niego, wstrzyknęłam sobie serum, by zelżeć do jednej dwudziestej uncji. Włożyłam ciężkie buty, by to zrównoważyć. Dostałam Oscara dla najlepszej aktorki. Poszłam na scenę, by przyjąć nagrodę, i wygłosiłam przemówienie.

- Dziewięć miesięcy temu zmarł mężczyzna, którego kochałam. To właśnie dzięki niemu jestem tu dzisiaj i bardzo żałuję, że nie ma go przy mnie. Zresztą kto wie, może jest. To parna noc. - Urwałam. - Był niezwykłym człowiekiem - znów zaczęłam mówić i jednocześnie odkryłam głowę: chciałam uczcić pamięć Damona, pozwalając, by ludzie zobaczyli moje włosy unoszące się wokół twarzy, jakby znajdowała się pod wodą. - Mówię to, choć wcale nie jestem sentymentalna. W rzeczy samej, jak mu to powtarzałam wiele razy w przeszłości, gdybym mogła cofnąć się w czasie, wolałabym nie przechodzić raz jeszcze przez to, przez co on kazał mi przejść, bym mogła być tu dzisiaj. Bycie tutaj jest czymś przyjemnym, ale nie jest tego warte.

Usłyszałam jakieś chichoty.

- Miał dar do niepodejmowania właściwych wyborów, a jednak każdy jego wybór był uwieńczony sukcesem. Uważał, że grawitacja jest czymś irytującym, więc wynalazł sposób na jej obejście. Tylko jedna rzecz nieodmiennie go raniła. Gdziekolwiek jesteś, o ile jesteś, mój ukochany, mam nadzieję, że twój wybór zakończenia własnego życia pomógł ci i już nie odczuwasz tego bólu. Nie umiem wyrazić, jak bardzo za tobą tęsknię.

Później wymówiłam się od wszelkich wywiadów i poszłam prosto do domu, przez co mój agent zrobił mi piekielną telefoniczną awanturę, a po nim jeszcze parę innych osób, które dysponowały jakąś władzą. W końcu zmuszono mnie do udzielenia kilku wywiadów przez telefon, co niebawem ucięłam, kiedy się zorientowałam, że obsesyjnie i niemal wyłącznie pytają mnie o to, kto jest moim fryzjerem i jakiej metody albo jakiego produktu użył, by sprawić, żeby moje włosy się unosiły.

Wsadziłam materialną chmurę do dużej skrzyni, załadowałam tę skrzynię do samochodu, ułożyłam dwadzieścia dwie butle na tylnym siedzeniu i pojechałam za miasto. Kiedy dotarłam do wyludnionej okolicy, po której często fruwałam razem z Damonem, otworzyłam skrzynię i postawiłam butle na chmurze, po czym sama wdrapałam się na nią i wzbiłam się w powietrze. Nie miałam pojęcia, jak wrócę na dół, ale nic mnie to nie obchodziło. Wylałam wodę z Damona na las, po którym fruwałam tak szczęśliwie. Kiedy już opróżniłam ostatnią butlę, a także moją piękną szklaną buteleczkę i flakonik, który nosiłam na szyi, rozplakałam się i w końcu spadłam na ziemię, bo tak mną trzęsło z żalu.

Następną rzeczą, jaką zarejestrowałam, był pobyt w szpitalu. Miałam złamaną rękę. Przez cały dzień leżałam bez przytomności. Ktoś mnie znalazł w lesie. Lekarze poinformowali mnie, że spadłam z dużej wysokości, i pytali, jak do tego doszło. Odparłam, że nie chcę o tym rozmawiać. Wieści przeciekły na zewnątrz. Media huczały od spekulacji, czy „ta tajemnicza aktorka spadła z

drzewa czy wyskoczyła z samolotu bez spadochronu”.

Ze szpitala wypuścili mnie po dwóch dniach. Wróciłam do domu. Nie miałam już butli obok łóżka i nie miałam też materialnej chmury.

Nie będę zaprzeczać, że pozbyłam się wody, bo skrycie łudziłam się, że w jakiś sposób pomogę mu wrócić do mnie. Oczywiście liczenie na to byłoby głupotą i głównym powodem była próba położenia kresu mojej nie kończącej się żalobie. Miałam nadzieję, że będzie mi się z nim łatwiej rozstać, jeśli nie będę miała tej wody przy sobie, stale unoszącej się w mojej świadomości.

Nie przewidziałam natomiast, że teraz, kiedy wypuściłam go w świat, wszelka woda stanie się dla mnie drogocenna. Damon mógł być wszędzie.

Podczas tygodnia, który upłynął od mojego zwolnienia ze szpitala, często stawałam na balkonie, patrzyłam na chmury i myślałam o nim, zastanawiając się, czy przypadkiem nie jest częścią którejś z nich. Kiedy padał deszcz, wychodziłam na dwór i spacerowałam bez parasola, płacząc, wspominając noc, gdy wypadał się w moje ramiona. Mógł padać na mnie w takiej chwili.

Kałuże sprawiały, że ścisnęło mnie w gardle, szczególnie też niepokojąca była woda z kranu, a o wodzie w miskach klozetowych chyba już lepiej nie wspominać. Nie potrafiłam pić wody z kranu, psychicznie było to zbyt trudne. Musiałam czerpać płyny z innych źródeł, na przykład pijąc soki owocowe albo napoje gazowane. Żałowałam, że wylałam jego wodę; nie przewidziałam, że to wyrzuci takie skutki na mój umysł.

Co więcej, trzy razy przywidziało mi się, że go widzę, wśród tłumu, z daleka, tak samo jak wtedy, gdy wszedł powtórnie w moje życie po porwaniu. Dwóch z mężczyzn, których wzięłam za niego, okazało się kimś innym; tego trzeciego nie udało mi się zweryfikować.

Zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie jestem obłąkana. Dlaczego przywidywało mi się, że widzę Damona przelotnie w tłumie, skoro przecież byłam pewna, że od razu by do mnie podszedł, gdyby żył? Nie skazywałyby mnie na takie tortury. Ale z kolei gdyby ktoś chciał mnie

torturować, to kto inny jak nie on? A może po prostu zbyt trudno wrócić tak nagle do świata. Może musiał przesądzić się do rzeczywistości powoli, stopniowo, bo inaczej mógłby się nabawić jakiegoś szoku.

Pewnego dnia, kiedy wróciłam do domu, tydzień, może dłużej po moim powrocie ze szpitala, zobaczyłam na balkonie bukiet niezapominajek.

Zadzwoiłam do drzwi mojego sąsiada z góry, którego dotąd nie zdążyłam poznać. Drzwi otwarł jakiś przystojny mężczyzna.

- Skąd się wzięły niezapominajki na moim balkonie? - spytałam. - Pewnie spadły ci z balkonu.

- Nic mi nie spadło z balkonu, przysięgam. Ktoś inny podrzucił ci te kwiaty.

Potem odwiedziłam sąsiada z dołu; przecież mógł wpaść na taki pomysł, by wspiąć się na balustradę i ofiarować mi niezapominajki. Tam jednak mieszkała jakaś staruszka, która zapewniła mnie, że nie ma zwyczaju wspinać się po balustradach. Uwierzyłam jej.

Przyjrzałam się uważnie niezapominajkom. Były piękne, świeże, zdumiewająco niebieskie. Nie były ani trochę uszkodzone. A przecież na pewno by się połamały, gdyby sąsiad z góry zrzucił je ze swojego balkonu.

Przypomniał mi się tamten okres w moim życiu, kiedy to zostawiano dla mnie przedmioty, ze specjalnymi przesłaniami ukrytymi w literach składających się na ich nazwy.

W tym momencie przyszła mi do głowy kolejna logiczna myśl. Wiedziałam, że to naciągane, ale postanowiłam, że spróbuję odszukać jakiś anagram. Nie znalazłam, ale nagle dotarło do mnie, że nie muszę. Każdy zna przesłanie ukryte w słowie „niezapominajki”.

W tym momencie wiedziałam już, że Damon wrócił.